

ALESSANDRO PRONZATO
NIEWYGODNE EwaNGELIE
"W drodze"
Poznań 1994

przełożyła Anna Gryczyńska

Tytuł oryginału Yangelì scomodi

(c) 1983 by Piero Gribaudi Editore 15 • Edizione riveduta e ampliata

(c) Copyright for the Polish Edition by Wydawnictwo "W drodze", 1990

Projekt okładki i stron tytułowych Mirosław Adamczyk

Nihii obstat

Poznań, dnia 20 lipca 1989 roku i 9 lutego 1990 roku

ks. doc. dr hab. Marian Wolniewicz, cenzor

Imprimatur

Poznań, dnia 9 lutego 1990 roku

ks. bp Zdzisław Fortuniak, wikariusz generalny

ISBN 83-7033-004-5

"W drodze"

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów

61-716 Poznań, ul. Kościuszki 99

tel. 52-39-62; tel./fax 52-88-58

DZIĘKUJĘ ZA KŁOPOT

(WYZNANIE SPÓŹNIONEGO CZYTELNIKA)

Gdybym powiedział, że nie chce mi się wierzyć, że jestem zaskoczony drogą, jaką Niewygodne Ewangelie przebyły od października 1967 roku, wielu nie uwierzyłoby mi i przypisało grzeszną pokorę.

A jednak tak jest.

Te stronice, zrodzone w ciągu lata, kiedy to zostałem wysiedlony z mojego pokoju i zmuszony do pracy pod gołym niebem, pośród świerków, mając do dyspozycji tylko notes, pióro i Ewangelię - zawsze stanowiły dla mnie powód do zdumienia.

Nigdy nie potrafiłem sobie wytłumaczyć ich sukcesu (używam tego słowa bez zakłopotania, jako że grzech pokory już popełniłem i wobec tego będę brnąć dalej).

Po złożeniu Niewygodnych Ewangelii - bez nadmiernych złudzeń - na biurku Wydawcy, nigdy ich nie przeczytałem ponownie. Pojawiają się na moim stole różne tłumaczenia: na język niemiecki, portugalski, japoński, hiszpański (w języku kastylijskim wznowienia są równie liczne jak w języku włoskim, a to między innymi dzięki Ameryce Południowej).

Otrzymuję listy utrzymane we wszystkich możliwych tonacjach, od ślepego entuzjazmu aż do najwulgarniej szych wymyślań, od anonimowych podziękowań po równie anonimowe przekleństwa. (Pewna dość pobożna osoba życzyła mi "po bratersku", bym skończył usmażony albo utopiony w substancji, której nie mogę wymienić, w ostatnim kręgu piekła). Żadna inna książka nie przyniosła mi tak ogromnej korespondencji od czytelników z najróżniejszych części świata.

Stanowiło to dla mnie pocieszające potwierdzenie opinii, że książki rozchodzą się nie wtedy, gdy wyrażają się o nich pochlebnie krytycy lub gdy są reklamowane na ekranach telewizyjnych czy też wymieniane w bezwartościowych ankietach, ale wyłącznie wtedy, gdy wprowadzają je w obieg najbardziej przekonani czytelnicy.

W każdym razie nigdy nie zdobyłem się na powtórne odczytanie tego "szczęśliwego" tomu. Nawet wtedy, gdy pewien mądry kanonik, w konfesjonale bardzo sławnej bazyliki, nie [znając tożsamości penitenta, polecił mi (albo nałożył jako pokutę?) lekturę tej książki. Nawet wtedy, gdy pewien czcigod-

ny kardynał zaczepił mnie u progu Spiżowej Bramy i pod groźnym spojrzeniem Szwajcara-halabardnika wypominał mi gniewnie jakieś błędy, polecając, bym niektóre rozdziały oczyścił. Nic nie zrobiłem, nie poszedłem nawet skontrolować owego corpus delicti, tym bardziej że nie było żadnej groźby interwencji ze strony Świętego Oficjum ani szwajcarskiej halabardy.

Nie zmusiły mnie też do ponownego wzięcia do ręki tej książki, uznanej za nadmiernie niewygodną, czcigodne siostry, które pewnego wieczoru w Wielkim Poście spaliły ją na dziedzińcu swego zamożnego klasztoru nie zapraszając mnie do wzięcia w tym udziału. (Kto kupuje książkę, nabywa również prawo do spalenia jej, choć może tajemnym życzeniem byłoby raczej wepchnięcie na stos autora...)

Teraz, gdy mam uroczyste obchodzić piętnaste wydanie książki w nowej szacie (do którego sam się przyczyniłem dając • zdjęcie na okładkę: zależy mi bowiem na sławie nie byle jakiego fotografa), Wydawca skłonił mnie wreszcie do ponownego przeczytania tekstu. Mam nadzieję, że może i on zrobi to przy następnym wydaniu,

Było to doświadczenie dość zaskakujące. Sądziłem, że wypadnie mi wstydzić się bardziej. Przekonałem się, że takie "dzikie" podejście do Ewangelii - bezbronne, bez doświadczenia, z wysokim współczynnikiem prostoty, z zielonym światłem dla serca i intuicji, zachowuje raczej bytu również dzisiaj, szczególnie w zestawieniu z niektórymi komentarzami "mrożącymi" swym formalizmem i erudycją nazbyt może ostentacyjną.

Rozumiem, dlaczego czytelnik chętniej wybacza pewien nadmiar emocji niż chytrą nienaganność typu intelektualnego. Dużo lepiej jest podjąć ryzyko, wyjść na zewnątrz, niż ukrywać się za niezliczonymi liśćmi figowymi uczonych cytatów, kilometrowych bibliografii i rozwlekłych przepisów, które prowadzą do zasłonięcia nie tylko autora, ale i samego Słowa. Osobiście pojmuję pisanie jako trud ogoławania się (tak, ogoławam się również z książek, które sumiennie czytam, i tekstów, które studiuje). Jest to jedyna forma ubóstwa, jaką praktykuję. Natomiast wielu autorów, nim weźmie do ręki pióro, ubiera się w całą bibliotekę z kurzem włącznie. Rzecz gustu.

A przecież to czytelnicy decydują ostatecznie, czy lepiej zaufać komuś, kto ujawnia się bezbronny i nieosłonięty, czy też komuś ukrytemu w kokonie, niczym żyjąca mumia (...). Tak czy inaczej, wniosłem nieliczne poprawki, wykreśliłem niewiele linijek. W zamian dodałem kilka stron, wręcz kilka

rozdziałów wziętych w większości z mojego ostatniego komentarza do Ewangelii św. Marka*.

Uznałem za słuszne uzupełnić przede wszystkim teksty, które wykazują powiązanie kultu z życiem, Kościoła z drogą, modlitwy z troską o bliźniego, pobożności ze sprawiedliwością. Ewangelia bowiem okazuje się niewygodna właśnie dlatego, że trzeba uwzględnić te powiązania. Jeśliby chodziło wyłącznie o załatwienie własnych spraw z Bogiem, nie napisałbym Niewygodnych Ewangelii.

Chrystus ze swym orędziem jest niewygodny właśnie dlatego, że nie można o Nim powiedzieć wszystkiego z ambony.

Mam nadzieję, że niczego nie popsulem, a wprowadziłem trochę nowości, które usprawiedliwiają nową szatę typograficzną. Nie mogę powiedzieć, że chodzi o nową książkę. Nie wiem nawet, czy powinienem tego sobie życzyć. Ograniczam się do wyznania, że

przeczytawszy ją z opóźnieniem, po 15 latach od narodzin, odnalazłem siebie dość łatwo, a niektóre fragmenty mnie samego zmusiły do rachunku sumienia.

Fakt, że "rozpoznaję" siebie w książce sprzed tylu lat, może dowodzić, że nie posunąłem się wystarczająco naprzód. Albo że wręcz zachorowałem na starość. Nawet w najgorszym wypadku uważam jednak, że niewygoda Ewangelii stanowi skuteczną terapię przeciwko arteriosklerozie.

Serdecznie dziękuję czytelnikom (również tym którzy, być może, dopiero będą czytać tę książkę). Gdyby ich nie było, prawdopodobnie uległbym perswazjom pewnych "ekspertów", że Ewangelia nie powinna przeszkadzać. I postarzałbym się przynajmniej o 15 lat wcześniej. Dziękuję więc za kłopot, jaki zgodzili się przyjąć.

I za ten, którym mnie obdarzyli.

ALESSANDRO PRONZATO

* Un cristiano comincia a leggere U Yangelo di Marca, Gribaudi Editore, Torino.

UCZMY SIĘ SMUTKU BOŻEGO NARODZENIA

Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęta Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie. (Łk 2,6-7)

Wszystkiego trzy linijki. Aby opowiedzieć nam o najbardziej niezwykłym wydarzeniu w dziejach świata, Łukaszowi wystarczają trzy linijki. Bóg przychodzi, by "rozbić własny namiot pośród nas", a Ewangelista opowiada nam o tym w trzech linijkach. Zapewne jego pióro musiało zmagać się z pokusą powiedzenia więcej.

Trzy linijki na początku strony. A więc cała kartka biała. A my spieszymy się, by wysmarować ją naszymi słowami.

Może się to wydawać dziwne, że serię rozważań o "niewygodnych Ewangeljach" rozpoczynamy od opowieści o Narodzeniu, która zdaje się dopuszczać wyłącznie czułość, słodycz i myśli najbardziej pocieszające.

Jednak właśnie te trzy Łukaszowe linijki, jeżeli uda się nam oczyścić je z mgieł podejrzanego sentymentalizmu, okazują się straszliwie niewygodne. Stanowią bowiem rzeczywiście bezlitosne potępienie naszego Bożego Narodzenia, nadętego retoryką, wypchanego lukrowałą poezją, bogatego w różnokolorowe świecidełka i tanie wzruszenia.

Trzy linijki. Tymczasem my rozpisaliśmy olbrzymi, nie kończący się scenariusz, naładowany pospolitością. Wylaliśmy na niego całe tony sentymentalizmów, ludowych obyczajów, tandety i kiczu.

Boże Narodzenie jako pretekst. Pretekst, aby dać upust wienie poetyckiej (raczej pośledniego gatunku), aby nadać połysku naszej religijności, aby odkurzyć nasz mundur chrześcijański, by uporządkować nasze kontakty z biednymi, może poprzez podanie im wieczerzy wigilijnej, jednym słowem, by upewnić się, że jesteśmy ludźmi przyzwoitymi. | Pretekst, by wejść na scenę i odegrać raz w roku rolę człowieka dobrego. Tak, pozwalamy sobie wręcz na luksus uznania I siebie za ludzi dobrych. Raz w roku.

| Zepsuliśmy Boże Narodzenie. Oto wszystko. Dopuściliśmy się sabotażu wobec prostoty tych trzech linijek. Nasze bogate Boże Narodzenie doprowadziło do zubożenia prawdziwego Bożego Narodzenia...

Gdy głęboka cisza zalegała wszystko,
a noc w swoim biegu dosięgała połowy,
wszechmocne Twe Słowo z nieba, z królewskiej stolicy...
jak srogi wojownik runęło pośrodku zatraconej ziemi.
(Mdr 18,14-15)

Cisza jest naturalnym otoczeniem dla zejścia Słowa na ziemię. A my postanowiliśmy przerwać tę krępującą nas ciszę wystrzeleniem milionów korków szampana.

Czy jednak Chrystus dlatego zstąpił z nieba, byśmy mogli poczuć się ludźmi przyzwoitymi? Abyśmy opychali się piernikami? Abyśmy pochłaniali rzeki szampana? Abyśmy wzruszali się słysząc grających dudziarzy? Abyśmy radowali się z przekreślenia prostoty Jego przyjścia do nas?

BOŻE NARODZENIE "ZNIEWOLONE"

"...I położyła Je w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie" (Łk 2,7).

Później powie: "Pukajcie, a będzie wam otworzone". Jednak dla Jego Matki, która nosiła Go w swym łonie, drzwi pozostawały zatrzaśnięte, a ludzie za nimi, zamknięci w fortecy swego egoizmu, byli zdecydowani nie ustąpić skrawka podłogi.

Nie było dla Niego miejsca. Musi więc urodzić się za miastem. Tak samo, jak potem będzie za miastem umierał.

Uważamy za swój obowiązek oburzać się na tych, którzy zatrzasnęli przed Nim drzwi.

Może to być jednak fałszywe oburzenie. Może to być wygodne alibi.

W rzeczywistości my sami czynimy coś gorszego. Nauczyliliśmy się dobrych manier i budzi w nas odrazę gest pozostawienia Go za drzwiami; jesteśmy ludźmi dobrze wychowanymi. Nie to, co ci prostacy...

Nie zostawiamy Go na dworze. Przeczuwamy niebezpieczeństwo, dostrzegamy Jego niepokojącą obecność, rozumiemy, że musimy bronić się przed Nim. Jednak nie pozostawiamy Go na dworze. Odwołujemy się do dobrych manier, stosujemy subtelne wybiegi dyplomatyczne, aby uczynić Go "nieszkodliwym".

"Zniewalamy" Boże Narodzenie. W swoim działaniu jesteśmy bardziej perfidni niż ci, którzy pozostawiają Go na zewnątrz.

W jaki sposób to czynimy?

Otóż Chrystus pragnie przynieść nam światło.

10

Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką;
nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłysło. (Iz 9,1)

A światłość w ciemności świeci. (J 1,5)

Jednak my zdaliśmy sobie zaraz sprawę, że jest to światło niewygodne, niedyskretne, które szpera we wszystkich zakątkach, które obnaża wszystkie nasze nędze, niedostatki, podłości. Jest to światło, które nie chce być tylko ornamentem, ale które zobowiązuje, żąda zmiany kursu naszego życia. Jest to światło bezlitosne, męczące, prowokujące. A my, aby nie dać się zwyciężyć przez to światło, aby mu się nie podporządkować, wolimy z nim konkurować.

Przeciwstawiamy mu nasze śmieszne kolorowe lampiony, a w końcu dziecinnym gestem zakrywamy rękoma oczy, aby obronić się przed światłem, które wdarło się do stajni betlejemskiej. Zamknięte dłonie przed oczyma albo kolorowe lampiony:

oto w jaki sposób udaje się nam zneutralizować światło.

Chrystus przyszedł, by podarować nam radość. Anioł powiedział do pasterzy: "Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu" (Łk 2,10).

Radość, gdyż posiadamy Boga, który zajmuje się człowiekiem, który zstępuje do człowieka, który staje się kimś bliskim dla człowieka, który staje się człowiekiem. Bóg, który staje na drodze człowieka, by iść z nim razem, by dzielić z nim zmartwienia, nędze, lzy, lęki, nadzieje. Bóg, który przychodzi, by

przynieść zbawienie. Dla wszystkich. Bóg, który objawia się jako miłosierdzie.

Radość, gdyż dla człowieka otwiera się możliwość, która mogła wydać się szalona. "Bóg stał się człowiekiem, by człowiek mógł stać się Bogiem". Na dobrą sprawę, można oszaleć z radości.

A my tymczasem odmawiamy przyjęcia radości. Chrystus przyszedł, by przynieść szczęście przewyższające wszystkie horyzonty ziemskie. A my uznajemy Go za intruza. Za osobę przeszkadzającą w zabawie. Za nieprzyjaciela radości. Wydaje się nam, że przychodzi ukraść nam ziemię, że przychodzi zatruć nam nasz "ziemski pokarm", w którym zatapiamy zęby i paznokcie.

Radość? Niech pozwoli nam w spokoju delektować się naszymi małymi radościami ludzkimi, zabarykadować się w legowisku własnego spokojnego egoizmu...

11

Chrystus przynosi nam swój dar. Więcej: nie przynosi nam darów, ale sam staje się darem. Darem prawdziwym.

A my udajemy, że nie zauważamy nawet daru. Zresztą jesteśmy zbyt zajęci rozpakowywaniem naszych małych podarków.

I tak unicestwiamy Dar pod górą kolorowego papieru, zabawek, drobiazgów, bezużytecznej galanterii.

W ten sposób operacja udała się. Udało się nam "zablokować" Boże Narodzenie. Dobrymi manierami.

TRZEBA ..UWOLNIĆ" BOŻE NARODZENIE

Za wszelką cenę musimy "uwolnić" Boże Narodzenie. Biada, jeżeli tego nie zrobimy. Jest to naszym posłannictwem.

Naszym zadaniem jest przemienić się w światło, by to światło przeniknęło nas mocno, by nas przemieniło, by uczyniło nas przezroczystymi. By ludzie mogli je kontemplować w nas i by byli nim olśnieni, by odczuli cały jego urok i oparli się pokusie zamykania oczu.

Trzeba przemienić siebie w radość. Nie być odpychającymi, swarliwymi, surowymi i odstrasżającymi stróżami prawdy i moralności. Nie mamy być strażnikami, policjantami, ale świadkami radości. Mamy umożliwić zrozumienie prawdy, że posłanie Chrystusa jest posłaniem zbawienia, a nie potępienia. Orędziem wyzwolenia, a nie ucisku. Orędziem radości, a nie smutku.

Trzeba przemienić siebie w dar. Na Boże Narodzenie ludzie obdarowują się nawzajem. Góry podarków, tony ozdobnego papieru, kilometry złotego sznurka, kartki z życzeniami wielkie jak prześcieradła. Wydaje się nam, że w ten sposób rewanżujemy się osobom, którym coś zawdzięczamy. To jednak zbyt łatwe, zbyt wygodne. Jako chrześcijanie mamy obowiązek nie tyle obdarowywać, ile sami przemieniać się w dar. Czynić tak, by zawsze nasze życie było bezgranicznym darem. Dla wszystkich. Wszyscy bowiem ludzie są naszymi wierzycielami. Każdy z nas jest dłużnikiem wobec wszystkich innych.

Przed wszystkim musimy mieć odwagę przyjrzeć się sobie w tych trzech Łukaszkowych liniijkach. Odzyskać ich prostotę. Odrzucić nasze rozdęte i skomplikowane Boże Narodzenie, aby odkryć na nowo to autentyczne. By ubogacić się jego ubóstwem.

Może bardziej niż radości musimy nauczyć się smutku Bożego Narodzenia. I wyrzutów sumienia, że je popsuliśmy.

"W oczach Tego, który nie brzydzi się stać jednym z nas, jesteśmy biednymi grzesznikami, którzy nawet z Bożego Narodzenia, obok radości płynącej z odkupienia, wynoszą nieskończony smutek, że nie są jeszcze chrześcijanami" (P. Mazzolari).

POPSUTY ŻŁÓBEK

W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocą nad swoją trzodą. Naraz stanął przy nich anioł Pański i chwałą Pańską zewsząd ich oświeciła, tak że bardzo się przestraszyli. Lecz anioł rzekł do nich: "Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel,

którym jest Mesjasz, Pan. A to będzie znakiem dla was: znajdziecie Niemowlę, owinięte w pieluszki i leżące w żłobie". I nagle przyłączyło się do anioła mnóstwo zastępów niebieskich, które wielbiły Boga słowami: "Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom Jego upodobania". Gdy aniołowie odeszli od nich do nieba, pasterze mówili nawzajem do siebie: "Pójdźmy do Betlejem i zobaczymy, co się tam zdarzyło i o czym nam Pan oznajmił". Udali się też z pośpiechem i znaleźli Maryję, Józefa i Niemowlę, leżące w żłobie. Gdy Je ujrzeli, opowiedzieli o tym, co im zostało objawione o tym Dziecięciu. A wszyscy, którzy to słyszeli, dziwili się temu, co im pasterze opowiadali. Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu. A pasterze wrócili, wielbiąc i wystawiając Boga za wszystko, co słyszeli i widzieli, jak im to było powiedziane. (Łk 2,8-20)

PIERWSZA LITURGIA KOŚCIOŁA UBOGICH

Przyszedł na ziemię. Nie wybrał drogi dyplomatycznej. Nie powiadomił wielkich. Nie uprzedził możnych. Nie dał znać kapłanom. Pomiął hierarchię. Nie zwołał konferencji prasowej, by oznajmić o tym sensacyjnym wydarzeniu.

A przecież bardzo chciał, by o tym wiedzano. Ktoś miał prawo dowiedzieć się jako pierwszy. Posłał więc swoich wysłanników do pasterzy, którzy koczowali na polu, strzegąc stada. Jezus urodził się nie tylko jako ubogie dziecko, ale także jako mały koczownik. I pragnie przed wszystkimi innymi objawić się grupie koczowników, którzy żyją na granicy życia cywilizowanego. Pasterze żyją na marginesie społeczeństwa, również na marginesie religii. "Ludzie pobożni", faryzeusze, patrzą na nich krzywo, gdyż są oni niewykształceni i dlatego nie mogą znać Prawa, są więc poza religią, są skazani na potępienie.

Aniołowie zwiastują Chrystusa właśnie tym "wyłączonym". Co za gafa! Co za lekceważenie kolejności! Wydaje się, że Je-

13

zus od samego początku zaprowadza zmiany. Jasno daje nam do zrozumienia, że nasza tabela kolejności nie odpowiada Jego tabeli, że następują przesunięcia, wręcz odwrócenie. Nie oczekujemy od Niego przestrzegania "drogi służbowej", zachowania naszych ceremoniałów, szacunku dla naszych przywilejów. On widzi wszystko odwrócone. Wielcy w jego oczach są mali. Ostatni są pierwszymi. Wyłączeni mają szczególne przywileje.

Właśnie epizod z pasterzami rozpoczyna serię niepokojących i zaskakujących wydarzeń ewangelicznych. Nowina chrześcijańska zostaje zwiastowana, oddana na własność tym, którzy znajdują się "na zewnątrz". A dla tych, którzy są "wewnątrz", którzy należą do instytucji, to dziwne postępowanie Pana pozostanie niezrozumiałe*.

Mędrcy przychodzą z zewnątrz. A Herod, który należy do instytucji, od tych cudzoziemców dowie się o narodzinach "Króla żydowskiego".

Jezus będzie miał dwunastu przyjaciół, pierwszych zwierzchników swego Kościoła. Jednak to nie apostołowie będą nieśli krzyż, ale człowiek, który przychodzi z zewnątrz: Szymon z Cyreny.

Chrystus objawi się jako Mesjasz kobiecie z Samarii, kobiecie, która nie należy do narodu żydowskiego, kobiecie wykluczonej z obietnicy, kobiecie, która przychodzi z zewnątrz i której prowadzenie się nie jest z pewnością przykładne.

Żywej ilustracji "nowego przykazania" nie dostarczy kapłan ani lewita, ale przybysz z zewnątrz, wyklęty Samarytanin.

"A pierwszym wstępującym do nieba z Chrystusem, pierwszym świętym chrześcijaninem jest zabójca, który nigdy nie słyszał o Chrystusie".

Do pasterzy więc należy pierwszeństwo absolutne. Nie oddają go nikomu. "Mówili nawzajem do siebie: «Pójdźmy do Betlejem i zobaczymy, co tam się zdarzyło i o czym nam Pan oznajmił

"Wyłączeni" zostają dopuszczeni do kontemplacji, do wzięcia w posiadanie Boga, który stał się Ciałem.

"Pasterze, którzy przychodzą, są Kościołem ubogich. Spotkanie Chrystusa, który nie mówi nic, z pasterzami, którzy mówią niewiele, jest pierwszą liturgią Kościoła ubogich" (U. Vivarelli).

* Inspiracją dla tych refleksji był fragment z książki Fabrizio Fabbriniego, Giuda ii predietto. La Locusta.

14

A my? Cóż, nam - pierwszym, uprzywilejowanym - nie pozostaje nic innego, jak usunąć się na bok i pozwolić przejść tym ostatnim, wykluczonym.

Będziemy mogli uważać się za szczęśliwych, jeżeli pasterze zechcą przekazać nam jakieś wieści. "Gdy je ujrzeli, opowiedzieli o tym, co im zostało objawione o tym Dziecięciu".

Być może nawet, ci przybysze z zewnątrz pozwolą nam wejść. Pod warunkiem, że naszą gadaniną nie dopuścimy się profanacji ich liturgii, składającej się z milczenia i rzeczy małych.

ZAKŁÓCENIA

"Znaleźli Maryję, Józefa i Niemowlę, leżące w żłobie". Żłóbek pasterzy zawarty jest w tej garści słów. Jednak jest to żłóbek prawdziwy, żłóbek zawierający wszystko, co istotne, żłóbek, który "działa".

Mój żłóbek tymczasem przysparza mi kłopotów. Coś w nim nie działa. Musi istnieć jakiś defekt, którego nie potrafę określić.

Od lat staram się jak mogę. Na każde Boże Narodzenie jakaś nowość. Nie dbam o koszt.

Światła, mech, figurki, śnieg, domki, papier mache, góry. Najnowocześniejsza technika daje wspaniałe efekty. Przyjaciele otwierają usta ze zdziwienia, patrzcie, przecież to autentyczny klejnot, wszystko wydaje się prawdziwe, niektórzy nawet się wzruszają.

Jednak żłóbek nie działa. Istnieje jakiś defekt, nie wiadomo tylko, gdzie jest ukryty.

Zwielokrotniam liczbę kolorowych światełek. Zużywam mnóstwo papier mache. Wymyślam nowe efekty świetlne i dźwiękowe, coraz bardziej zadziwiające. A jednak w żłóbku nadal coś nie działa.

Mam wrażenie, że wół, osioł, owce i wielbłądy coraz są większe, dobrze odżywione. Również rośliny dekoracyjne bujnie się rozrastają. Dzieciątko natomiast niepokojąco słabnie. Chudnie w oczach. Nie ma sposobu, by temu zaradzić.

Po uważnych obserwacjach zaczynam jednak stwierdzać niepokojący fakt: defekt wywołany jest czynnikami zewnętrznymi. Wół, osioł, owce, wielbłądy rosną nadmiernie, podczas gdy Dzieciątko chudnie, gdyż coś na zewnątrz żłóbka nie jest w porządku. Istnieją widocznie jakieś zewnętrzne zakłócenia, które wywołują całą tę biedę. Nie pozostaje nic innego, jak je wykryć.

Było to bolesne doświadczenie. W końcu jednak wszystko okazało się jasne. Okrutnie jasne.

15

Przyszedł do mnie człowiek pogrążony w rozpacz. Odprawiłem go w pośpiechu, rzucając kilka pobożnych refleksji i jakieś głupstwa pełne hipokryzji. Potrzebował przyjaciela, a znalazł zimnego doradcę. Nie miałem czasu.

Idąc na "moją" mszę natknąłem się na biedaka źle ubranego, obdartego, brudnego. Uderzył mnie zapach wina. Wywinąłem się pięćdziesięcioma lirami, a potem zdecydowanie

podążyłem do kościoła, aby wysłuchać "mojej" mszy, złożony wpierw "moją" jałmużnę.

Byłem w przytułku, by zanieść paczkę "mojej" staruszce. Jednak gdy zaczęła po raz enty recytować litanie swoich bied, pośpiesznie się pożegnałem. Dziś mam mnóstwo zajęć. Innym razem... Proszę westchnąć za mną do Pana. Miałem ważniejsze sprawy do załatwienia. A ona

została tam z wielką, niepotrzebną paczką w rękach i z ogromnym rozczarowaniem na twarzy.

"Nie mam już sił ciągnąć dalej. Mąż nie dał znaku życia... Dzierżawa... Pan wie, właściciel domu... Poza tym starszy syn dostał się w nieodpowiednie towarzystwo..." I co ja mogłem zrobić? "Cierpliwości, moja dobra kobieto. Proszę zawierzyć Bogu. Zobaczysz pani, że On w jakiś sposób dopomoże. Wie pani, Franciszek Salezy mówi, że..." Tak. Chrześcijanin musi znosić cierpienie z rezygnacją. A cierpienie cudze znosi się najłatwiej.

Z daleka zauważyłem gburę, z którym wczoraj wieczorem gwałtownie się posprzeczałem. Obszedłem go z daleka, by go nie pozdrowić.

Byłem świadkiem wielkiej niesprawiedliwości. Powiniennem był przemówić, interweniować, narazić się. Milczałem. W tych sprawach potrzebna jest rozwaga. Nie chcę, by mnie wzięto za osobę w gorącej wodzie kąpaną albo za wywrotowca. Oportunizm nie jest całkiem bezzasadny. A w końcu okazałoby się, że służę czyimś celom...

Spotkałem Cygankę. Włosy czarne, długie, lśniące. Na rękę trzymała rachityczne dziecko. Miałem ręce zajęte ogromną liczbą paczek (drobiazgi potrzebne do żłóbka). Nie miałem drobnych. (A poza tym, kiedy ci ludzie wezmą się wreszcie do pracy, jak wszyscy szanujący się obywatele?)

W domu znów stwierdziłem, że żłóbek nie działa. Dzieciątko stało się jeszcze drobniejsze, prawie niewidoczne.

Osoba wychodząca z mojego domu z rozpaczą w sercu i ciężarem moich rad, zataczający się biedak, staruszka czekająca bezustannie na odrobinę mojego czasu, kobieta, której wygłosiłem kazanie o cierpliwości, nie obarczając siebie jej kłopo-

16

tem, antypatyczne indywiduum, któremu odmówiłem ukłonu, podłe milczenie wobec niesprawiedliwości, Cyganka, która odchodzi kiwając głową... oto "zakłócenia", które spowodowały defekt żłóbka. Oto powody, dla których Dzieciątko staje się coraz mniejsze i prawie znika.

Szedłem swoją drogą. Nie potrafiłem dostrzec zrozpaczonego, staruszki, pijaczyny, człowieka przygniecionego niesprawiedliwością, Cyganki.

Wykreśliłem Dzieciątko.

Nie zdawałem sobie sprawy, że jedynie rozpoznając Je na drodze, miałem prawo zobaczyć, jak rozwija się w żłóbku.

Teraz, gdy wykryłem ten błąd, gdy określiłem przyczynę awarii, nie pozostaje mi nic innego, jak wyciągnąć z tego konsekwencje.

Bóg ma cztery miliardy twarzy.

Dzieciątko wyznacza mi spotkanie przed tymi ludzkimi twarzami.

Trasa prowadząca do Niego prowadzi przez wszystkie drogi świata.

Jedynie "tracąc czas" z ludźmi, mam pewność, że punktualnie stanę przed Nim.

Jeżeli nie rozpoznam Dzieciątka w czterech miliardach twarzy, mój żłóbek na zawsze pozostanie wspaniałym żłóbkiem, który nie działa.

Przepięknym, ale bezużytecznym.

2 - Niewygodne Ewangelie

NIESPODZIANKI PODRÓŻY

Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali:

"Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon". Skoro to usłyszał król Herod, przeraził się, a z nim cała Jerozolima. Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytywał ich, gdzie ma się narodzić Mesjasz. Ci mu odpowiedzieli: "W Betlejem judzkim, bo tak napisał Prorok: A

ty, Betlejem, ziemio ludy, nie jesteś zgoła najlichsze spośród głównych miast Judy, albowiem z ciebie wyjdzie władca, który będzie pasterzem ludu mego, Izraela".

Wtedy Herod przywołał potajemnie Mędrców i wypytał ich dokładnie o czas ukazania się gwiazdy. A kierując ich do Betlejem, rzekł: "Udajcie się tam i wypytajcie starannie o Dziecię, a gdy Je znajdziecie, donieście mi, abym i ja mógł pójść i oddać Mu pokłon". Oni zaś wysłuchawszy króla, ruszyli w drogę. A oto gwiazda, która widzieli na Wschodzie, szła przed nimi, aż przyszła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię. Gdy ujrzeli gwiazdę, bardzo się uradowali. Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją, upadli na twarz i oddali Mu pokłon. I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę. A otrzymawszy we śnie nakaz, żeby nie wracali do Heroda, inną drogą udali się do swojej ojczyzny. (Mt 2,1-12)

Mamy tu wszystkie elementy powieści sensacyjnej: tajemnicze, niemal bajkowe postaci, podróż, która rozpala wyobraźnię, gwiazda, moment napięcia, okrutny król wyprowadzony w pole, wspaniale i nieuniknione "szczęśliwe zakończenie".

Tymczasem, jeżeli uważnie przeanalizujemy tę opowieść, nie znajdziemy w niej nic pocieszającego. Wprost przeciwnie, jest ona bardzo niewygodna.

Aby zdać sobie z tego sprawę, wystarczy przyjrzeć się bardziej nieprzyjemnym stronom tej podróży, a zarazem wydobyć ją z fantastycznej ramy, w jaką ją wtłoczyliśmy.

Ta historia to jedna z wstrząsających niespodzianek Ewangelii.

PIERWSZE ZASKOCZENIE: DROGA

Mędrcy ujrzeli gwiazdę. Poszli za jej wezwaniem. Gwiazda jednak nie towarzyszyła im krok w krok, aby oszczędzić im wszystkich niepewności, wszystkich trudności drogi.

18

Przebyli tę drogę walcząc z ryzykiem, ciemnościami, wątpliwościami, nieprzewidywanymi sprawami. Przeżyli swą przygodę do końca.

Naszą pokusą w życiu chrześcijańskim jest chęć posiadania drogi pewnej, prostej, doskonałej, swego rodzaju duchowej autostrady. Z tablicami drogowymi dobrze widocznymi i wyposażonymi we wskazówki wszelkiego rodzaju. Z semaforami połączonymi bezpośrednio z niebem, które dawałyby nieomyłne znaki: zieleń - droga wolna, czerwień - stop.

Przed wszystkim rościmy sobie prawo do drogi doskonale oświetlonej. Żądamy dokładnej, pewnej odpowiedzi na wszelkie problemy, jak gdyby chrześcijaństwo było dystrybutorem prefabrykowanych odpowiedzi, w który wystarczy wrzucić monetę i nacisnąć guziczek.

Rościmy sobie prawo do pokoju. Bóg tymczasem ukazuje nam miecz. Bóg bawi się rozbijaniem na kawałki naszego przelotnego i prowizorycznego pokoju. Musimy go z trudem odtwarzać, kawałek po kawałku. Pokój jest zdobyczą, a nie czymś, co spada z nieba bez walki i dramatów. Pokój jest konsekwencją, a nie wyprzedzeniem wiążących wyborów.

W naszych środowiskach następuje autentyczna inflacja fałszywego pokoju, opartego na bezwładności, hipokryzji, na najpodlejszych odstępstwach od szczerości, prawości i wierności.

Ten niechrześcijański pokój należy zniszczyć. Musimy zamącić stojące wody, wrzucając do nich głązy. Chrześcijaństwo może być gwałtownym strumieniem lub majestatyczną rzeką, nigdy stawem, który kryje w sobie wszelkiego rodzaju zgniliznę i podejrzane żyjątka.

Musimy tworzyć pokój własnymi rękoma, kawałek po kawałku, przechodząc przez burze, akceptując konsekwencje i ryzyko pewnych wyborów, pełniąc aż do końca twarde zawód chrześcijanina.

Jedynie w ten sposób pokój stanie się naszą własnością, której nikt nie będzie mógł nam odebrać.

Rościmy sobie prawo do światła. Wszystko ma być jasne. Wszystko dokładne. Wszystko doskonale logiczne.

Chrześcijaństwo jednak nie jest matematyką. I jego geografia jest raczej dziwną geografią, zawsze pełną niespodzianek.

Prawda nie jest zdeponowanym w banku kapitałem, z którego możemy czerpać w każdym momencie i który chroni nas od wszelkich nie dających się przewidzieć wydarzeń.

Nie jest też poduszką, na której możemy spokojnie śnić

19

nasze sny. Światło? Czymże jest to dziecinne, obsesyjne poszukiwanie światła za wszelką cenę? Dlaczego nie chcemy spokojnie, choć z bólem wędrować w ciemnościach, oświetlać innych, nawet wtedy, gdy wewnątrz nas nagromadziły się najbardziej tragiczne ciemności? Będziemy mieli do dyspozycji całą wieczność, cały Raj, aby kontemplować światło bez cieni... (nie wolno nam chyba wątpić, że dojdziemy do Raju. Na podstawie pewnych niedyskrecji, zawartych w wypowiedziach mistyków, można sądzić, że jest tam również miejsce dla chrześcijan!)

A więc akceptacja naszej drogi. A jest to zawsze droga niewygodna, najeżona trudnościami, nieprzewidywanymi sprawami i niespodziankami. Trzeba umieć wędrować w ciemnościach, akceptując ryzyko, trzeba delectować się chrześcijańską przygodą w całej jej dramatyczności. Człowiek rozbija sobie nos. Czy to jednak ważne? Męczennicy doszli do nieba z większymi obrażeniami.

DRUGIE ZASKOCZENIE: UCZENI W PRAWIE

Docierając do Jerozolimy Mędrcy sądzili, że zawijają do portu. Był tam król, byli kapłani, byli znawcy Prawa, którzy musieli przecież wiedzieć coś o dziecku. A tu takie zaskoczenie...

Inny paradoks: elementy martwe wiernie spełniają funkcję "znaku". Gwiazda wypełnia dokładnie swe zadanie jako "znak" narodzenia Zbawiciela. Człowiek, arcydzieło stworzenia, nie chce stać się "znakiem" Chrystusa.

A my... czy jesteśmy "znakami", czy nie zakrywamy czasem oblicza Chrystusa swoją nieprzezroczystością?

Dalej. Uczeni w Piśmie i kapłani dali Mędrcom odpowiedź czysto doktrynalną, teoretyczną, książkową, aż do granic możliwości dokładną, ale zimną.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby mogli odpowiedzieć: byliśmy już tam, zaprowadzimy was do tego domu.

Dziś świat oczekuje od nas odpowiedzi pełnej życia i zdecydowanie odrzuca odpowiedź wyłącznie teoretyczną. Jeżeli ludzie pytają o Chrystusa, o miejsce, gdzie Go można znaleźć, o Jego posłanie, o Jego błogosławieństwa, o cnoty przez Niego praktykowane, musimy dać odpowiedź płynącą z naszego osobistego doświadczenia, opłaconą przez życie, wycierpianą w naszym ciele.

Zbyt łatwo jest stawiać drogowskazy do miejsc, w których się nigdy nie było.

Zbyt też jest wygodnie mówić o geografii ziem, na których nigdy nie powstała nasza stopa.

20

Nie mamy prawa snuć opowieści o Grocie, gdy pozostajemy w ciepłe naszych domów i cel, o oknach przyćmionych zawilościami mistyki i ideologii albo duchem mieszczańskim, który nie pozwala, by otaczająca niewygodna rzeczywistość raziła nas w oczy.

Uważajmy, byśmy nie stali się niczym wyrocznie rozdzielające gotowe odpowiedzi na wszystkie problemy, na wszystkie trudności, jeśli sami tych problemów, niepokojów, dramatów nigdy nie przeżyliśmy. Nigdy ich boleśnie nie przecierpieliśmy. Nigdy nie odebrały nam one snu ani apetytu.

Starajmy się wyrzucać z siebie mniej słów, a bardziej być "towarzyszami podróży".

TRZECIE ZASKOCZENIE: CZY TE DARY WYSTARCZĄ?

Czy Mędrcy zdawali sobie sprawę, jak nędzne były ich dary wobec wielkości Dzieciątka? Czy ich kadzidło, złoto i mirra wystarczały, by zrównoważyć miłość tego Dziecka? Jest to ostatnie, bolesne zasko-

czenie... Niewspółmierność daru wobec "adresata".

Jest taka myśl św. Ambrożego, która nie daje mi spać: "Bóg nie zwraca zbyt uwagi na to, co Mu dajemy, raczej na to, co zachowujemy dla siebie".

Teraz ten, kto może być zadowolony z darów ofiarowanych Bogu, niech wystąpi, proszę... Od pewnego czasu również te strony Ewangelii, które czytam w święta tak "miłe naszemu sercu", odbierają mi spokój. Mniej poezji, a więcej wyrzutów sumienia. Może jest to znak dojrzałości chrześcijańskiej?

Nie potrafię już zagubić się w marzeniach o gwieździe Mędrców. Zostaję raczej przygwożdżony surowością ich drogi, zaskoczony "niespodziankami" ich podróży. Dziwne. Bóg poświęcił 4000 lat na przygotowanie narodu wybranego. Obsypał go względami. Posyłał do niego co jakiś czas proroków, którzy mieli za zadanie ożywić jego oczekiwanie. I kiedy Chrystus przyszedł, w pierwszej uroczystej, oficjalnej adoracji wzięli udział ludzie obcy temu ludowi, poganie.

Oby i nam nie zdarzyło się coś podobnego. Do nas - zbyt rozpieszczonych łaską, wygodnie odpoczywających w Bogu - może przyjsć pewnego dnia ktoś z bardzo odległych brzegów, prosząc o informacje na temat Dziecka.

A my będziemy musieli ze wstydem wyznać, że nigdy nie spotkaliśmy Go naprawdę i że nigdy nie byliśmy w tej Grocie.

Oni dotrą tam przed nami.

I nawet nie powrócą, by powiedzieć nam o swym odkryciu.

DZIECKO POTRZEBUJE ŚWIEŻEGO POWIETRZA

Rodzice Jego chodzili co roku do Jerozolimy na Święto Paschy. Gdy miał lat dwanaście, udali się tam zwyczajem świątecznym. Kiedy wracali po skończonych uroczystościach, został Jezus w Jerozolimie, a tego nie zauważyli Jego Rodzice. Przypuszczając, że jest w towarzystwie pątników, uszli dzień drogi i szukali Go wśród krewnych i znajomych. Gdy Go nie znaleźli, wrócili do Jerozolimy szukając Go. Dopiero po trzech dniach odnaleźli Go w świątyni, gdzie siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania. Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami. Na ten widok zdziwili się bardzo, a Jego Matka rzekła do Niego: "Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie". Lecz On im odpowiedział: "Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?" Oni jednak nie zrozumieli tego, co im powiedział. Potem poszedł z nimi i wrócił do Nazaretu; i był im poddany. A Matka Jego chowała wiernie wszystkie te wspomnienia w swym sercu. Jezus zaś czynił postępy w mądrości, w latach i w łasce u Boga i u ludzi. (Łk 2,41-52)

Ewangelia dalej snuje wątek "niespodzianek". Rozpoczyna się seria "skandali".

Szukając opowieści o życiu Świętej Rodziny, typowi ludzie o tradycyjnych zasadach i poglądach duchowych skłonni byliby oczekiwać od Ewangelistów oleodruku, obrazka idyllicznego, przykładowego, w najbardziej banalnym sensie tego słowa.

Tymczasem Ewangelista jakby bawił się ukazywaniem nam faktów, których nie można wepchnąć w łatwe schematy.

Rodzina przeżywa kryzys spowodowany "wyskokiem" Jezusa. Niepokojąca odpowiedź ze strony Dziecka. Z punktu widzenia posłuszeństwa, urywek wydaje się być stworzony specjalnie po to, aby zadowolić przełożonych, ale i podwładnych. A może by wzbudzić niezadowolenie i jednych, i drugich. Bez względu na to, jak się na ten epizod spojrzy, umieszcza się go zawsze w kontekście posłuszeństwa. A "wyskok" Dziecka jest przecież

aktem posłuszeństwa, choć wyższej rangi. "Powinienem być zawsze w tym, co należy do mego Ojca".

Zostawmy jednak posłuszeństwo, przynajmniej na razie, i popatrzmy na inne aspekty tego epizodu.

Dziecko rośnie. Chodzi. Odchodzi samo i trzeba Go gorączkowo poszukiwać.

22

Powiedzmy sobie prawdę. Dzieciątko ze złóbka jest dla nas bardzo wygodne. Podlega naszej władzy. Możemy Je obsypywać pieszczotami, głaskać, okazywać Mu ciepło naszych uczuć (czy sentymentalizmów?). Nie przeszkadza nam zupełnie. Wprost przeciwnie.

Tymczasem Dziecko, które rośnie, które chodzi, wprowadza nas w straszne zakłopotanie. Stwarza krępujące sytuacje. Może odejść w każdej chwili. A my jesteśmy zmuszeni pójść za Nim. Wędrować.

Dla wielu z nas ideałem byłby złódek ustawiony przez cały rok lub przez całe życie.

A tymczasem musimy pozwolić Dzieciątku opuścić nasz bogato ubogi złódek z papier mache.

Wół i osioł mają w nim co jeść i wołałyby go nie opuszczać. Jednak On, główna Osoba, nie może długo w nim wytrzymać. W tym powietrzu zbyt przesiąkniętym marną poezją i kłiwością, tymi śmiesznymi kolorowymi światełkami, Dzieciątko nie rośnie, nie mężnieje.

Musi koniecznie wyjść na dwór. Potrzebuje czystego, świeżego powietrza. Na nic Mu się zdają nasze pieszczoty. Chce wyjść. Pragnie znaleźć się na drogach ludzi, chce wyjść naprzeciw człowiekowi, chce wejść do jego domu, uczestniczyć w jego dramatach, w jego oczekiwaniach, lękach i łzach, w jego nadziejach i radościach.

Nie trzymajmy więc Dzieciątka jak więźnia w naszych papierowych złódkach. Ono pragnie wyjść, wzrastać, iść naprzeciw ludziom.

Nie anektujmy Go samowolnie. Ono należy do wszystkich.

Starajmy się raczej wynieść Je na zewnątrz. Cała Ewangelia na dobrą sprawę jest wielką wędrówką. Wędruje Maryja, i to z pośpiechem, by odwiedzić Elżbietę. Wędrują Maryja i Józef z Nazaretu do Betlejem, a potem z Betlejem do Egiptu i z Egiptu do Nazaretu.

Wędruje Jezus po wszystkich drogach Palestyny. Od uczniów domaga się: "Idźcie i głosście Moją Ewangelię".

Starano się zatrzymać Go na zawsze, przy gwałdzie jąc Go do krzyża i pieczętując grób. I znów odnaleziono Go wędrującego drogą do Emaus, w towarzystwie dwóch uczniów pogrążonych w rozpacz. Nic nie może zatrzymać Chrystusa...

"Jego uczniowie pragnęli ograniczyć Jego działanie do Palestyny, jako że był Żydem, a odnaleźli Go w Antiochii, w Aleksandrii, w Atenach, Rzymie, zanim jeszcze dotarli tam Apostołowie.

23

Chcieli Mu nadać obywatelstwo rzymskie, a On był już tam z barbarzyńcami.

Zbudowali Mu cudowne bazyliki, a On już wcześniej przyjął gościnę w chatkach mnichów nad brzegiem Mozy, Renu, Dunaju (a jeszcze wcześniej nad Nilem).

Chcieli Go zatrzymać nad Morzem Śródziemnym, a On przekroczył Atlantyk z Kolumbem.

Kultura grecka próbowała rozumem ogarnąć paradoksy Jego Ewangelii, a On tłumaczył ją prostaczkom.

Feudalizm składał Mu w darze zamki, a On zamieszkiwał z chłopami pańszczyźnianymi.

Królowie nadawali Mu godność szambelana lub kapelana dworu, a On zostawał galernikiem ze św. Wincentym a Paulo.

Szlachetnie urodzeni sądzili już, że zdołali Go otoczyć złożonymi stiukami pośród świętych i aniołów pod sklepieniami barokowych kościołów, gdy rewolucja francuska skazała Go na wygnanie.

Wyszyciwszy Go, mieszczaństwo zaczęło Go poszukiwać, a biedny lud uwierzył i nadal wierzy, że On pozostał tam, z tymi, którzy ludu nie kochają, podczas gdy On wędruje niosąc jego troski i jego nadzieje" (P. Mazzolari).

Pamiętajmy więc, by nie "zatrzymywać" Chrystusa. By Go nie anektować dla siebie. Jest to częsta i dość niebezpieczna pokusa w życiu chrześcijańskim.

Ileż barier! Ileż zamkniętych dróg! Ileż szlaków obowiązkowych! (On jednak nic sobie nie robi z naszych tras, choć były szczegółowo opracowane i przestudiowane przez specjalistów. Jemu odpowiadają również ścieżki).

Przede wszystkim ileż lenistwa!

Dobrze będzie odświeżyć sobie pamięć. Zdecydowaliśmy się pójść za Chrystusem. Idzie się oczywiście za kimś, kto gdzieś zdąży, a nie za kimś, kto stoi. Jasne? A wobec tego skąd tyle powołań do bezruchu?

Chrystus nie pozwala uwięzić się w naszych schematach, zamknąć w naszych formułach i w naszych planach apostołstwa.

Wędruje. Ciągłe jest przed nami. Przygotowuje dla nas nowe "niespodzianki".

Jeżeli w naszym kościele, w naszej grupie, w naszym getcie katolickim zbyt wiele jest zamkniętych drzwi i okien. On odchodzi. Potrzebuje świeżego powietrza.

I kocha wędrować.

CZY CZŁOWIEK TO GORYL Z KARABINEM?

Słyszeliście, że powiedziano przodkom: Nie zabijaj!; a kto by się dopuścił zabójstwa, podlega sądowi. A Ja wam powiadam: Każdy, kto się, gniewa na swego brata, podlega sądowi. A kto by rzeki swemu bratu: Raka, podlega Wysokiej Radzie. A kto by mu rzeki:

"Bezbożniku", podlega karze piekła ognistego. Jeśli wiać przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj! (Mt 5,21-24)

Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb! A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu, lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi! Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz. Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące! Daj temu, kto cię prosi i nie odwracaj się od tego, kto chce pożyczyć od ciebie.

Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. A Ja wam powiadam:

Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladowają; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią? I jeśli pozdrawiacie tylko swych braci, cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią? Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski. (Mt 5,38-48)

Lecz powiadam wam, którzy słuchacie: Miłujcie waszych nieprzyjaciół; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; błogosławcie tym, którzy was przeklinają i módlcie się za tych, którzy was oczerniają. (Łk 6,27-28)

Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny. (Łk 6,36)

Zdania te każą nam zmierzyć odległość, dzielącą nasze postawy myślowe, nasze życie jako chrześcijan, od Ewangelii.

Wobec tej dokładnie sprecyzowanej nauki Chrystusa należałoby logicznie przypuszczać, że zagadnienie przemocy i wojny zostało rozwikłane raz na zawsze.

Tymczasem po upływie dwóch tysięcy lat dyskusja jest ciągle otwarta. Uściślenia, ścieranie się opinii, "stanowiska niejasne",

wahania, usprawiedliwienia, dyplomatyczna przebiegłość, kompromisy. W dalszym ciągu bawimy się w wynajdywanie różnic między wojną sprawiedliwą i niesprawiedliwą, między agresją a obroną, między wyścigiem zbrojeń i siłą perswazji.

Dochodzi nawet do tego, że humorystycznie traktuje się słowa Chrystusa. Ostatnio w artykule, który chlubi się obroną "cywilizacji chrześcijańskiej", pewien "moralista" znany ze swej śmiesznej zarozumiałości, komentując konflikt pomiędzy Arabami a Izraelem, próbował uspokoić chrześcijańskie sumienia w następujący sposób: Chrystus mówi nam, by nadstawić drugi policzek, ale nie trzeci.

Ufam, że Bóg wybaczy mu ten bluźnierczy idiotyzm.

Nic nie zmienia faktu, że tym "ale", które doczepiliśmy do kategorycznego "Nie zabijaj", wyposażyliśmy w uprawnienia tysiące katów.

Chrześcijanie, posługując się kazuistyką, jakiej pełne są podręczniki moralności, są bardzo biegli w demaskowaniu różnych grzechów we wszystkich ich formach i odcieniach. Jednak stają się nagle zakłopotani lub powściągliwi, gdy chodzi o ujawnienie zbrodni Kaina.

Tymczasem krew płynie nadal. A teologowie, którzy opracowali kompletny regulamin dotyczący szat kąpielnych, nie znaleźli jeszcze czasu, by opracować równie wyczerpujący na temat przemocy.

Światu na nic zdadzą się nasze złagodzenia, usprawiedliwienia, wykręty.

Świat oczekuje jasnych słów. Proroczych, a nie dyplomatycznych.

Kościół nie mogą już być, jak powiedziano, "naczyniem z wodą święconą w atomowej świątyni".

BRONŹ ZRODZIŁA CZŁOWIEKA

Ktoś wysunął hipotezę, że przemoc do tego stopnia charakteryzuje naturę ludzką, iż człowieka nie korzystającego z przemocy należy uważać za nienormalnego. Że człowiek nie jest potomkiem zwykłej małpy, ale okrutnej "małpy morderczynie".

Na potwierdzenie tego podaje się odnalezienie małpy uzbrojonej w kość antylopy. Używała jej z pewnością do gruchotania czaszek przeciwników.

Tak zwany homo sapiens miałby zatem być legalnym potomkiem nie tylko małpy, ale również broni. "Broń zrodziła człowieka" *.

• Robert Ardrey, African genesis.

Najwyższą przyjemnością człowieka byłoby więc naciskanie spustu, a w przypadku biedaka - wywijanie kijem.

Trzeba przyznać, że "my, uzbrojone goryle, osiągnęliśmy teraz punkt krytyczny w naszym postępie ewolucyjnym, w którym wydaje się, że jeśli nie zdołamy przekroczyć poziomu, jaki osiągnęliśmy przed milionem lat, innymi słowy, jeżeli nie nauczymy się rozwiązywać naszych problemów zamiast kijami - rozumem, znikniemy tak szybko jak dinozaury.

Zabawne w tym wszystkim jest to, że stanowimy gatunek, któremu dano możliwość wyboru: możliwość przeżycia lub nieprzeżycia. Posiadamy czaszki bardzo duże, musimy spożytkować je na coś innego niż na wynajdywanie sposobów wyleczenia w powietrze" (T. Merton).

"Opatrzność Boża przynagliła nas do tego, abyśmy samych siebie uwolnili od wiekowej niewoli wojny. Jeżelibyśmy zaś nie chcieli podjąć się tego wysiłku, nie wiadomo, dokąd nas zaprowadzi ta zła droga, na którą weszliśmy" (Gaudium et spes, n. 81).

PROROK-STRÓZ

Powróćmy do początkowych rozważań. Jaka postawę ma przyjąć w praktyce chrześcijanin wobec przemocy?

Może nie warto zatrzymywać się dłużej przy dwóch powinnościach, które są aż nadto oczywiste:

1. Przemoc rodzi się w sercu człowieka. Toteż by wyrwać ten chwast z ziemi, trzeba przede wszystkim zniszczyć go w nas samych. Zło, nim wybuchnie "na zewnątrz", trawi sumienie. "Zbyt wiele razy w historii sumienie stało się współnikiem wojny, gdyż z wolna utraciło swą wewnętrzną odporność. Jeżeli wewnątrz, w sercu, w duszy, w sumieniu, nie będziemy ludźmi pokoju, nigdy nie zawrzemy pokoju. Pierwszym rozbrojeniem jest rozbrojenie sumienia z wszelkich uprzedzeń, rozbrojenie serca. Tam każdy z nas nosi beczkę prochu, która zawsze może zostać podpalona" (U. Vivarelli).

2. Trzeba wyrwać z korzeniami przyczyny wojny, należy "przede wszystkim wyplenić przyczyny konfliktów, które przeradzają się w wojny, zwłaszcza zaś przejawy niesprawiedliwości" (Gaudium et spes, n. 83).

Koniecznie jednak trzeba tu podkreślić inną powinność, wynikającą z proroczego powołania chrześcijanina: powinność głośnego wołania.

"Synu człowieczy, przemów do swoich rodaków i powiedz im: Jeśli na jakiś kraj sprowadzam miecz, a jego mieszkańcy

27

wybiorą sobie jakiegoś męża i wyznaczą go na stróża, on zaś widzi, że miecz przychodzi na kraj, w trąbę dmie i ostrzega lud, ale ktoś, choć słyszy dźwięk trąby, nie pozwala się ostrzec, tak że miecz nadchodzi i zabija go, to on sam winien jest swej śmierci. Dźwięk trąby usłyszał; nie dał się jednak ostrzec, niech spadnie na niego wina za własną śmierć. Tamten jednak, kto przestrzegł, ocalił samego siebie. Jeśli jednakże stróż widzi, że przychodzi miecz, a nie dmie w trąbę i lud nie jest ostrzeżony, i przychodzi miecz i zabija kogoś z nich, to ten ostatni porwany jest wprawdzie z własnej winy, ale winą za jego śmierć obarczą stróża. Ciebie, o synu człowieczy, wyznaczyłem na stróża domu Izraela" (Ez 33,2-7).

Otóż to, w epoce nuklearnej, wobec groźby totalnej zagłady, chrześcijanin musi na nowo odkryć powołanie proroka--stróża.

Wszyscy, nawet człowiek ulicy, mają prawo usłyszeć jego krzyk prawdy. Jeżeli nie zabrmi trąba, Bóg zażąda właśnie od stróża przyjęcia odpowiedzialności za śmierć braci.

W jednej z kluczowych scen filmu Claude Autant-Lara *Tu ne tueras pas* ("Nie zabijaj") daje się słyszeć krzyk pełen udręki: "Jeżeli Bóg jest przeciwko wojnie, niech to powie!", Tego samego mogą wymagać ludzie naszych czasów od chrześcijan: "Jeżeli jesteście przeciwko wojnie, powiedzcie to jasno".

W dwa tysiące lat od Kazania na Górze, świat ma prawo otrzymać dokładną odpowiedź.

Uznajmy to z pokorą, ale i z wielką goryczą: proroczy okrzyk nigdy jeszcze nie wydarł nam się z gardła. Wolimy delectować się Machiavellim niż po prostu zaakceptować Ewangelię.

Odwołujemy się wciąż do przestarzałej teorii "słusznej wojny". Bezceremonialnie manewrujemy pojęciami, zmieniającymi się jak kameleon. Pozwoliliśmy, by drwiono z błogosławieństwa dla "czyniących pokój".

Posłuchajmy twardych, pełnych troski słów teologa:

"Prawdziwym skandalem jest to, że dziś jeszcze wielu biskupów, teologów, moralistów oraz tysiące zwykłych chrześcijan godzi się na wyzwanie teologii terroru, kazuistyki masakry i moralności zabójstwa. Na miłość boską, jeżeli Kościół Boży nie jest jeszcze zdolny wprowadzić pokoju między ludźmi, niech przynajmniej nie uczy nas igrania z Ewangelią.

Zawsze, niestety, będziemy mieli tysiąc i jeden powodów, aby chwycić za broń, by zabijać; zawsze będziemy słabi i drżący wobec bezwzględnego przymusu rozwścieczonych państw. Z pewnością

28

cią nie potrzebujemy Kościoła, by poznać smak krwi. Potrzebujemy odmowy Kościoła, do której dołączyć by można naszą odmowę. Potrzebujemy tego non possumus, które pomogłoby

nam powiedzieć «nie», podczas gdy ciało i świat pchają nas do powiedzenia «tak» wściekłości i wojnie" *.

GDY BARANEK JEST SILNY

Wobec wojny chrześcijanin może przyjąć tylko postawę nieuciekania się do przemocy. Zwróćmy uwagę: chodzi o bierny opór silnych, a nie słabych, bezsilnych, zrezygnowanych. Nasze nieuciekanie się do przemocy musi być wyrazem siły. Musimy ponownie odkryć rolę, która jest stworzona dla nas:

rolę baranków (i pozwólmy przebiegłym szydzić z nas do woli).

"Wojnę można prowadzić tylko na wzór wilków, pomiędzy wilkami, posługując się wilczymi metodami; natomiast opór jest zupełnie czymś innym i można go stosować, pozostając barankiem w duszy i w metodzie.

Dla wilka musi to być przyjemnym zaskoczeniem, gdy spostrzeża, że baranek go naśladuje. Zarznięcie baranka wydaje się łatwym przedsięwzięciem. Tymczasem tak nie jest. O wiele przyjemniej jest wykończyć wilka. Beczenie baranka sięga głębi serca i siódmego nieba, wycie wilka ginie na pustkowiu, jak śmiech rozbójnika. Wilk, który udaje baranka, jest mniej potworny od baranka, który staje się wilkiem. Stając się wilkiem baranek ukazuje, że nie wierzy w dobroć, podczas gdy wilk składa jej hołd, przyjmując jej symbole. Ten kto umiera jak wilk, otrzyma nagrodę wilka; kto umiera jak baranek, upodabnia się do Baranka, «który gładzi grzechy świata». Chrześcijanin, który sprzeciwia się złemu duchowi jego środkami, jest łupem złego" * *.

A św. Jan Chryzostom zapewnia nas:

"Dopóki jesteśmy barankami, zwyciężamy. Jeżeli zmieniamy się w wilki, zostajemy zwyciężeni, gdyż brakuje nam wówczas pomocy Pasterza, który pasie owce, a nie wilki".

NASZ REALIZM

Ktoś może w tym miejscu uśmiechnie się z pobłażaniem i powie: To bardzo piękne słowa, wprost patetyczne, ale nadają się wyłącznie do ksiązek i kazań. Rzeczywistość jest nie-
* H. Chaigne, przedmowa do książki: Daniel Parker, Robert Bonniot, Folie nucleaire, Editions de L'Epi 1966.

** Pnmo Mazzolari, Tu non uccidere, La Locusta.

29

stety inna. Kto bowiem odrzuca własny kij, gdy inni są jeszcze gotowi go użyć, ten popełnia samobójstwo...

A więc nie ma drogi wyjścia? Na przemoc odpowiada się wyłącznie przemocą. Nie wolno nam przyjąć takiego "realizmu". Pozostając w spirali przemocy niczego nie rozwiążemy. Będziemy szli naprzód w nieskończoność, torując sobie drogę kijem albo pociskami.

Trzeba wyrwać się z tej spirali.

Trzeba przerwać łańcuch aktów przemocy nowym faktem. Trzeba zdobyć się na gest różniący się od gestu przeciwnika.

"Błogosławieni miłosierni. Błogosławiony, który umie przebaczyć. Oznacza to: błogosławiony, który umie przejąć inicjatywę. Nie ma bowiem nic bardziej rewolucyjnego niż człowiek, który w jakimś konflikcie nagle przebacza! Wszyscy mamy w sobie zakorzeniony zwyczaj oddawania wet za wet. On mi to zrobił? Ja też mu to zrobię. To samo albo coś równoznacznego. Nigdy z tego nie wybrniemy. Stworzyliśmy nierozzerwalne diabelskie koło, w którym kręcimy się ze spokojem i z zimną krwią. Czy może dokonać się jakiś postęp, jeśli my umówiliśmy się, że będziemy trwać niezmiennie na tych samych pozycjach?

Istnieje tylko jedna droga wyjścia: jeden z dwóch przeciwników musi powziąć cudowną myśl, by zacząć kochać człowieka, który go nie kocha; stwarza to nową sytuację. Ten, kto - uderzony w policzek - oddaje uderzenie, jest tylko echem pierwszego. Jednak jeżeli ktoś nie oddaje, jeżeli przebacza, jeżeli kocha, jeżeli mówi: No bracie, nie bądźmy tacy, to smutne i

głupie, chodźmy na słońce, mamy co innego do roboty... - stwarza na ziemi coś zupełnie nieprzewidzianego. Powoduje wysadzenie w powietrze tego więzienia, które kłótnia nieuchronnie wznosiła wokół nich.

Błogosławieni miłośni: błogosławieni umiejący wyjść z tej indolencji, która przez całe życie nie pozwala im wymyślić czegoś nowego. Błogosławiony, który wysadza w powietrze błędne koła naszych nudnych kłótni, urazów, zawziętości.

Czyńcie rzeczy nowe, twórcie jak Ojciec Niebieski. Bądźcie miłośni, bądźcie twórcami! Bóg nie pozwolił uwięzić się przez grzech. Gdy Adam ukrył się za zasłoną z liści, Bóg nie ukrył się za swoją zasłoną. Zrobił pierwszy krok. Bóg zawsze robi pierwszy krok. «Adamie... gdzie jesteś? Przyjdź, nie stójmy tak!»

Sytuacje, które uznajemy za jedyne do przyjęcia, w rzeczywistości nas zniewalają: pożyczając komuś, kto odda nam równowartość, uśmiechać się do tego, kto uśmiecha się do nas...

30

Uśmiechać się do tego, kto pluje nam w twarz, pomagać temu, kto odwraca się do nas plecami: to są czyny wolne, twórcze.

Błogosławieni twórcy pokoju, błogosławiony, kto nie godzi się na stan wojny, na kłótnie bez końca" *.

Jak zauważa teolog, ojciec Jolif, w swej książce *Perche la guerra?* ("Po co wojna?"), dopóki ludzie będą sądzić, że stosunki międzyludzkie muszą być oparte na sile, historia będzie trwać w stagnacji. Gazety' codziennie serwować będą sensacyjne wiadomości, ale w rzeczywistości nie zdarzy się nic nowego. Zwykle fakty bez znaczenia, banalne, codzienne: ludzie umierają zmasakrowani. Zupełnie tak samo jak owego wieczoru po pierwszej zbrodni Kaina.

A Ojciec nadal będzie nas pytał:

- Czy znowu zabiłeś?

Pewien młody reżyser kończy swój film proroczym stwierdzeniem: "Nieprzyjaciel w odległości trzystu metrów jest celem, w odległości trzech metrów jest człowiekiem".

Sądzę, że taką perspektywę musi przyjąć chrześcijanin, jeżeli chce wyzbyć się przyjemności pociągania za spust i jeżeli zamierza odrzucić na zawsze stary kij.

Nieprzyjaciel? Nie. Spróbuj się zbliżyć. Spróbuj "stać się bliźnim". Odkryj człowieka.

A za nim krzyż.

Jeśli po tym odkryciu pozostanie ci jeszcze odrobina odwagi, pociągnij za spust.

Pozostawiam cię z dwoma prowokacyjnymi stwierdzeniami nieznanymi autorów.

Pierwsze: "Sprzedaje się broń jako zabawki dla dorosłych. Potem dorośli chcą się bawić, sięgają po broń i zabijają, i dopiero wówczas zdają sobie sprawę, że broń służy jedynie do zabijania".

Drugie: "W czasie wojny zabici nieprzyjaciele są o wiele mniej liczni od tych, którzy się rodzą".

* Louis Evely, *Sei tu, quest'uomo*, Marietti.

WYBACZ NAM SIWE WŁOSY

Przynosili Mu również dzieci, żeby ich dotknął; lecz uczniowie szorstko zabraniali im tego. A Jezus widząc to, oburzył się i rzeki do nich: "Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże. Zaprawdę powiadam wam: kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego", i biorąc je w objęcia, kładł na nie ręce i błogosławił je. (Mk 10,13-16)

W tym czasie uczniowie przystąpili do Jezusa z zapytaniem: "Kto właściwie jest największy w królestwie niebieskim?" On przywalał dziecko, postawił je przed nimi i rzeki: "Zaprawdę powiadam wam:

Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego. Kto się więc uniży jak to dziecko, ten jest największy w królestwie niebieskim. I kto by przyjął jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje". (Mt 18,1-5)

W odpowiedzi rzeki do niego Jezus: "Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może ujrzeć królestwa Bożego". (J 3,3)

Scena ta stała się natchnieniem dla całej plejady artystów różnego kalibru, którzy uwiecznili ją (tak się mówi) w tysiącach obrazów.

Epizod ten jednak stał się nieśmiertelny nie tyle dzięki pędzłom (które popełniły wiele obrazów cukierkowatych), ale dzięki tekstowi Marka, jedyne z synoptyków, który bez ogródek opisał jego przebieg i uwieńczył subtelnym zakończeniem.

Musiała to być bez wątpienia scena dość burzliwa. Markowi opowiedział ją naoczny świadek. Piotr, prawdopodobnie główny sprawca oburzenia Nauczyciela.

Uczniowie z Piotrem na czele dbają o porządek wśród słuchaczy. Ta inwazja dzieciaków, którym towarzyszyły zapewne matki lub babcie - wywołuje zamieszanie.

Czego chce ta hałastrą? Nauczanie o Królestwie Bożym przekracza ich możliwości. Nie tylko że nic nie rozumieją, ale swym niepokojem i hałaśliwością uniemożliwiają innym słuchanie.

A więc wynocha!

W tym momencie Nauczyciel wybucha oburzeniem... Jezus gniewa się naprawdę. Chcieliby oddalić uprzywilejowanych obywateli Jego Królestwa, więcej jeszcze, jedyne, którzy do niego wejść. I Jezus zaprowadza porządek. Żeby nie było wątpliwości: Jego ludem są dzieci.

32

Jezus kocha dzieci. A ma ku temu wiele powodów.

"Kocham małe dzieci, mówi Bóg, gdyż obraz Mój nie jest jeszcze w nich zatarty.

Nie zniszczyli Mojego podobieństwa, są nowi, czysti, niczego w sobie nie wymazali ani nie zdrapali.

Gdy pochylam się łagodnie nad nimi, odnajduję w nich siebie" (M. Quoist).

Czytamy czasem, że jakiś szalowiec wdziera się do muzeum i niszczy arcydzieło. My powtarzamy ten sam zbrodniczy gest. Nikt nie zauważa niczego... Nikt nie stwierdza na zewnątrz konsekwencji. A jednak w ciemności, z zimną determinacją, zawzięcie i uporczywie oszpecamy obraz Boga, który jest w nas.

Każdy z nas obnosi wokół zniszczone arcydzieło. Każdy człowiek jest ikonoklastą. Jednak prawdziwy ikonoklasta to ten, który dokonuje się w tajemnicy.

Spojrzenie Chrystusa, które przeszywa ludzi dorosłych. Które nie zatrzymuje się na zewnętrznym blichtrze i nie pozwala ludzi się błyskotkami, ale draży niespokojnie do wewnątrz w poszukiwaniu własnego wizerunku.

Jego gorzkie zdumienie wobec zniszczenia. Jego rozczarowanie, gdy odkrywa własny wizerunek straszliwie uszkodzony.

"Cóżżeś uczynił?" (Rdz 4,10)

Niestety, On wie, co kryje się w człowieku (por. J 2,25).

Tak, dorośli są beznadziejni. Nic z nich nie można wydobyć. Uważają się za mądrych, a w rzeczywistości nauczyli się tylko psuć.

Dlatego Jezus pragnie mieć dzieci wokół siebie. Jego oczy zmęczone są patrzeniem na ruiny, oglądaniem zniszczeń.

Dzieci są nowe, "czyste". Nie nauczyły się jeszcze zdradzać, niszczyć Jego podobieństwa.

Chrystus może się w nich przeglądać.

DZIECIĘCTWO JEST SZCZYTEM DOJRZAŁOŚCI

"Do takich bowiem należy królestwo Boże".

"Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego".

Myśl Chrystusa oscyluje z rytmicznością wahadła pomiędzy dwoma krańcami. Na każdym z tych krańców znajduje się obraz Królestwa. I jeden przywołuje drugi. Królestwo jako "miejsce", do którego wszyscy jesteśmy wezwani. I Królestwo Przychodzące do nas Jako oferta, którą możemy przyjąć lub odrzucić.

Dostęp do Królestwa zależy od sposobu, w jaki przyjmiemy

Niewygodne Ewangelie

3

Królestwo przychodzące do nas. Otóż właściwy sposób polega na przyjęciu go "jak dziecko". Jednak co to znaczy "jak dziecko"?

Czy nie ma czasem sprzeczności pomiędzy wymogami wiary dorosłej a koniecznością przyjęcia królestwa "jak dziecko"?

Starajmy się to uściślić.

1. Jezus powiedział: "Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego" (Mt 18,3).

Nie chodzi o to, by pozostać dziećmi, ale by stać się dziećmi. To zakłada pewne osiągnięcie, pewien postęp, a nie stagnację czy cofanie się.

Maksimum dojrzałości polega właśnie na stawianiu się na wzór dzieci. Ten może uważać się rzeczywiście za dorosłego, kto potrafi zdobyć ducha dziecięctwa.

2. "Jak dzieci" nie jest synonimem infantylności. Nie upoważnia do dziecinady. Fałszywa interpretacja duchowości św. Teresy z Lisieux, która była najwspanialszą i najdokładniejszą ilustracją tego wymogu Chrystusa, wprowadziła do obiegu doktrynę o dziecięctwie duchowym, której nierozważne stosowanie prowadzi do niebezpiecznego, mdłego infantylności, jaki nie ma nic wspólnego z autentycznym duchem dziecięctwa*.

Chrześcijanie, którzy nie potrafią się utrzymać na nogach bez pomocy drobiazgowego kierownictwa duchowego. Którzy szukają ochrony cudzego autorytetu. Którzy uważają posłuszeństwo za zwolnienie od odpowiedzialności. Którzy czują się zwolnieni od decydujących wyborów i co ważniejsze - od konsekwencji tych wyborów. Chrześcijanie rozmamłani, niezdarni, nieustannie wahający się, płaczący.

Infantylnizm jest śmieszną namiastką ducha dziecięctwa. I jak zawsze się zdarza, namiastka jest najgroźniejszym rywalem produktu oryginalnego.

"Jak dzieci" - oznacza właśnie przyjęcie Królestwa z czystą prostotą, ufnością bez zastrzeżeń, z całkowitym oddaniem, w szlachetnym porwie.

Dorośli natomiast pełni są komplikacji, udawania, zastrzeżeń myślowych, ukrytych kompromisów.

Dorośli zamiast przyjmować Królestwo, broni się przed nim.

Uważa się bowiem za ukształtowanego.

Dziecko natomiast pozwala się kształtować.

* Dziś na szczęście ujawnia się te nieporozumienia i wykazuje otwarcie liczne odchylenia, por. A. Levi, Teresa di Lisiewc, Vallecchi 1967.

34

MAŁROŚĆ JEST PRZYWARĄ STARCÓW

Jeśli ktoś nie narodzi się powtórnie".

Nikodem osłupiał zapewne, słysząc z ust Chrystusa to niesłychane żądanie. Nigdy nie powątpiewał, jak zresztą my wszyscy, w słuszność oklepanego frazesu "żyje się tylko raz".

Tymczasem Chrystus oświadcza mu, że można żyć dwa razy. Co więcej, zadaniem chrześcijanina jest właśnie narodzić się powtórnie. Musi on wyzwolić się z obciążenia lat i

skoczyć ku świetlanemu celowi: ku dziecięctwu. Biada tym, którzy pozostaną dorosłymi. Biada, jeśli zamurujemy się w przeświadczeniu o własnej mądrości płynącej z wieku. Chrześcijanie "starzy", niezdolni do pójścia małą drogą dziecięctwa, upierają się, by przedstawić Bogu program już gotowy, obmyślany we wszystkich szczegółach, i chcieliby, by On podpisał się pod nim. Jednak Bóg nie mógłby włączyć do tego spoistego programu własnej propozycji, która by może wywróciła wszystko do góry nogami. Dorośli chrześcijanie stworzyli sobie pancierz bez najmniejszej szczeliny, przez którą Bóg mógłby wprowadzić nasienie "nowości". I wszystko to nazywają doświadczeniem.

Rozumieją religię jako sumę swych wysiłków, by dojść do Boga. Ofiary, dobre uczynki, stanowią stopnie tych schodów. I wdrapują się na nie z wysiłkiem, pewni, że dojdą do mety. Tymczasem nie zdają sobie sprawy, że religia polega na wysiłku, by pozwolić Jemu dojść do nas. Nie chodzi, ma się rozumieć, o kwietyzm, ale o pracę usuwania przeszkód. Nie my mamy dojść do Boga. To Bóg pragnie dojść do nas. Przynajmniej nie przeszkadzajmy Mu. To nie my budujemy własnymi rękoma świętość.

Musimy pozwolić się kształtować.

W tym celu konieczny jest powrót do źródeł. Do dziecięctwa właśnie.

Jedynie tam jest miejsce spotkania z Bogiem. Jedynie tam Bóg rozpoznaje się w swym wizerunku.

SRZEDAJ TO, CZYM JESTEŚ

Upomnienie Chrystusa, by przyjąć Królestwo "jak dzieci", następuje w tekście Ewangelii po radzie dotyczącej czystości, d Przed radą dotyczącą ubóstwa.

Jednak jeżeli czystość i ubóstwo są uprzywilejowanymi warunkami widzenia Boga, warunek "jeśli nie staniecie się jak le" jest nieodzowny, by wejść do Królestwa.

35

"Idź, sprzedaj, co posiadasz" - mówi Jezus do bogatego młodzieńca. A tutaj wydaje się mówić w sposób jeszcze bardziej kategoryczny, domaga się zerwania jeszcze boleśniejszego: "Idź i sprzedaj to, czym jesteś".

Sprzedaj swoje intelektualne wątpliwości. Swoją sposób myślenia. Swoje kompromisy. Swoją zdrowy rozsądek. Swoją roztropność. Swoje wahania. Swoje doświadczenia. Sprzedaj swoje "prefabrykowane" chrześcijaństwo.

Sprzedaj to, czym jesteś, a odnajdziesz na nowo dziecięctwo.

Jedynie gdy staniesz się jak dziecko, zostaną ci wybaczone siwe włosy.

Apostołowie dyskutowali o liście kolejności. Zastanawiali się nad "awansami".

Chrystus stawia pośrodku sceny dziecko i mówi, że ono jest największe. Jedynym awansem, który się liczy w oczach Chrystusa, jest powrót do dziecięctwa.

Bernanos często powtarza: "...dziecko, którym bytem". Można również powiedzieć: dziecko, którym będę. Ku radości Ojca.

ZNALI GO I DLATEGO NIE ROZPOZNALI

Przyszedł również do Nazaretu, gdzie się wychował. W dzień szabatu udał się swoim zwyczajem do synagogi i powstał, aby czytać. Podano Mu księgę proroka Izajasza.

Rozwinąwszy księgę, natrafił na miejsce, gdzie było napisane:

Duch Pański spoczywa na Mnie,
ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie,
abym ubogim niósł dobrą nowinę.,

więźniom głosił wolność,
a niewidomym przejrzenie;
abym uciśnionych odsyłał wolnymi,
abym obwoływał rok łaski od Pana.

Zwinąwszy księgę oddał słudze i usiadł; a oczy wszystkich w synagodze były w Nim utkwione. Począł więc mówić do nich: "Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli". A wszyscy przyświadczały Mu i dziwili się pełnym wdzięku słowom, które płynęły z ust Jego. I mówili: "Czy nie jest to syn Józefa?" Wtedy rzeki do nich: "Z pewnością powiecie Mi to przysłowie: Lekarzu, ulecz samego siebie; dokonajże i tu w swojej ojczyźnie tego, co wydarzyło się, jak słyszeliśmy w Kafarnaum". I dodał: "Zaprawdę, powiadam wam: Żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie. Naprawdę, mówię wam: Wiele wdów było w Izraelu za czasów Eliasza, kiedy niebo pozostawało zamknięte przez trzy lata i sześć miesięcy, tak że wielki głód panował w całym kraju; a Eliasza do żadnej z nich nie został posiany, tylko do owej wdowy w Sarepcie Sydońskiej. I wielu trędowatych było w Izraelu za proroka Elizeusza, a żaden z nich nie został oczyszczony, tylko Syryjczyk Naaman". Na te słowa wszyscy w synagodze unieśli się gniewem. Porwali Go z miejsca, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili aż na stok góry, na której miasto było zbudowane, aby Go strącić. On jednak przeszedłszy pośród nich oddalił się. (Łk 4,16-30)

Wyszedł stamtąd i przyszedł do swego rodzinnego miasta. A towarzyszyli Mu Jego uczniowie. Gdy nadszedł szabat, zaczął nauczać w synagodze; a wielu przysłuchując się pytało ze zdziwieniem:

"Skąd On to ma? I co to za mądrość, która Mu jest dana? I takie cuda dzieją się przez Jego ręce! Czy nie jest to cieśla, syn Maryi, a brat Jakuba, Józefa, Judy i Szymona? Czyż nie żyją tu u nas także Jego siostry?" I powątpiewali o Nim. A Jezus mówił im:

"Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i w swoim domu może być prorok tak lekceważony", I nie mógł tam działać

37

żadnego cudu, jedynie na kilku chorych położył ręce i uzdrowił ich. Dziwił się też ich niedowiarstwu. Potem obchodził okoliczne wsie i nauczał. (Mk6,1-6) Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. (J 1,11)

To ostatnie stwierdzenie odnosi się najpierw do krewnych Jezusa, który musiał znieść swego rodzaju prześladowanie z ich strony.

Jan powiada, że "nawet Jego bracia nie wierzyli w Niego" (J 7,5). Marek jest jeszcze surowszy: "...jego bliscy wybrali się, żeby Go powstrzymać. Mówiono bowiem «Odszedł od zmysłów»" (Mk 3,21).

Jednym słowem uważali Go za szalonego.

Nieprzyjaciele uznają, że zasłużył na krzyż. Jednak krewni przyjmują wobec Niego postawę jeszcze podlejszą. Uważają, że zasłużył na kaftan bezpieczeństwa.

Innego bolesnego rozczarowania przysporzyli Jezusowi Jego ziomkowie. A pewnie wybrał się do Nazaretu z wielką nadzieją. Znów zobaczył krajobraz swego dzieciństwa. Fontannę, uliczki, na których bawił się z kolegami. Warsztat ojca. Prawdopodobnie mieszkała tam jeszcze Jego Matka.

Znal z pewnością "zakrystiana", który w synagodze podawał Mu zwój Pisma.

Scena przepelniona jest bliskością, a równocześnie wielkością Jezusa. "Oczy wszystkich w synagodze były w Nim utkwione".

I oto objawienie - spokojne, ale nie pozostawiające wątpliwości co do sensu proroctwa: "Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli".

Jest to jeden z tych rzadkich, sugestywnych momentów, w których Jezus z niezrównaną naturalnością objawia nagle swą tożsamość.

"Jestem nim Ja, który z tobą mówię" (J 4,26).

"«Czy ty wierzysz w Syna Człowieczego?» On odpowiedział:

«A któż to jest, Panie, abym w Niego uwierzył?» Rzekł do niego Jezus: «Jest nim Ten, którego widzisz i który mówi do ciebie». On zaś odpowiedział: «Wierzę, Panie!» i oddał Mu pokłon" (J 9,35-38).

Jednak mieszkańcy Nazaretu zupełnie nie są skłonni uklęknąć przed współziomkiem, którego - jak im się zdaje - znają aż nadto dobrze.

38

ZNAJĄ GO!

Egzegeci twierdzą, że Chrystus odwiedził ojczystą ziemię co najmniej trzy razy. Jakby z jakąś uporczywą nadzieją, że w końcu i swoi Go rozpoznają.

Za pierwszym razem wywołuje ogólne zdumienie, nacechowane podziwem.

Za drugim razem (por. Mk 6 i Mt 13) natrafia na zwarty mur nieufności. "«Czy nie jest to cieśla, syn Maryi, a brat Jakuba, Józefa, Judy i Szymona? Czyż nie żyją tu u nas także Jego siostry?» I powątpiewali o Nim".

Za trzecim razem następuje prawdziwa eksplozja wściekłości. "Wszyscy w synagodze unieśli się gniewem. Porwali Go z miejsca, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili aż na stok góry, na której ich miasto było zbudowane, aby Go strącić". Jednak nikt nie ma odwagi, by pchnąć Go i zabić.

Jest oczywiste, że Łukasz w jednym obrazie umieszcza kilka epizodów.

W każdym razie faktem jest, że ziomkowie Jezusa nie rozpoznali Go.

Dlaczego?

Dopóki chodziło o uznanie Jego mądrości, gotowi byli złożyć należną daninę podziwu, zmieszana z dumą wypływającą z lokalnego patriotyzmu.

Jednak Jego roszczeniom, by uznano Go za Mesjasza, przeciwstawiają pogardliwą odmowę.

Nie. To nie jest możliwe. Wszyscy w mieście Go znają. Wiedzą, skąd pochodzi. Żył bez zarzutu, ale skromnie, bez nadzwyczajności. Był jednym z nich. Widzieli, jak bawił się na placu. Jak przechodził ulicami z belką na ramieniu. Cieśla, nic ponadto. Pamiętali, jak pochylał się nad stołem, mając wióry we włosach. Pracował jak wszyscy. Pocił się jak wszyscy. Skąd więc te roszczenia?

Mesjasz? Niemożliwe. On jest tylko cieślą, synem Maryi.

"Stworzyli sobie pewien wizerunek Boga i jeżeli objawia się tak, jak oni chcą, to dobrze. W przeciwnym razie, odrzucają Go... Ich Bogiem był bożek i woleli sobie zachować bożka" (F. Chalet).

Mieszkańcy Nazaretu chcieli widzieć Mesjasza jedynie w oprawie wielkości. Musiał być wyjątkowy, ogromny. Nie niogli wyobrazić Go sobie w postaci człowieka prostego, zwykłego, codziennego.

Dlatego Go wypędzają.

39

I Jezus przechodzi między nimi, tym razem pochylony pod ciężarem niewymownej goryczy i głębokiego rozczarowania. Udaje się na wygnanie.

NIEDOBRZE MIEĆ TWARZ DOBRZE ZNANA

Odruchowo chcielibyśmy oburzyć się na współziomków Jezusa. Nie mamy jednak prawa do tego oburzenia. Jesteśmy tak samo winni. Jesteśmy ofiarami tego samego nieporozumienia.

Znamy Chrystusa, ale nie potrafimy Go rozpoznać.

Z uporem tworzymy sobie obraz Boga. I jeżeli Bóg ukazuje się "inny" niż nasz obraz, nie przyjmujemy Go. Szukamy Boga "na zewnątrz", podczas gdy On jest obecny w naszym życiu.

Wyteżamy wzrok, gdyż sądzymy, że jest daleko. Tymczasem jest bardzo blisko, przechodzi obok nas.

Wyobrażamy Go sobie w chmurach, a mijamy Go na drodze.

Ciągle oczekujemy czegoś cudownego, nadzwyczajnego. A On nosi codzienne ubrania.

Prosty, przystępny, można by powiedzieć - banalny.

Nasza odmowa przyjęcia dotyczy Boga wcielonego. Jest to odmowa widzenia Boga objawionego w człowieku.

Prawdziwym niebezpieczeństwem dla chrześcijanina jest roztargnienie. W naszych spowiedziach oskarżamy się o "roztargnienia w czasie modlitwy". A nie myślimy o roztargnieniach w drodze.

A jednak nieskończenie wiele razy dotykamy Chrystusa i nie zauważamy tego. Nie rozpoznajemy Go.

Jego winą jest to, iż ma oblicze zbyt "znane".

Twarz biedaka,

dziecka,

kolegi z pracy,

kucharki,

włóczęgi, który sypia pod mostami,

bezrobotnego,

męża,

żony,

przełożonego,

sprzątaczkę,

cudzoziemca,

chorego,

żebraka,

więźnia.

My, którzy znamy te twarze, nie potrafimy rozpoznać w nich Jego. On więc nadal jest na wygnaniu. W swoim domu.

40

- Tam czeka jakiś człowiek. Przyszedł w sprawie, o której ksiądz wie. Mówi, że właściciel fabryki...

- Musiał przyjść akurat dzisiaj, co za nudziarz! Powiedz, że nie mam czasu. Niech przyjdzie jutro. Muszę pisać Niewygodne Ewangelie. To ważne.

Człowiek odchodzi. Pochylony pod ciężarem goryczy.

Nowe rozczarowanie.

Jeszcze raz nie został rozpoznany.

Jeszcze raz przyszedł i pukał do drzwi własnego domu. I swoi Go nie przyjęli.

JEZUS JEST ZAWSZE POZA DOMEM

Potem przyszedł do domu, a tłum znów się zbierał, tak że nawet posilić się nie mogli. Gdy to posłyszeli Jego bliscy, wybrali się, żeby Go powstrzymać. Mówiono bowiem: "Odszedł od zmysłów". Natomiast uczeni w Piśmie, którzy przyszli z Jerozolimy, mówili: "Ma Belzebuba i przez władcę: złych duchów wyrzuca złe duchy". (...)

Tymczasem nadeszła Jego Matka i bracia i stojąc na dworze, posiali po Niego, aby Go przywalać. Właśnie tłum ludzi siedział wokół Niego, gdy Mu powiedzieli: "Oto Twoja Matka i bracia na dworze pytają się o Ciebie". Odpowiedział im: "Któż jest moją matką i [którzy] są braćmi?" I spoglądając na siedzących dokoła Niego rzekł:

"Oto moja matka i moi bracia. Bo kto pełni wolę Bożą, ten Mi jest bratem, siostrą i matką".

(Mk 3,20-22.31-35)

SZALONY ALBO OPĘTANY

Sprzeciw i niezrozumienie okazywane Jezusowi konkretyzują się w dwóch postawach: w postawie krewnych i w postawie uczonych w Piśmie.

Pierwsi osądzają Jego zachowanie według schematów zdrowego rozsądku i konkludują: "Odszedł od zmysłów".

Drudzy, biegli w teologii, stawiają diagnozę bardziej wyrafinowaną: "Jest owładnięty przez Belzebuba" (dosłownie: "ma Belzebuba").

Jezus zostaje uznany za szalonego albo opętanego, w każdym razie za nienormalnego: Jego zachowanie jest sprzeczne z ogólnie przyjętymi normami życia codziennego i religijnego.

Klucz do zrozumienia tego epizodu, którego głównymi postaciami są krewni Jezusa, stanowią słowa: dom, poza (na zewnątrz), bliscy.

Paradoks polega na tym, że Jezus przebywa w domu (prawdopodobnie chodzi o dom Piotra), ale Jego krewni uważają, że "odszedł", i to oni, choć stoją na zewnątrz, chcą Go zaprowadzić z powrotem do domu.

Istotnie bowiem nie jest to Jego dom. I Jezus poświęca się dla ludzi, którzy nie są "Jego bliskimi", ale kradną Mu czas i siły; nie dają Mu nic do jedzenia, nie pozwalają Mu nawet zjeść kawałka chleba. Nie ma więc innego wytłumaczenia:

"Odszedł od zmysłów".

Z chwilą, gdy wyrwał się ze swego środowiska rodzinnego,

42

opuścił właściwe sobie miejsce, przestał być sobą. Trzeba przywołać Go do porządku.

Z pewnością ten incydent wywołuje zakłopotanie. Nie bez powodu Łukasz i Mateusz pomijają go, ograniczając się do sceny końcowej.

"Gdy to posłyszeli..." (w. 21) Nie wiadomo dokładnie, o czym posłyszeli. W każdym razie o wielu rzeczach. Zbyt wielu. Nie mieli czasu, by sprawdzać każdą z osobna. W takich przypadkach interweniuje się, by wyrwać zło z korzeniami i uniknąć skandalu. Rodzina ma prawo żyć w spokoju.

"Wybrali się, żeby Go powstrzymać". Przy całym szacunku dla ojca Lagrange'a, który mówi o "serdecznej przemocy", wydaje mi się, że chodzi tu o coś więcej. Jakby mówili: teraz my się tym zajmujemy. My zatroszczymy się o Niego. Trzeba jak najszybciej z tym skończyć. On sam nie jest w stanie wyrwać się z sytuacji, w jakiej się znalazł.

Na tę postawę składa się troska o osobę fizyczną Jezusa (nie je, nie odpoczywa, nie może tak dalej żyć), ale zarazem zdecydowany sprzeciw wobec Jego postępowania.

Nie wypierają się swego krewnego, ale odcinają się od Jego wyborów.

Jezus staje się przedmiotem troski, ale nie uznaje się Go za podmiot decyzji, które sprzeciwiają się przyjętym normom.

Ponad wszystko więc wybija się troska o dobre imię, o godność rodziny, która staje się wartością nadrzędną i jej podporządkowuje się interesy jednostek.

To jednostka musi "powrócić", musi wręcz zostać powstrzymana siłą, aby jak najszybciej skończyła się ta nieprzyjemna historia.

Iluż działań dokonuje się jeszcze dzisiaj rzekomo dla dobra jednostek, ukrywając nieudolnie właściwy cel: zachować twarz.

Dom odzyskuje pozory przyzwoitości, gdy wszyscy znajdują się "wewnątrz", na przydzielonym miejscu.

KTO "WYPROWADZIŁ GO Z RÓWNOWAGI"?

"Odszedł od zmysłów". W pewnym sensie mają rację. To Duch "wyprowadził Go" ponownie (jak niegdyś na pustynię);

"wyprowadził Go z równowagi".

H. Cox* mówi o dwóch koncepcjach osobowości: koncentrycznej i ekscentrycznej.

Pierwsza ogranicza się do poszerzenia i pogłębienia własnych możliwości. Dzięki temu człowiek staje się coraz bardziej podobny do siebie.

Osobowość ekscentryczna nie oznacza natomiast skłonności do dziwactw, ekstrawagancji, ale do poszukiwania centrum poza sobą. Osobowość ekscentryczną posiada osoba, która przyswaja sobie pewien nowy, nieoczekiwany element, zrodzony "gdzie indziej". Jest to osoba otwarta na Ducha, podatna na Jego grę, potrafiąca przyjąć jej ryzyko.

W myśl koncepcji koncentrycznej nasz świat jest zamknięty w sobie, nie kryje niespodzianek, nie wychodzi poza własne możliwości, jest sztywny i sklerotyczny.

W koncepcji ekscentrycznej nasz świat jest "dotknięty" laską, pełen rzeczy nieprzewidywanych, nieoczekiwanych, osób jedynych w swoim rodzaju, "poza" wszelkimi schematami.

"Odszedł od zmysłów". Powinni byli powiedzieć: "Odszedł od nas". Odszedł od naszych schematów, naszych przewidywań, naszej równowagi.

Poszukiwanie własnej tożsamości, o którym dzisiaj tyle się mówi, może oznaczać mentalność reakcyjną i konserwatywną (w ujemnym sensie określenia). Bardziej należy ono do koncepcji osobowości "koncentrycznej" niż "ekscentrycznej". Wolno stawać się "podobnym do samego siebie", to jest do tego "samego siebie", którego inni wymyślili dla nas.

Dozwolone jest poszukiwanie własnej tożsamości w rejonie ściśle określonym, na podstawie wcześniej ustalonych modeli. Jednostka jest sobą, jeśli się dostosowuje, jeśli "pozostaje wewnątrz" narzuconych schematów, jeśli tkwi na właściwym miejscu. Osoba znajduje tożsamość, którą... każą jej znaleźć inni (tak jak w rezerwatach łowieckich nagania się zwierzynę prosto pod lufy zaczajonych prominentów). Odnajduje to, co po prostu przygotowano dla niej. Jednym słowem jest sobą w tym sensie, że upodabnia się do wyobrażeń o sobie.

Gesty stają się wówczas pozą.

Słowa brzmią jak z magnetofonu.

Osoba zamiast być sobą, gra rolę, wiernie odtwarza tekst, staje się postacią ze sztuki teatralnej.

Jej cała działalność musi być przewidywalna.

Nie ma miejsca na improwizację, na zaskoczenie.

Istnieje wprawdzie przestrzeń, ale w granicach powierzonej roli. Wiadomo, gdzie można pójść i dokąd trzeba dojść. Jeżeli ktoś zapędzi się dalej, jeżeli posłucha innego Suflera, który nie

przestaje niepokoić, nie dba o zdrowy rozsądek i o biurokratyczne klisze - wówczas wychodzi "poza" siebie.

I znów słusznie zauważa H. Cox, że przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść, ale żądza dominacji, panowania nad osobami (dla ich dobra naturalnie), wrodzony instynkt manipulowania innymi i kontrolowania ich.

"Miłość może istnieć jedynie w świecie, w którym są osobowości autentycznie różne. Gdy Jezus i prorocy nauczają mnie, że muszę kochać bliźniego jak siebie samego, nie twierdzą, że ja i bliźni jesteśmy identyczni. Miłość staje się konieczna i możliwa, ponieważ bliźni różni się ode mnie... Jeżeli nie istnieje żadna realna różnica, miłość jest rzeczą zbędną..."

Niestety często kochamy ludzi na sposób krewnych Jezusa. Powstrzymujemy bliźnich, każemy im dostosować się do naszych wyobrażeń. Myślimy za nich, decydujemy o nich, podpowiadamy, z czego mają się spowiadać i za co czuć się winnymi.

Trzeba się nimi zająć - mówimy. W rzeczywistości zajmujemy bezprawnie przestrzeń, która do nich należy, uniemożliwiamy im swobodę ruchu.

Chętnie odmieniamy czasownik "poświęcać się". Nigdy jednak w sensie "dawania siebie" komuś innemu z szacunkiem dla jego wolności. Poświęcamy się stając się zawadą, zamykając drogę.

Często dokonujemy rzeczy godnych podziwu dla osoby "kochanej". I nie zdajemy sobie sprawy, że przede wszystkim należy poświęcać się w sensie rezygnacji z własnych projektów, własnych ambicji, z własnych poglądów: trzeba przyjąć odmienny wybór, drogę, która nie jest naszą, plan, który nie mieści się w naszej perspektywie (i czasem nie służy naszym interesom...).

Człowiek rzeczywiście poświęca się dla kogoś innego, gdy pozostawia go "poza sobą". Ktoś poświęca się dla drugiego, gdy rezygnuje z "programowania" go na własny obraz i podobieństwo. Gdy zamiast pójść, "y go powstrzymać - wychodzi i stara się go zrozumieć. Jeżeli potrafię pohamować odruch pouczania, by raczej rozumieć bliźniego, wówczas zaczynam kochać go naprawdę.

NIE WYPĘDZAĆ DUCHA ŚWIĘTEGO!

"Ma Belzebuba". Błąd najtragiczniejszy i najczęstszy. Faryzeusze przychodzą z Jerozolimy z tekstami skodyfikowa-"ejl mądrości w rękę. Wszystko, co nie jest zawarte w tych ko-"eksach, zostaje zdyskwalifikowane. Wszystko, co nie należy

45

do spraw "już widzianych" i stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa i normalności, zostaje uznane za bezprawne. Wszystko, co jest odmienne, zostaje uznane za nielegalne.

Rzecz nowa zostaje opatrzona etykietą nie tyle dokładną, co zwracającą uwagę: "podejrzany" albo "niebezpieczny", co każe trzymać się z daleka.

Wszystko, co zagraża przyzwyczajeniu, co przeszkadza zwykłemu biegowi myśli (i trawieniu), zostaje "usunięte" i uznane za "wrogie".

Jest to operacja niestety ciągle modna: Napomknięcie o sprawiedliwości powoduje, że zostaje się posądzonym o marksizm. Krytyka pełna bólu i emocji zostaje odrzucona jako

"nieadekwatna". Postawa rygorystyczna wywołuje posądzenie o "ekstremizm". Ujawnienie jakiegoś odchylenia - i oto gotowa diagnoza: ten człowiek służy celom nieprzyjaciół. I ludzie ludzą się, że wystarcza nie służyć celom nieprzyjaciół, by służyć celom Ducha.

Wymaga się szczerości i zaraz oskarża o "przesadę".

Pragnie się wyjaśnić pewne sprawy raczej... niejasne, zostaje się oskarżonym o "podważanie autorytetu" Kościoła.

Gdy człowiek stara się posługiwać własną głową, słyszy wyrok: "gorąca głowa". (Kto wie, dlaczego głowa, która myśli, jest gorąca? Może dlatego, że jest używana).

Inność utożsamiona zostaje ze złem. To bardzo podła taktyka: aby stłumić głosy niewygodne, wskazuje się ducha zła, jako ich źródło.

Wszystko, co się rusza, staje się automatycznie podejrzane.

Rzeczywiście tragiczna jest pomyłka uczonych w Piśmie:

mają w kieszeni portret pamięciowy szatana. I z punktu widzenia rezultatów działania ten portret jest bardzo podobny do Ducha Świętego.

Trzeba pamiętać o tej straszliwej możliwości, że ten, kogo uważamy za podejrzanego i niebezpiecznego i kogo próbujemy zamknąć w klatce - to Duch Święty.

Uczeni w Piśmie oskarżają Chrystusa o wypędzanie złych duchów w imię księcia złych duchów. Czynią jeszcze coś gorszego: egzorcyzmują Ducha Świętego...

W RODZINIE JEZUSA TRUDNO BYĆ NA SWOIM MIEJSCU

"Oto Twoja Matka i bracia na dworze pytają się o Ciebie" (w. 32).

Jezus nie rusza się. Jakby ta sprawa Go me dotyczyła. "Któż jest moją matką i którzy są braćmi?"

46

"Nikt w tym momencie nie znajduje się dalej od Jezusa niż ci, którzy są Mu najbliżsi przez krew" (G. Dehn).

On znajduje się teraz na innej płaszczyźnie, nie istnieją już na niej prawa nabyte, ale tylko możliwości: "Matka i bracia, i siostry" w tej nowej rodzinie nie są już "dani", ale wszyscy mogą się nimi stać.

Pokrewieństwo nie wynika z zapisu urzędowego, ale jest zdobyczą. Bardziej niż punktem wyjścia, jest punktem docelowym.

"Spoglądając na siedzących dokoła..." (w. 34)

Jest to typowe dla Marka "spoglądanie dokoła". Tym razem jest to rodzaj oficjalnego "uznania" osób należących do Jego nowej rodziny.

"Oto moja matka!" (w. 34)

Z tej nowej rodziny nie są naturalnie wykluczeni krewni według ciała. Jednak oni również muszą "wejść" do niej, czyniąc wolę Ojca. To znaczy - muszą przestać troszczyć się jedynie o osobę fizyczną Jezusa, a dojść do pełnej akceptacji Jego nauczania i dokonać odpowiednich wyborów. Odtąd mają martwić się nie tyle o dobre imię rodziny, ile o to, by do niej nie należeć! Oto jak Chrystus odwraca sytuację.

Jezusa znajdujemy zawsze w otoczeniu innych ludzi. W świątyni lub w domu. Ale nigdy we własnym domu.

"...odnaleźli Go w świątyni, gdzie siedział między nauczycielami" (Łk 2,46).

"...tłum ludzi siedział wokół Niego" (Mk 3,32).

"Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie..." (Łk 2,48)

"Oto Twoja Matka i bracia na dworze pytają się o Ciebie" (Mk 3,32).

"Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście..." (Łk 2,49) "Któż jest moją matką i którzy są braćmi?" (Mk 3,33) "Powiniennem być w tym, co należy do mego Ojca" (Łk 2,49). "Bo kto pełni wolę Bożą, ten mi jest bratem, siostrą i matką" (Mk 3,35).

Wynika stąd jasno, że Jezusa znajdujemy jedynie tam, gdzie Jest Ojciec.

Pomiędzy Nim i "Jego krewnymi" stoi Ojciec. Można wejść i zaliczać się do Jego rodziny jedynie wówczas,

gdy pracuje się razem z Nim "czyniąc wolę Ojca". Posłuszeństwo okazywane Ojcu staje się w ten sposób wa-

po warunkiem umożliwiającym wejście do rodziny.

47

Jeżeli ktoś szuka Go z innych powodów, pozostanie zawsze "na zewnątrz". Jezus nie odpowie na takie wezwanie. Jest zbyt "zajęty" sprawami Ojca.

Ma czas jedynie dla tych, którzy nie wołają Go z zewnątrz, ale którzy pragną wejść, aby "czynić".

Osoby, które chcą tylko popatrzeć, muszą ustąpić miejsca tym, którzy są zdecydowani "czynić".

Chrystus nie zabiera swojej rodziny na przechadzkę wzdłuż brzegów jeziora.

"Sprawy Ojca" zaprowadzą Go wprawdzie do ogrodu, ale to będzie dramat, a nie poezja.

"Abba, Ojcze... zabierz ten kielich ode Mnie. Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty niech się stanie" (Mk 14,36).

"...i zastał ich śpiących" (Mk 14,37).

Tym razem to On idzie szukać "swoich". I znajduje ich śpiących, "poza" Jego łękiem.

A jednak... w tej Jezusowej rodzinie jakże trudno jest być na właściwym miejscu.

NIE MA GO TAM, GDZIE SIĘ SPODZIEWAMY

Krewnymi Jezusa są ci, którzy roszczą sobie prawo do swoistego monopolu opieki nad Nim. I uznają za osoby nie upoważnione tych, którzy "są z Nim", nie otrzymawszy uprzednio pozwolenia.

Gdy Jezus wychodzi na zewnątrz, ku innym, tak zwani "Jego krewni" śpieszą, by przyprowadzić Go z powrotem, gdyż bez Niego nie czują się pewni. Potrzebują Go, by nadać domowi patent godności. Chrystus nie może nie być z nimi. Choć oni sami są bardzo daleko od Niego. Ci, którzy pragną "zaanektowania" Chrystusa dla siebie, którzy nie chcą pozostawić Go ludziom związanym z Nim czasownikiem "czynić", są gorsi od nieprzyjaciół. A przecież całe życie Jezusa przebiegało "poza". Rodzi się poza swoim krajem, a nawet poza domem. Pozwala znaleźć się przez Mędrców, ludzi przybyłych z daleka. Idzie na wygnanie poza swoją ojczyznę. Umierać będzie też poza miastem. A kiedy ci, którzy złożyli Go w grobie, są przekonani, że tam Go znajdą - (por. J 20,15), On jest już poza grobem, gdzie indziej.

Bez zbytniej przesady możemy stwierdzić, że łatwiej jest powiedzieć, gdzie Go nie znajdujemy, niż gdzie Go można znaleźć.

48

Otóż nie znajdujemy Go z pewnością tam, gdzie się spodziewamy. Nie znajdujemy Go przede wszystkim tam, gdzie każemy Mu być.

Trzeba także uważać, by nie decydować zbyt pochopnie, kto jest "wewnątrz", a kto "na zewnątrz".

"Wewnątrz" i "na zewnątrz" to często kategorie zależne od miejsc, które wyznaczyliśmy my sami. Jednak rzeczywistość nie jest tak prosta i wygodna.

Jedynie po uprzednim ustaleniu gdzie On się znajduje, można powiedzieć, kto jest wewnątrz, a kto na zewnątrz.

4 - Ni

Newygodne Ewangelie

NIE MA ULGOWYCH BILETÓW WEJŚCIOWYCH

Jeśli wasza sprawiedliwość nie będzie większa niż uczonych w Piśmie i faryzeuszów, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego. (Mt 5,20)

Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy! Bo dajecie dziesięcinę z mięty, kopru i kminku, lecz pomijacie to, co ważniejsze jest w Prawie: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. (Mt 23,23)

Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj! (Mt 5,23-24)

Mój stary proboszcz kazał umieścić przy wejściu do kościoła następujące obwieszczenie: "Wchodząc do świętego miejsca kobiety winny mieć nakrytą głowę, rękawy (przynajmniej) do łokcia, suknię sięgającą poniżej kolan; winny zachowywać się skromnie".

W stosunku do mężczyzn sprawa była prostsza: wystarczyło bowiem "nie pluć na posadzkę". Mój stary proboszcz grzeszył optymizmem. Uważał, że warunki wejścia do "miejsca świętego" można zredukować do kwestii mniej lub bardziej zakrytej powierzchni ciała u kobiet lub do kwestii dobrego wychowania u mężczyzn.

Tymczasem powinien był kazać wydrukować wywieszkę trochę większą, z trzema zdaniem Mateusza, cytowanymi przeze mnie na wstępie. Wówczas, zakładając, że słowa te zostałyby potraktowane serio, mógł narazić się na wyludnienie własnego kościoła, na opuszczenie go również przez wiele "pobożnych osób", które codziennie rano wypełniały jego półmrok

aktami strzelistymi, seplenionymi poprzez (nieliczne) zęby. W zamian za to łatwiej byłoby dokładnie interpretować postawione przez Pana zasadnicze warunki wejścia do "miejsca świętego".

Wszyscy oskarżali mego starego proboszcza o zbytnią surowość, szczególnie kobiety, które uważały się za najbardziej dyskryminowane przez osławione zarządzenie. Nie zdawały sobie sprawy z ogromnej zniżki, jakiej im udzielono przy wejściu!

"Jeśli wasza sprawiedliwość nie będzie większa niż uczonych w Piśmie i faryzeuszów, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego".

50

Jakie więc były "braki" sprawiedliwości faryzeuszów i uczonych w Piśmie? Zawężanie własnych powinności do rygorystycznego zachowania Prawa. Szukanie Boga prawie wyłącznie przez kult.

Złudzenie to przetrwało do dziś pośród wielu chrześcijan. Oddzielają oni samowolnie kult od życia, doświadczenia chrześcijańskie od doświadczenia ludzkiego, obowiązki religijne od praktykowania sprawiedliwości. Wierzą, że droga prowadząca do kościoła jest krótka, zaledwie kilka metrów, które zresztą można pokonać samochodem.

Msza, sakramenty, pacierz, przykazania (niektóre, prawdę mówiąc, raczej zaniedbane, prawie skasowane, nie trzeba przecież przesadzać, zresztą teraz tydzień pracy jest skrócony, mogą więc być również "przykazania skrócone"). I uważają rozdział pt. "Bóg" za zamknięty.

Tymczasem rozdział "Bóg" otwiera wiele innych rozdziałów. Oni jednak wcale tego nie podejrzewają. Są zbyt zadowoleni z własnej sprawiedliwości na wzór uczonych w Piśmie i faryzeuszów.

BÓG NIE BIERZE NIESPRAWIEDLIWOŚCI NA WŁASNE KONTO

W całym Starym Testamencie Bóg poucza swój "naród o twardym karku", że kult jest nierozzerwalnie związany z życiem, że same "praktyki" nie mają znaczenia, że istnieją określone warunki dostępu do kultu. Szczególnie wymownie przypominają o tym prorocy. Akcentują szczególnie sprawiedliwość.

Sprawiedliwość wymaga, aby prawa każdego człowieka były szanowane. "Gdy chodzi o «prawa», język Biblii jest bardzo wymowny. Używa ona słowa «prawo» jedynie w odniesieniu do człowieka ubogiego i nieszczęśliwego, którego prawa są zagrożone i gwałcone. Wdowa, sierota, ubogi, cudzoziemiec:

należy uznać prawa tych osób, one same bowiem nie mają możliwości wyegzekwowania ich. Jeżeli te prawa są gwałcone, oznacza to, że społeczeństwo żyje z niesprawiedliwości" (J. Guillet).

Wołanie ubogiego. Ludzie ogłuszeni hałasem własnego życia, wciągnięci w tryby własnych spraw, nie słyszą go. Przechodzą obok nędzy, nie dostrzegając jej. Czują się zbyt dobrze, y Ją zozumieć. Są zbyt zajęci, by się zatrzymać. Jednak Bóg Izraela ma ucho czułe na ludzki lament. Nie będziesz gnębił i nie będziesz uciskał cudzoziemców,

51

bo wy sami byliście cudzoziemcami w ziemi egipskiej. Nie będziesz krzywdził żadnej wdowy i sieroty. Jeślibyś ich skrzywdził i będą Mi się skarżyli, usłyszę ich skargę, zapali się gniew mój..." (Wj 22,20-23)

I jeszcze:

"Jeśli weźmiesz w zastaw płaszcz twego bliźniego, winienesz mu go oddać przed zachodem słońca, bo jest to jedyna jego szata i jedyne okrycie jego ciała podczas snu. I jeśliby się on zalił przede Mną, usłyszę go, bo jestem litościwy" (Wj 22,25-26).

Zwróćmy uwagę, że chodzi tu o teksty prawne.

Gdzie indziej w Piśmie Świętym znaleźć można akcenty jeszcze twardsze:

"Wobec utrapienia biednych i jęku ubogich - mówi Pan:

«Teraz powstanę i dam zbawienie temu, który go pożąda»" (Ps 12,6).

"Prośba z ust ubogiego dociera do uszu Pana, a sąd Jego prędko przychodzi" (Syr 21,5).

Na podstawie tych wypowiedzi można sądzić, że Bóg bardziej zważa na lament biednego niż na błagania "osób pobożnych". Więcej nawet: jęki uciśnionych "zakłócają łączność" między "pobożnymi" a Bogiem, przez co ich pacierze nie docierają do uszu Pana.

Szczególnie prorocy starają się zastąpić drogę temu, kto ośmiela się wejść do świątyni nie będąc sprawiedliwym. Mówią jasno i wyraźnie, że modlitwy takiego człowieka wywołują obrzydzenie u Boga, który wcale nie ma ochoty brać na własne konto naszych niesprawiedliwości.

"Nienawidzę, brzydzę się waszymi świętami. Nie będę miał upodobania w waszych uroczystych zebraniach. Bo kiedy składacie Mi całopalenia i wasze ofiary, nie znoszę tego, a na ofiary biesiadne z tucznych wołów nie chcę patrzeć. Idź precz ode Mnie ze zgiełkiem pieśni twoich, i dźwięku twoich harf nie chcę słyszeć! Niech sprawiedliwość wystąpi jak woda z brzegów i prawość jak potok nie wysychający wyleje" (Am 5,21-24).

A Izajasz wkłada w usta Pana określenia, które dla "przyzwoitych uszu" wielu dobrych chrześcijan muszą brzmieć wręcz skandalicznie:

"Co mi po mnóstwie waszych ofiar? - mówi Pan. Syt jestem całopalenia kozłów i łoju tłustych cielców. Krew wołów i baranów, i kozłów mi obrzydła. Gdy przychodzicie, by stanąć przede Mną, kto tego żądał od was, żebyście wydeptywali me dziedzińce? Przestańcie składania czczych ofiar! Obrzydłe mi jest wznoszenie dymu; święta nowiu, szabaty, zwoływanie

52

świętych zebrań... Nie mogę ścierpieć świąt i uroczystości. Nienawidzę całą duszą waszych świąt nowiu i obchodów; Stały Mi się ciężarem; sprzykrzyło Mi się je znosić! Gdy wyciągniecie ręce odwrócę od was me oczy. Choćbyście nawet mnożyli modlitwy, Ja nie wysłucham. Ręce wasze pełne są krwi. Obmyjcie się, czyści bądźcie! Usuńcie zło uczynków waszych sprzed moich oczu! Przestańcie czynić zło! Zaprawiajcie się w dobrem! Troszczcie się o sprawiedliwość, wspomagajcie uciśnionego, oddajcie słusność sierocie, w obronie wdowy stawajcie!" (Iz 1,11-17)

Nawiasem mówiąc, gdyby pewni "dobrzy chrześcijanie" - zawsze gotowi gorszyć się i rzucać w twarz słowo "demagogia", gdy tylko z kazalnicy padnie słowo "sprawiedliwość" - spróbowali przejrzeć księgi poroków, zapewne straciliby dobre samopoczucie (ale byłby to dobry znak!). Są jednak zbyt zajęci czytaniem swej "niezależnej" gazety, która informuje ich o wszystkim, ale szczególnie o stanie ich konta bankowego. Prorocy tymczasem nie dają zbyt wielu gwarancji co do bezpieczeństwa portfela. Poza tym słuchając ich można dojść do wniosku, że bogaczowi bardzo trudno jest wejść do Raju. Prorocy zasiewają mu drogę mnóstwem trudności; Boże Święty, dlaczego tyle komplikacji, piekło mamy już tu na ziemi z wszystkimi kłopotami, których przysparzają nam interesy...

Zamykam nawias, ale nie mogę się uwolnić od natrętnego pytania. Co by się stało, gdybyśmy w kościele kazali ludziom czytać twarde słowa Pisma Świętego, zamiast pacierzy "do odmówienia przed Komunią Świętą", zamieszczanych w nedorzecznych "książeczkach do nabożeństwa"?

Właśnie. Co by się stało? Po prostu nasi "porządni" ludzie nie łudziliby się, że można tak łatwo załatwić sprawy z Bogiem. Zrozumieliby, że "pobożne uniesienia" ku niebu nic nie znaczą bez obowiązkowego "zniżenia się" do nędzy.

CZYNIĆ SPRAWIEDLIWOŚĆ WE WŁAŚCIWY SPOSÓB

Wiele się dziś dyskutuje na temat zależności pomiędzy sprawiedliwością a miłosierdziem. Specjaliści poświęcają temu wnikliwe studia. Muszę wyznać, że w tej pajęczynie rozróżnień i "implikacji" nie bardzo się wyznaję. Ma się rozumieć, jest to wina mojej ignorancji. W każdym jednak razie uważam, że sprawy są dość proste. Sprawiedliwość i miłosierdzie nie są dla chrześcijanina dwiema niezależnymi rzeczywistościami. Uzupełniają się i podtrzymują nawzajem.

53

Miłosierdzie nie może umywań rąk w obliczu sprawiedliwości. A sprawiedliwość, jeżeli nie chce stać się ciasna i "niesprawiedliwa", nie może odrzucać fermentu miłosierdzia.

Sądzę, że lepiej niż wszyscy inni naświetlił ten problem Umberto Vivarelli:

"Każdy wie, że sprawiedliwość ludzka nie wystarcza. Musi być «wyższa», to jest musi nieustannie przewyższać siebie, by nie popaść w hipokryzję legalizmu.

Weźmy choćby zwykłą definicję sprawiedliwości: dać każdemu to, co jest jego. To jednak jest pułapka. Czy jesteście w stanie powiedzieć, co jest «jego», a nie należy do innych?

Św. Paweł mówi: «Wszystko jest wasze. Wy jesteście Chrystusa. Chrystus jest Boga». Taka jest hierarchia sprawiedliwości.

Jeżeli więc chcemy dać każdemu, co jest jego - a «każdy» oznacza każdego poszczególnego człowieka, również każdego ubogiego, musimy zwrócić mu wszystko to, co Bóg przeznaczył dla wszystkich.

Nie wydaje mi się, by sprawiedliwość była cnotą łatwą.

Łatwiejszy jest legalizm.

Wówczas to «jego» zostaje ustalone przez prawo, a prawo jest zawsze ograniczeniem.

Zręcznie wyklucza ono człowieka nie umiejącego zdobyć przywileju dyktowania prawa i egzekwowania go.

Rzeczywiście bowiem prawo może powiedzieć mi, kiedy mogę nazywać «moimi» moje buty, ale jeżeli ich nie posiadam, nie zdejmie ich z nóg innych.

Oddać każdemu to, co jest jego; ale kto nie posiada niczego

- nic nie dostanie.

Jeżeli nie ma we mnie zdolności odkrycia w człowieku brata, jeżeli nie odczuwam porywu miłości do niego, jednym słowem

- jeśli nie kocham człowieka, nigdy nie zrozumie, co muszę mu oddać.

Sprawiedliwość realizowana mechanicznie, bez serca, nie jest sprawiedliwością.

Aby realizować sprawiedliwość we właściwy sposób, trzeba wyjść ponad prawo i patrzeć w serce człowieka, który w gruncie rzeczy prosi tylko o godność i przyjaźń.

Sprawiedliwość zatem w najlepszym razie jest dawaniem «rzeczy»; jedynie miłosierdzie jest dawaniem siebie samego" *.

W jaki więc właściwy sposób chrześcijanin ma realizować sprawiedliwość? Ma to być styl sprawiedliwości na miarę

* Umberto Vivarelli, La Chiesa dei poveri, La Locusta.

54

człowieka. A człowiek nie jest żołądkiem, który należy napełnić, manekinem, który trzeba ubrać, kieszenią, do której wrzuca się jałmużnę, ale istotą, którą trzeba zrozumieć i kochać.

"Dać każdemu, co jest jego" - dla chrześcijanina oznacza:

dać każdemu człowiekowi miłość w takiej dawce, do jakiej ma prawo.

Szczytem sprawiedliwości dla chrześcijanina jest miłość.

POŚWIADCZENIE BRATA

Powróćmy do tematu początkowego, to jest do warunków, jakie należy spełnić, by wejść do świątyni. Do zależności pomiędzy kultem i życiem.

Chrystus zaakcentował tylko wymogi sformułowane już w Starym Testamencie.

Dwa razy powtarza słowa Ozeasza ("Miłości pragnę, nie krwawej ofiary" - Oz 6,6): "Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary" (Mt 9,13; 12,7).

Chrześcijanie, którzy przyjmują jako motto własnej doskonałości (i jako usprawiedliwienie własnej rezygnacji) nakaz Jezusa: "Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski" (Mt 5,48), zapominają często o realistycznym uściśleniu: "Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny" (Łk 6,36). W nim to "miłosierdzia" nie należy rozumieć jako ogólnikowego współczucia wobec cudzych nieszczęść, ale - według śmiałej etymologii słowa misericordia - jako "wzięcie sobie do serca nędzy", jako przyjęcie na własność cierpienia własnego brata.

Według nauki Chrystusa, bilet wstępu do kościoła musi posiadać poświadczenie wszystkich naszych braci. Jeżeli zauważymy, że brakuje "poświadczenia" choćby jednego z nich, musimy wyjść z kościoła, by go odszukać.

"Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj".

Sobór Watykański II dał nam wspaniałą interpretację praktyczną tego rozdziału. Pragnąc złożyć własny dar na ołtarzu (Konstytucja o liturgii świętej) Kościół postanowił "wyjść na zewnątrz", by pojednać się z ludzkością (Schemat XIII, Konstytucja duszpasterska o kościele w świecie współczesnym).

"Radość i nadzieja, smutek i trwoga ludzi współczesnych, zwłaszcza ubogich i wszystkich cierpiących, są też radością

55

i nadzieją, smutkiem i trwogą uczniów Chrystusowych; i nie ma nic prawdziwie ludzkiego, co nie miało by oddźwięku w ich sercu. Ich bowiem wspólnota składa się z ludzi, którzy zespoleni w Chrystusie, prowadzeni są przez Ducha Świętego w swym pielgrzymowaniu do Królestwa Ojca i przyjęli orędzie zbawienia, aby przedstawić je wszystkim. Z tego powodu czuje się ona naprawdę ściśle złączona z rodzajem ludzkim i jego historią" (Gaudium et spes, n. 1).

Praktykowanie sakramentów nie zwalnia nas z wierności wobec zobowiązań ziemskich. Do Boga nie dochodzi się "przeskakując" świat. Religia staje się rzeczywiście "opium", gdy zwalnia nas z obowiązków jako ludzi. Ten, kto zdradza ziemię, łudząc się, że dotrze do Boga, w końcu zdradza również Boga. Mówi o tym dobitnie Charles Peguy:

"Nie wystarczy wzgardzić doczesnością, by wznieść się na wyżyny wieczności. Nie wystarczy wzgardzić naturą, by wznieść się na wyżyny łaski. Nie wystarczy wzgardzić światem, by wznieść się na wyżyny Boga.

Członkowie partii pobożnych sądzą, że skoro brak im siły (i łaski), by należeć do natury, tym samym należą do łaski. Ponieważ nie posiadają doczesnej odwagi, wierzą, że zgłębiają już wieczność. Ponieważ nie mają odwagi należeć do świata, sądzą, że należą do Boga. Ponieważ nie mają odwagi należeć do jakiegokolwiek ludzkiej partii, łudzą się, że należą do stronnictwa Boga. Ponieważ nie należą do człowieka, sądzą, że należą do Boga. Ponieważ nie kochają nikogo, wierzą, że kochają Boga"*

Aby mieć pewność, że Bóg nie "odwróci oblicza" od nas (por. Tb 4,7), trzeba nie odwracać oblicza od człowieka.

Parafrazując stwierdzenie z książki Honorius Pape Roberta Escarpita możemy powiedzieć: Byłoby rzeczą bardzo łatwą być chrześcijaninem, gdyby istniała tylko religia. Ale bieda w tym, że istnieje jeszcze cała reszta.

Byłoby rzeczą śmiesznie łatwą dla jakiegoś przemysłowca być chrześcijaninem, gdyby chodziło tylko o przyjęcie Komunii wielkanocnej (w obecności robotników i Jego Ekscelencji lub Jego Eminencji).

Byłoby łatwo siostrze zakonnej być chrześcijanką, gdyby istniała jedynie "piękna cnota". Byłoby wygodnie każdemu być chrześcijaninem, gdyby obowiązywała jedynie msza święta niedzielna.

* Charles Péguy, Notę conjointe sur M. Descartes et la philosophie cartt' sienne, RFN.

56

Byłoby drobnostką dla matki być chrześcijanką, gdyby istniały jedynie zebrania "grupy modlitewnej".

Jednak istnieje niestety nie tylko "religia". Istnieją nie tylko różańce, nowenny, akty strzeliste, praktyki nabożne, znak krzyża przed snem, si quaeris do św. Antoniego, medalik na szyi.

Istnieje cała reszta.

To znaczy: sprawiedliwość, miłosierdzie, szczerść.

I tutaj spostrzegamy, że "zawód" chrześcijanina jest bardzo wymagający i nie można go wykonywać "po godzinach".

Jednym słowem, zdajemy sobie sprawę, że obwieszczenie mojego starego proboszcza, zawieszane na drzwiach kościoła, było nieprzyzwoicie optymistyczne.

URLOP BOGA I PRACA CHRZEŚCIJANINA

Zaraz też wsiadł z uczniami do łodzi i przybył w okolice Dalmanuty. Nadeszli faryzeusze i zaczęli rozprawiać z Nim, a chcąc wy. stawić Go na próbę,, domagali się od Niego znaku. On zaś wes-tchnął głęboko w duszy i rzeki: "Czemu to plemię domaga się znaku? Zaprawdę powiadam wam: żaden znak nie będzie dany temu plemieniu". I zostawiwszy ich, wsiadł z powrotem do łodzi i odpłynął na drugą stronę. (Mk 8,10-13)

Wówczas rzekli do Niego niektórzy z uczonych w Piśmie i faryzeuszów: "Nauczycielu, chcielibyśmy jakiś znak widzieć od Ciebie". Lecz On im odpowiedział: "Plemię przewrotne i wiarołomne żąda znaku, ale żaden znak nie będzie mu dany, prócz znaku proroka Jonasza". (Mt 12,38-40)

Należy rozwiązać niejasności, jakie wiążą się z cudami Chrystusa.

Z jednej strony musimy stwierdzić, że cała Ewangelia pełna jest cudów. Droga Jezusa znaczone jest cudownymi wydarzeniami: paralitycy powstają, zmarli budzą się do życia, woda staje się winem, sieci pękają od ryb, huragany zostają uciszone, uschłe ręce rozprostowują się. "Niewidomi wzrok odzyskują, chromi chodzą, trędowaci doznają oczyszczenia i głusi słyszą, umarli zmartwychwstają" (Łk 7,22).

Z drugiej strony Chrystus w pewnym sensie jest nieprzyjacielem cudów. Mnoży cuda, ale nie zamierza uchodzić za cudotwórcę. Przyszedł, by zbawiać, a nie czynić cuda. Zwalcza żądę sensacji, nie chce widowisk.

Cudy zostają dosłownie wydarte Jezusowi, nieledwie wykradzione.

Istnieją dwie postawy zdolne rozbudzić cudotwórczą moc Jezusa.

1. Wiara proszącego. Twarz pałająca wiarą jest widokiem, któremu Chrystus nie potrafi się oprzeć. Jest to Jego słaby punkt. Wypowiada wtedy słowa podziwu: "O niewiasto, wielka jest twoja wiara!" (Mt 15,28) I nie może nie uczynić cudu. "Niech ci się stanie, jak chcesz..."

2. Nieszczęście. Gdy Jezus spotyka na swej drodze nieszczęście, czuje się jakby zmuszony zaradzić mu przez cud. W wielu wypadkach nie jest nawet konieczne, by ofiara nieszczęścia wypowiedziała pragnienie cudu. Wystarcza obecność bólu. Łzy

58

matki, która towarzyszy trumnie swego jedyne go syna; zgasłe oczy wyniszczone ciało. I oto Chrystus odpowiada natychmiast. Nie może znieść widoku cierpienia.

Jezus zdjęty litością" i "widząc jej wiarę": to dwa motywy przewodnie cudów. Chrystus reaguje wyłącznie na świadectwo wiary i na cierpienie ludzkie.

ŻĄDZA CUDÓW

Istnieją chrześcijanie, którzy za wszelką cenę chcieliby zobaczyć cud. Wydaje się, że ich wiara opiera się bardziej na cudach niż na słowie Bożym. Ich życie religijne rozwija się pod znakiem nadzwyczajności, wyjątkowości, czasami ekscentryczności.

Nie zrozumieli, że to wiara wywołuje cud. A nie odwrotnie.

Odwrócili postępowanie Chrystusa. Z Ewangelii jasno wynika, że Pan respektuje wolność, że pozostawia drzwi otwarte, ale nie zmusza nikogo do wejścia, że nie lubi widowiskowych efektów. To On zostaje zwyciężony przez wiarę ludzi. Oni tymczasem chcieliby, by Chrystus zwyciężył przeciwników mocą swoich cudów.

Zapominają, że prawdziwy Bóg jest dyskretny. "Obecność dyskretnego Boga zda się nieobecnością. Ateizm dowodzi Bożej dyskrecji. Jego dyskretne interwencje przechodzą nie zauważone. I faktem jest, że prawdziwe cudy byłyby liczniejsze, niż się sądzi, gdyby ludzie łatwowierni lub kłamliwi nie wymyślali fałszywych. Cud sensacyjny nosi pieczęć szatana. Jest to fantasmagoria, przywidzenie, nadużycie... Cechą cudów Bożych jest dyskrecja" (Thibault).

Chrześcijanie łakomi cudów nie zdają sobie sprawy, że są przede wszystkim ubodzy w wiarę. Ich równanie: więcej cudów = więcej wiary jest całkowicie fałszywe. I swą łatwowiernością budzą śmiech lub zgorszenie ludzi rozumnych.

OJCZYSTY SZTANDAR NA OBCEJ ZIEMI

Istnieje jednak postawa odwrotna, również fałszywa. Chrześcijanie, którzy boją się, prawie wstydzą się cudów. Chcieliby zabronić Bogu, by był Bogiem. Mieliby ochotę Mu doradzić, ^ to me w porę... że lepiej uniknąć komplikacji, nie wkraczać na pole praw fizycznych. Jakby Bóg był moralnie zobowiązany opowiedzieć się przed ludzką wszechmocą, zanim objawi własną.

napominają, że "wolność człowieka wyraża się w zasadach egalizmu i w prawie do urlopu; wolność Boga wyraża się Przez cud" (G. K. Chesterton).

59

CHLEB

Wtedy przystąpił kusiciel i rzekł do Niego: , Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem". Lecz On mu odparł: "Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych". (Mt 4,3-4)

Gdy Jezus wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi, byli bowiem jak owce nie mające pasterza. I zaczął ich nauczać. A gdy pora była już późna, przystąpili do Niego uczniowie i rzekli: "Miejsce jest puste, a pora już późna. Odpraw ich! Niech idą do okolicznych osiedli i wsi, a kupią sobie coś do jedzenia". Lecz On im odpowiedział: "Wy dajcie im jeść!" Rzekli Mu: "Mamy pójść i za dwieście denarów kupić chleba, żeby im dać jeść?" On ich spytał:

"Ile macie chlebów? Idźcie, zobaczcie!" Gdy się upewnili, rzekli:

"Pięć i dwie ryby". Wtedy polecił im wszystkim usiąść gromadami na zielonej trawie. I rozłożyli się, gromada przy gromadzie, po stu i po pięćdziesięciu. A wzięwszy pięć chlebów i dwie ryby, spojrzal w niebo, odmówił błogosławieństwo, połamał chleby i dawał uczniom, by kładli przed nimi; także dwie ryby rozdzielił między wszystkich. Jedli wszyscy do sytości i zebrali jeszcze dwanaście pełnych koszów ułomków i resztek z ryb. A tych, którzy jedli chleby, było pięć tysięcy mężczyzn. (Mk 6,34-44)

Następnie wziął chleb, odmówiwszy dziękczynienie połamał go i podał mówiąc: "To jest Ciało moje, które za was będzie wydane:

to czyńcie na moją pamiątkę!" (Łk 22,19)

Gdy słyszę słowo "cywilizacja", biegnę po ołówek i zaczynam zapisywać coś na kartce. Sprawdzam po raz kolejny pewne liczby i szybko obliczam.

Rezultaty tych operacji powodują, że na dźwięk słowa "cywilizacja" uśmiecham się gorzko.

Cóż mi daje ta cywilizacja? Kilka godzin osłupienia wobec sensacyjnych wypraw kosmicznych, kilka chwil emocji na myśl o praktycznym przekreśleniu odległości, nieco entuzjazmu z powodu wszystkich innych głośnych zdobyczy techniki. Przede wszystkim jednak dostarcza mi do domu ważną informację. Zwykłą liczbę.

Obliczyłem. Wiem już, co mnie czeka.

W arsenałach atomowych świata zdeponowano wiele dziesiątków tysięcy megaton trotylu. Jeżeli nie pomyliłem się w obliczeniach, przypada dwadzieścia ton trotylu na każdego mieszkańca ziemi.

62

A więc mam prawo do dwudziestu ton trotylu. Jest to ujmujący dar tej tak zwanej cywilizacji. Przesyłka zostanie dostarczona do domu, gdy jakiś szalenięc w pełni świadomie, zechce nacisnąć palcem odpowiedni guzik.

Potem liczę dalej.

Eksperci uważają, że aby człowiek mógł żyć normalnie, potrzebuje dziennie dwa tysiące siedemset kalorii. Poniżej dwóch tysięcy kalorii człowiek cierpi "chroniczny głód".

Dziś 60% ludności świata cierpi, jak to określono, "głód absolutny". Dotyczy to tak ilości, jak i jakości pożywienia.

Około 30 milionów ludzi umiera każdego roku z powodu niewystarczającej ilości pożywienia. To znaczy z głodu. To znaczy z braku chleba.

Nasza cywilizacja jest w stanie zapewnić ludzkości kilkadziesiąt milionów megaton trotylu. Jednak nie jest w stanie zagwarantować wszystkim chleba powszedniego ani podarować każdemu człowiekowi koniecznych dwu tysięcy siedemset kalorii dziennie.

Nasza cywilizacja dostarcza nam paczkę zawierającą dwadzieścia ton trotylu (o wiele więcej niż potrzeba). Jednak każdego roku wysyła trzydziestu milionom ludzi bilet z wyrokiem śmierci. Głodowej.

Oceniając te dane, czy można jeszcze mówić o cywilizacji?

Sądzę, że prawdziwa cywilizacja dopiero się zacznie, na przekór samolotom ponaddzwiękowym, sztucznym satelitom wędrującym po niebie i wszystkim innym "cudom" postępu.

Pierwsza strona historii cywilizacji będzie musiała zawierać banalną wiadomość: na ziemi zagwarantowano kawałek chleba wszystkim ludziom.

Zanim do tego dojdzie, będzie można pisać jedynie historię barbarzyństwa. Barbarzyństwa zdolnego do niesłychanych osiągnięć, nieoczekiwanych udoskonaleń, ale jednak barbarzyństwa.

W Ewangelii tymczasem czuje się zapach chleba. Chleb zajmuje w Ewangelii miejsce bardzo ważne, podobnie jak w troskach ojca rodziny.

Jednak postawa Chrystusa wobec chleba nie jest zawsze taka sama. Nieraz przyjmuje On postawy na pozór sprzeczne. . . Pustyni, po czterdziestu dniach postu, gdy szatan natarczywie nalega, by przemienił kamienie w chleb, Jezus odmawia.

a górze poleca: "Nie troszczcie się zbytnio o swoje ży-e- ° to, co macie jeść i pić" (Mt 6,25).

Równocześnie ka-

63

że nam modlić się: "Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj".

Gniewa się na tłum i ostro wyrzuca mu: "Szukacie Mnie nie dlatego, żeście widzieli znaki, ale dlatego, żeście jedli chleb do sytości" (J 6,26). A jednak rozmnożył chleb, choć nikt nie prosił Go o cud.

Raz wydaje się, że chleb nie ma dla Niego znaczenia. A zaraz potem On sam mówi, że chleb jest bardzo ważny.

Zdaje się nas zachęcać, byśmy nie troszczyli się o chleb, a następnie skupia całą naszą uwagę na nim.

Każdy wybiera sobie z Ewangelii stwierdzenia, postawy, które są dla niego wygodne. Cytuje teksty, które służą potwierdzeniu jego tezy.

I tak powołując się na Ewangelię można wysunąć najbardziej sprzeczne teorie na temat chleba.

Podstawowy błąd polega na tym, że poszczególne teksty rozpatruje się osobno. Tymczasem należy rozpatrywać je całościowo i odnaleźć łączącą je myśl przewodnią.

ZNAK FABRYCZNY

"Nie samym chlebem żyje człowiek..." odpowiada Jezus szatanowi, który proponuje Mu rodzaj cudu alchemicznego, na wzór "kamienia filozoficznego".

Słusznie zauważył ktoś, że zamiana kamieni w chleb oznacza "przygotowanie chleba bez potu utrudzenia", wyeliminowanie pracy "w pocie czoła",

Chrystus odrzuca rozwiązanie problemu ekonomicznego za pomocą cudu.

Odpowiedź Pana: "nie samym chlebem żyje człowiek" ukazuje raczej przejście od dawnego przekleństwa: "w pocie czoła spożywać będziesz chleb" - do nowej hierarchii wartości, do prymatu ducha nad materią, łaski nad koniecznością (P. Evdokimov).

Chrystus nie zamierza przy pomocy cudów uwolnić drogi człowieka od trudności.

Chleb pozostaje związany nie z cudem, ale z pracą w pocie czoła. "W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie" (Rdz 3,19).

"Kto nie chce pracować, niech też nie je" (2 Tes 3,10).

Chleb nabiera wartości, gdy nosi znak fabryczny: znak czoła wieczego trudu.

64

WYBACZ NAM PRAWO WŁASNOŚCI

Faktem jednak jest, że Chrystus uczynił cud. Jego słowo dosięgnęło dna koszyka, gdzie leżało pięć żółtych chlebów, i nieugięta rzeczywistość liczby została zniszczona" (L. Santucci).

Tysiące chlebów zostało powołanych do istnienia mocą królewskiego rozkazu. Jednak również tego cudu, podobnie jak i innych, nie możemy interpretować dowolnie.

Pospiech, z jakim Jezus odprawił tłum, który nakarmił, i chorych, których uzdrowił, wskazuje, że chodzi tu o czyny wyjątkowe, wywołane nagłą potrzebą; Chrystus jednak nie zamierza stać się konkurencją dla lekarzy czy piekarzy, ale lekarzom, piekarzom i każdemu zawodowi ludzkiemu nadaje nowe znaczenie i nową wielkość, wielkość miłości. Rozdzielając zebranych osobom chleb i ryby «ile kto chciał» (J 6,11), Jezus nie zamierza powiedzieć piekarzom, prawdopodobnie obecnym wśród tłumu, że odtąd będzie można się obyć bez ich pracy, ale raczej że muszą starać się przygotowywać chleb tak samo dobry, jak ten, który właśnie jedzą, i dopilnować, by również najubożsi mieli zawsze swą część. Nie potępia ich zawodu, raczej podkreśla jego wartość i równocześnie ustala warunki, jakie chrześcijanin winien spełniać: troszczyć się o wszystkich, których może nasycić, o każdą radość, jaką może sprawić.

Wyżywienie ludzi, ubranie ich, okazanie im pomocy, zapewnienie im pokoju i sprawiedliwości jest wielkim obowiązkiem dla kogoś, kto pragnie nadać znaczenie własnej pracy: jest to obowiązek ludzkości, od którego faktycznie zależy jej przeżycie i rozwój na ziemi. Cudy Jezusa nie umniejszają tego obowiązku, przeciwnie, nadają mu właściwą postać. Chrześcijanin, który pamięta o Ewangelii, ubiera, karmi, pomaga ludziom i broni ich po to, by

skierować na nich wejrzenie Chrystusa, by przedłużyć Jego gesty: ukazuje, że jest świadom niebezpieczeństw, jakie im grożą, zachłanności i niesprawiedliwości jaką cierpią nadzy i bezdomni. Staje się przez to otwartym na każdy

Cud rozmnożenia chleba zawiera cenne wskazówki dla każdego z nas. Chcę przez to powiedzieć, że musimy go sami dokonywać na tej ziemi.

"Chrystus bierze w ręce kawałek chleba, błogosławi go, złęK1 okłada Ojcu, łamie go i rozdziela. W tych gestach zawarty Jest chrześcijański sens posiadania. Dziękczynienie i bło-

• Ouillet, Gesu Cristo ieri e oggi, Edizioni Paoline. - Niewygodne Ewangelie

65

gostawieństwo oznacza uznanie absolutnie najwyższej władzy Boga nad wszystkimi stworzeniami. Jedynie Bóg jest Panem:

my, ludzie, nie jesteśmy panami. Jesteśmy jedynie stworzeniami obciążonymi odpowiedzialnością: wszystko otrzymaliśmy w depozyt. Nie jesteśmy właścicielami, ale depozytariuszami. Bóg powierzył nam stworzenia, abyśmy szanowali w nich wolę Ojca. Musimy strzec, mnożyć, rozdzielać to, co posiadamy. Prawo własności jest przestrzenią życiową człowieka, a więc jest prawem wszystkich, przede wszystkim tego, który niczego nie posiada. A więc nie jest prawem wykluczającym kogokolwiek, jest obowiązkiem uczestniczenia, dzielenia się" (U. Vivarelli).

Naszym powołaniem nie jest posiadanie, ale rozdzielanie. Musimy uzyskać wybaczenie prawa własności, zobowiązując się do "rozdzielania" i "pomnażania".

Znaczy to: wolno nam włożyć chleb do ust jedynie wówczas, gdy posiada on drugi znak jakości (poza znakiem ludzkiej pracy): miłość.

Gdy jem chleb, który zamiast stać się "naszym", pozostaje "moim", wymazuję obecność Ojca na ziemi.

"JEGO" CHLEB

Jezus w czasie Ostatniej Wieczerzy, chcąc pozostawić nam najwyższy dar, bierze ze stołu chleb. Chleb taki jak inne, powstały z mąki i pracy ludzkiej.

Eucharystia, czyli chleb, który staje się Ciałem Chrystusa na pożywienie ludzi, jest konsekracją nie tylko wszystkich darów natury, ale również trudów, cierpień, miłości ludzi. Znamienny jest sposób, w jaki Jezus podkreśla paralelizm pomiędzy chlebem, który rozdziela, a Ciałem, które składa w ofierze. Jeżeli chleb staje się Jego Ciałem, oznacza to, że Jego Ciało jest już pokarmem. "Ciało moje jest prawdziwym pokarmem" (J 6,55) powiedział w synagodze w Kafarnaum. Pokarmem, to znaczy czymś podstawowym, bogatym w odżywcze energie i równocześnie czymś przyswajalnym. Rzeczywiście, Jezus tak całkowicie ofiarował się ludziom, że mogą Go spożywać. Oddał im swe lata, siły, cześć, życie; nic nie zostawił dla siebie: w godzinie, w której poświęca chleb, wykazuje zarazem, że nie ofiarował się dla zabawy i że na równi z chlebem należy już do ludzi, którzy mogą z Nim zrobić, co zechcą. Gdy jednak zdawać im się będzie, że Go miażdżą, wyzwolą całą energię skumulowaną w Nim od momentu Wcielenia. Każde z Jego słów, każdy z Jego gestów, wszystkie uderzenia Jego serca i porywy ducha były zawsze wolne od jakichkolwiek

66

egoistycznych motywów, przepełnione szczodrobliwością Boga:

były nośnikami Jego mocy, niewyczerpanym źródłem siły i światła dla każdego człowieka i dla całej ludzkości, były "chlebem życia".

"Otóż siły, którymi nas Chrystus w ten sposób obdarza i które, przyswojone, stają się naszym życiem, przeszły przez ziemię. Miłość Jezusa jest boska a zbawia nas jedynie wówczas, gdy staje się ludzka, przechodząc przez Jego serce człowiecze, przez Jego udreki, Jego pot. Jego troski. Całą tę ludzką substancję, nieustannie przetwarzaną w miłość, Jezus wziął z ziemi i z

jej pokarmu. Chleb, który podnosi ze stołu w Wieczerniku, aby przemienić go za pomocą słowa we własne Ciało, stanowi od trzydziestu lat codzienne pożywienie Jego Ciała. Każdy człowiek, w momencie, w którym spożywa jakiś pokarm, może powiedzieć: stanie się on moim ciałem, ponieważ rzeczywiście przemienia we własne ciało tę obcą substancję. Jezus dokonuje czegoś zupełnie innego, ale to co czyni związane jest z pożywieniem, którym się posilał aż do tego dnia. W momencie, w którym ofiarowuje własne Ciało i wszystko to, co stanowi pożywienie dla Jego uczniów, aż po skończenie wieków, w tym określonym momencie oddaje również chleb, którym się posilał przez trzydzieści lat i którym pożywiać się będzie ludzkość aż po ostatni dzień, chleb mogący zmienić się w Jego Kościele w Jego własne Ciało. W chwili, w której Jego śmiertelne Ciało umiera, by zmienić się w związek pełni Jego Ciała, jakim jest Kościół, czy mamy dziwić się, że chleb, którym się odżywiał, może ulec przemienieniu w Jego chwalebne Ciało, w każdym miejscu, w którym powtarza się nad nim słowo Pana?" (J. Guillet)

Możemy potwierdzić, że Chrystus nadaje chlebowi najwyższą godność. Eucharystia daje mu pełnię wartości. Nie tylko tej małej części, która zostaje konsekrowana, ale wszystkim chlebom ziemskim.

Eucharystia jednak staje się dla nas, którzy się nią posilamy, określoną odpowiedzialnością. "Tak jak chleb z Ostatniej Wieczerzy, ostatni jaki Jezus trzymał w rękach, reprezentował w Jego oczach wszystkie inne, które brał do ręki i które posilały to Ciało, które teraz miał złożyć w ofierze, tak chleb, który otrzymujemy z Jego rąk w Eucharystii, każe nam myśleć o naszym codziennym chlebie. Z chleba, którego dotykał na ziemi, Jezus uczynił dzięki swej miłości Ciało swoje. Stało się ono naszym pożywieniem, abyśmy potrafili, otrzymując Jego Ciało i Jego Miłość i ofiarując Je Bogu i braciom, przemienić

67

w pożywienie te energie, których oczekujemy od ziemskiego chleba" (J. Guillet).

Kto pożywia się Jego Chlebem, ma obowiązek powtarzać wobec ludzi głodnych, zrozpaczonych, zdradzonych Jego cud rozmnożenia chleba. Cud ten nie tylko zapewnia każdemu człowiekowi chleb, ale przekonuje go też, że jest otoczony miłością.

Chleb zdobyty w pocie czoła.

Chleb rozdzielony pomiędzy wszystkich, czyli chleb - "sakrament" miłości człowieka do braci.

Jedynie wówczas chleb nabiera takiej godności, dzięki której może stać się Ciałem Chrystusa. A więc "mój" chleb ("mój", gdyż praca nadaje osobisty charakter rzeczom, czyni je rzeczywiście "moimi"), stając się "naszym" chlebem, zasługuje na przemienienie go w "Jego" chleb, to jest w "Jego" Ciało.

"Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go" (Łk 24,30-31).

Ludzie, jak dwaj uczniowie z Emaus, wędrują drogami świata. Zmęczeni, rozczarowani, znudzeni, zdradzeni.

Ukradziono im Chrystusa.

Nie odnajdą Go w książkach. Ani w przestrzeniach pozaziemskich.

Odnajdą Go jedynie przy stole, przy łamaniu chleba. Jednak to my, chrześcijanie, musimy przygotować to spotkanie. W znaku chleba.

DWA TYSIĄCE ŚWIŃ NA SZALI

Przybyli na drugą stronę jeziora do kraju Gerazeńczyków. Ledwie wysiadł z łodzi, zaraz wybiegł Mu naprzeciw z grobów człowiek opętany przez ducha nieczystego. Mieszkał on stale w grobach i nawet łańcuchem nie mógł go już nikt związać. Często bowiem wiązano go w pęta i łańcuchy; ale łańcuchy kruszył, a pęta rozrywał i nikt nie zdołał go poskromić. Wciąż

dniem i nocą krzyczał, tłukł się kamieniami w grobach i po górach. Skoro z daleka ujrzał Jezusa, przybiegł, oddał Mu pokłon i zawołał wniebogłose: "Czego chcesz ode mnie, Jezusie, Synu Boga Najwyższego? Zaklinam Cię na Boga, nie dręcz mnie!" Powiedział mu bowiem: "Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka". I zapytał go: „Jak ci na imię?” Odpowiedział Mu: "Na imię mi «Legion», bo nas jest wielu". I prosił Go na wszystko, żeby ich nie wyganiał z tej okolicy. A pasła się tam na górze wielka trzoda świń. Prosił Go więc: "Poślij nas w świnie, żebyśmy w nie wejść mogli". I pozwolił im. Tak duchy nieczyste wyszły i weszły w świnie. A trzoda około dwutysięczna ruszyła pędem po urwistym zboczu do jeziora. I potonęły w jeziorze. Pasterze zaś uciekli i rozpowiedzieli to w mieście i po zagrodach, a ludzie wyszli zobaczyć, co się stało. Gdy przyszli do Jezusa, ujrzeli opętanego, który miał w sobie "legion", jak siedział ubrany i przy zdrowych zmysłach. Strach ich ogarnął. A ci, którzy widzieli, opowiedzieli im, co się stało z opętanym, a także o świniach. Wtedy zaczęli Go prosić, żeby odszedł z ich granic. Gdy wsiadł do łodzi, prosił Go opętany, żeby mógł zostać przy Nim. Ale nie zgodził się na to, tylko rzekł do niego: "Wracaj do domu, do swoich, i opowiadaj im wszystko, co Pan ci uczynił i jak ulitował się nad tobą". Poszedł więc i zaczął rozgłaszać w Dekapolu wszystko, co Jezus z nim uczynił, a wszyscy się dziwili. (Mk 5,1-20)

Wczujmy się w położenie Gerazeńczyków. W ich kraju wydarzyło się coś niezwykłego. Biegną nad brzeg morza. Dwa różne, ale równie wstrząsające obrazy przyciągają ich wzrok. 2 jednej strony trzoda potopionych świń, które do nich należały, z drugiej opętany, który stał się człowiekiem normalnym. A pośrodku stoi Jezus i zmusza ich do dokonania niesłychanego wyboru: dwa tysiące świń albo jeden człowiek.

UTRACONA TRZODA

Znali go dobrze. Okrywał wstydem okolicę. Furiat. Wydawało im się, że uczynili dla tego nieszczęśliwca wszystko, co

69

było w ich mocy. Wpierw dobrocią. Bez rezultatów. Potem siłą. Jednak on kruszył łańcuchy jak suche gałązki. I wtedy pozostawili go własnemu losowi.

Sami musieli martwić się o świnie.

Człowiek zawsze łatwo godzi się na nieszczęścia innych, szczególnie jeśli chce uratować własny spokój.

Znajduje tysiące powodów, by skazać drugiego na samotność.

Na szczęście "potwór" nie szkodził nikomu. Był co prawda trochę dziwny. Miał okropny zwyczaj: wędrował nagi. Jednak jego droga nie wychodziła poza groby i urwiska górskie. "Wyłączony", żył pośród umarłych. Nie psuł szczęścia nikomu. Żywi mogli zasypiać ze spokojnym sumieniem. A za dnia zajmować się własnymi sprawami, czyli trzodami świń.

Szaleniec zawsze trzymał w rękach kamienie, co nie było zbyt bezpieczne. Jednak był na tyle w porządku, że używał ich wyłącznie przeciwko własnemu ciału. I można się było spodziewać, że pewnego dnia uderzy silniej niż zazwyczaj. W ten sposób uwolniłby ich definitywnie od swej kłopotliwej obecności.

Człowiek opętany przez ducha nieczystego stał się już tylko tematem rozmów w kraju Gerazeńczyków. Jednak nie istniał problem ocalenia go. Brak było prób, wspólnych zabiegów, by go odzyskać.

Jezus tymczasem...

Poprzedniej nocy stoczył pojedynek z rozszałym morzem. Poskromił wiatr, zagroził rozpętanym żywiołom. Zdołał uciszyć burzę.

Teraz znalazł się twarzą w twarz z szatanem. Przyjął od razu zdecydowaną postawę zwycięzcy: "Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka".

Zwrócił Gerazeńczykom eks-potwora. A oni patrzeli głęboko wstrząśnięci. Niemożliwe okazało się możliwe. Opętany stał się podobny do nich. Siedział spokojny i uśmiechnięty. Nawet ubrany.

Oto największe cudy Jezusa: ludzie wykluczeni, potępieni wracają do nas już "normalni". Celnicy, Samarytanka, grzesznicy, Zacheusz, cudzołożnicy, złoczyńcy.

Za coś normalnego uznaliśmy ich potępienie, ich stratę. Chrystus tymczasem zwraca ich nam jako osoby normalne. Takie jak my sami.

Trzeba jednak zawsze zapłacić jakąś cenę za "wyzwolenie" człowieka.

Chrystus żąda tej zapłaty od Gerazeńczyków. Żąda, by w swych sercach uznali, że człowiek jest ważniejszy od świń.

70

Jednak oni się nie zgadzają. Są ludźmi znającymi się na interesach. Wzniosłe uczucia nie zapewnią nikomu pożywienia. Świnie owszem.

O jednego człowieka normalnego jest więcej, o dwa tysiące świń mniej. W świetle ich ksiąg rachunkowych ta operacja oznacza szaleństwo.

Ładny interes. Jeden człowiek zamiast całej trzody.

Świnie stanowią ich majątek.

Ich życie.

Dobrobyt.

Zabezpieczenie.

Trzeba przecież utrzymać rodzinę. Nie można żyć mrzonkami. Człowiek nie jest wart tyle, co dwa tysiące świń.

"Wtedy zaczęli Go prosić, żeby odszedł z ich granic".

Tak, nie chcą więcej ryzykować.

Dwa tysiące świń wystarczy. Aż nadto. Jezus powinien to zrozumieć.

CZŁOWIEK JAKO RYZYKO CHRZEŚCIJANINA

Czym jest chrześcijaństwo dla was?

Nie wiem, co odpowiedziałyby na to pytanie większość wierzących.

Prawdopodobnie wielu powiedziałyby: chrześcijaństwo to przykazania, msza święta, niedziela, sakramenty.

Niektórzy poszliby dalej: chrześcijaństwo oznacza akceptację Boga we własnym życiu.

Więcej - zwrócenie całej swej egzystencji ku Bogu.

I to ma być cała odpowiedź.

Niepostrzeżenie pominięty zostaje jeden element.

Bóg nie jest zbyt pewny, czy potrafimy Go znosić. Poddaje nas wstępnej próbie. Pyta nas przede wszystkim, czy akceptujemy człowieka. Jedynie ten, kto potrafi "znieść" człowieka, będzie w stanie "znieść" Boga.

Jedynie ten, kto nie czuje zawrotów głowy wobec człowieka, nie będzie cierpiał na zawroty głowy, gdy zostanie wyniesiony na wyżyny Boga.

Tak. Pan proponuje wierzącemu swoje słowo, swoją miłość, swoje prawo, swoje życie.

Wpierw jednak proponuje człowieka.

Niektórzy chrześcijanie nadal żyją w niebezpiecznym złudzeniu. Są przeświadczeni, że rzucili się na zdobycie Boga. I nie zauważają, że zbczyli z drogi. Pobłądzili, gdyż pierwszy krok postawili w złą stronę, pominęli człowieka.

71

A gdy nie akceptuje się propozycji "człowiek", całe życie religijne staje się tragiczną iluzją. Człowiek jest ryzykiem Boga. Stwórca zgodził się na to ryzyko. Podjął ryzyko ludzkiej wolności, która mogła zwrócić się przeciwko Niemu.

Dlatego człowiek musi być również ryzykiem chrześcijanina. Nie można go ominąć, nie zrywając więzów z samym Bogiem.

Ile waży człowiek na wadze twego sumienia?

Co wart jest dla ciebie człowiek? (Każdy człowiek: biały, żółty, czarny; święty i łajdak; przyjaciel i przeciwnik; nieznajomy i dobroczyńca; człowiek jako taki: niezależnie od portfela, dyplomu, legitymacji partyjnej czy religii).

Czy godzisz się postawić człowieka na czele wszystkich spraw?

Przed prawem,

karierą,

przepisami,

kalkulacją polityczną,

korzyściami,

równowagą światową,

zyskiem,

maszyną,

pieniędzmi?

Chrystus żąda od każdego z nas, jak od Gerazeńczyków, tego samego decydującego wyboru.

Na jednej szali człowiek. Na drugiej cała reszta. Zgoda na obecność Chrystusa zależy od wahań tej wagi.

TO DLA MNIE ZBYT WIELKIE RYZYKO

Jeżeli potępiam Gerazeńczyków, potępiam samego siebie. I ja bowiem należę do ich rasy.

Również ja posiadam majątek, którego muszę bronić.

Trzodę świń, o którą muszę dbać.

Moje życie płynie spokojnie, bez wstrząsów. Praca zawodowa, utrzymanie rodziny, zwykłe zajęcia. Pracuję, nie czynię nikomu nic złego. Szanują mnie.

Nie chcę, by ten Cudzoziemiec wszczepiał zarodek niepokoju w zdrową tkankę mojej egzystencji.

Wiem, co się zdarza, gdy się Go posłucha. Trzeba wszystko wyrzucić do góry nogami.

Jego miłość draży wnętrze, rani, kaleczy żywe ciało.

Nie. To jest dla mnie zbyt wielkie ryzyko.

72

Niech nie przychodzi mnie wypłoszyć z wygodnego legowiska mojej przeciętności. Jestem "urządzony".

Jego propozycje mnie nie interesują. Wykraczają poza moje możliwości.

Dopóki chodzi o uczęszczanie do kościoła, o jałmużnę czy w miarę regularne zachowanie przykazań, zgoda.

Jednak zmieniać wszystko - co to, to nie. Nie czuję się na siłach, by dokonać jakichś przeszczerpów w sercu, by przejrzeć na nowo skalę wartości.

Naśladować Go? Ani mi się śni. Pójść za Nim? Nie wiadomo, gdzie mógłby mnie zaprowadzić.

Przedkładam moją uczciwość nad szaleństwo Jego krzyża.

Przedkładam moje bezpieczeństwo nad Jego przygodę.

Pazurami trzymam się swego szczęścia za cztery grosze. Jego ..marzenia" nie podniecają mnie.

Nie pasuje do mnie rola świętego. Istnieją inne osoby powołane do tego. Ja nie mogę sobie pozwolić na ten luksus. Muszę chodzić po ziemi, nie mogę bujać w obłokach.

Proszę więc zostawić mnie w spokoju. Proszę zwrócić się do innych. Proszę odejść.

Przecież powinien to zrozumieć.

Ja też mam trzodę świń.

GRZECZNIE POZBYĆ SIĘ INTRUZA

"Wtedy zaczęli Go prosić, żeby odszedł z ich granic".

Zakłóca spokój. Jest niebezpieczny. Trzeba się bronić. Nie wolno czekać, aż spowoduje nowe kłopoty.

Wygląda na to, że ci ludzie czują się teraz zagrożeni przez Jezusa, mniej więcej tak samo jak przedtem czuli się zagrożeni przez opętanego.

Pewnie, Jego nie mogą związać. Po tym, co się wydarzyło, lepiej traktować Go dobrze.

Nie wypędzają Go siłą. To prawda, mają w sercu pieniądze, ale znają też dobre maniery.

Zimna, zawzięta wrogość, maskowana dobrym wychowaniem, jest najgorszym rodzajem nieprzyjaźni jaźni.

Nie wypominają Mu nawet trzody, która uległa zagładzie (to należy przyznać...). Zresztą w jaki sposób mogliby pokryć szkody ci ubodzy rybacy? Koszykiem ryb?

Byle tylko sobie poszedł.

Nie chcą dalszych komplikacji. Są to ludzie, którzy pragną jedynie, by zostawiono ich w spokoju. Kochają porządek nade wszystko. To znaczy interesy.

73

Wolę już burzę od dobrych manier Gerazeńczyków. Ona przynajmniej ma odwagę jawnie uderzyć. A oni pragną jedynie usunąć Go, nie ponosząc ryzyka.

Istnieją środowiska, w których ludzie okazują ci tysiące

uprzejmości tylko po to, by dać do zrozumienia, że nie tu jest twoje miejsce.

Nie. Lepsza już burza. Może przynajmniej wywołać cud, na przykład cud odwagi.

Poprawne zachowanie Gerazeńczyków powoduje jedynie odejście Jezusa.

TEREN OCZYSZCZONY ZE ŚWIŃ

"...gdy wsiadł do łodzi, prosił Go opętany, żeby mógł zostać przy Nim. Jednak nie zgodził się na to, tylko rzekł do niego:

«Wracaj do domu, do swoich, i opowiadaj im wszystko, co Pan ci uczynił i jak ulitował się nad tobą»".

Wielu komentatorów próbuje wyjaśnić, dlaczego Chrystus odmówił prośbie uzdrowionego i polecił mu rozgłaszać wiadomość, choć normalnie nakazuje milczenie.

W tym przypadku nie należy chyba silić się na odczytanie intencji Jezusa; zawsze zresztą jest to operacja ryzykowna. Trzeba zadowolić się odnotowaniem samego faktu.

W Nowym Testamencie czasownik "opowiadać" (apangello) oznacza czasem działalność misyjną.

A więc dotychczasowy opętany staje się pierwszym misjonarzem, pierwszym głosicielem Ewangelii na ziemi pogańskiej.

Chrystus pozornie pokonany, bezsilny wobec odmowy ludzi, zostawia... Tak, zostawia człowieka.

Gdy Jezus wkracza na jakieś terytorium, coś się zmienia. Coś się dokonuje, na przekór niepowodzeniom.

Gerazeńczycy odnoszą wrażenie, że w końcu wszystko wraca do normy. Jednak jest to normalność przesunięta, odbudowana na innych podstawach. Musi się w niej znaleźć miejsce dla człowieka wolnego, więcej, "uwolnionego", który nie godzi się już żyć pośród umarłych.

Nie zdają sobie sprawy, że ten osobnik stał się człowiekiem "zdrowym na umyśle". Zachował jednak dawny zwyczaj: rozrywa łańcuchy i pęta.

Im wystarczyła opowieść pasterzy. Uzdrowiony jednak wie, że ta opowieść jest niekompletna i stronnicza (przedstawia bowiem punkt widzenia świń).

Teraz on musi naświetlić opowieść z właściwej strony. (Ze strony człowieka). Musi ją uzupełnić, uaktualnić, uczynić nie

74

pokojąca; nie może dopuścić, by stała się legendą. Jednym słowem, musi uzmysłowić swoim współziomkom, że stracili nie to, o czym myślą, ale coś innego, o wiele cenniejszego. Tak, stratą była ta łódź, która odplynęła po jeziorze w kierunku przeciwnego brzegu.

Tym, którzy zgłaszają straty, uzdrowiony wykazuje, że utracili przede wszystkim okazję. On to może powiedzieć: "poszedł więc i zaczął rozgłaszać w Dekapolu wszystko, co Jezus z nim uczynił".

"Dziesięć miast" staje się nowym horyzontem dla tego, który poprzednio "krzyczał" po górach.

Teraz rozumiemy, dlaczego Jezus zatrzymał się w tych okolicach. Musiał do końca objaśnić przypowieść o siewcy, opowiedzianą poprzedniego dnia, gdy znajdował się w łodzi.

Należało uzupełnić ją o inny rodzaj terenu, oprócz kamienistego i porośniętego cierniem: teren zajęty przez... świnie.

Na szczęście jednak, ziarno jest już bezpieczne na terenie "oczyszczonym" z nielegalnego okupanta,

ZEPSUTA WAGA

Wyznaję. Nigdy nie przyszło mi na myśl coś podobnego. Według opowieści Marka nawet Gerazeńczycy - a to ma już swoją wymowę - nie mieli odwagi wysunąć podobnego żądania. Chodzi o żądanie odszkodowania za utratę świń. Pomyśleli o tym niektórzy teologowie, wprawdzie z pochwały godną intencją wykazania, że Jezus nie był do tego zobowiązany w myśl sprawiedliwości.

Rzeczywiście prawdą jest, że Bóg bardziej musi bronić się przed niepożądanymi obrońcami z urzędu niż przed zdeklarowanymi nieprzyjaciółmi.

Warto przyjrzeć się argumentom przytaczanym na korzyść osoby, rzekomo odpowiedzialnej za szkodę.

- Subtelność językowa. Jezus nie nakazał szatanom, by weszli w świnie. Po prostu... pozwolił im na to. Byłby to przypadek podobny do klęski żywiołowej nie "chcianej", ale "dopuszczonej" przez Boga.

- Najbardziej nieprzejednani nie bawią się jednak w rozważania językowe. Mówią twardo: słuszna kara, święta zemsta, dobrze im tak. Mają nauczka za zabronioną hodowlę świń. Mamy tu do czynienia z karą. Jeżeli w ogóle - należałoby się zwrócić o odszkodowanie do szatanów...

- Ktoś inny zwraca uwagę, że właścicieli było bardzo wielu. A więc szkoda była podzielona. Dwie lub trzy świnie na każ-

75

dego, najwyżej dziesięć. W końcu strata niewielka i nie ma sensu tak się nad nią rozwodzić.

- Wreszcie istnieje pogląd "duchowy", w którym wyczuwa się zgorznienie. Jezusa interesuje dobro dusz i nie wtrąca się do spraw ziemskich. Troszczy się o uzdrawianie, a nie o ratowanie materialnych interesów ludzi. A więc nie ma mowy o żadnym

wykazie szkód. Również dlatego, że Jezus nie zgodziłby się go przeczytać. Tak mówią.

Wszyscy ci chętni i zdolni adwokaci zapomnieli, w ferworze swych przemówień obrończych, o błahym szczególe. Jezus, nie pytając o zdanie kogokolwiek, pomyślał o wynagrodzeniu za szkody. Zapłacił na miejscu gotówką. Nawet z wyprzedzeniem. Zapłacił bardzo wysoką cenę, nieproporcjonalną: był nią wolny człowiek. Jest co najmniej dziwne, że teologowie tego nie zauważyli.

Jeżeli na naszej wadze jeden człowiek nie "równoważy" dwóch tysięcy świń, znaczy to, że nasza waga jest zepsuta. Lub że wzrok nas zawodzi.

RYZYKO, ŻE OŘĘDZIE STANIE SIĘ KOŁYSANKĄ

Na podstawie epizodu z opętaniem z Gerazy powinniśmy podawać w wątpliwość twierdzenia o obecności Kościoła i chrześcijan w pewnych narodach i środowiskach.

Zawsze istnieje ryzyko, że jesteśmy akceptowani z niewłaściwych powodów. Na skutek niezrozumienia naszej prawdziwej tożsamości. Bez wątplenia jest to groźniejsze niebezpieczeństwo niż odrzucenie.

Niektórzy ludzie akceptują nas, "o ile" im nie przeszkadzamy. Albo sądząc, że dzięki nam można oszczędzić na stróżach (świń, kas pancernych, władzy - to obojętne).

Gdy nasze orędzie przestaje być orędziem wyzwolenia (którego konsekwencje i koszty trzeba ponosić), istnieje niebezpieczeństwo, że stanie się kantyleną, kołysanką mającą usypiać nawet w pełni dnia.

Istnieje wprawdzie niebezpieczeństwo "zredukowania" orędzia ewangelicznego do wymiarów horyzontalnych, ale istnieje również niebezpieczeństwo odwrotne: "zredukowania" wymiaru wertykalnego do wymiarów nieszkodliwości.

Nie warto się ludzić. Autentyczna obecność Chrystusa zawsze czegoś "dotyka". Im bardziej jest wertykalna, tym większe wywołuje szkody.

Jeżeli ta obecność uspokaja, jeżeli nie wkracza na niczyje "pastwiska", należy się obawiać, że On jest jeszcze daleko. Zbyt daleko. Z drugiej strony jeziora.

76

Krzyk nieszczęśliwego musi ucichnąć. Nie dlatego, że nie daje spać przyzwoitym ludziom i niepokoi zwierzęta na pastwiskach, ale dlatego, że ten "wyłączony" stał się bratem.

ALBO PRZEBYWAĆ Z NIM, ALBO ODZYSKAĆ ŚWINIE

Przyznaję. Ja także zmierzyłem ten szczyt nad jeziorem od strony Kursy*, czy jak tam się nazywa.

Nie chodziło mi właściwie o sprawdzenie odległości (zdaje się, że od Gerazy do jeziora jest ponad pięćdziesiąt kilometrów), o stwierdzenie, która droga była dłuższa i uciążliwsza: droga uwolnienia jednego człowieka czy ta, którą przebiegła trzoda świń.

Nie. W głębi serca miałem nadzieję, że odnajdę swoje świnię.

Może Jezus zrobił to "na niby". Może było to zatopienie... symboliczne. Człowiek zawsze się ludzi, że Chrystus "udaje", gdy żąda czegoś, gdy nakazuje rozłąkę, gdy dopuszcza szkody (ponieważ my też udajemy, że jesteśmy z Nim).

Człowiek zgadza się, ale z ukrytą nadzieją, że odzyska w części lub w całości, lub w innej formie, to co dał.

Zawsze zgadzam się, by Chrystus wziął sobie coś ode mnie. Bylebym tylko mógł to w jakiś sposób odzyskać.

Oto dlaczego poszedłem i ja, po kryjomu, zmierzyć to urwisko. Jeżeli nie odnajdzie się świń, można zawsze wykorzystać szczyt, choćby w celach turystycznych. Z tym widokiem na jezioro. A poza tym również były szalenie mogłby stanowić rzadką atrakcję turystyczną. Wszystko w dobrym celu, ma się rozumieć.

Z jedyną niedogodnością: On nie ma nic wspólnego z tymi sprawami.

Tak, to prawda. Drogi Pańskie są nieskończone. Jednak jest mało prawdopodobne, by prowadziły tam, gdzie nasze interesy.

Jezus obiecał nagrodę temu, kto zgodzi się odmieniać czasownik "porzucić". Jednak nikt dotąd nie zdołał wykazać, że "wynagrodzenie" należy tłumaczyć jako "odszkodowanie".

W gruncie rzeczy muszę przyznać, że mieszkańcy Gerazy, przy całej swej zimnej dyplomacji, byli mniej dwuznacznymi. Nie chcieli mieć więcej do czynienia z Jezusem, gdyż dobrze rozumieli, z Kim mają do czynienia. Jednak nie poruszali już więcej sprawy świń.

Ja tymczasem chciałbym być razem z Nim.

I odzyskać moje świnię.

* Miasto odkryte w 1970 roku na wschodnim brzegu jeziora Genezerat, identyfikowane z Gerazą (przyp. red.)

ZŁE OKO

Albowiem królestwo niebieskie podobne jest do gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swej winnicy. Umówił się z robotnikami o denara za dzień i posłał ich do winnicy. Gdy wyszedł około godziny trzeciej, zobaczył innych, stojących na rynku beczynnie, i rzekł do nich: "Idźcie i wy do mojej winnicy, a co będzie słuszne, dam wam". Oni poszli. Wyszedszy ponownie około godziny szóstej i dziewiątej, tak samo uczynił. Gdy wyszedł około godziny jedenastej, spotkał innych stojących i zapytał ich: "Czemu tu stoicie cały dzień beczynnie?" Odpowiedzieli mu: "Bo nas nikt nie najął". Rzekł im: "Idźcie i wy do winnicy!" A gdy nadszedł wieczór, rzekł właściciel winnicy do swego rządcy: "Zwołaj robotników i wypłać im należność, poczynawszy od ostatnich aż do pierwszych!" Przyszli najęci około jedenastej godziny i otrzymali po denarze. Gdy więc przyszli pierwsi, myśleli, że więcej dostaną; lecz i oni otrzymali po denarze. Wziąwszy go, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: "Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmy znosili ciężar dnia i spiekoty". Na to odrzekł jednemu z nich: "Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czy nie o denara umówiłeś się ze mną? Weź, co twoje i odejź! Chcę też i temu ostatniemu dać tak samo jak tobie. Czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?" Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi. (Mt 20,1-16)

Co myślisz o Bogu? Jest to pytanie podstawowe, na które każdy chrześcijanin powinien odpowiadać dość często.

Jeszcze do niedawna mówiło się młodym o konieczności "pilnowania zmysłów". Sądzę, że o wiele ważniejsze jest pilnowanie autentycznego wizerunku Boga.

Wolter zauważył: "Bóg uczynił człowieka na swoje podobieństwo. Jednak człowiek postarał się, by Mu odplącić tym samym!" Pominąwszy sarkazm, musimy przyznać, że prawie niepostrzeżenie tworzymy sobie obraz Boga, który bardzo jest podobny do nas.

Przypisujemy Bogu nasze rysy, nasze myśli, nasze żalosne poglądy, nasze sądy i ciasne postawy. Nie wahamy się nawet wcisnąć Mu do ręki miary naszej sprawiedliwości.

Na szczęście ten, kto umie czytać Ewangelię odważnie, nie bojąc się odrzucić fałszywej pewności siebie, styka się z frag-

78

mentami takimi, jak cytowany na wstępie, które zmuszają nas do stwierdzenia:

- Bóg nie jest taki!

Wówczas należy skorygować ten obraz, który "wykończyliśmy" z tak wielką dbałością o szczegóły.

Na dobrą sprawę powinniśmy być wdzięczni Chrystusowi, który pozwala nam dziś, choć z pewną szorstkością, poprawić błędy. Lepiej teraz niż ostatniego dnia usłyszeć kategoryczne stwierdzenie:

- Bóg nie jest taki!

BÓG "ZUBOŻONY"

Jeden z niemieckich filozofów ostrzega: Bóg jest bliski, ale jest trudny. Jeżeli nie bierzemy pod uwagę tej prawdy, ryzykujemy stworzenie karykatury Boga, nie do przyjęcia dla Zainteresowanego, co jest oczywiste, ale nie do przyjęcia również dla wielu ludzi. Problem współczesnego ateizmu w gruncie rzeczy sprowadza się do pytania: jakiego Boga się odrzuca? Czy przedmiotem odrzucenia jest Bóg prawdziwy, czy też odrażająca karykatura, jaką my, chrześcijanie, często propagujemy?

Ateista często jest rozczarowanym wielbicielem.

Jean Rostand zauważył, że tęsknota za Bogiem jakiegoś niedowiarka jest nieskończenie głębsza od jakiejkolwiek satysfakcji wierzącego.

Wielu chrześcijan zbyt łatwo wierzy.

Tak jak wielu niedowiarków z wielkim trudem nie wierzy.

Jednak nie tylko chrześcijanie rozpowszechniają nieprawdziwy obraz Boga. Materializm dialektyczny, na przykład, z uporem przedstawiał Boga jako niebezpiecznego rywala człowieka, rywala, który kradnie człowiekowi ziemię i zuboża go: jednym słowem, przeszkadza mu być człowiekiem.

Tak więc człowieka oderwano od Boga, aby mu powierzyć ziemię. (Warto się zapytać, co też człowiek zyskał na tej zamianie).

Operację można rozpatrywać z dwóch różnych punktów widzenia.

- Czy to człowiek został zubożony o Boga?

- Czy to również Bóg nie został "zubożony" o ludzkie cechy?

W przypadku słuszności tej drugiej hipotezy (która nie przeciwstawia się pierwszej, ale ją uzupełnia), co się stanie, gdy Bóg (jest to uwaga P. Evdokimova), odwracając schemat Feuer-

79

bacha, zda sobie sprawę z własnego "zubożenia" i przywłaszczy sobie w sposób definitywny to, co ludzkie - totus Christus - a potem nastąpi Sąd?

A TERAZ KWESTIA WYNAGRODZENIA

Powinniśmy ocenić, jak dalece postępowanie Boga różni się od tego, jakie Mu chętnie przypisujemy.

Za jednym zamachem, za pomocą jednej przypowieści, Jezus odrzuca żalosną miarę naszej sprawiedliwości, burzy pojęcia zasługi, słusznej zapłaty, nagrody za aktywność.

Aby móc do końca zrozumieć tę przypowieść, trzeba umieścić ją w kontekście wydarzeń relacjonowanych przez Ewangelię.

Bogaty młodzieniec odwraca się od Jezusa, słysząc niepokojące słowa o zagrożeniu, jakim jest przywiązanie do bogactw.

Ta wypowiedź jest ciosem dla uczniów, którzy wydają się wstrząśnięci, oszołomieni.

Wówczas Piotr, w imieniu towarzyszy (bez wątpienia musieli najpierw odbyć poufną naradę), żąda dokładnych gwarancji:

"Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą, cóż więc otrzymamy? (Mt 19,27)

Co nam dasz w zamian za naszą rozłąkę?

Piotr wysuwa bez niedomówień kwestię wynagrodzenia. Jego żądanie jest normalnym żądaniem zapłaty. Jezus uspokaja go. Więcej nawet, dokonuje jakby uroczystej inwestytury ("zasiadziecie również na dwunastu tronach, sądząc dwanaście pokoleń Izraela"). Jednak Jego hiperboliczna odpowiedź ma ton gorzkiego wyrzutu. Tak jakby mówił: A więc chcecie wystawić Mi rachunek? Boicie się, że moja hojność nie dorówna waszej? Boicie się stracić na tej zamianie? Wyobrażacie sobie,

że Bóg, aby was wynagrodzić, musi posługiwać się waszą ludzką miarą?

W tym miejscu następuje przypowieść o robotnikach w winnicy, która przynosi ostateczne wyjaśnienie sprawy.

BARDZIEJ NIŻ PANEM WINNICY JEST PANEM WŁASNEJ HOJNOŚCI

Należy unikać przenoszenia wszystkich szczegółów tej przypowieści, jak zresztą wszystkich innych, sztywnego przekładania jej na konkretną sytuację naszej egzystencji.

Nie warto na przykład łamać sobie głowy pytaniami typu:

kim są robotnicy zaangażowani o świcie, o godzinie trzeciej, szóstej, dziewiątej?

Chodzi o uchwycenie sedna przypowieści, o zrozumienie jej zasadniczego pouczenia, pojęcia, które Pan pragnie nam wpoić.

80

Tutaj podstawowa myśl, którą ilustrują wszystkie szczegóły, rzuca się w oczy bardzo wyraźnie: nasze stosunki z Bogiem nie mogą wyrażać się w kategoriach sprawiedliwości, ale regulowane są wyłącznie łaską. Nie można ich sprowadzić do rachunkowości "winien - ma", do pracy i słusznej zapłaty. Jest w nich rozmach i nieprzewidywalność miłosierdzia Bożego. Najwłaściwszy komentarz do tej przypowieści mógłby brzmieć:

wszystko jest łaską.

Jakiż to wspaniały gospodarz! Bardziej niż panem winnicy jest panem własnej hojności. Wychodzi na rynek o każdej godzinie dnia. Woła wszystkich. Wszystkim powtarza swoją propozycję. Nie zwraca uwagi na szczegóły. Jedyne warunki, jakie należy spełnić, to odpowiedzieć na wezwanie. Nie patrzy nawet na zegarek. Dla niego zawsze jest odpowiednia pora. Nie zwraca uwagi na "referencje": celnicy, grzesznicy, złodzieje, ludzie nic nie warcą, mogą być "idealnymi" robotnikami w jego winnicy.

A w momencie zapłaty ujawnia się jego niepomysłowa szczodrość.

Zauważmy, że nie szuka wykrętów. Nie ma nic do ukrycia. Rzeczywiście wzywa wpierw najpóźniej najętych, aby wszyscy widzieli i zrozumieli, że jemu wolno być hojnym.

Pieniądze, które im daje, nie są wynagrodzeniem za ich trud, ale są wyrazem dobroci gospodarza.

Dlaczego robotnicy ostatniej godziny cieszą się sympatią gospodarza? Otóż nietrudno odkryć motywy tej sympatii: nie wysuwali żądań, nie układali się o nic, powierzyli się ślepo jego hojności.

Pierwsi tymczasem dyskutowali o warunkach. Zawarli ustny kontrakt. Za 12 godzin pracy, jeden denar wynagrodzenia. I otrzymali to, co było słuszne.

Ostatni tymczasem nie interesowali się zapłatą, nic nie mówili. Po prostu odpowiedzieli na jego zaproszenie: "Idźcie i wy do winnicy". Złożyli podpis in blanco. Dlatego mogli potem radować się hojnością gospodarza.

Niektórzy chrześcijanie sądzą, że religia sprowadza się do tego, co oni sami dają Bogu.

Tymczasem religia sprowadza się do tego, co Bóg czyni dla nas.

Istnieją chrześcijanie, których wieczorny rachunek sumienia to nie spis długów zaciągniętych wobec Boga, ale raczej rejestr długów Boga względem nich samych. Przedstawiają szczegó-

81

6 - Niewygodne Ewangelie

łowy "rachunek". I gdyby mogli, wyciągnęliby szyję, by skontrolować, czy Gospodarz zapisał wszystko, czy zarejestrował dokładnie każdy ich dobry czyn. Codziennie powtarzają to ćwiczenie. Dobrze jest bowiem odświeżyć Bogu pamięć...

Mentalność najemników.

Wrodzona nieumiejętność uważania się za "sługi bezużyteczne".

Nie rozumieją, że niebezpiecznie jest wymagać od Boga "tego, co jest słuszne". (Co za absurdalne wymaganie; a gdyby On zażądał od nas szczegółowego zdania sprawy?)

Prawdziwy robotnik, według serca Bożego, to taki, który nie interesuje się zapłatą.

Ostatni stają się pierwszymi, gdyż ślepo zaufali dobroci Pana. Pierwsi - weterani, wzorowi urzędnicy zostaną skazani na ostatnie miejsca w Królestwie, ponieważ się targowali.

Bóg, gdy chodzi o Jego własne dzieci, nie potrafi liczyć. Myli się w obliczeniach. Odpychają Go księgi rachunkowe. Nie ufa arytmetyce, a jedynie własnemu miłosierdziu.

Kto nie widzi w tym najwyższego piękna, kto wolałby, by serce Ojca zastąpił kalkulator, ten jest podłym najemnikiem.

JA JESTEM ZAPŁATĄ

"...I otrzymali po denarze".

Jednak czy ten denar jest naprawdę ostateczną zapłatą, czy raczej nie jest nią samo życie?

Denarem jesteśmy my sami, nasza egzystencja, zdolności, wolność, jednym słowem wszystko to, czym jesteśmy. Jesteśmy darem Boga.

Wobec tego narzekanie na otrzymany denar równoznaczne jest z narzekaniem na nas samych, z nieakceptowaniem siebie.

W chwili narodzin Bóg dał mi denara. Oto jeden denar. Twoje życie. Wejść do Mojej winnicy, świata, pracuj, rób, co jest w twojej mocy, nie popełniaj zbyt wielu głupstw. Jako zapłatę każdego dnia dam ci tego samego denara. Każdego dnia powtórzę ten sam dar, dam ci twoje życie.

W ten sposób każdy dzień staje się deklaracją miłości ze strony Boga.

Trzydzieści pięć lat. Ponad 12700 razy Bóg powtórzył dar. Podarował go mnie samemu. Miał do mnie tak wielkie zaufanie, że dał mi do rąk moje życie.

Jedynie ja sam mam smutną władzę zdewaluowania tej monety.

"Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?"

82

Miłosierdzie Boże ma jednego nieprzyjaciela - złe oko.

Jednak kto posiada złe oko, jest również nieprzyjacielem siebie samego. Ryzykuje bowiem zniszczenie własnej wieczności.

Jeżeli nie odrzucamy mentalności najemników, jeżeli oczekujemy życia wiecznego jako słusznej zapłaty za nasze zasługi, odbieramy sobie możliwość zdumienia się hojnością Gospodarza jak robotnicy z jedenastej godziny.

Spędzimy wieczność, obliczając własne zasługi. I poprawiając działanie Boga.

To jest potępienie...

TWÓRCZE SŁOWO I KWITNĄCA SKAŁA

Gdy zebrał się wielki tłum i z miast przychodzili do Niego, rzekł w przypowieści: "Siewca wyszedł siać ziarno. A gdy siał, jedno padło na drogę i zostało podeptane, a ptaki powietrzne wydziobały je. Inne padło na skałę i gdy wzeszło, uschło, bo nie miało wilgoci. Inne znowu padło między ciernie, a ciernie razem z nim wyrosły i zagłuszyły je. Inne w końcu padło na ziemię żyzną i gdy wzrosło, wydało plon stokrotny". Przy tych słowach wołał: "Kto ma uszy do słuchania niechaj słucha!" (Łk 8,4-8)

Ewangelia naprawdę nie prawi nam komplementów. Na szczęście. Niedawno oskarżyła nas o to, że mamy "złe oko" (co oznacza naszą nieumiejętność zrozumienia praw miłości Bożej, nasz żalosny upór, by wystawiać rachunki miłosierdziu Bożemu).

Teraz zarzuca nam, że mamy "twarde serce". Tak bowiem można ogólnie określić postawę, którą symbolizują trzy rodzaje gleby, niezdolnej do przyjęcia Ziarna (droga, skała, ciernie). Przypowieścią tą mogą zająć się egzegeci, którzy umieszczają ją we właściwym kontekście i wyjaśniają wiele szczegółów dotyczących natury terenu w Palestynie (gdzie pola poprzecinane były ścieżkami, którymi zdążali wędrowcy i gdzie często pojawiały się kamienie).

Mogą też włączyć się socjologowie, którzy będą chcieli nam ukazać, kim są dzisiaj ludzie-drogi, ludzie-skały, ludzie--ciernie.

Zasadniczo jednak ta przypowieść skierowana jest do nas osobiście. Zmusza nas do rozpoznania wymogów, stawianych nam przez Słowo oraz odpowiedzi, jakich od nas oczekuje. Krótko mówiąc: Jaka jest nasza odpowiedzialność wobec Słowa Bożego? Co z nim zrobiliśmy? Co z nim robimy?

Nasz problem możemy nakreślić w sposób następujący: dlaczego, choć słyszymy właściwe słowa, po wyjściu z kościoła błądzimy? Dlaczego, choć słuchamy wielkich słów, nadal dopuszczamy się niegodnych czynów? Dlaczego zachwycamy się świetlanymi ideałami, a potem znów toniemy w miernocie? Dlaczego z entuzjazmem otwieramy się na Słowo, które

czyni z nas ludzi wolnych, a potem zgadzamy się na niezliczone niewole, w tym na najbardziej upokarzającą - niewolę przeciętności?

Odpowiedź nie może ograniczyć się do przyczyn, motywów marginalnych. Ujawnione zjawisko jest bowiem zbyt rozległe, zbyt powszechne.

Musimy więc głęboko zastanowić się nad istotnymi cechami Słowa. A potem musimy odkryć naszą rzeczywistą postawę wobec niego, która oczywiście okaże się błędna.

CECHY SŁOWA

Słowo stwórcze. Bóg stworzył świat słowem. "Niechaj się stanie światłość..."

Bóg zbawił świat (powtórne stworzenie), zsyłając na ziemię swoje Słowo. "Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas" (J 1,14).

Słowo kryjące zarodek życia. Tym zasadniczo różni się od słów ludzkich. Gdy słuchamy słowa ludzkiego, staramy się je przyswoić, uczynić własnym, włączyć do żywej tkanki naszej wiedzy, spowodować, by zespoliło się z nami.

Inaczej jest ze Słowem Bożym. Posiada Ono w sobie źródło żywe, zdolne przy ludzkiej współpracy dokonać przemian, cudów, jednym słowem stwarzać. Nie możemy przywłaszczyć sobie Słowa. Możemy jedynie i musimy wspomagać tkwiącą w Nim żywotną siłę, dostarczając soków, które umożliwią rozwój kielka.

Nasza zasadnicza postawa wobec Słowa musi cechować się otwartością, uległością, czujnością. Nie wolno się bronić przed Nim ani stawiać mu oporu.

SŁOWO POZBAWIONE MOCY

Niestety, podobni jesteśmy do ziemi, na której panoszą się ciernie. Teren jest już zajęty. Zajęty przede wszystkim przez nas samych. Przez nasze przesady. Przez nasze zwykłe sposoby i schematy myślenia. Przez to, co upieramy się nazywać zdrowym rozsądkiem. Dlatego Słowo zostaje zagłuszone.

Bronimy się przed Słowem, gdyż uważamy je za niebezpieczne, może nas bowiem zmusić do gestów szalonych, z pewnością niewygodnych.

Umieszczamy je w ściśle określonej przegródce naszego umysłu. Usiłujemy je włączyć, dopasować do naszych zwykłych sposobów myślenia i sądzenia. Nie poddajemy się bez zastrzeżeń, jak należałoby uczynić, ale próbujemy przystosować je do siebie. Dlatego Jezus mówi, że musimy znów stać się jak dzieci. A to bardzo trudne.

Umysł dziecka wolny jest od schematów myślowych, od

85

przyzwyczajzeń, które go kępcują. Przyjmuje Słowo z pełną gotowością, bez zastrzeżeń...

A nam chodzi tylko o to, by Słowo nie spowodowało w nas zbyt wielkiego zamętu.

Spieszmy więc "rozbroić" je. usunąć ze względów bezpieczeństwa całą jego wybuchową siłę.

Zamiast zgromadzić konieczną energię, aby wspomóc nieokiełznaną siłę żywotną Słowa, my przygotowujemy enzymy, które je rozkładają, czynią nieszkodliwym i łatwo przyswajalnym dla naszych wybrednych żołądków.

Słowo jest ostrym mieczem. A my staramy się go stępić, aby nie narobił nam kłopotów.

Słowo jest jaśniejącym światłem. A my zasłaniamy je grubym, nieprzezroczystym papierem, aby zbyt nie szkodziło naszemu wzrokowi.

Słowo jest ogniem. A my wylewamy na niego wiadra wody naszego zdrowego rozsądku, fałszywej roztropności, niewiarygodnego lenistwa.

Oto co znaczy "pozbawić Słowo mocy", zdradzić Słowo - mieć twarde serce.

CZY EWANGELIA JEST NIEZWYKŁA?

Nasza wina nie leży więc w braku kultury. (Jezus wybrał Dwunastu na pewno nic spośród ludzi najbardziej wykształconych. nic wymagał dyplomów wyższych uczelni). Nic leży też w naszej niegodności. (Jezus objawił prawdę, o którą był bardzo zazdrosny. kobiecie lekkich

obyczajów. Samarytance: "Jestem Nim Ja, który z tobą mówię"). Jak widzieliśmy, głębokiej przyczyny należy szukać w naszym wewnętrznym nastawieniu, które jest błędne. Właśnie w twardym sercu. Teren jest już zajęty: przez nas samych, przez nasze schematy, przesady, zdrowy rozsądek.

Słowo musi stać się w nas życiem. Nie może pozostać w stadium przyjęcia rozumowego ani w stadium niejasnego sentymentalizmu. Musi stać się życiem. W przeciwnym razie ulega wynaturzeniu, zdewaluowaniu, staje się niepełne.

Cóż więc uczyniliśmy ze Słowem?

Spytajmy siebie: czy zobowiązujemy się rzeczywiście praktykować Ewangelię? Tak. Mam na myśli Ewangelię czystą i prostą. Ponad wszystko. Czy nie gubimy się niekiedy w obłokach obłudnego mistycyzmu lub w kazuistyce formalnego posłuszeństwa drobiazgowym przepisom przestarzałego moralizmu?

Jeszcze raz powtarzam: czy jesteśmy pewni, że dajemy przekonujące, praktyczne, indywidualne i zbiorowe świadectwo Ewangelii?

86

Epizod wyjęty z powieści Bruce'a Marshalla *Każdemu jeden grosz*. Armelle, która zesłała na złe drogi, umiera w szpitalu wydając na świat córeczkę. Przybiega opat Gaston. Niewie[^] rzący lekarz pyta go:

- A co z dzieckiem? Pewnie do sierocińca...

- Nigdy w życiu. Ja się nią zajmę.

- To dość niezwykła sprawa, prawda?

- Chrześcijaństwo faktycznie jest niezwykle. I to jest jego zasadnicza niedogodność.

Pomyślmy: czy również i my nie przyczyniliśmy się do uczynienia Ewangelii "niezwykłą"? A powinniśmy byli uczynić ją zwyczajną, powszechną, obecną w życiu codziennym, w świecie, w każdej sytuacji...

Ewangelia (to znaczy: praktykowanie Ewangelii), która staje się czymś nadzwyczajnym, niezwykle, która wywołuje zdumienie w tych nielicznych momentach, w jakich przejawia się w życiu, to dramat, to wielka nasza odpowiedzialność.

Gdybyśmy tylko na serio traktowali Słowo!

Wówczas razem z tym Słowem, które stało się Życiem, współpracowalibyśmy w powtórny stwarzaniu świata.

Nie zapominajmy bowiem, że jest to Słowo, które stwarza.

Wówczas szalony gest siewcy, który rzuca ziarno również na drogę, na skatki i pomiędzy ciernie, nie wydałby się nam tak dziwny.

Słowo Boże przy naszej współpracy zdolne jest dokonać cudu: dzięki niemu może zakwitnąć pustynia, a ziarno zakiełkuje nawet na jałowej i bezwodnej glebie tego świata.

BOGACTWO JAKO GŁUPOTA

A oto podszedł do Mego pewien człowiek i zapytał: "Nauczycielu, co dobrego mam czynić, aby otrzymać życie wieczne?" Odpowiedział mu: "Dlaczego Mnie pytasz o dobro? Jeden tylko jest Dobry. A jeśli chcesz osiągnąć życie, zachowaj przykazania". Zapytał Go:

"Które?" Jezus odpowiedział: "Oto te: Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie, czcij ojca i matkę oraz miłuj swego bliźniego, jak siebie samego!" Odrzekł Mu młodzieniec:

"Przestrzegalem tego wszystkiego, czego mi jeszcze brakuje?" Jezus mu odpowiedział: "Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną". Gdy młodzieniec usłyszał te słowa, odszedł zasmucony, miał bowiem wiele posiadłości. Jezus zaś powiedział do swoich uczniów:

"Zaprawdę powiadam wam: Bogaty z trudnością wejdzie do królestwa niebieskiego. Jeszcze raz wam powiadam: łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego". Gdy uczniowie to usłyszeli, przerazili się bardzo... (Mt 19,16-25)

"Żaden sługa nie może dwom panom służyć. Gdyż albo jednego będzie nienawidził, a drugiego miłował; albo z tamym będzie trzymał, a tym wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i Mamonie". Słuchali tego wszystkiego chciwi na grosz faryzeusze i podrzywali sobie z Niego. (...) żył pewien człowiek bogaty, który ubierał się w purpurę i bisior i dzień w dzień świetnie się bawił. U bramy jego pałacu leżał żebrak okryty wrzodami, imieniem Łazarz. Pragnął on nasycić się odpadkami ze stołu bogacza; nadto i psy przychodziły i lizały jego wrzody. Umarł żebrak i aniołowie zanieśli go na łono Abrahama. Umarł także bogacz i został pogrzebany. Gdy w Otchłani, pogrążony w mękach, podniósł oczy, ujrzał z daleka Abrahama i Łazarza na jego tonie. I zawołał: "Ojczy Abrahamie, ulituj się nade mną i pošlij Łazarza; niech koniec swego palca umoczy w wodzie i ochłodzi mój język, bo strasznie cierpię w tym płomieniu". Lecz Abraham odrzekł: "Wspomnij synu, że za życia otrzymałeś swoje dobra, a Łazarz przeciwnie, niedole; teraz on tu doznaje pociechy, a ty męki cierpisz. A prócz tego między nami, a wami zionie ogromna przepaść, tak że nikt choćby chciał, stąd do was przejść nie może, ani stamtąd do nas się przedostać". (Łk 16,13-14.19-26)

Historia bogacza, w oczach Chrystusa, rozgrywa się pomiędzy dwoma biegunami: między smutkiem na tej ziemi (młodzieniec odszedł zasmucony) i wiecznym nieszczęściem (strasznie cierpię w tym płomieniu). Zdarzenie z bogatym młodzieńcem i przypowieść o "człowieku bogatym", stanowią przerażającą tego dokumentację.

A ludzie zawsze próbowali obalić diagnozę Ewangelii i stworzyć kontradokumentację. Jeszcze dzisiaj w mentalności wielu ludzi obraz człowieka bogatego kojarzy się instynktownie z obrazem radości. Bajkowe pałace, wspaniałe samochody i jachty, luksusowe hotele, najprzeróżniejsze i najbardziej wytworne przyjemności. I to wszystko nazywa się szczęściem. Tymczasem często jest to jedynie maska szczęścia. Tragiczna parodia szczęścia. Pod nią kryje się przepastna pustka, nuda, bezkresny smutek. Przygnębiona dusza zmuszona jest znosić zniewagi zachłannego "mieć", które uniemożliwia wzrost "być". "Podle jest być szczęśliwym samemu... Życie zwrócone ku pieniądзом jest śmiercią" (A. Camus).

Człowiek bogaty popełnia to szaleństwo: rości sobie prawo do szczęścia w samotności. Nie zdaje sobie sprawy, że szczęście nie jest kawałkiem tortu, który można zjeść w samotności, w czterech ścianach własnego egoizmu, ale że trzeba je dzielić z wszystkimi.

I recytuje kuplety o szczęściu. Jednak tylko naiwni mu wierzą.

Ludzie nie ograniczyli się do ewangelicznej kontestacji, która na twarz "bogatego młodzieńca" wkłada maskę szczęścia. Posunęli się dalej.

Znaleźli drogę do nieba zagrodzoną przez straszną przypowieść o bogaczu lubiącym dużo i dobrze zjeść. Spostrzegli, że brama rajy jest zaryglowana i że widnieje na niej zakaz wstępu podpisany przez Chrystusa: "Zaprawdę powiadam wam: Bogaty z trudnością wejdzie do królestwa niebieskiego. Jeszcze raz wam powiadam: Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego".

Próbowali zatem sforsować blokadę przy pomocy usługowych egzegetów i ogólnej obojętności. Chesterton powiedziałby: poprosili o pomoc przemysłowców i zoologów. Pierwsi usilnie starali się sfabrykować ogromną igłę, przez której ucho wielbłąd mógłby przejść swobodnie (jak pod łukiem tryumfalnym).

Zoologowie ze swej strony łamali sobie głowę, by wyhodować rasę malutkich wielbłądów, które mogłyby bez wielkich trudności przejść przez ucho superigły.

Te próby nie zdołały jednak zneutralizować owych niepokojących "zaprawdę powiadam wam...", "jeszcze raz wam powiadam..."

Ma się ochotę wrzasnąć na niektórych egzegetów: wara od Ewangelii! Albo lepiej: rzuć pióro! Dość już waszych subtelnych rozróżnień i sztuczek, dość już waszych "faktycznie... ale", "rzeczywiście... jednak", "Chrystus mówi... jednak należy wziąć pod uwagę..."

Nie potrzebujemy waszych środków uspokajających i nasennych. My chcemy się zbawić (o ile możliwości, razem z wami).

Prosimy. Zostawcie nas samych z tymi strasznymi słowami i złorzeczeniami Chrystusa. Zostawcie nas samych z Ewangelią, nie złagodzoną waszymi komentarzami i nie osłodzoną waszymi zapewnieniami.

Prawdopodobnie nie uda nam się zasnąć.

Będziemy umierać ze strachu.

Jednak to stanie się naszym (i waszym) zbawieniem. JEGO PORTRET

Jeden z najbardziej realistycznych portretów bogacza zawdzięczamy Mounierowi *.

..Bogacz jest synonimem człowieka, któremu nic się nie może oprzeć. Bogacz posiada środki, by zapanować nad światem.

Nie musi użerać się z ludźmi. Pomiędzy bogatym i innymi istotami leży zawsze pieniądź, który eliminuje opory, fałszuje słowa i zachowania ludzkie. Od czasu do czasu coś się wydarza. ale nawet wydarzenie można kupić: kupuje się zdrowie. czyli chorobę lub śmierć, kupuje się pozory przyjaźni i miłości, dławiąc wszelkie przejawy prawdziwych uczuć. Stwarza się życie niezbyt katastroficzne (pominąwszy niespodzianki losu), które na życzenie może być słodkie albo mdłe, zmysłowe lub ekscytujące.

I tak bogaty stopniowo oducza się Bliźniego. Najgorsze zaś jest jego przeświadczenie, iż posiada świat, ponieważ może go niweczyć. Ta żalosna moc. która działa za pośrednictwem materii i nie wie. co to jest dar z siebie - prawdziwe bogactwo ubogiego, kształtuje oblicze bogacza i styl jego życia, ozdabiając je miłą powierzchownością, kwiecistym uśmiechem i mechaniczną butą. Bogactwo - oto tytuł uzurpowany. Zniekształca ono oblicze nie tylko bogatych, ale również i świata,

• E. Mounier, Rivoluzione personalista e comunitaria, Edizioni di Comunita, s. 177.

90

który rozciąga się przed nimi. Niweluje różnice, zaciera kontury, opiera się na uproszczonej, żalosnej psychologii, tchórzliwej w swych założeniach i w swej postawie wobec życia. Jedynie ubóstwo, które konfrontuje ogołoconą duszę z doświadczeniem i ujawnia jej prawdę, zna wystawne bogactwa świata".

KLASYFIKACJA PSYCHOLOGICZNA

Przedstawiliśmy portret człowieka bogatego, nakreślony, jak się wydaje, tnącą brzytwą.

Pozostaje jeszcze określić jego psychologiczną klasyfikację.

Aby oprzeć się na wiarygodnych danych, zaczerpnijmy je z wypowiedzi Chrystusa:

"Wtedy ktoś z tłumu rzekł do Niego: «Nauczycielu, powiedz mojemu bratu, żeby się podzielił ze mną spadkiem». Lecz On mu odpowiedział: «Człowieku, któż Cię ustanowił sędzią albo rozjemcą nad wami?»

Powiedział też do nich: «Uważajcie i strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo nawet gdy ktoś opływa we wszystko, życie jego nie jest zależne od jego mienia».

I opowiedział im przypowieść: «Pewnemu zamożnemu człowiekowi dobrze obrodziło pole. I rozważał sam w sobie: Co tu począć? Nie mam gdzie pomieścić moich zbiorów. I rzekł: Tak zrobię: zburzę moje spichlerze, a pobuduję większe i tam zgromadzę całe zboże i moje dobra. I powiem sobie: Masz wielkie zasoby dóbr. na długie lala złożone: odpoczywaj. jedz. pij i używaj! Lecz Bóg rzeki do niego: Głupcze, jeszcze tej nocy zażądamy twojej duszy od ciebie:

komu więc przypadnie to, coś przygotował? Tak dzieje się z każdym, kto skarby gromadzi dla siebie, a nie jest bogaty przed Bogiem»" (Łk 12.13-21).

A więc bogaty zostaje sklasyfikowany przez Chrystusa jako "głupiec".

Według Ewangelii, pojęcie, które dokładnie definiuje bogatego, to pojęcie głupoty.

Mówi się zazwyczaj, że za pomocą pieniędzy można uzyskać wszystko. Być może. Jednej rzeczy jednak pieniędzy nigdy nie zdoła uzyskać: by Chrystus cofnął te ostre słowa.

Musimy kochać ludzi bogatych. Z pewnością. Są naszymi braćmi najbiedniejszymi, najbardziej potrzebują naszej miłości.

Powiedziano, nie bez pewnej ironii: "a to, co macie w nadmiarze, dajcie bogatym". Tak, mamy coś do dania bogatym. Naszą litość. Naszą miłość. Przede wszystkim straszne słowa Chrystusa.

91

Najgorsza przysługa, jaką możemy wyświadczyć bogatym, to milczenie. Człowiek bogaty jest już i tak bardzo nieszczęśliwy. Nie pomnażajmy jego nieszczęść, ukrywając czy łagodząc posłanie, które Jezus skierował do niego.

Człowiek bogaty już został zdradzony przez swe bogactwo. Nie powinien zostać zdradzony także przez milczenie chrześcijan.

Uświadamiam sobie, że mówię o bogatych z nastawieniem rasistowskim. Ale przecież i ja należę do ich kategorii. Również i we mnie zagnieździł się bogacz.

Wiem o tym, niekiedy bowiem Pan woła mnie po imieniu:

- Głupcze!

BOGACTWO JAKO NIESZCZĘŚCIE

Natomiast biada wam, bogaczom, bo odebraliście już pociechę wasza! Biada wam, którzy teraz jesteście syści, albowiem głód cierpieć będziecie. Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, albowiem smucić się i płakać będziecie. (Łk 6,24-25)

Bo cóż za korzyść ma człowiek, jeśli cały świat zyska, a siebie zatraci lub szkodę poniesie? (Łk 9,25)

Bogacz to człowiek nieszczęśliwy.

Bogacz to głupiec.

Ale także pechowiec.

Wśród wszystkich nieszczęść ciążyących na nim, najbardziej oczywiste jest to, że nie może spotkać ubogiego i cierpiącego Chrystusa.

Pewnego dnia, znalazłszy się w słynnym sanktuarium, wmieszałem się w pielgrzymkę osób należących do "sfer posiadających" (a może nawet do jakichś jeszcze wyższych sfer).

Po południu uroczysta Droga Krzyżowa wzdłuż trasy wyznaczonej w parku. Honor niesienia krzyża przypadł bardzo pobożnemu i bogatemu właścicielowi ziemskiemu. W pewnych środowiskach nawet pokora jest luksusem, który należy wystawić na pokaz, i wartościowym przywilejem.

O ustalonej godzinie stwierdzono z przerażeniem, że brak krzyża, który miał zostać włożony na pobożne ramiona. Wszyscy starali się temu zaradzić. Wszyscy przystąpili do działania.

Powstało znaczne zamieszanie, wywołane tym gorączkowym poszukiwaniem. A jednak nie udało się znaleźć odpowiedniego krzyża. Trzeba przyznać, że sprawa nie była pozbawiona aspektu komicznego.

Ośmieliłem się zaproponować:

- Poszukajcie ubogiego... Wy, ludzie bogaci, musicie szukać sobie krzyża. Ubogi tymczasem nosi na ramionach już gotowy krzyż.

Wywołałem jedynie lekceważące grymasy. Wołałem nie nalegać, by do końca nie popsuć zabawy, a raczej Drogi Krzyżowej .

Epizod ten może jednak urastać do symbolu sytuacji, w jakiej znajduje się bogaty, do symbolu jego nieszczęścia.

W gwarze ludowej istnieje wyrażenie, które ilustruje doskonałą tożsamość Chrystusa i ubogiego. O kimś nieszczę-

93

śliwym Włosi mówią: e un povero cristo. To jest "biedny Chrystus". Człowiekowi bogatemu nie przysługuje takie utożsamienie.

Jednak nie mówmy już o nieszczęściu, jakim jest niemożność znalezienia krzyża (bez którego można sobie zresztą świetnie radzić).

Rejestr nieszczęść bogacza kryje w sobie inne jeszcze nieprzyjemne niespodzianki.

PIENIĄDZ WYPĘDZA CZŁOWIEKA

Bogactwo zdąża ściśle określoną drogą: z rąk do serca. Z serca do oczu, a potem do rozumu. Wreszcie wypędza człowieka z jego domu.

Z rąk (pomińmy milczeniem to, w jaki sposób do nich trafiły) do serca. To jest pierwszy etap. Serce w sensie biblijnym jest centrum osoby, źródłem jej wolnego działania. Bóg jest zazdrosny o ten strategiczny "węzeł". Gdy zjawia się w nim pieniądz. On odchodzi. W sercu "opanowanym" przez bogactwo nie ma miejsca dla wiary. Bóg i mamona są nie do pogodzenia.

Ewangelia nie pozostawia tu wątpliwości. Stawia nas wobec twardej alternatywy: Bóg albo bogactwo. Albo pokłada się ufność w Bogu, albo w mamonie. Nie może istnieć jedno i drugie, ale tylko jedno albo drugie.

Analiza filologiczna okazuje się tu szczególnie przydatna. Język hebrajski, aby wyrazić fakt wierzenia, używa czasownika 'aman, co oznacza "pozwolić się nieść". To znaczy: ten, kto wierzy, pozwala się nieść przez drugiego, opiera się na innym. Ten, kto wierzy, "pozwala się nieść" przez Boga, opiera się na Bogu.

Otóż etymologia słowa aramejskiego "mamona", według niektórych cenionych biblistów, związana jest z tym samym rdzeniem 'MN czasownika 'aman, który wyraża akt wierzenia. A więc sama etymologia słowa prowadzi nas do zetknięcia się z dylematem Ewangelii: życie polega na tym, czy "pozwalamy się nieść" przez Boga, czy przez mamonę. Albo człowiek opiera się na Bogu, albo na bogactwie.

Rozumiemy już grzech pierworodny bogacza. Polega on na wstawieniu Boga w nawias. Na obywatelstwo bez Niego. Na szukaniu bezpieczeństwa gdzie indziej.

I rozumiemy powód Chrystusowego przekleństwa skierowanego do bogatych.

94

Bogaty zaprzecza "prawdzie naszej więzi wertykalnej z Bogiem" (Y. Congar). Dla niego Bóg jest luksusem, nie koniecznością. A Bóg nie chce być ozdobą.

Serce zajęte przez pieniądz jest opróżnione z Boga.

Z serca do oczu. Bogactwo nieodwracalnie uszkadza wzrok. Nasuwa na oczy zasłonę, przez którą nie widać drugiego człowieka lub widzi się go w sposób niewłaściwy.

Człowiek bogaty nie potrafi już dojrzeć ubogiego. I złości się, gdy inni go widzą. Chciałby, by nie istniał.

Bardzo bogata pani, określana powszechnie jako wzorowa "matka chrześcijanka", po turystycznej podróży do Indii zwierzyła mi się, że nie znalazła tam tej nędzy, "wokół której robi się tyle szumu i która rodzi tyle demagogii również na ambonach". Pozostała zamknięta w swym pokoju z klimatyzacją i widokiem na morze, w najelegantszym hotelu w Bombaju. Jej oczy pozostały zamknięte. Nie istnieje taka statystyka, która zdołałaby je otworzyć.

Słyszałem, jak pewien "szacowny" jegomość, siedząc przy stole (niektóre nonsensy można wypowiadać jedynie nad pełnym talerzem), wygłosił bardzo śmiałą teorię: według niego

Opatrzność Boża obdarzyła ludy zacofane gospodarczo malutkim żołądkiem, "tak małym, że wystarcza prawie nic, by go napełnić".

Człowiek bogaty ma fałszywy obraz ubogiego. Widzi w nim narzędzie, którym można zarobić na Raj. W tym sensie bogaty potrzebuje biedaka. Aby dać mu jałmużnę. Zależy mu na tym, by ubogiego utrzymać w ubóstwie, a nie by umożliwić mu awans społeczny. W przeciwnym razie, jak mógłby dać mu jałmużnę? I jak mógłby mieć spokojne sumienie? Jak mógłby dostać się do Raju?

Wada wzroku dosyć niepokojąca. Wywołuje poważne kłopoty nie tylko w kontakcie z ubogim, ale ogólnie biorąc z każdym człowiekiem. Nie potrafi się już patrzeć na człowieka jako na osobę. Dostrzega się jedynie człowieka usługującego.

Gdy pieniądź przechodzi z serca do oczu, obraz drugiego człowieka nieuchronnie staje się fałszywy, jak w krzywym zwierciadle.

Św. Franciszek miał wspaniałą intuicję w tej dziedzinie. Jeden z braci poprosił go o pozwolenie na posiadanie psałterza. Oto jego odpowiedź:

- Gdy będziesz miał psałterz, będziesz gorąco pragnął posiadać brewiarz. Gdy będziesz miał brewiarz, zasiądziesz w stallach

jak wielki prałat i powiesz do twego brata: "Przynieś mi mój brewiarz".

Bliźni jako mój sługa. Oto fatalna konsekwencja "choroby oczu", na jaką cierpi bogaty.

Z oczu do rozumu. Trzeci etap eskalacji bogactwa. Bogaty staje się całkowicie niezdolny do zrozumienia historii, zrozumienia własnego czasu. Pieniądź przytępia mu rozum*.

Często można usłyszeć wyznanie któregoś z tych panów, zgorszonych realiami współczesnego czasu (również na polu religijnym):

- Ja już zupełnie nic nie rozumiem!

Słusznie. Nie może być inaczej!

Bogaty nie rozumie, że to ubodzy są motorem dziejów, ponieważ wywołują zmiany struktur, walczą o sprawiedliwość. Tymczasem w interesie bogatego jest, by struktury uprzywilejowania nie zmieniały się. On potrzebuje ustalonego nieporządku.

Gdy widzi, że coś się zmienia, nieraz w sposób gwałtowny powtarza:

- Nie rozumiem!

Z rozumu do całej osobowości. Rak rozwija się. Zajął już pozycje strategiczne. Pieniądź opanował całą osobę. Osiągnął ostatni etap rozwoju. I dokonuje końcowej operacji. Eksmituje eks-gospodarza domu. "Wypędza człowieka" (E. Mounier). A w miejsce człowieka osadza jego monstrualną karykaturę:

egoizm.

Pieniądź przechodzi z rąk do serca. Bogaty zostaje pozbawiony Boga. Staje się ubogi w wiarę.

Z serca do oczu. Bogaty zostaje pozbawiony bliźniego. Z oczu do rozumu. Bogaczowi zostaje wydarty sens historii. Z rozumu do całej osobowości. Bogacz zostaje wyrzucony z własnego domu.

Bez Boga, bez bliźniego, bez historii, bez siebie samego. Któż jest bardziej nieszczęśliwy od człowieka bogatego?

SZANSA ZBAWIENIA

Pomimo to istnieje szansa zbawienia bogacza. Jezus powiedział "z trudnością", ale nie wykluczył możliwości zbawienia. A polega ona na "uznaniu" ubogiego. Na przyznaniu mu pierwszeństwa.

- Temat ten rozwinięty jest w jednej z najdonioślejszych książek religijnych ostatnich lat:

Arturo Paoli, Un incontro difficile, Gribaudi.

Ubody są "uprzywilejowanymi klientami" królestwa.

"Błogosławieni jesteście wy, ubodzy, albowiem do was należy królestwo Boże" (Łk 6,20). Są to słowa Chrystusa, wypowiedziane w Kazaniu na Górze, w tej Magna Charta chrześcijaństwa.

Bossuet może pomóc bogatym w odkryciu tej wątej nici zbawienia:

"Kościół jest naprawdę miastem ubogich. Bogacze, nie obawiam się tego stwierdzić, należąc przez swe bogactwo do plemienia tego świata, są w Kościele zaledwie tolerowani... Bogaci są cudzoziemcami, jedynie służba na rzecz ubogich nadaje im obywatelstwo".

Człowiek bogaty, jeżeli chce się zbawić, musi uznać przywi-
leje ubogiego. Musi pokornie stanąć przed nim i poprosić o obywatelstwo w Kościele.

Nie próbujmy traktować ubogiego jako "środka" do osiągnięcia zbawienia, jako "stopnia" umożliwiającego wejście do Raju.

Trzeba uznać się za intruza w Królestwie. Trzeba uznać ubogiego za wyłącznego "posiadacza prawa". Trzeba go uszanować, a nie wyświadczać mu dobrodziejstwa. Okazać mu cześć, a nie miłosierdzie. Kochać go, a nie napełniać mu żołądek. Trzeba prosić go z pokorą, a nie dawać mu wyniośle.

"Niech nikt nie pyszni się tym, że daje coś ubogiemu. Niech nie mówi w swym sercu: «Ja daję, on otrzymuje, ja go przygarniam, on nie ma nawet dachu». Może więcej brakuje tobie. Może ten, którego ty przyjmujesz, jest człowiekiem sprawiedliwym: on potrzebuje dachu, ty nieba, on nie ma pieniędzy, ale tobie brak sprawiedliwości" (św. Augustyn).

Zbawienie bogatego polega przede wszystkim na odkryciu, że klucze Raju znajdują się w rękach ubogiego. Bogaty musi poprosić ubogiego o pozwolenie, by mógł wejść.

"O Boże, długo prosiłem Cię o bogactwo i nie zdawałem sobie sprawy, że w ten sposób wchodzę w konflikt z Ewangelią. To prawda, nie znałem dobrze Ewangelii, mało ją czytałem i była dla mnie niczym zamknięta księga. A jest w niej napisane: «Biada bogaczom». Nigdy nie zwróciłem uwagi na to przekleństwo, które nawet księża ośmielają się przypominać jedynie w formie złagodzonej, czyniąc zeń środek uspokajający. Chciałem być bogaty i starałem się również Ciebie przeciągnąć na moją stronę.

Nie wiem, czy odpowiedziałeś na moją prośbę, czy też moje

Niewygodne Ewangelie

97

bogactwo zawdzięczam jedynie wyteżonej pracy i zdolnościom. Dorobiłem się fortuny uczciwie, jeśli za uczciwe uznać to, co jest dopuszczalne w kulturze zachodniej...

Stary, chciwy i skąpy wuj zostawił mi w spadku owoc swych wyrzeczeń. Założyłem małe przedsiębiorstwo importowo-eks-portowe, jakich jest wiele. Cała moja umiejętność polegała na wykorzystywaniu różnic w cenach i w poziomie życia siły roboczej w różnych regionach, różnic w opłatach za przewóz i w kursie waluty. Miałem sprzyjające warunki do spekulacji. Kupiłem za grosze pewne tereny, które w ciągu roku stokrotnie powiększyły swą wartość. Zbudowałem domy, które sprzedałem za cenę dziesięciokrotnie wyższą. Opłacałem moich urzędników i robotników według przyjętych stawek lub nawet gorzej, musieli pracować w warunkach bardzo prymitywnych.

Niekiedy musiałem przewycięzać wahania funkcjonariuszy za pomocą «prezentów», aby ułatwić realizację moich projektów. Czasami płaciłem również prasie, aby jej informacje były tendencyjne.

Wszystko to ludzie interesu uznają za dopuszczalne. Chrześcijanin łatwo uzyskuje rozgrzeszenie z tej działalności przed trybunałem pokuty. Widocznie spowiednik nie zna się na tym. Rozgrzesza, polecając złożyć jakąś jałmużnę.

Po każdym lukratywnym interesie dawałem na ubogich, na dzieła miłosierdzia każdemu, kto mnie o coś prosił. Prawdę mówiąc w grę wchodziła minimalna część mojego zarobku. Stałem się niezmiernie bogaty, a poważanie, jakim się cieszę, jest proporcjonalne do mojego bogactwa.

Jestem uznawany za dobrego chrześcijanina... I oto czytając na nowo Ewangelię odczułem wielki niepokój. «Biada wam, bogaczom» świętego Łukasza ciągle rozbrzmiewa mi w uszach. Moje bogactwo stanowi jakby mur pomiędzy Tobą a mną, jakby fosę pomiędzy mną a ludzkością.

O Boże, uwolnij mnie od mojego bogactwa"*.

• L. J. Lebret, Preghiere, SEI.

ZAWÓD. KTÓRY NIE BOI SIĘ KRYZYSU

Jezus natomiast udał się na Górę Oliwną, ale o brzasku zjawił się znów w świątyni. Cały lud schodził się do Niego, a On usiadłszy nauczał ich. Wówczas uczeni w Piśmie i faryzeusze przyprowadzili do Niego kobietę, którą pochwycono na cudzołóstwie, a postawiwszy ją pośrodku, powiedzieli do Niego: "Nauczycielu, tę kobietę dopiero pochwycono na cudzołóstwie. W Prawie Mojżesz nakazał nam takie kamienować. A Ty co mówisz?" Mówili to wystawiając Go na próbę, aby mieli Go o co oskarżyć. Lecz Jezus nachyliwszy się pisał palcem po ziemi. A kiedy w dalszym ciągu Go pytali, podniósł się i rzekł do nich: "Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień". I powtórnie nachyliwszy się pisał na ziemi. Kiedy to usłyszeli, wszyscy jeden po drugim zaczęli odchodzić, poczynając od starszych, aż do ostatnich. Pozostał tylko Jezus i kobieta, stojąca na środku. Wówczas Jezus podniósłszy się rzekł do niej: "Kobieto, gdzież oni są? Nikt cię nie potępił?" A ona odrzekła: "Nikt, Panie!" Rzekł do niej Jezus: "I Ja ciebie nie potępiam. - Idź, a od tej chwili już nie grzesz". (J 8,1-11)

O tym, że jest to rozdział niewygodny, świadczy fakt, iż brak go w wielu najstarszych manuskryptach i przekładach. Niektórzy przerzucają go od Jana do Łukasza. Pewni krytycy tak tłumaczą tę "czystkę": w epoce krańcowego rygoryzmu w stosunku do grzechu cudzołóstwa opowieść ta mogła stwarzać niebezpieczeństwo, że niektórzy będą ją interpretować nazbyt dowolnie. W rzeczywistości dla kogoś, kto ma oczy czyste, epizod ten nie jest dwuznaczny: zawiera wyraźne potępienie cudzołóstwa (zresztą Jezus mówił jasno o świętości małżeństwa), a równocześnie kwestionuje prawo każdego, kto nie jest bez winy, do kamienowania winnego.

Dziś uczeni zapewniają nas, że urywek ten posiada wszelkie cechy historyczności (choć nie znajduje się na właściwym miejscu, wykazuje bowiem styl odmienny od Janowego).

Dlatego nie ma rady. Trzeba odłożyć kamienie.

WIDOK NIE DO ZNIESIENIA

Napięcie sięga szczytu. Niedawno próbowali pojmać Jezusa. Jednak strażę powróciły do kapłanów i faryzeuszów z pustymi rękoma: "Nigdy jeszcze nikt nie przemawiał tak, jak ten człowiek przemawia" (J 7,46).

99

Byli porażeni Jego słowami.

"Odpowiedzieli im faryzeusze: «Czyż i wy daliście się zwieść? Czy ktoś ze zwierzchników lub faryzeuszów uwierzył w Niego?»" Innymi słowy: czy jest choć jeden przyzwoity człowiek, który Go słuchał?

On nie przemawiał tak, jak oni.

Nie myślał jak oni.

Nie pobierał u nich nauk.

Nie prosił ich o upoważnienie.

Wszystko postawił na głowie.

Sprawa jest rozstrzygnięta. "A ten tłum, który nie zna Prawa, jest przeklęty!" Odrzucają Go, gdyż nie ukończył wymaganych szkół, odrzucają też tłum ciemny i dlatego przeklęty.

"I rozeszli się - każdy do swego domu".

Następnego dnia znów dochodzi do starcia. Tym razem na całej linii.

Jezus naucza na dziedzińcu świątyni. Nagle krąg słuchaczy otwiera się, aby przepuścić kobietę prowadzoną przez sforę faryzeuszów i uczonych w Piśmie.

Nie dotykają jej, by się nie skalać: ona jest "nieczysta", a oni są "czyści". "Nauczycielu, kobietę tę dopiero pochwycono na cudzołóstwie..." Szpiegowali ją, czatowali na nią cierpliwie i wreszcie pochwytili in flagranti. Jest w ich słowach zwierzęce zadowolenie ogara, który tropił i pochwycił zdobycz.

"W Prawie Mojżesz nakazał nam takie kamienować..." Słusznie. Gdy stawia się jakiś artykuł prawa obok określonego grzechu, wówczas konkluzja ma pozór matematycznego pewnika. Sprawy wyglądają jednak inaczej, gdy obok kodeksu stawia się osobę, a nie grzech. Jest to jednak zamiana, której ludzie dokonują niechętnie. Zbyt wiele komplikacji, zbyt wiele kłopotów, nie wiadomo, do czego to doprowadzi, a poza tym ręce drżą od chęci rzucenia kamieniem (nie na grzech, ale na grzesznika!).

"A Ty, co mówisz?"

Pułapka została przygotowana z zimną perfidią.

On sam powiedział: "Nie sądzcie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków" (Mt 5,17). A więc według Prawa musi ją potępić. Jednak jeżeli ją potępi, utraci aureolę "miłosiernego", "przyjaciela grzeszników", jaką lud włożył Mu na głowę.

Jeżeli ją natomiast uniewinni, jawnie podepcze Prawo, i będą Go mogli potępić jako heretyka. Jezus wydaje się nie zwracać uwagi na pułapkę.

100

"...nachyliwszy się, pisał palcem po ziemi".

Późniejsi komentatorzy dali upust twórczej fantazji, zastanawiając się nad treścią tego, co napisał Pan.

Św. Hieronim uważa, że Jezus wymienił grzechy oskarżycieli.

Mauriac przypuszcza, że Jezus pisał, aby nie patrzeć w oczy cudzołożnicy, by uniknąć jej zakłopotania i by nie powiększać jej wstydu. Nie wydaje mi się to bardzo przekonujące.

Uważam raczej, że nie chciał skrzyżować spojrzenia z oskarżycielami. Oczy grzesznika, który ośmiela się potępić własnego brata, to widok tak odrażający, że nawet Jezus nie potrafił go znieść.

OTWARTY ŚCIEK

Oni jednak nalegają. Domagają się wyroku za wszelką cenę. "...podniósł się i rzekł do nich..."

A więc skażcie ją, ukamienujcie zgodnie z Prawem. Jednak: "Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień".

Nagle jakby został uniesiony kamień zakrywający ściek. Rozszedł się straszliwy smród.

Każdy został zmuszony do rozliczenia się z tego odoru, z fetoru własnych grzechów, również tych dokładnie ukrytych, które przytłaczały go i pozbawiały sił. On nadal nie patrzył im w twarz. "I powtórnie nachyliwszy się pisał na ziemi". (Niestety! Według Ewangelii jeden tylko raz Chrystus zajmował się tym, co każdego dnia kradnie mi tyle czasu. Kto "żyje", nie potrzebuje pisać...)

"...wszyscy, jeden po drugim zaczęli odchodzić, poczynając od starszych". Dlaczego "poczynając od starszych"?

Może dlatego, że kto jest starszy, ma więcej grzechów? Albo może dlatego, że starsi zostali roztropnie na zewnątrz tłumy, narażając młodych na niebezpieczeństwo, na bliski kontakt z Nauczycielem?

Prawdopodobnie i jedno, i drugie. Był jednak i trzeci powód. Starzy są sprytniejsi. Wiedzą już z doświadczenia, jak kończą się te starcia z Chrystusem. Istnieje ryzyko "utruty twarzy" wobec wszystkich. Lepiej wycofać się przy najmniejszych oznakach niebezpieczeństwa, nim zdarzy się coś nieodwracalnego. A gdyby Jezusowi przyszło do głowy zganić kogoś: - Hej, ty tam z tyłu... To właśnie ty wczoraj, o takiej a takiej godzinie, w takim a takim miejscu zrobiłeś... powiedziałeś... pomyślałeś... coś knułeś...

Odchodzą. Być może wściekli. Ale odchodzą. Pułapka zacięła się w krytycznym momencie.
101

Robi się pusto. Trybunał pustoszeje. "Pozostał tylko Jezus i kobieta, stojąca na środku".
Cudzołożnica otrząsnęła się ze strachu, który poprzednio miażdżył ją bezlitośnie.

"Wówczas Jezus podniósłszy się rzekł do niej: «Kobieto, gdzie oni są? Nikt cię nie potępił?»"
Wreszcie jakiś mężczyzna patrzy na nią bez požądania i rozmawia nie okazując pogardy.
"Nikt, Panie". On jednak, Niewinny, ma prawo rzucić w nią kamieniem. "Rzekł do niej Jezus: «I Ja ciebie nie potępiam»".

Nie potępiam cię, ponieważ niedługo sam zostanę potępiony zamiast ciebie. Ja zapłacę za twój grzech.

Niewinność zna tylko jedną sprawiedliwość: polega ona na cierpieniu za winnego.

"Idź, a od tej chwili już nie grzesz".

Znaczy to: przestań szkodzić samej sobie. I czynić źle innym.

"Nie mogłaby dalej grzeszyć. Jak mogłaby chcieć jeszcze grzeszyć? Czuli, że na zawsze ogarnęło ją spojrzenie, które wybawiło ją od wszystkich. Wspomnienie dobroci, uczucia tak czulego, szło za nią, chroniło ją, zadomowiło się w niej. Nie potrzebowała już więcej wypełniać swego biednego życia grzechami. Jej serce wypełniło się na zawsze wdzięcznością, miłością, radością. Odchodziła zaznawszy łaski, a nie sądu" (L. Evely).

Wystarczyło jedno czyste spojrzenie, jedno słowo oczyszczenia, jeden przyjazny gest, aby podnieść tę kobietę, by dać jej nowe istnienie. Obdarzyć stworzenie zaufaniem znaczy dać mu szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Jezus odchodzi. Zdołał powiększyć krąg swoich zwolenników rekrutujących się z mętów społecznych, z tych, których złośliwość ludzka z pogardą odrzuciła.

"To, co zginęło..."

Jego królestwo nie będzie puste, zapełni się tymi odzyskanymi wyrzutkami.

TOWARZYSTWO UJAWNIANIA CUDZYCH GRZECHÓW

Epizod taki, jak spotkanie Chrystusa i cudzołożnicy powinien wystarczyć, by żaden chrześcijanin nigdy już nie wypowiedział słowa potępienia wobec brata, powinien uniemożliwić wszelki gest karania.

A jednak nie. Epizod o takiej sile wyrazu nie zdołał zniweczyć jednego z najstarszych i najbardziej idiotycznych zawodów świata: wyznawania cudzych grzechów.

102

Zawód albo gra towarzyska. Popularna także w kręgach chrześcijańskich. Kto nigdy nie brał w niej udziału, niech podniesie rękę.

Jesteśmy jedynie mniej "prymitywni", mniej gwałtowni w wykonywaniu wyroku.

Zastąpiliśmy kamienie błotem.

Uparcie odbieramy chleb innym: policjantom, szpiegom, sędziom, prokuratorom, katom.

Jesteśmy wszystkimi równocześnie. Nie wykonujemy jedynie naszego zawodu, a jest nim zawód pomocnika Zbawiciela. Nawet w wolnych chwilach. Nawet jako hobby. Zbyt jesteśmy zajęci zawodami innych ludzi. Nie mamy czasu.

Pewne bolesne karty historii Kościoła (które wreszcie powinniśmy odważnie ujawnić* teraz, gdy ze stosów pozostały tylko zwęglone resztki) stanowią przerażającą dokumentację ceny, jaką trzeba było zapłacić za zlekceważenie nauki zawartej w epizodzie z cudzołożnicą.

Doszło do niewiarygodnego: "zabijam cię w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego".

Jednak mnie interesuje tu bardziej moje życie, moja historia.

Oczywiście, moje grzechy są przerażające. Boję się pozostać z nimi sam. Staram się więc znaleźć towarzystwo cudzych grzechów.

Moje cnoty są raczej blade, jeżeli muszę podkreślać je nieustannie winami (prawdziwymi czy rzekomymi) innych ludzi.

Stałem się ekspertem w rozdzielaniu odpowiedzialności za zło, które widzę wokół siebie. Za to jesteś odpowiedzialny ty, a za to ty. W końcu nie pozostaje w moich rękach ani odrobina winy.

Gdy wymawiam słowa potępienia, nigdy nie niepokoi mnie straszliwe wyzwanie Chrystusa: "Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień". Ja przecież trzymam w ręce błoto, a nie kamienie. Według powszechnej opinii błoto jest dopuszczalne... Błoto w końcu tylko brudzi, nie wyrządza krzywdy, jak kamienie.

Trzeba być ślepym, by potępić innych. "Czemu to widzisz drzazgę w oku brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz? Albo jak możesz mówić swemu bratu: Pozwól, że usunę drzazgę z twego oka, gdy belka tkwi w twoim oku? Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę ze swego oka, a wtedy przejrysz, ażeby usunąć drzazgę z oka twego brata" (Mt 7,3-5).

• Śmiałą próbą tego rodzaju jest książka Hansa Klihnera, / tabu delia sto-ria delia Chiesa, Gribaudo.

103

Aby potępić innych, trzeba cierpieć na nieodwracalną am-nezję. Trzeba zapominać o najbardziej bezspornej rzeczywistości: że jestem grzesznikiem.

W Vitae Patrum (Żywotach Ojców) czytamy:

"Pewien brat popadł w grzech, kapłan nakazał mu odejść z Kościoła. Wówczas Bessarion opat wstał i wyszedł z nim razem mówiąc: «I ja jestem grzesznikiem»".

I jeszcze: "Opat Izaak dotarł raz do klasztoru braci w Teba-idzie i zobaczył pewnego brata, który popełnił grzech, i wydał wyrok na niego. A po powrocie na pustynię zobaczył Anioła Pańskiego, który przyszedł i zatrzymał się przed drzwiami jego celi, mówiąc mu: «Nie wpuszczę cię». A Izaak: «Z jakiego powodu?» W odpowiedzi Anioł powiedział mu: «Bóg posłał mnie z pytaniem, gdzie chcesz, bym wysłał tego brata, którego skazałeś na wygnanie». Zaraz opat okazał skruchę wołając: «Zgrzeszyłem, przebacz». A Anioł: «Wstań, Bóg ci przebacza, ale odtąd bądź czujny i nie osądzaj nikogo, zanim Bóg go nie osądzi»".

Z "Wypowiedzi" Ojców pustyni: "Pewien starzec mawiał:

«Lepiej jest jeść mięso i pić wino, niż zjadać oszczerstwem ciało brata»".

Można powiedzieć: zajęcie, które nie boi się kryzysu. A przecież jest to zawód, który buduje nasze potępienie. Nie może tu być wątpliwości: "Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. Bo takim sądem, jakim sądźcie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzają" (Mt 7,1-2).

Moje sądy, moje wyroki potępienia są cennym materiałem. Bóg gromadzi je zazdrośnie.

Wszystko nagrywa. Pewnego dnia każe mi wysłuchać tej taśmy. Wszystko słusznie, wszystko doskonale, wszystko zgodnie z prawem.

A potępionym będę ja.

Nastąpiła zwykła zamiana celu.

Sam się przecież tego domagałem.

Oszczerstwo, obmowa, oskarżenie, potępienie. Kamienie zadają ból. Ale błoto nie rani. Błoto brudzi.

Tak, błoto brudzi. W końcu zawsze trafia tam, gdzie najmniej się go spodziewamy.

Rzeczywiście, patrzę na siebie w lustrze i widzę, że cały jestem obłożony.

Widzę też błoto na Jego zakrwawionym obliczu.

KONSEKRACJA PRZY STUDNI

Trzeba Mu było przejść przez Samarie. Przybył więc do młoteczka samarytańskiego, zwanego Sychar, w pobliżu pola, które niegdyś dał Jakub synowi swemu Józefowi. Było tam źródło Jakuba. Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny. Nadeszła tam kobieta z Samarii, aby zaczerpnąć wody. Jezus rzekł do niej: "Daj Mi pić!" Jego uczniowie bowiem udali się przedtem do miasta dla zakupu żywności. Na to rzekła do Niego Samarytanka: .Jakżeż Ty będąc Żydem prosisz mnie. Samarytanke, bym Ci dała się napić?" Żydzi bowiem z Samarytanami unikają się nawzajem. Jezus odpowiedział jej na to: "O, gdybyś знаła dar Boży i wiedziała, kim jest Ten, kto ci mówi «Daj Mi się na-pić» - prosiłabyś Go wówczas, a dalby ci wody żywej". Powiedziała do Niego kobieta: "Panie, nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej? Czy ty jesteś większy od ojca naszego Jakuba, który dał nam tę studnię, z której pił i on sam, i jego synowie, i jego bydło?" W odpowiedzi na to rzekł do niej Jezus: "Każdy kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskującej ku życiu wiecznemu". Rzekła do Niego kobieta: "Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać". A On jej odpowiedział: "Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj". A kobieta odrzekła Mu na to: "Nie mam męża". Rzekł do niej Jezus: "Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem. To powiedziałaś zgodnie z prawdą". Rzekła do Niego kobieta: "Panie, widzę, że jesteś prorokiem. Ojcowie nasi oddawali cześć Bogu na tej górze, a wy mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy czcić Boga". Odpowiedział jej Jezus: "Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy, ponieważ zbawienie bierze początek od Żydów. Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec. Bóg jest duchem; potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie". Rzekła do Niego kobieta: "Wiem, że przyjdzie Mesjasz, zwany Chrystusem. A kiedy On przyjdzie, objawi nam wszystko". Powiedział do niej Jezus: .Jestem Nim Ja, który z tobą mówię". Na to przyszli Jego

105

Aby potępiać innych, trzeba cierpieć na nieodwracalną am-nezję. Trzeba zapominać o najbardziej bezspornej rzeczywistości: że jestem grzesznikiem.

W Vitae Patrum (Żywotach Ojców) czytamy:

"Pewien brat popadł w grzech, kapłan nakazał mu odejść z Kościoła. Wówczas Bessarion opat wstał i wyszedł z nim razem mówiąc: «I ja jestem grzesznikiem»^.

I jeszcze: "Opat Izaak dotarł raz do klasztoru braci w Teba-idzie i zobaczył pewnego brata, który popełnił grzech, i wydał wyrok na niego. A po powrocie na pustynię zobaczył Anioła Pańskiego, który przyszedł i zatrzymał się przed drzwiami jego celi, mówiąc mu: «Nie wpuszczę cię». A Izaak: «Z jakiego powodu?» W odpowiedzi Anioł powiedział mu: «Bóg posłał mnie z pytaniem, gdzie chcesz, bym wysłał tego brata, którego skazałeś na wygnanie». Zaraz opat okazał skruczę wołając: «Zgrze-szyłem, przebacz». A Anioł: «Wstań, Bóg ci przebacza, ale odtąd bądź czujny i nie osądzaj nikogo, zanim Bóg go nie osądzi»".

Z "Wypowiedzi" Ojców pustyni: "Pewien starzec mawiał:

«Lepiej jest jeść mięso i pić wino, niż zjadać oszczerstwem ciało brata»".

Można powiedzieć: zajęcie, które nie boi się kryzysu. A przecież jest to zawód, który buduje nasze potępienie. Nie może tu być wątpliwości: "Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni. Bo takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzą" (Mt 7,1-2).

Moje sądy, moje wyroki potępienia są cennym materiałem. Bóg gromadzi je zazdrośnie. Wszystko nagrywa. Pewnego dnia każe mi wysłuchać tej taśmy. Wszystko słusznie, wszystko doskonale, wszystko zgodnie z prawem.

A potępionym będę ja.

Nastąpiła zwykła zamiana celu.

Sam się przecież tego domagałem.

Oszczerstwo, obmowa, oskarżenie, potępienie. Kamienie zadają ból. Ale błoto nie rani. Błoto brudzi.

Tak, błoto brudzi. W końcu zawsze trafia tam, gdzie najmniej się go spodziewamy.

Rzeczywiście, patrzę na siebie w lustrze i widzę, że cały jestem obłożony.

Widzę też błoto na Jego zakrwawionym obliczu.

KONSEKRACJA PRZY STUDNI

Trzeba Mu było przejść przez Samarie. Przybył więc do młoteczka samarytańskiego, zwanego Sychar, w pobliżu pola, które niegdyś dał Jakub synowi swemu Józefowi. Było tam źródło Jakuba. Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny. Nadeszła tam kobieta z Samarii, aby zaczerpnąć wody. Jezus rzekł do niej: "Daj Mi pić!" Jego uczniowie bowiem udali się przedtem do miasta dla zakupu żywności. Na to rzekła do Niego Samarytanka: .Jakżeż Ty będąc Żydem prosisz mnie. Samarytanke, bym Ci dała się napić?" Żydzi bowiem z Samarytanami unikają się nawzajem. Jezus odpowiedział jej na to: "O, gdybyś znała dar Boży i wiedziała, kim jest Ten, kto ci mówi «Daj Mi się na-pić» - prosiłabyś Go wówczas, a dalby ci wody żywej". Powiedziała do Niego kobieta: "Panie, nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej? Czy ty jesteś większy od ojca naszego Jakuba, który dał nam tę studnię, z której pił i on sam, i jego synowie, i jego bydło?" W odpowiedzi na to rzekł do niej Jezus: "Każdy kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu". Rzekła do Niego kobieta: "Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać". A On jej odpowiedział: "Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj". A kobieta odrzekła Mu na to: "Nie mam męża". Rzekł do niej Jezus: "Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem. To powiedziałaś zgodnie z prawdą". Rzekła do Niego kobieta: "Panie, widzę, że jesteś prorokiem. Ojcowie nasi oddawali cześć Bogu na tej górze, a wy mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy czcić Boga". Odpowiedział jej Jezus: "Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy, ponieważ zbawienie bierze początek od Żydów. Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec. Bóg jest duchem; potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie". Rzekła do Niego kobieta: "Wiem, że przyjdzie Mesjasz, zwany Chrystusem. A kiedy On przyjdzie, objawi nam wszystko". Powiedział do niej Jezus: .Jestem Nim Ja, który z tobą mówię". Na to przyszli Jego

105

uczniowie i dziwili się, że rozmawiał z kobietą. Jednakże żaden nie powiedział: "Czego od niej chcesz? - lub - Czemu z nią rozmawiasz?" Kobieta zaś zostawiła swój dzban i odeszła do miasta. I mówiła tam ludziom: "Pójdźcie, zobaczcie człowieka, który mi powiedział wszystko, co uczyniłam: Czyż On nie jest Mesjaszem?" Wyszli z miasta i szli do Niego. Tymczasem prosili Go uczniowie, mówiąc: "Rabbi, jedz!" On im rzekł: Ja mam do jedzenia pokarm, o którym wy nie wiecie". Mówili więc uczniowie jeden do drugiego: "Czyż Mu kto

przyniósł coś do zjedzenia?" Powiedział im Jezus: "Moim pokarmem jest wypełnić wolę Tego, który Mnie posłał, i wykonać Jego dzieło. Czyż nie mówicie: «Jeszcze cztery miesiące, a nadejdą żniwa?» Oto powiadam wam: Podnieście oczy i patrzcie na pola, jak bieleją na żniwo. Żniwiarz otrzymuje już zapłatę i zbiera plon na życie wieczne, tak iż siewca cieszy się razem ze żniwiarzem. Tu bowiem okazuje się prawdziwym powiedzenie:

Jeden siewca, a drugi zbiera. Ja was wysłałem żąć to, nad czym wyście się nie natrudzili. Inni się natrudzili, a w ich trud wyście weszli". Wielu Samarytan z owego miasta zaczęło w Niego wierzyć dzięki słowu kobiety świadczącej: "Powiedział mi wszystko, co uczyniłam". Kiedy więc Samarytanie przybyli do Niego, prosili Go, aby u nich pozostał. Pozostał tam zatem dwa dni. I o wiele więcej ich uwierzyło na Jego słowo, a do kobiety mówili: "Wierzymy już nie dzięki twemu opowiadaniu, na własne bowiem uszy usłyszeliśmy i jesteśmy przekonani, że On prawdziwie jest Zbawicielem świata". (J 4,4-42)

Jezus przybywa do krainy bogatej w cieżgodne pamiątki historyczne, której mieszkańcy są jednak serdecznie nienawidzeni przez Żydów.

"Czyści" uważają Samarytan za rasę niższą, za rodzaj metysów, heretyków i schizmatyków. Później oskarżyciele Jezusa, chcąc Go znieważać, będą Go nazywać: "Samarytanin!"

Pomiędzy Żydami i Samarytanami od najdawniejszych czasów istniał rozłam. W bliżej nie określonej epoce, pomiędzy czasami Nehemiasza i okresem machabejskim, rozłam stał się jawny, gdy Samarytanie zbudowali świątynię, ustanowili kult i kapłanów na górze Garizim. Urocza dolina, nad którą wznosiły się dwa najwyższe szczyty Palestyny: Garizim i Ebal. W tym krajobrazie dochodzi do spotkania, zrelacjonowanego przez Jana. Spotkania z pewnością "niewygodnego", tak z uwagi na środowisko, jak i na osobę, z którą spotyka się Chrystus. W krainie schizmatyków Jezus zmienia radykalnie koncepcję 106

świątyni. Objawia też tajemnicę swego posłannictwa kobiecie lekkich obyczajów.

OKAZJA DO ZEMSTY

Jan maluje tę scenę z wielką dbałością o szczegóły. Powstaje obraz doskonale oddający rzeczywistość.

Popołudnie. Upał. Po długiej podróży Jezus jest naprawdę zmęczony. Chce Mu się pić.

Nadchodzi jakaś kobieta. Jezus rozpoczyna rozmowę:

"Daj Mi pić".

Dziwne. Chrystus przyszedł na ziemię, by przynieść nam zbawienie. Więcej, stał się Darem.

A jednak nadal o coś prosi. Przed urodzeniem prosi swoją Matkę o "tak". Prosi o miejsce w gospodzie. Jana Chrzciciela prosi o chrzest. Piotra, Jana i innych prosi, by poszli za Nim.

Prosi o miejsce przy stole Lwiego. A potem o osiołka, by odbyć tryumfalny wjazd do

Jerozolimy. O izbę dla spożycia Paschy. Ukochanych apostołów prosi o godzinę czuwania.

Również Jego ostatni okrzyk na krzyżu: "pragnę" jest prośbą. Po Zmartwychwstaniu prosi apostołów o coś do jedzenia. Samarytankę prosi o wodę.

Stał się rzeczywiście najmnijszym. Dlatego potrzebuje wszystkich. I wszyscy mogą Mu coś dać.

Kobieta, również w imieniu swych ziomków, z góry cieszy się radością zemsty. Żydzi pogardzają Samarytanami. A ci odpłacają się im tą samą monetą. Teraz Żyd czegoś potrzebuje. Samarytankę korzysta z tego, by uprzykrzyć ów dar, upokorzyć spragnionego Pielgrzyma i zakpić sobie z Niego. "Jakżesz Ty, będąc Żydem, prosisz mnie, Samarytankę, bym Ci dała się napić?" I miałyby ochotę dodać: "Gdybyś jeszcze wiedział, jakiego pokroju kobietą jest ta, do której się zwracasz..."

"Zniknął człowiek. Zniknęła kobieta. Na ich miejscu pozostał Żyd i Samarytankę, niczym martwe symbole antagonizmu, który zrodził i podsyca większość krwawych konfliktów w dawnej i niedawnej przeszłości. Zbyt wiele etykietek przyklepiono człowiekowi, zbyt wiele narzucono mu ról. Zbyt wiele było okupacji na ziemi człowieka!" (P. Mazzolari)

Gdy znika człowiek, aby ustąpić miejsca klasyfikacjom i podziałom podsycanym przez nasze spory (również religijne), płaci za to zawsze Chrystus. Jezus nie reaguje na prowokację. Nie godzi się na kontynuowanie dialogu na zasadzie wymiany ciosów. Pozostaje niewzruszony nawet wówczas, gdy człowiek popisuje się perfidią

107

i bezczelnością. Wie, że często jest to maska, która kryje głębokie cierpienie. Maska sztuczna, która "nie pasuje".

Jezus mówi dalej, nie odpowiadając na zniewagę. Ogranicza się do odrobiny ironii i enigmatycznego tonu:

"O, gdybyś znała dar Boży i wiedziała, kim jest Ten, kto ci mówi: «Daj Mi się napić» - prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej". Tobie wydaje się, że Mnie obdarzasz, a w rzeczywistości to Ja ciebie obdarzam.

Kobieta nie jest przygotowana na taki obrót sprawy: proszący staje się dawcą. Wyczuwa, że trudno jest wygrać z tym Nieznajomym. Od tej chwili nazywa Go "Panem". Jednak nie uznaje się za pokonaną. Zrozumiała trzy rzeczy*:

- że On uważa się za kogoś ważnego;
- że musi posiadać jakąś ważną tajemnicę, tajemnicę czarownika;
- że chwali się, iż może zaczerpnąć wody żywej. Dlatego odpowiada na poszczególne punkty:
 - Bez względu na to, jak wielki jesteś, czy chcesz być większy od "ojca naszego Jakuba, który dał nam tę studnię"?
 - Jaka jest twoja tajemnica?
 - Nie masz nic w ręku. W jaki sposób chcesz zaczerpnąć ze źródła?

KU PRAWDZIE

Jezus przyspiesza tempo rozmowy. "Niecierpliwym pchnięciem zanurza kobietę w pełni prawdy" (F. Mauriac).

"Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskującej ku życiu wiecznemu".

Chrystus nie dyskwalifikuje wody ze studni Jakubowej. Nie przytwierdza wywieszki: "Woda niezdatna do picia!" Podkreśla jedynie jej niewystarczalność. Zwraca uwagę na dysproporcję pomiędzy pragnieniem człowieka a możliwością zaspokojenia, ofiarowaną przez stworzenie. Kładzie akcent nie tyle na mierność pokarmu ziemskiego, ile na wielkość człowieka.

To nie ludzkie radości są małe. To serce człowiecze zostało stworzone zbyt obszerne i dlatego owe radości pozostawiają wiele pustych miejsc, które wołają i domagają się czegoś innego, czegoś lepszego.

Woda czerpana ze wszystkich studni, jakie spotyka się na

- R. Bernard, Le mystere de Jesus, Ed. Salvator.

108

drogach świata tylko doraźnie potrafi zaspokoić pragnienie człowieka. Natychmiast jednak powraca ono i jeszcze gwałtowniej żąda zaspokojenia, które byłoby współmierne do jego wielkości.

Kuszającym propozycjom ludzkim Chrystus przeciwstawia kontrpropozycje. Chlebom mieszkańców Kafarnaum, które żywią ciała, przeciwstawia coś lepszego: "chleb życia". "Kto pożywa ten chleb, będzie żył na wieki" (J 6,58).

Łykowi wody ze studni od Samarytanki w Sychar przeciwstawia "wodę wytryskującą ku życiu wiecznemu".

Chrystus nie potępia błotnistych kałuż ziemi, nie zabiera ludziom ich "popękanych cystern", jeśli w zamian nie ofiaruje czegoś lepszego.

Jeżeli niszczy nasze nory, to aby ofiarować nam "mieszkanie wieczne, nie ulegające zepsuciu".

Jeżeli wprowadza zamieszanie do naszej gry, to aby zaproponować nam inną, mniej ryzykowną.

Jeżeli rozwiewa nasze lęklive marzenia, "które umierają o świetle", to dlatego, by otworzyć nam szeroko oczy na rzeczywistość bardziej zachwycającą od jakiegokolwiek szalonego snu.

Jeżeli wymazuje nasze gryzmoły, to dlatego, by zachęcić nas do stworzenia arcydzieła.

WOŁANIE O RATUNEK

Kobieta czuje się otoczona, zaatakowana, przyciśnięta do muru. Rozumie, że jej własna kapitulacja wobec prawdy jest bliska. A jednak próbuje jeszcze przerwać blokadę. Ucieka się do ironii.

Jej myśl kieruje się ku codziennym trudom. Droga do studni. Dzban na ramieniu. Oślepiający blask słońca. Codziennie to samo. Studnia głęboka prawie na 39 metrów. Nie kończący się sznur. Czerpak, który z trudem wraca na powierzchnię. A potem droga powrotna z ciężkim dzbanem.

Kobieta udaje, że myśli wyłącznie o wodzie potrzebnej w kuchni i do prania. "Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać".

Jakby chciała powiedzieć: taka woda to skarb. Daj mi jej, a zaoszczędzę sobie całego tego kłopotu z przychodzeniem do studni. Niezły żart. Zdanie zabarwione ironią. Jednak niepostrzeżenie skorupa ironii pękła i pozwoliła wydobyć się wezwaniu o pomoc. "Daj mi tej wody!"

Kobieta nadała sygnał SOS. A Chrystus nie pozwala, by pozostał bez odpowiedzi.

109

Zdarza się czasem, że maska nagle opada i ukazuje naszą twarz wykrzywioną niezadowoleniem. Udany uśmiech przeradza się w grymas niesmaku. Śmiech przechodzi w krzyk bólu, jak kryształ uderzony kamieniem. W szczytowym momencie koncertu wydajemy fałszywy ton (a jest to może jedyny ton właściwy, nie przewidziany przez partyturę).

Kto wydał ten mimowolny krzyk bólu? Nie ma wątpliwości:

to nasze "ja" najgłębsze, najbardziej prawdziwe, znudzone farsą skleconą przez inne "ja", które "gra" dla publiczności.

Kobieta, nie w pełni świadomie, wezwała pomocy. A Chrystus natychmiast odpowiedział.

"Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj".

Od razu dotknął jej problemu, jej cierpienia. Nagłe, ostre cięcie skalpela i nowotwór został ujawniony.

Pan zawsze posługuje się tą samą metodą. Chcąc objawić siebie, zaczyna objawiać człowieka jemu samemu.

Gdy Samarytanka zostanie objawiona samej sobie, będzie mogła przyjąć Objawienie i Ewangelię.

Kobiecie nie pozostaje nic innego, jak rozpocząć spowiedź:

"Nie mam męża".

Przerywa. Jednak Jezus śpieszy dokończyć za nią:

"Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem".

Nie jest to z pewnością życie przykładowe. Nie jest też zbyt szczęśliwe. Lekkomysłność, bezwstyd, niestałość. Rozczarowania spowodowane i doznane.

Wszyscy w miasteczku znają jej smutną historię. Jednak ten nieznamy zdarł gwałtownie zasłonę z jej tajemnicy, odsłonił jej serce i jej nędzne życie.

Kobieta nie wie już, co powiedzieć:

"Panie, widzę, że jesteś prorokiem".

Potem próbuje przejąć inicjatywę. Obecność kogoś, kto czytał w jej sercu, staje się coraz bardziej niepokojąca, prawie nie do zniesienia. Bardzo zręcznym manewrem sprowadza kłopotliwą rozmowę na kontrowersje religijne i obrzędowe:

"Ojcowie nasi oddawali cześć Bogu na tej górze..."

Człowiek szuka zawsze jakiegoś wybiegu, by uniknąć radykalnej decyzji. Pewne "trudności intelektualne" mają być alibi, aby nie poddać się Bogu. Można spotkać ludzi (również w naszych salach parafialnych), którzy gadają, dyskutują, gdyż nie potrafią się zdecydować i zacząć "żyć". Trudno jest się nawrócić.

Trudno jest się zaangażować. ("Zainteresowanie" to katego-

ria wynaleziona przez świat nowoczesny, która pozwala uniknąć zaangażowania).

Trudno jest skoczyć w ciemność.

Próby, wobec których Bóg stawia człowieka, mogą się wydawać groźniejsze od pokus szatana.

NOWY CZAS

Gdzie należy czcić Boga: na górze Garizim czy w Jerozolimie?

Takie pytanie postawiła Samarytanka.

Jezus natychmiast przekracza ten problem, nie zagłębia się w szczegóły liturgicznej dysputy.

Rozwiązuje problem na innej płaszczyźnie i otwiera nieoczekiwanie szeroki horyzont.

Ludzie powierzchowni łudzą się, że rozwiążą sprzeczności, eliminując zewnętrzne motywy konfliktów, nie mają bowiem odwagi zmierzyć się z głębokimi przyczynami, które leżą u ich początków.

Chrystus pewną ręką wskazuje na istotę sprawy i określa duchowe podłoże wieloletniej różnicy zdań: "Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy, ponieważ zbawienie bierze początek od Żydów. Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec. Bóg jest duchem;

potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie".

Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób Jezus wypowiada te słowa. Jego ton jest uroczysty, jakby mówił do doktora teologii. Tymczasem ma przed sobą grzesznicę.

Przedtem ujawnił nieomylnie gnębiący ją problem moralny. Teraz dyskutuje z nią poważnie o kwestiach religijnych. Właśnie tej grzesznicy przekazuje jedno ze swych największych objawień.

Świątynia dzieli ludzi. Między dwiema świętymi górami zieje przepaść. A Chrystus pozwala odkryć na nowo Kogoś, kto jest ponad świątynią i świętymi górami: Ojca, który szuka "czcicieli w Duchu i prawdzie".

"Religii zewnętrznej, teologii powierzchownej, jaką ukazuje Mu Samarytanka, przeciwstawia religię Ducha, teologię głębi Bożej. Nie pragnie przez to odrzucić wymiaru zewnętrznego, ale chce zbudować go na wymiarze wewnętrznym, tak na polu religijnym, jak i na polu moralnym" (R. Bernard). Nie chodzi o religię pozbawioną ciała, ale o religię, w której centrum me znajduje się już Jerozolima i jej świątynia, ale każdy poszczególny człowiek.

111

Nadeszła już godzina prawdziwych czcicieli. Mają oni wielbić Boga:

- W Duchu. Duch u Jana nie przeciwstawia się materii lub rzeczywistości zmysłowej, ale "ciału", to jest stworzeniu zamkniętemu w sobie, a więc słabemu. Dzięki Duchowi, czyli pierwiastkowi, który nie ma swej siedziby w człowieku, modlitwa nawiązuje łączność z Bogiem, dosięga miejsca zamieszkania Boga. Jest natchniona przez Ducha.

- W prawdzie. Prawda w języku Jana oznacza objawienie Ojca we własnym Synu. A więc wielbić "w Duchu i prawdzie" albo w "Duchu prawdy", oznacza odpowiadać na Jego inicjatywę i wielbić Go w Jezusie Chrystusie i zgodnie z nauką Jezusa Chrystusa (szczególnie praktykując przykazanie miłości).

Obecność Boża przemieszcza się i rozszerza nieustannie. Z namiotu na pustyni do świątyni w Jerozolimie. Ze świątyni jerozolimskiej do ciała Chrystusa. Z ciała Chrystusa do Kościoła, Jego Ciała Mistycznego. Św. Paweł wyciąga wnioski:

"Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was? Jeżeli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg. Świątynia Boga jest święta, a wy nią jesteście" (I Kor 3,16-17).

Ze świątyni z kamienia do świątyni z żywych kamieni. Człowiek staje się "miejscem Boga". Staje się również kapłanem, który składa ofiarę duchową.

Znowu ofiara. Jednak nie z rzeczy dla człowieka zewnętrznych, tylko z samego życia, zwróconego Bogu poprzez wiarę i miłość w zgodzie z Jego wolą. "Bo do Mnie należy cała zwierzyzna po lasach, tysiące zwierząt na moich górach... Gdybym był głodny, nie musiałbym tobie mówić, bo mój jest świat i to, co go napędza" (Ps 50,10.12).

"Nie chciałeś ofiary krwawej ani obiaty... całopalenia i żer-twy za grzech nie żądałeś. Wtedy powiedziałem: «Oto przychodzę... Jest moją radością, mój Boże, czynić Twoją wolę»" (Ps 40,7-9).

Jedyną rzeczą, jakiej Bóg pragnie od nas (gdyż nie będzie jej miał, jeżeli Mu jej nie damy, a nie chce brać bez naszej zgody), jest nasze serce, my sami, żywe osoby stworzone na Jego podobieństwo. Bóg jest zazdrosny o swój wizerunek wy-rzeźbiony w każdym z nas. Pragnie jednak go otrzymać w ofierze spontanicznej i dobrowolnej.

Tak rozpoczyna się kult duchowy. Człowiek, poza tym że jest świątynią, staje się kapłanem, ofiarnikiem siebie samego przez ofiarę własnej woli, rezygnację z własnych projektów

112

i zgodę na plan Boży. "A zatem proszę was, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście dali ciała swoje na ofiarę żywą świętą, Bogu przyjemną, jako wyraz waszej rozumnej służby Bożej" (Rz 12,1).

PROMIEŃ SŁOŃCA PRZESZYWA MROK

Może kobieta nie zrozumiała, a może jest na tyle inteligentna, że stara się zyskać na czasie, odkładając decydujący krok do przyjścia Mesjasza. "Wiem, że przyjdzie Mesjasz, zwany Chrystusem. A kiedy On przyjdzie, objawi nam wszystko".

Riposta Chrystusa jest miażdżącym, oślepiającym objawieniem: "Jestem Nim Ja, który z tobą mówię".

Chrystus ścigał kobietę, która kryła się za coraz to inną argumentacją. Każde jej wyobrażenie przenosił od razu na wyższy poziom. Teraz przechodzi do wniosków. Objawienie jest pełne: Dawca wody żywej jest Posłańcem Boga. "Wymknęła" Mu się tajemnica, o którą był bardzo zazdrosny (por. Mk 8,30; Mt 16,20; Łk 9,11).

"Jestem Nim Ja, który z tobą mówię".

Zauważmy. Zdumiewające objawienie dokonuje się na obmurowaniu studni. Z jednej strony On, pielgrzym spalony słońcem, szary od kurzu, żebrzący o łyk wody; z drugiej kobieta porzucona przez pięciu mężów, obecnie konkubina szóstego mężczyzny.

Bóg nie przyszedł na ziemię z książką w ręku. I nie zasiadł na katedrze, by ją nam objaśnić. Woli "objaśniać siebie" w sposób raczej niezwykły. Nie ma książki i uczniów, jest tylko zmęczony człowiek i kobieta, której z pewnością nie można nazwać "cnotliwą".

On, Nieznajomy, pozwolił wydrzeć sobie własną tajemnicę.

Ona, kobieta wątpliwej sławy, pozwoliła sobie wydrzeć nieznośny ciężar swego żalnego życia.

Ubogi, który zebrał o łyk wody, wzbogacił zarozumiałą kobietę pełnym dzbanem.

KONSEKRACJA

Nadchodzą uczniowie i wyciągają zapasy żywności. Kobieta korzysta z zamieszania i odchodzi, pozostawiając tam swój dzban. Biegnie do miasteczka, puka do wszystkich drzwi: "Pójdźcie, zobaczcie człowieka, który mi powiedział wszystko, co uczyniłam: czyż On nie jest Mesjaszem?"

"Dobra Nowina" zostaje ogłoszona przez usta grzesznicy^ "W ciągu kilku godzin Samarytanka została obdarzona miło-

Niewygodne Ewangelie

113

ścią, uświęcona i wysłana jako apostołka przez Pana Jezusa. W czasie krótkiego spotkania przy studni Jakubowej otrzymuje namaszczenie, aby ewangelizować swych braci" (Siostra Marie Terese).

A Jezus, widząc jak powraca prowadząc mieszkańców swego miasteczka, musiał przeżyć to samo wzruszenie, jak przy powrocie 72 uczniów. "W tej właśnie chwili Jezus rozradował się w Duchu Świętym i rzekł: «Wysławiam Cię Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom»" (Łk 10,21).

Nie chce nawet jeść. Widok, który ma przed sobą, jest zbyt piękny: "Podnieście oczy i popatrzcie na pola, jak bieleją na żniwo".

Nawet taka kobieta, jak Samarytanka zostaje uznana za osobę godną pracy przy żniwach. Dopiero gdy cały plon zostanie zgromadzony w Domu Ojca, On, nieznanym Podróżny, przestanie odczuwać pragnienie i będzie mógł odpocząć. Wówczas Samarytanka przyjdzie po swój dzban, pozostawiony na obmurowaniu studni.

"Pójdźcie, zobaczcie człowieka, który mi powiedział, co uczyniłam! Czyż On nie jest Mesjaszem?"

Nie chce przesadzać. Pragnie tylko wstrząsnąć zubożanymi, wzbudzić ich zainteresowanie, zasiać wątpliwości. Nie posuwa się dalej. Nie uzurpuje sobie roli, która do niej nie należy. Nie rozpowiada wszystkim treści swej rozmowy z Mesjaszem. Wie, że każdy musi zobaczyć na własne oczy, że spotkanie musi być osobiste.

Samarytanka, pełniąc swą misję apostołską, nauczyła się jednej rzeczy, której wielu "zaangażowanych" chrześcijan z uporem nie bierze pod uwagę: powściągliwości prawdy. Powściągliwość kojarzy się dziś wyłącznie z szóstym przykazaniem (a i to nie zawsze, istnieją bowiem ludzie, "eksperti w dziedzinie seksuologii", którzy pod pretekstem obrony wstydlivosti posługują się językiem bezwstydnym).

Pewni "propagatorzy" wiary uzbrojeni po zęby w najnowocześniejsze techniki, w ferworze jarmarcznej licytacji nie zauważają, że granica między wzniosłością a śmiesznością jest bardzo subtelna. Wystarczy drobnostka, aby ją przekroczyć.

"Prozelityzm religijny zbyt wielu wyznań jawi się współczesnemu światu przede wszystkim jako brak powściągliwości w przeżywaniu religii. Powściągliwość ciała jest poczuciem sacrum, jest sacrum; ale istnieje także powściągliwość wy-

114

szego rządu, która nad nią dominuje i ją gwarantuje: powściągliwość religijna" (G. Bevilacqua).

Powściągliwość nie hamuje apostołskiego rozmachu, narzuca mu jedynie należyty respekt dla Prawdy, godności i wolności innych. Jest pieczęcią autentyczności każdego apostołstwa.

Samarytanka nie chce wyręczać Mesjasza. Przyprawia jedynie do Jezusa swych ziomków, dając im własne, zrodzone z bólu świadectwo: "powiedział wszystko, co uczyniłam".

O reszcie On sam pomyśli. Po doprowadzeniu do spotkania, ona może się usunąć. Może nawet spotkać się z brakiem delikatności tych, którym wyświadczyła dobro: "Wierzmy już nie dzięki twemu opowiadaniu". Co to ma jednak za znaczenie? Oby tylko wierzyli. To nie ona musi stać na piedestale. Gdy ktoś z uporem pragnie pozostać na piedestale, zasłania w końcu

główną Osobę.

"...prosil Go, aby u nich pozostał. Pozostał tam zatem dwa dni". Dwa dni w mieście wyklętych. I Jezus czuje się tam bardzo dobrze, na przekór zgorszeniu zadufanych ortodoksów. Zrewanżuje się za serdeczną gościnność tych ludzi, powierzając właśnie Samarytaninowi rolę bohatera pozytywnego w jednej ze swych najpiękniejszych przypowieści.

Rabini uważali nauczanie kobiet za stratę czasu. Twierdzili, że lepiej jest "spalić słowa Prawa, niż tracić czas na tłumaczenie ich kobietom".

Na szczęście Chrystus nie uczęszczał do szkoły rabinów.

Miał też trochę czasu do stracenia.

KOBIETA "LEKKICH OBYCZAJÓW"

Jeden z faryzeuszów zaprosił Go do siebie na posiłek. Wszedł więc do domu faryzeusza i zajął miejsce za stołem. A oto kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne, dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku, i stanawszy z tyłu u nóg Jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać Jego nogi i włosami swej głowy je wycierać. Potem całowała Jego stopy i namazczała je olejkiem. Widząc to faryzeusz, który Go zaprosił, mówił sam do siebie: "Gdyby On był prorokiem, wiedziałby, co za jedna i jaka jest ta kobieta, która Go dotyka, że jest grzesznicą". Na to Jezus rzekł do niego: "Szymonie, mam ci coś powiedzieć". On rzekł: "Powiedz, Nauczycielu". "Pewien wierzyciel miał dwóch dłużników. Jeden winien mu był pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. Gdy nie mieli z czego oddać, darował obydwoim. Który więc z nich będzie Go bardziej miłował?" Szymon odpowiedział: "Sądzę, że ten, któremu więcej darował". On mu rzekł: "Słusznie osądziłeś". Potem zwrócił się do kobiety i rzekł Szymonowi: "Widzisz tę kobietę? Wszedłem do twego domu, a nie podałeś Mi wody do nóg; ona zaś łzami oblała Mi stopy i swymi włosami je otarła. Nie dałeś Mi pocałunku; a ona odkąd wszedłem, nie przestaje całować nóg moich. Głowy nie namaściłeś Mi oliwą; ona zaś olejkiem namaściła moje nogi. Dlatego powiadam ci: Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała. A ten komu mało się odpuszcza, mało miłuje". Do niej zaś rzekł: "Twoje grzechy są odpuszczone". Na to współbiesiadnicy zaczęli mówić sami do siebie:

"Któż On jest, że nawet grzechy odpuszcza?" On zaś rzekł do kobiety: "Twoja wiara cię ocaliła, idź w pokój!" (Łk 7,36-50)

Nie wiem, czy komukolwiek przyszła kiedyś chęć stworzenia teologii "Jezusa przy stole". To zagadnienie mogłoby doprowadzić do niespodziewanych konkluzji. Faktem jest, że Jego posiłki nigdy nie były spokojne. Również te z przypowieści. Zawsze zakłócały je jakieś wydarzenia. Zawsze podawano jakieś "danie" nie przewidziane w "menu". I nawet gdy inni nie zatruwają atmosfery szemraniem, Jezus sam zabiera głos, by zmącić czyjś spokój.

Podobnie jest w domu faryzeusza Szymona. Już od samego początku "coś nie gra".

Zachowanie gospodarza domu pozbawione jest ciepła. Dziwna mieszanina uprzejmości i rezerwy, grzeczności i zimnego dystansu. Szymon nie jest ani zbyt wrogi, ani zbyt przyjazny.

Krótko mówiąc, jest nieprzenikniony.

Istnieje zachowanie naznaczone chłodną uprzejmością które jest bardziej obraźliwe od wulgarnej niegrzeczności. (Znam pewną osobę, która aby pokazać, że jest na mnie obrażona zwraca się do mnie per "pan").

Na szczęście na uczcie pojawia się pewna grzeszna kobieta która swą płomienną miłością pragnie wynagrodzić nieuprzejmość gospodarza i przywrócić harmonię.

Faryzeusz zaprosił Jezusa, by Go "wybadać".

Grzesznica przyszła nieproszona, aby okazać Mu swą miłość.

On musi obserwować Gościa, aby wyrobić sobie o Nim zdanie.

Ona pojęła już wszystko. Dlatego zdecydowanie otwiera drzwi.

NIEPROSZONY GOŚĆ

"A oto kobieta..."

Jest intruzem. Lista zaproszonych nie przewiduje jej obecności. Jej przybycie do domu przyzwoitego człowieka ma posmak prowokacji. Co za bezczelność!

Nie znamy jej imienia. Znamy tylko jej zawód, polegający na popełnianiu grzechów.

Naprawdę jest nieproszonym gościem. Przyprawiła o ból głowy nie tylko Szymona, zacnego gospodarza domu, ale cały zastęp egzegetów. Ci ostatni zużyli znaczną ilość szarych komórek, aby zidentyfikować tę kobietę. Toczyli nie kończące się dyskusje. Napisali tysiące stron naszpikowanych argumentami, najeżonych cytatami, pełnych "poszlak" mogących oszołomić najsprytniejszych "detektywów".

Ewangelia mówi o dwóch namaszczeniach: o tym w domu Szymona i o tym "na dzień pogrzebu". Czy ta sama osoba dokonała obydwu "namaszczeń"? I czy tę bezimienną można utożsamić z Marią Magdaleną (Marią z Magdali, według Jana), "z której wyszło siedem demonów?" A Maria Magdalena, czy nie była przypadkiem Marią z Betanii?

Niektórzy upraszczają: to ta sama kobieta. Inni utrzymują:

to są dwie różne kobiety. Wielu twierdzi: to są trzy różne kobiety. (Ponieważ chodzi o grzesznice, nic nie kosztuje powiększanie ich liczby, byle tylko nie należeć do niej...)

W każdym razie ten nieproszony gość ma dużo do zrobienia w domu Szymona. Nie ma czasu legitymować się egzegetom. Nie próbuje nawet się przedstawić. Wydaje się mówić: "Czy nie wystarczy wam plotki na mój temat?"

"Kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne".

117

Znają ją wszyscy. To jedna z "tych", kobieta lekkich obyczajów. Jednym słowem ulicznica. Pogardzają nią. Ale wykorzystują.

Również "cnotliwi" potrzebują jej, by poczuć się dobrymi, by móc powiedzieć: "Ja nie poniżyłem się jak ta". Rodzaj dziwacznej autokanonizacji, opartej bardziej na deprawacji innych niż na własnych zasługach.

Jednak również ona zna mężczyzn. Może zna ich lepiej, niż oni sami znają siebie. Zna nawet kobiety, poprzez ich mężów. Zna zgniliznę zepsutego społeczeństwa. Zna ludzi

"przyzwoitych". Tych, którzy smarują się uczciwością niczym kremem do pielęgnacji skóry.

Wie jednak, że pod powłoką dobrego wychowania, moralności, hipokryzji, religii, istnieje cała reszta. Nie robi na niej wrażenia blichtr ani biel biletów wizytowych. Inni zmuszeni są "grać", nakładać maskę. Jej zasługą jest przynajmniej to, że obnosi wokoło własną, prawdziwą twarz. Niezbyt czystą, ale własną.

A w głębi prawdopodobnie przechowuje tajemnicę, której zazdrośnie strzeże. Są tacy ludzie z dawnej, zubożałej arystokracji, którzy zmuszeni żyć na nędznym poddaszu i racjonować chleb strzegą w głębi szuflady maleńkiego klejnociku, pamiątki szczęśliwych czasów. Tak samo ona. Zrujnowane życie. Jednak gdzieś w głębi, usilnie chroniony przed ciągłymi

rozczarowaniami i najbardziej poniżającym doświadczeniem, trwa szczątek nadziei. Nadziei na znalezienie kogoś, kto nie będzie traktować jej jedynie jako narzędzia rozkoszy. Nadziei na możliwość ofiarowania własnego serca, nie tylko ciała. Nadziei na rozpoczęcie wszystkiego od nowa, na rozpoczęcie od zera. Nadziei na to, że wreszcie ktoś ją zrozumie.

ŁZY DRUGIM CHRZTEM

"...dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku, i stanawszy z tyłu, u nóg Jego, płacząc zaczęła łzami oblewać Jego nogi i włosami swej głowy je wycierać. Potem całowała Jego stopy i namaszczała je olejkiem".

Każdy modli się na swój sposób. Modlitwa grzesznicy to milczenie i łzy. Jej liturgia, przeniknięta czułością, posługuje się jako "świętymi przedmiotami" flakonem wypełnionym olejkiem i włosami.

Prawdopodobnie widziała już poprzednio Jezusa, słuchała Go i doznała wstrząsu. Być może obdarzył ją wejrzeniem pełnym upomnienia i ufności. Pewną ręką ujął ów skrawek na

118

dzieci, ukryty w jedynym "czystym" miejscu. Od tego momentu nastąpiła radykalna zmiana. W oczach ludzi pozostała grzesznica. Jednak "wewnątrz" zmieniła się. Czuła się już "zamieszkała przez tego Człowieka" (F. Chalet).

Teraz przyszła podziękować.

"Nie obcięła sobie włosów na znak pokuty. Posługuje się nimi na chwałę Chrystusa. Jeszcze wczoraj uwodzicielska, dziś posługuje się swą kobiecością, by okazać pokorę i wdzięczność".

*

Jej gesty odznaczają się spontanicznością i pewnością kobiety, która czuje się kochana. Całuje stopy, które wędrowały i wyniszczyły się na wszystkich drogach świata, w poszukiwaniu zabłąkanych owieczek.

"...płacząc..." Również dla niej sprawa się komplikuje. Flakon olejku był zaplanowany. Łzy nie. Jednak włącza je do swej liturgii, przepełnionej wzruszeniem. Dziś nawet chrześcijanie traktują łzy podejrzliwie. Człowiek wstydzi się ich. Uważa za słabość.

Wielu woli raczej narzekać niż płakać. Duchowe mieszczaństwo, które charakteryzuje tyle sektorów naszego katolicyzmu, prowadzi do ironizowania na temat "daru łez".

A przecież łzy mają w sobie coś z charyzmatu i są zewnętrznym przejawem skruchy. Nic nie jest bardziej obce duchowi chrześcijaństwa niż "nieczułość skamieniałego serca".

Św. Jan Klimak wypowiada zdumiewające słowa: "źródło łez po chrzcie jest czymś większym od chrztu". (Sąd ten może wydawać się paradoksalny, może nawet wywołać oburzenie, jeżeli zapomina się, że skrucha jest owocem łaski chrztu: ta sama łaska nabyta, przyswojona przez osobę, staje się w niej darem łez, znakiem pewnym, że serce zostało stopione przez

Bożą miłość**).

A więc płacz jest jakby drugim chrztem.

Wyrażenie skruchy oczyszcza naturę, przywraca piękno stworzeniu, gdyż "najpiękniejszym i najjaśniejszym obliczem

jest oblicze zroszone łzami" (Paweł VI).

Skruchę wyrażoną łzami można uznać za pomost pomiędzy lękiem a nadzieją.

Św. Izaak Syryjczyk mówi: "Skrucha jest drzeniem duszy u bram raju".

• Soeur Marie-Therese, La femme et l'Evangile, Les Editions Ouvrieres. *• W. Łoski. Teologia mistyczna Kościoła wschodniego, przeł. Maria Sza-

niecka, PAX, Warszawa 1989."

119

Powinniśmy też odkryć na nowo ewangeliczne błogosławieństwo, które głosi: "Błogosławieni wy, którzy teraz płaczecie..." (Łk 6,21)

Ten, kto uważa się za grzesznika, nie wstydy się własnych łez. Wie, że przywracają one oczom zdolność kontemplowania Pana.

CUCHNĄCE MYŚLI

"Widząc to faryzeusz, który Go zaprosił, mówił sam do siebie: «Gdyby On był prorokiem, wiedziałby, co za jedna i jaka jest ta kobieta, która Go dotyka, że jest grzesznicą»".

Jest w tym pogarda, ale i satysfakcja. Jezus okazuje się marnym prorokiem, nawet nie wie, jakiej kobiecie pozwala się "dotknąć".

Faryzeusz nie ma odwagi głośno wyrazić swej opinii. Ogranicza się do szemrania "w sobie". Powiedz mi, co myślisz o innych, a powiem ci, kim jesteś. Pewni ludzie odznaczają się tylko jednego rodzaju spójnością:

tą pomiędzy własnymi myślami o innych i własnymi czynami. Myśli się źle, gdyż źle się postępuje. "Myślenie źle" o innych

nieomylnie wskazuje na naszą własną zdolność do popełniania tych samych czynów.

Dostojewski uważał, że gdyby myśli ludzi wydzielaly jakiś zapach, w świecie rozszedłby się odór nie do zniesienia i wszyscy zginęlibyśmy zatruci.

Chrystus nie tylko wyczuwał odór ludzkich myśli, ale czytał je głośno, jak w otwartej księdze:

"Szymonie, mam ci coś powiedzieć..."

Faryzeusz doznaje upokorzenia, ponieważ widzi, iż pochwycono go na "oczywistym przestępstwie myśli" i że czeka go lekcja dobrych manier.

Jakby to nie wystarczało, spotyka go jeszcze jedno umartwienie: zachowanie się "grzeszniczy" zostaje mu ukazane jako przykład i wyrzut. "Widzisz tę kobietę? Wszedłem do twego domu, a nie podałaś Mi wody do nóg: ona zaś łzami oblała Mi stopy i swymi włosami je otarła. Nie dałaś Mi pocałunku, a ona odkąd wszedłem, nie przestaje całować nóg moich. Głowy nie namaściłaś Mi oliwą, ona zaś olejkiem namaściła moje nogi..."

Smagnięcie biczem mogące przeciąć delikatną skórę faryzeusza.

"Słusznie osądziła..."

Pewni ludzie wiedzą wszystko, wypowiadają właściwe sądy. Bieda w tym, że niczego nie rozumieją. Jak Szymon.

120

Zakończył się incydent i przypowieść, która się z niego zrodziła. Jednak konkluzja nie zdążyła w kierunku, którego można oczekiwać.

Biorąc pod uwagę treść przypowieści, logicznie byłoby wnioskować w następujący sposób: darowanie długu jest przyczyną i miarą miłości. Im bardziej ktoś czuje się "obdarzony łaską", tym większą okazuje miłość. A więc kobieta, ponieważ odpuszczone jej zostały liczne grzechy, okazuje wielką miłość. Przebaczenie wyprzedza zatem i rodzi miłość.

Tymczasem Jezus, jak zwykle, dokonuje nieoczekiwanego odwrócenia logiki i wyciąga inne wnioski: serce kobiety zmieniło się zupełnie w momencie, gdy uznała się za grzesznicę. Jeżeli wykonała te wszystkie czynności, znaczy to, że jej serce już było pełne miłości. Dlatego "jej grzechy, jej liczne grzechy zostały wybaczone, gdyż wykazała wielką miłość". To nie przebaczenie powoduje miłość, jak wymagałaby tego logika, ale miłość wywołuje i określa wielkość przebaczenia*.

Człowiek rozumuje inaczej (i to jest powrót do logiki): "Ten, komu przebacza się mało, okazuje mało miłości". Jemu "wybacza się mało", z prostej przyczyny, iż nie uważa się za grzesznika.

"Na to współbiesiadnicy zaczęli mówić sami do siebie: «Któż On jest, że nawet grzechy odpuszcza?»"

Znowu myśli skrzętnie ukrywane. Jednak mimo szemrania i oburzenia obecnych Jezus doprowadza do końca dzieło odzyskania kobiety. Zgiełk złych myśli nie zagłusza formuły rozgrzeszenia, którą Jezus uroczyście wypowiada:

"Przyczyną tego przebaczenia - mówi do kobiety - nie jestem Ja, ale ty: twoja wiara cię ocaliła! Zaś owoc przebaczenia nosisz w sobie: jest to pokój, idź więc w pokój" (R. Bernard).

Kobieta odchodzi.

Wszyscy uważali ją za kobietę lekkich obyczajów.

Ona jednak dopiero teraz czuje się lekka. Zwrócono jej nowe serce, czyste i świeże, jak serce dziecka.

Teraz może zacząć kochać naprawdę. Czuje się bowiem kochana.

A faryzeusz, który zaprosił Jezusa, by Go "wybadać", jeżeli zechce dowiedzieć się czegoś o Nauczycielu, będzie zmuszony zwrócić się do tej kobiety.

A razem z nim wszyscy "porządni obywatele" tego świata.

* Myśl tę rozwija R. Bernard, *Le mystère de Jesus*, I vol., s. 354-355.

ZŁODZIEJ NA KATEDRZE

Powiedział też do uczniów: "Pewien bogaty człowiek miał rządcę, którego oskarżono przed nim, że trwoni jego majątek. Przywołał go do siebie i rzekł mu: «Cóż to słyszę o tobie? Zdad sprawę z twego zarządu, bo już nie będziesz mógł być rządcą». Na to rządcza rzekł sam do siebie: Co ja pocznę, skoro mój pan pozbawia mię zarządu? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem, co uczynię, żeby mnie ludzie przyjęli do swoich domów, gdy będę usunięty z zarządu. Przywołał więc do siebie każdego z dłużników swego pana i zapytał pierwszego: «Ile jesteś winien mojemu panu?» Ten odpowiedział:

«Sto beczek oliwy». On mu rzekł: «Weź swoje zobowiązanie, siadaj prędko i napisz: pięćdziesiąt. Następnie zapytał drugiego: «A ty ile jesteś winien?» Ten odrzekł: «Sto korcy pszenicy». Mówi mu: «Weź swoje zobowiązanie i napisz: osiemdziesiąt». Pan pochwalił nieuczciwego rządcę, że roztropnie postąpił. Bo synowie tego świata rozropniejsi są w stosunkach z ludźmi podobnymi sobie niż synowie światłości. Ja też wam powiadam: Pozyskujcie sobie przyjaciół niegodziwą mamoną, aby gdy wszystko się skończy, przyjęto was do wiecznych przybytków". (Łk 16,1-9)

Nie traktujmy tego rządcy, borykającego się z rachunkami bez pokrycia i z bałaganem w wykazach, jedynie jako postaci komicznej. Jezus stawia go przed nami nie po to, by nas zabawić, ale by udzielić nam konkretnego upomnienia.

Widzimy zatem, że na katedrze "trudnego zawodu chrześcijanina" zasiada dziś ten przezorny administrator, by udzielić nam bardzo ważnej lekcji: lekcji inteligencji i przebiegłości.

A że jest to ważna lekcja, wnioskuje z następującej obserwacji: Chrystus, gdy pragnie nauczyć nas czegoś ważnego, ucieka się do profesorów "pozaetatowych", bez doktoratu, bez kawałka dyplomu, jednym słowem do ludzi, którzy nie należą do "naszego obozu". Czyni tak, aby nas oburzyć, aby spowodować zbawienny szok.

I tak lekcja na temat nowego przykazania, na temat konieczności "bycia bliźnim", zostaje przeprowadzona nie przez nauczycieli dyplomowanych - kapłana i lewitę (ci, co gorsza, dają przykład, którego nie należy naśladować), ale przez heretyka, przez wyklętego Samarytanina.

Przeprowadzenie lekcji na temat: "obowiązek wykazania się inteligencją", Jezus zaleca, jakby dla podkreślenia jej ważno-
122

ści, oszustowi, złodziejowi, może nawet sympatycznemu, ale przecież złodziejowi, wprawiając nas tym w osłupienie. I każe nam go naśladować.

Bez wątpienia cała sympatia Pana jest po stronie "roztropnego rządcy". "Roztropny", a nie "nieuczciwy", jak mówiono przez wiele wieków, to określenie, które mu się prawnie należy. Bardziej dociekliwi egzegeci* wykryli, że określenie "nieuczciwy" miało być jakby dodatkiem, rodzajem osobistego poglądu Łukasza-moralisty, ale że okazało się rzekomo zupełnie obce duchowi przypowieści. Natomiast krytyczna uwaga Jezusa skierowana jest ku tym, którzy nie potrafią naśladować rządcy. Natrafiamy na zdanie, które smaga nas jak biczem: "synowie tego świata roztropniejsi są w stosunkach z ludźmi podobnymi sobie niż synowie światłości".

Ci, którzy chętnie zabawiają się podziałami, klasyfikacjami, mogą być zadowoleni. My z tej, oni z tamtej strony. Tutaj dobro, po drugiej stronie barykady zło. Tym razem jednak jesteśmy zmuszeni uznać: roztropność nie mieszka w naszym domu, ale tam. Nam przypisane zostaje przeciwieństwo roztropności, czyli... no cóż, miejmy odwagę wypowiedzieć to niepochlebne słowo; jeżeli mamy trudności, wystarczy sięgnąć po słownik.

To dziwne, jak "małe sprawy" wyzwalały wielkie namiętności, podczas gdy "wielkie sprawy" zyskują sobie mało namiętności i zaangażowania" (U. Vivarelli). Wystarczy pomyśleć o ogromie inteligencji, wiedzy, studiów, bogactw, mobilizowanych przez wojnę.

A my, którzy pracujemy dla "wielkiej sprawy", dlaczego wykazujemy mniej pomysłowości, mniej inteligencji, mniej inicjatywy, mniej zaangażowania od tych, którzy poświęcają się "małym sprawom"?

"Czy kochacie ideę namiętnie, krwią? Czy idea nie pozwala wam spać? Czy czujecie, że dla niej ryzykujecie życiem?" (A. Camus) Oto niepokojące pytanie, które powinniśmy sobie postawić, nie w związku z naszymi ideami, ale w związku z naszym chrześcijaństwem, które jest przecież czymś więcej niż ideą.

Pracujemy dla Królestwa niebios, dla wielkiej sprawy. Jednak naszą pracę często przygniata zmęczenie, niechlujstwo, partacka robota, opieszałość, całkowity brak inteligencji czy błysku fantazji. Dlaczego? "Wielka sprawa" zostaje w ten sposób pogrążona w morzu nudy. Rzeczywiście, Bóg zrobił ładny interes powierzając nam administrację swych dóbr!

* Por. L. Cerfaux, *Le Tresor des Parables*, s. 135.

123

Dlaczego uważamy inteligencję za luksus, a nie za określone zobowiązanie, konsekwencję daru Bożego? Dlaczego uważamy ją za źródło wielkiego zła? Dlaczego nakładamy jej, często na własną szkodę, kaganiec pokory, chcąc nie dopuścić, by przekroczyła granice herezji, a nie zauważamy, że czasami ten kaganiec staje się zbyt ciasny i w końcu uniemożliwia oddychanie i powoduje paraliż? Dlaczego nie zdajemy sobie sprawy, że najgorszą herezją w stosunku do Królestwa niebieskiego jest obojętność?

Dlaczego uznajemy fantazję za wyłączną własność poetów i pisarzy i uważamy ją za rzecz wręcz nieprzyzwoitą w naszym "zawodzie chrześcijanina"? Dlaczego sprowadzamy siebie do roli zmęczonych i mechanicznych powtarzaczy zakurzonej, pomarszczonej i jałowej prawdy? Twierdźmy, że stoimy po stronie prawdy. To dobrze. Jednak to nie znaczy, że musimy przebierać się w strój strażnika muzeum.

Mówimy, że czynimy dobro. Czy nie nasuwa się nam jednak podejrzenie, iż nie wystarcza czynić dobro, że trzeba również czynić je dobrze, inteligentnie, z wyczuciem realizmu, z przezornością, rozmachem, inwencją?

Mówimy, że należymy do porządku łaski. To dobrze. To nie znaczy jednak, że Pan udzieli nam dyspensy od "trudnego zawodu człowieka", że łaska wyrówna nasze ludzkie niedostatki, że wieczność da alibi naszemu lenistwu i naszej ucieczce od doczesnych zobowiązań.

Dlaczego nie zdajemy sobie sprawy, że jedynym sposobem zmanifestowania naszej wierności wobec wieczności jest życie w terażniejszości?

Podziw Pana dla przebiegłości roztropnego rządcy należy rozumieć jako otwarte potępienie nas, sług nieumiejętnych i leniwych.

Jezus uczył nas, że musimy być dobrzy. Ale nie głupi. I aby pozbać nas wszelkich złudzeń wprowadza na katedrę tego osobnika, którego działalność nie jest wprawdzie zbyt ortodoksyjna, ale który jednak nie pozwala zardzewieć swemu mózgowi.

'Czy w końcu nauczymy się tej lekcji?

Może różnica pomiędzy nami a roztroptym rządcą polega na tym, że on boryka się z rachunkami, które się nie zgadzają, podczas gdy my żyjemy w spokojnej pewności, że nasze rachunki z Bogiem zawsze są w porządku. Nasza bieda właśnie na tym polega, że rachunki zgadzają się zawsze zbyt łatwo. Łudzimy się, że nasze księgi są w porządku, i zasypiamy.

124

"Cóż to słyszę o tobie? Zdaj sprawę z twego zarządu, bo już nie będziesz mógł być rządcą". Trzeba, by Pan wstrząsnął nami w podobny sposób. Niech powie nam szorstko: ależ z ciebie nedorajda, iluż kłopotów mi przysporzyłeś, ileż rozczarowań spowodowałeś! Idź sobie, nie wiem, co począć z kimś tak nieudolnym, odtąd nie będziesz już więcej moim rządcą.

Może potrzeba, by nas wyrzucono bezceremonialnie za drzwi; może wreszcie zdamy sobie sprawę, że mózg jest nam dany właśnie po to, by nim się posługiwać, że odrobina fantazji nie szkodzi i że przebiegłość nie musi być wyłączną prerogatywą "synów tego świata".

"Gwałtownicy zdobywają Królestwo Boże". Tak powiedział Pan. Po lekcji, jakiej udzielił nam ów sprytny nicpoń, można dodać: również ludzie inteligentni i sprytni zdobywają Królestwo Boże.

Jedynie dla głupców nie ma w nim miejsca.

Co ODŁOŻYLIŚMY DO LAMUSA?

Zastanówmy się nad sensem tej niepokojącej przypowieści o roztroptym rządcy-złodzieju, który zdobywa sympatię Pana.

Możemy ustalić trzy jego cechy: inteligencja, fantazja, skłonność do ryzyka.

INTELEGENCJA

"Na to rządcą rzekł sam do siebie: Co ja pocznę, skoro mój pan pozbawia mnie zarządu...?"

Pewien przeziły stary proboszcz pozwalał sobie w tym miejscu na barwne wtrącenie:

"Rządcą podrapał się w głowę i rzekł sam do siebie..." Przypisek nie jest wcale ryzykowny, przeciwnie, zwraca uwagę na rzecz bardzo istotną.

Rządcą zdaje sobie sprawę, że znalazł się w sytuacji raczej kłopotliwej. Wie, że stracił wszystko. Wszystko z wyjątkiem rozumu. I właśnie nim się posługuje, by wydobyć się z kłopotu.

Jest to typowy przykład inteligencji skierowanej w dół. Nie wiem, czy my, "synowie światłości" jesteśmy w stanie przeciwstawić temu przykłady inteligencji skierowanej ku górze. Sądząc po słowach Pana, powinno to być przedsięwzięcie dość trudne.

Powiedzieliśmy: inteligencja nie jest luksusem, ale określonym obowiązkiem i pilną koniecznością. Dlaczego więc tak mało korzystamy z inteligencji w naszym chrześcijańskim świadectwie?

Gdybyśmy chcieli wytoczyć chrześcijanom proces w tej sprawie, świadków oskarżenia byłoby bez liku.

Bruce Marshall uważał, że fakt posiadania prawdy nie upoważnia do pisania złą angielszczyzną.

Wystarczy przerzucić ogromną liczbę katolickich gazet, tygodników, biuletynów wszelakiego kalibru, diecezjalnych i parafialnych, pism instytutów zakonnych, aby przyznać, że przestroga ta jest nadal aktualna.

Mój Boże! Katolicką etykietką opatrzona jest bezkształtna mieszanina nieudolności, dyletanctwa, infantylizmu, głupoty, służalczości, nieumiejętności podejmowania rzeczywistych problemów.

Trzeba przyznać, że w ostatnich latach dokonał się znaczny postęp na tym polu. Jest jednak jeszcze zbyt wiele miejsca oczekującego na wypełnienie go przez inteligencję.

126

Jaki wpływ na opinię publiczną mogą mieć teksty napisane przez "pobożne" (w najlepszym razie), ale zupełnie niedoświadczone pióra? (W istocie nie mają żadnego, co najwyżej pobudzają dobroczynność).

Również na ambonach nie widać nadmiaru inteligencji. Banalność, powierzchowna wiedza, nieodpowiedni język, niewłaściwy "ton"; osoba głosząca posłanie często nie zauważa, że audytorium nastawione jest na inną długość fali; łatwizna, egzotyczne argumenty, niezdolność odczytywania w świetle Ewangelii wydarzeń i realiów z codziennej kroniki. Plez podartych, zniszczonych ubrań człowiek ośmiela się wkładać na ramiona prawdy! I nie mówcie mi o "głupstwie krzyża". To jest głupota autentycznie ludzka. To nie jest "prawda ukrzyżowana". To prawda ograniczona, wyśmiana, nosząca ślady ludzkiego niechlujstwa i lenistwa. To, że ktoś umie się modlić, że jest w dobrych stosunkach z Bogiem, nie upoważnia go do lekceważenia gramatyki, logiki i zdrowego rozsądku. Zbyt wielu "pobożnych" ludzi skłonnych jest ulegać temu niebezpiecznemu nieporozumieniu.

Lista tekstów oskarży cielskich miałaby chyba kilka kilometrów. Książeczki do nabożeństwa pełne niedorzeczności. Prawdziwa pornografia religijna. Drobne dewocjonalia na służbie zabobonu.

Rozmowy chrześcijan charakteryzują się wzniosłą banalnością. Przerażający bełkot na polu liturgicznym i biblijnym. Zasmucający analfabetyzm w zakresie katechizmu. Niepokojący brak "poczucia historycznego" i absolutna niezdolność odczytywania "znaków czasu".

(Dlatego tyle tragicznych gaf w przeszłości i obecnie, tak w wymiarze indywidualnym, jak i zbiorowym). Tępota w dostrzeganiu racji innych (mówię: racji, a nie uchybień, błędów, win) i stąd trudność w nawiązaniu prawdziwego dialogu.

Przynajmy: inteligencji sprytnego rządcy często jesteśmy w stanie przeciwstawić jedynie sporą dawkę głupoty.

"Głupota jest prawdziwą hańbą, ponieważ dotyka ducha. Hańba ciała nie jest tak szkodliwa. Duchowieństwo niewstrze-mięzliwe może głosić prawdę z mocą i rozmachem, duchowieństwo głupie walczy z własną prawdą i przekazuje ją chaotycznie; jemu właśnie zostaje przyznana tajemna moc uczynienia jej głupią" (Julien Green).

To oskarżenie nie odnosi się wyłącznie do duchowieństwa, ale do całego ludu Bożego.

Może nadszedł czas, by zacząć naśladować postawę roztrop-

127

nego rządcy, choćby od tego tak naturalnego gestu podrapania się w głowę. Oznacza to przecież, że człowiek czuje się posiadaczem rozumu.

FANTAZJA

"Wiem, co uczynię..."

Nicpoń obmyśla mistrzowski plan, niespodziewane uderzenie.

Chrześcijaństwo pojawiło się w świecie jako wstrząsająca nowina. Chrystus wprowadził w osłupienie, zgorszył swych słuchaczy niesłychanym Kazaniem na Górze, przypieczętowanym słowami "a Ja wam powiadam".

Później święci byli najbardziej zadziwiającymi tłumaczami tej ewangelicznej nowiny.

Zdumieli świat właśnie swym szaleństwem, dziwactwami, zuchwalstwem, nie znanymi drogami. Ośmieliłbym się powiedzieć - swą nieokiełznaną fantazją.

My tymczasem odłożyliśmy fantazję i inwencję do lamusa, pomiędzy starocie: być może nawet uczyniliśmy to w imię ortodoksji!

Staliśmy się znużonymi powtarzaczami prawdy, którą przechowujemy w kasie pancерnej naszej ograniczoności umysłowej. Ciągłe monotonna powtarzamy te same gesty.

Zastygliśmy w wytartych schematach.

Mamy na wszystko gotowe odpowiedzi, starannie zapakowane, rozłożone w odpowiednich szufladach. Po jednej na każde pytanie. Wydobyliśmy je z podręczników. Strzelamy nimi w rozmówcę z zimną precyzją, nie pomijając ani jednego przecinka.

I tak nie dziwimy już nikogo. Staliśmy się notariuszami, biurokratami nowiny chrześcijańskiej. Żyjemy spokojnie z procentów od kapitału zgromadzonego przez innych.

Nie wnosimy niczego własnego, osobistego, oryginalnego. Jest więc zrozumiałe, że rozczarowujemy tych, którzy się do nas zbliżają.

Nietzsche dał o nas surowe świadectwo: "Wszyscy bardzo podobni, bardzo mali, okrągli, bardzo pojednawczy i bardzo nudni".

Brak nam fantazji. I to nie tylko w głoszeniu prawdy, ale również w okazywaniu miłości, która jako teren szczególnej misji chrześcijanina wymaga genialności i twórczego wysiłku. (Jak wielkimi "twórcami miłości" byli święci!) Udało się nam uwięzić miłość w ciasnych i zakurzonych schematach.

Wiem, że mówię nonsensy, na które będą się bocyć zawodowi psycholodzy. Mam jednak wrażenie, że brak fantazji należy powiązać z brakiem serca. Znaczący to, że nie jesteśmy

128

w stanie wyjść poza utarte gesty ani wymyślić niczego nowego, gdyż nie dość kochamy. Bo jak inaczej wytłumaczyć oryginalność świętych?

SKŁONNOŚĆ DO RYZYKA

"Przywołał więc do siebie każdego z dłużników swego pana..."

Rządca, który popadł w niełaskę, chcąc zabezpieczyć sobie przyszłość, podejmuje wielkie ryzyko. Wchodzi na bardzo niebezpieczną drogę. Dowodzi, że poza rozumem i fantazją ma również... odwagę.

My, przeciwnie, umieściliśmy nasze chrześcijaństwo pod kloszem bezpieczeństwa i dostatku. Zatraciliśmy smak przygody.

Według diagnozy Camusa, nasz wiek jest wiekiem strachu. Musimy przyznać, że od tej zarazy nie są wolni także chrześcijanie. Wolimy kryć się w bezpiecznym miejscu.

Postawiliśmy ostrożność na czele wszystkich wartości. Schroniliśmy się na tyłach, bo tam człowiek mniej się męczy i nie jest narażony na uderzenia. Nie lubimy świeżego powietrza, oduczyliśmy się kochać wolność.

"Oto kim się staliśmy: ludźmi, którzy boją się skoczyć, ludźmi nauczonymi nieufności do skoków. Wszyscy idą dalej, a my pozostajemy na skraju przepaści przyszłości" (E. Mounier).

Jest zatem logiczne, że nasz udział w świecie nowoczesnym jest mało znaczący, że nasza agresywność kończy się, a nasze wystąpienia w pierwszym szeregu ludzi czynu są coraz radsze.

A jesteśmy potomkami tych, którzy na początku swej działalności zostali oskarżeni o to, że "podburzają cały świat" (por. Dz 17,6).

Ktoś może zauważyć, że zarzut zatracenia smaku przygody jest anachronizmem dziś, w okresie posoborowym, gdy niektórzy ludzie miewają aż za wiele przygód, nie kryją się z nimi ani ich nie wstydzą. Jednak są to pospolicie awanturnicy, niezdolni ponosić kosztów swych przygód. A z drugiej strony ci, którzy powołują się na te wybryki i chcieliby powrócić do bezwładu, stają się śmieszni w swych absurdalnych pretensjach. Zasługują na zgryźliwą uwagę Yeuillota: "Ponieważ jeden kogut śpiewał zbyt głośno, chcą, by istniały wyłącznie kapłony".

W rzeczywistości wielu z nas stało się tylko widzami, spędzającymi życie na przypatrywaniu się. Niezdolnymi już do prawdziwego niepokoju i do bolesnego uczestnictwa.

Tymczasem "inni" szukają nowych dróg. Ryzykują, płacą własną skórą. Badają nie znane kontynenty, rzucają się w nie-

Niewygodne Ewangelie

129

bezpieczne i podniecające przygody. A my, "synowie światłości", patrzymy. Gotowi, naturalnie, gdy nie istnieje już żaden cień ryzyka, rzucić się z kropidłem na drogi otwarte przez innych, z chęcią zawładnięcia nimi i umieszczenia na nich świętej sygnalizacji. Musimy na nowo odkryć ryzyko chrześcijańskiej przygody. Musimy porzucić ciepłe oranżerie i wyjść na świeże powietrze. Trzeba odnaleźć szeroki gest i odważny krok. Zasadniczo przypowieść o roztropnym rządcy jest lekcją odwagi. Pomimo wielu szkód, jakie wyrządziliśmy, nie zapominajmy, że Pan jest zawsze skłonny "zdziwić się", bylebyśmy tylko mieli odwagę wydobyć z lamusa inteligencję, fantazję i smak ryzyka.

A wtedy, być może, zdołamy zadziwić także świat.

SYKOMORA - DRZEWO OSKARŻENIA

Potem wszedł do Jerycha i przechodził przez miasto. A [był tam] pewien człowiek, imieniem Zacheusz, zwierzchnik celników i bardzo bogaty. Chciał on koniecznie zobaczyć Jezusa, kto to jest, ale nie mógł z powodu tłumu, gdyż był niskiego wzrostu. Pobiegł więc naprzód i wspiął się na sykomorę, aby móc Go ujrzeć, tamtędy bowiem miał przechodzić. Gdy Jezus przyszedł na to miejsce, spojrzął w górę i rzekł do niego: "Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu". Zszedł więc z pośpiechem i przyjął Go rozradowany. A wszyscy widząc to szemrali:

"Do grzesznika poszedł w gościnę". Lecz Zacheusz stanął i rzekł do Pana: "Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnienie". Na to Jezus rzekł do niego: "Dziś zbawienie stało się udziałem tego domu, gdyż i on jest synem Abrahama. Albowiem Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło". (Łk 19,1-10)

Jerycho, sykomora i bogacz, do którego domu "weszło zbawienie".

Nazwa miasta, drzewa i imię człowieka: na tych trzech nazwach zbudowane jest jedno z najbardziej osobliwych spotkań w Ewangelii. (Musimy być wdzięczni Łukaszowi, że go nie pominął: inni ewangelisci, zbyt zajęci opisem drogi Jezusa do Jerozolimy, Jego zbliżaniem się do Kalwarii, uznali, że nie należy przerywać wątku opowieści i zatrzymywać się w domu Zacheusza; nawet Mateusz, dawny celnik, nie okazał szczególnych względów swemu znakomitemu koledze).

Przystąpmy do prezentacji.

Jerycho. Znanie uzdrowisko. Miejscowość światowa, wręcz wytworna (została nazwana Niceą Judei). Odwiedzana przez znane osobistości świata polityki i finansjery. Herod spędzał tam zimy z całym dworem w bajkowym pałacu (i tam podobno umarł).

Jerycho znaczy "pachnąca". Jednak zapach, który snuł się nad miastem, niekoniecznie był zapachem cnoty, zamieszkiwały tam bowiem również eleganckie prostytutki z pewnością nie w celach pokutnych.

Sykomora. Jak twierdzą botanicy, chodzi o drzewo, którego liście podobne są do liści morwy, a owoce przypominają figi. Korzenie wychodzą na zewnątrz i pną się w kierunku pnia,

131

tworząc podpory, stąd wejście na drzewo nie stwarza wielkich trudności nawet dla kogoś, kto prowadzi siedzący tryb życia, właśnie tak jak bohater naszej opowieści.

Zacheusz: typ słabeusza. Nienawidzony serdecznie przez całą ludność z uwagi na wykonywany zawód: zwierzchnik urzędu celnego. Z tego powodu zalicza się go do "publicznych grzeszników". Bogaty. Sam popełnia niedyskrecję mówiąc o pochodzeniu swego bogactwa: "jeśli kogo w czym skrzywdziłem..." Jak na ironię nosi imię Zacheusz, które w gwarze lokalnej oznacza "czysty" i zostało mu nadane chyba tylko po to, by przyciągać najbardziej złośliwe komentarze ludu.

Na tego właśnie osobnika musimy zwrócić baczną uwagę, opierając się pokusie traktowania go wyłącznie jako zabawnej karykatury.

Jeżeli uda nam się uwolnić go od wszystkich karykaturalnych naleciałości, jakie przypisują mu niektórzy komentatorzy, odkryjemy zachowania, gesty, decyzje nad wyraz dla nas niewygodne.

Zacheusz jest uparty. Wbił sobie do głowy, że musi zobaczyć Jezusa. "Chciał on koniecznie zobaczyć Jezusa, kto to jest". Zabiera się do tego z wielkim zapałem. Nie odstrasza go przeszkody. I nie poddaje się, dopóki nie osiąga celu.

Przyjrzyjmy się działaniu Zacheusza w trzech momentach:

gdy wchodzi na drzewo, gdy z niego schodzi i gdy rozdziela swój majątek. Każde z tych działań jest dla nas wyrzutem sumienia, oskarżeniem, które ten uparty człowiek rzuca nam, pograżonym w gnuśności, ze swego domu, "do którego przyszło zbawienie".

WYBIEC NAPRZÓD

"Pobiegł więc naprzód i wspiał się na sykomorę, aby móc Go ujrzeć, tamtędy bowiem miał przechodzić".

Tłum uniemożliwia mu spotkanie. Zacheusz jest niski, a nie może oczywiście nakazać, by uznano jego "przywileje" i umożliwiono mu wejście na podium honorowe. Wprost przeciwnie.

Wobec tego biegnie, wyprzedza Jezusa. Zauważa sykomorę i wspina się na nią. I oto, usadowiwszy się na górze, czeka na wspaniałe widowisko z tego osobliwego balkonu. Łatwo powiedzieć "wspiał się na sykomorę". Nim jednak zaczął się wspinać, musiał zdjąć marynarkę. Chcę przez to powiedzieć, że rozebrał się z własnej "godności".

Kto nigdy nie obserwował, wmieszany w tłum, zachowania się mas ludzi, stłoczonych na poboczu drogi w oczekiwaniu na przyjazd jakiejś ważnej osobistości, nie może tego zrozumieć.

132

Ludzie z nudów zwracają uwagę na byle co. Wystarczy jakiś mały incydent, jakiegokolwiek zdarzenie, a od razu zaczynają trącać się łokciami, wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, tysiące oczu zwracają się w jedną stronę, wybuchają salwy śmiechu, fala wesołości ogarnia tłum.

I nie brak zjadliwych komentarzy.

A co dopiero w Jerychu. Pan Zacheusz, dyrektor urzędu celnego, który zaczyna biec jak kibic na spotkanie z ulubionym zawodnikiem, wspina się na drzewo jak chłopak w poszukiwaniu gniazd... To widok, który wywołuje ogólną wesołość. Rozpętuje się szydercze pandemonium. Jednak Zacheusz nie waha się. Nie boi się ośmieszenia, pragnie tylko "zobaczyć Jezusa, kto to jest". Tak jak człowiek, który musi przenieść szafę, zdejmując marynarkę i wieszając ją na wieszaku, tak Zacheusz, dyrektor urzędu celnego, zdejmując marynarkę własnej godności i wieszając ją ludziom na nosie.

Zacheusz, publiczny grzesznik, wykonuje gest, który mógłby stać się tematem najbardziej cenionych traktatów ascetycznych. Odziera się z własnej "godności", stateczności, powagi, prestiżu. Wyzwała się z wszystkich krępujących społecznych gorsetów. Posłał do diabła konwenanse. Odrzucił wszystko, co nieistotne i usadowił się na sykomorze. Jak dziecko. W idealnej postawie, by zobaczyć Jezusa. "Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego" (Mt 18,3).

Zacheusz nic sobie nie robi z uszczypliwych komentarzy. Odważnie znosi wrzaski i kpiny. Aby tylko "zobaczyć Jezusa, kto to jest". Kto chce zobaczyć Jezusa, musi wyrwać się z tłumu. Nie może dać się "przytłumić". Nie może przebywać pod dachem, ale musi "wyjść na zewnątrz", biec naprzód, wypatrzeć sobie oczy w samotnym poszukiwaniu. Przede wszystkim musi stawić czoło śmieszności, odrzucić społeczne konwenanse i lęk przed utratą "poważania".

Jednym z najpoważniejszych niebezpieczeństw chrześcijaństwa jest dążenie do "ujednoczenia". Wszyscy mają być równi. Człowiek stara się, by go nie zauważono. Zasmucająca szarzyzna i przygnębiająca jednolitość charakteryzują naszą obecność w świecie. Logiczne jest, że w tych warunkach nie zadziwiamy już nikogo, nikogo nie gorszymy.

Światło przytłumiono, by nie raziło; sól zubożono roztworami zdrowego rozsądku, proch zwilgotniał. Unieszkodliwiono Słowo, rozbrojono ewangeliczne paradoksy. Drożdże zamieniły się w wanilię.

133

Trzeba odkryć na nowo chrześcijaństwo, jako kamień obrazy. Trzeba powrócić, choćby parząc sobie palce, do jego paradoksów. To znaczy - trzeba tracić, aby zyskać, umierać, aby żyć, cierpieć, aby się radować, wyrzekać się posiadania, aby być.

Musimy ponownie prześledzić ewangeliczną logikę "pójścia dalej": "Jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi! Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz! Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące!" (Mt 5,39-41)

Nie możemy zadowolić się szatą konformizmu i poważania. Jest to dla chrześcijan ubranie zbyt ciasne.

Droga, która prowadzi z naszego domu do biura, do fabryki, do kościoła, znaczone słupkami "obowiązkami", jest drogą śmiesznie krótką w stosunku do długości kroku chrześcijanina.

Musimy odkurzyć ewangeliczny "maksymalizm", aby zmierzyć całą głupotę naszej małości. Musimy ponownie przyzwyczaić się do "niemożliwości", abyśmy potrafili ocenić właściwie to, co jest możliwe dla chrześcijan.

"To nie droga jest niemożliwa, to niemożliwe staje się drogą" (P. Evdokimov).

Jedynie w "nadmiarze" odnajdujemy naszą miarę.

GDZIE JEST DOM PANA?

"Gdy Jezus przyszedł na to miejsce, spojrział w górę i rzekł do niego: «Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu»".

Chrystus przerywa mu widowisko i proponuje coś, co nie było przewidziane w programie.

Wydobywa go z ukrycia. "Zejdź prędko". We wszystkich spotkaniach Boga z ludzkością, zarejestrowanych przez historię świętą, dostrzegamy upór, z jakim Bóg zmienia miejsce człowieka.

Zacheusz zostaje dosłownie wywleczony z kryjówki. "Zejdź prędko". Czy Chrystus chce go poznać? Coś więcej:

"dziś muszę się zatrzymać w twoim domu". Muszę. A nigdy przedtem go nie widział.

Co więcej, spieszy się. Bóg jest cierpliwy. Może czekać całe lata czy tysiąclecia. Zresztą Jego czas nie pokrywa się z naszym. Jest w zupełnie innej skali. "Jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat, a tysiąc lat jak jeden dzień" (2 P 3,8). Gdy jednak widzi, że moje zbawienie dojrzewa, wówczas spieszy się bardzo.

Pewien komentator zauważył, że ludzie, widząc Nauczyciela

134

i zwierzchnika celników udających się do domu tego ostatniego, doznali rozczarowania: woleliby, by poszli do synagogi.

Człowiek jest doskonałym organizatorem, szczególnie gdy chodzi o podróże Boga. W momentach najbardziej nieoczekiwanych znów ujawnia się jego stare, nieuleczalne powołanie "mistrza ceremonii".

Zamiast śledzić, uczyć się dróg Bożych, wysuwamy śmieszne pretensje, chcemy narzucić Mu nasze trasy, nasze stacje.

Zapominamy, że Duch wieje tam, gdzie chce, kiedy i jak chce, nie można Go zmusić do milczenia, ukierunkować Go ani posyłać. Drogi Pańskie nie są naszymi drogami.

Obaj odchodzą wśród ogólnego zgorszenia. Również Zacheusz jest zaskoczony tym, co mu się przydarzyło.

Możemy pamiętać, gdzie spotkaliśmy Chrystusa, ale po spotkaniu nie wiemy już, dokąd zajdziemy.

Jego geografia jest oryginalna, nie da się przewidzieć. Nawet tomy mistyki nie podają dokładnych map.

"...w twoim domu". Gdzie jest dom Pana? Zacheusz dokonuje tego zadziwiającego odkrycia: dom Pana jest jego domem, domem grzesznika.

Domem Boga jest mój dom. Dom w którym żyję, pracuję, cierpię, jem, śpię, kocham.

On nie ma własnego domu. Przychodzi zamieszkać w moim domu. Pod warunkiem, że jest on rzeczywiście moim domem.

"Jeżeli śpiewasz gregoriańskie chorały od rana do wieczora, od jutrzni do komplety: «To jest dom Pana, to jest dom Pana, to jest dom Pana», a ciebie w nim nie ma, gdyż twój duch jest gdzie indziej i chodzi po domu twego bliźniego, zazdroszcząc mu jego łóżka, jego żony, jego chleba, jego wina, jego pracy, jego odpoczynku, wówczas oszukujesz się: nie znajdujesz się w domu Pana, ponieważ nie ma cię w twoim domu, a jesteś w jaskini zbójców" (G. Lemerrier).

Nie wystarczy napisać na frontonie klasztoru: "To jest dom Pana" i wyobrazić sobie, że On automatycznie w nim zamieszkuje.

Pan przychodzi do klasztoru lub do mieszkania jedynie wówczas, gdy ja tam jestem rzeczywiście. To znaczy, gdy mieszkam tam duchem i sercem.

Jezus może i do mnie powiedzieć: "Zejdź prędko. Idź moimi śladami, a zaprowadzę cię do mojego domu. Znasz go już: to jest twój dom" (G. Lemerrier).

Ludzie nie rozumieją. Oburzają się. "A wszyscy widząc to szemrali: do grzesznika poszedł w gościnę".

135

No właśnie. A gdyby przyszedł do mojego domu, do twojego domu? Czy byłby to może dom człowieka sprawiedliwego, godnego ugoszczenia Go?

W każdym razie faktem jest, że "zbawienie stało się udziałem domu Zacheusza". Dom grzesznika stał się domem Pana. Dom zwierzchnika celników, prawdopodobnie złodzieja, stał się kościołem. (Nie bez powodu ten rozdział Ewangelii został włączony do liturgii na uroczystość poświęcenia kościoła). A my szemrzemy. Zamiast zdjąć kapelusz, wejść i uklęknąć.

TESTAMENT ZACHEUSZA

"Oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnice".

To jest testament Zacheusza. Testament, który zostaje wykonany natychmiast.

Zawsze wydawało mi się dziwne, że nasze testamenty rozpoczynają się formułką:

"Pozostawiam..." Właściwiej byłoby:

"Jestem zmuszony pozostawić..."

Tymczasem Zacheusz spontanicznie daje biednym połowę swych dóbr. A nikt tego od niego nie wymaga. Nie jest też przynaglany lękiem przed bliską śmiercią.

Bez wahania odrzuca balast. Oddaje zagrabione mienie. Wszystko, co daje się biednym, jest tylko koniecznym zwrotem. Rozumie, że zbyt wielkie mienie uniemożliwia mu istnienie.

Odczuwa wstyd, że sam jest szczęśliwy. Czyżby oszalał? Z pewnością. I jest to rzeczą zupełnie naturalną po spotkaniu Chrystusa.

Chesterton zauważył: "Judaizm, z właściwą sobie tajemniczością i wzniosłością, głosił, że gdyby człowiek zobaczył Boga, umarłby. Chrześcijaństwo sądzi, że jeszcze bardziej katastroficzną nieuniknionością, że jeżeli widzi Boga, będzie żyło wiecznie. W każdym razie to, co się zdarzy, będzie decydujące i ponad wszelką wątpliwość. Zobaczywszy Boga człowiek może umrzeć, ale nie poczuje się z pewnością na tyle źle, by musiał wziąć lekarstwo czy zawezwać lekarza".

Zacheusz, gdy Pan wchodzi do jego domu, nie czuje się lekko chory. Czuje się wręcz źle. Rozumie, że musi odmienić wszystko. Ze musi oszaleć w oczach świata.

Nasz dramat polega zaś na tym, że po spotkaniu Chrystusa staliśmy się zbyt "rozumni".

Zapomnieliśmy o podstawowym prawie szaleństwa: "Niechaj nikt się nie łudzi! Jeśli ktoś spośród was mniema, że jest mądry na tym świecie, niech stanie się głupim, by posiadał mądrość" (1 Kor 3,18).

136

Św. Paweł stawia nas wobec ściśle określonego wyboru:

można albo być mądrym przed światem i głupim w oczach Boga, albo być głupim wobec świata a mądrym w oczach Boga. "Mądrość bowiem tego świata jest głupstwem u Boga" (1 Kor 3,19).

Dla ojca Lebreta, głównego inspiratora encykliki *Populorum progressio*, szaleństwo należy do porządku teologicznego i ściśle jest powiązane z wiarą, nadzieją i miłością. Dziś wśród chrześcijan zbyt wielu jest ludzi rozumnych, zbyt wielu ostrożnych, zbyt wielu zajętych liczeniem i mierzeniem.

Ojciec Lebret cierpiał najbardziej, gdy widział brak szaleństwa wśród chrześcijan, w większości chorych na zbytnią "rozwagę".

Młodym, którzy przychodzili do niego prosząc o przyjęcie do jego "equipes", zadawał proste pytanie: Czy jesteście szaleni?

I modlił się: "Boże, ześlij nam szaleńców. Potrzebujemy szaleńców teraźniejszości..."

Jeżeli chrześcijaństwo jawi się jako mądrość, rozsądek w oczach świata, znaczy to, że zostało osłabione, że zostało zdradzone.

Lekcja roztropnego rządcy zostaje w ten sposób uzupełniona przez lekcję Zacheusza (kolejny złodziej na katedrze!). Pierwszy uczy nas inteligencji. Zacheusz głupoty, a to w logice chrześcijańskiej jest to samo.

Godność wyrzucona w pokrzywy; Chrystus wchodzący do domu grzesznika, by przynieść mu zbawienie: przedwczesny testament. Oto droga Zacheusza, człowieka upartego. Oto czas jego spotkania z Chrystusem.

Ludzie uważają go za szalonego.

A on znalazł zbawienie.

To znaczy radość życia.

"TO, CO ZGINĘŁO", CZYLI TO, CO ZGUBILIŚMY

Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło. (Łk 19,10)

Setki Zacheuszów stają na naszej drodze. Setki Zacheuszów oczekujących znaku. A my idziemy przed siebie. Ledwie raczymy na nich spojrzeć, fotografujemy ich, ważymy, szufladkujemy, ogłaszamy wyrok potępienia. I idziemy dalej.

Nasza droga staje się w ten sposób drogą utraconych okazji.

Jezus musi sam nią przejść krwawiącymi stopami, by zebrać i odzyskać to, "co zginęło". Co my zgubiliśmy.

Zachowanie się Chrystusa wobec Zacheusza, Jego upór, by zanieść mu do domu zbawienie, Jego spojrzenie, które potrafi dostrzec człowieka siedzącego na sykomorze, wszystkie zabiegi podjęte, by go odzyskać, składają się na gorzki wyrzut dla nas, którzy "idziemy dalej", masowo spisujemy ludzi na straty i programowo nie podejmujemy walki.

Chrystus zatrzymał się.

Chrystus spojrział mu w oczy i wydarł mu jego tajemnicę.

Chrystus dał mu znak.

DLACZEGO NIE ZATRZYMUJEMY SIĘ

Chrystus zatrzymuje się przy Zacheuszu. A my zamykamy oczy w przerażeniu, zatykamy nos i idziemy dalej.

Przynaję. Obraz, jaki często napotyka nasz wzrok, nie jest zbyt zachęcający.

Widzimy wady, braki, złośliwość innych. Widzimy bliźniego, który zdaje się czynić wszystko, by uniemożliwić nam praktykowanie przykazania miłości.

Widzimy ludzi złych, despotycznych, pazernych, zakłamanych. Osoby, które zatruwają atmosferę plotkami i zawiścią. Indywidua, które wszędzie kopią dołki i podkładają świnię, a wszystko to z dyplomatyczną perfidią.

Mężczyzn (i kobiety) uzbrojonych w straszliwe szpony, zęby i języki.

Nędzarzy o wstrętnym wyglądzie i cuchnącym oddechu, ubraniu i duszy.

Często stykamy się z głupotą we wszystkich jej najbardziej wstrętnych przejawach.

138

Widzimy brzydotę i zło. Ogarnia nas wstręt i obrzydzenie. Biegniemy więc, by schronić się w cieniu dzwonnicy. Może nawet bierzemy udział w jakimś zebraniu wśród "naszych" na temat dialogu z oddalonymi (ale kim są ci oddałem? Czy to przypadkiem nie my sami spowodowaliśmy ich oddalenie, czy to nie my "oddaliliśmy się" od pewnych kategorii ludzi?).

Przelotne spojrzenie. Nie "nadają się". Nie odpowiadają koniecznym wymogom. W rzeczywistości tkwi nam w głowie standardowy obraz - zawsze fałszywy - ubożego, ateisty, bliźniego. I gdy stajemy przed prawdziwym ubogim, ateistą, bliźnim, stwierdzamy, że nie odpowiada on abstrakcyjnemu modelowi, jaki sobie stworzyliśmy i który przechowujemy w teczce. Przekreślamy ich nie zatrzymując się wcale.

Nie potrafimy zaakceptować innych takimi, jacy są. Chcemy wtłoczyć ich siłą w nasze schematy. A jeżeli się to nie udaje, tym gorzej dla nich.

I mamy spokojne sumienie. Postawiliśmy bolesną diagnozę: bezpowrotnie stracony. Nic nie da się zrobić.

A tymczasem należałoby zrobić coś bardzo prostego: zatrzymać się.
Czy najbardziej oczywisty sens Wcielenia nie polega na tym, że Bóg przyszedł i "rozbił swój namiot pośród nas?"

On potrafił się zatrzymać. A przecież nie cała ludzkość "nadaje się".

Spójrzmy choćby we własne wnętrze...

WYZWANIE RZUCONE PODŁOŚCI

Chrystus spojrział na Zacheusza, wydarł mu jego tajemnicę przechowywaną w głębi serca i zdołał odmienić jego wnętrze. Uczynił to, ponieważ go kochał.

Wspólnotę ze stworzeniami można utworzyć jedynie wówczas, gdy się je kocha. Stworzenia bowiem otrzymały życie dzięki słowu miłości Boga Stwórcy. Dlatego rozumieją wyłącznie język miłości. Jest to podstawowa zasada. "Jeżeli stworzenia są wyrazem myśli Bożej, która się w nich urzeczywistnia i konkretyzuje, można je zrozumieć jedynie poprzez akt komunii, pełnej miłości i szacunku. Ta komunია, powodując zjednoczenie serca osoby kontemplującej z sercem stworzenia kontemplującego i poznawanego, jest podwójnie płodna. Z jednej strony powoduje wzrost zdolności zrozumienia u osoby kontemplującej - jej zdolności zostają przeniknięte i poszerzone przez świetlaną miłość i przez głębsze

139

i pełne szacunku poznanie - z drugiej strony stworzenie, obiekt komunii, otwiera swój skarb życia. Dla człowieka tworzącego wspólnotę stworzenie nie stanowi formy, która podlega racjonalnemu oglądowi, ale jest konkretną rzeczywistością indywidualną, nośnikiem boskiego Logosu i Miłości Boga" (G. M. Yannucci).

Reasumując: kto kocha, poszerza własne możliwości, jego zmysły nabierają nadzwyczajnej zdolności przenikania, potrafi więc wydrzeć stworzeniu jego tajemnicę.

Kto nie kocha, kto osądza, potępia i idzie dalej, zuboża się. A stworzenia, zamknięte zazdrośnie w sobie, uniemożliwiają mu dotarcie do swej tajemnicy.

Nie powinniśmy pozwolić, by zniechęcała nas otaczająca nędza. To prawda. Jest tylu ludzi miernych, podstępnych, podłych, złych. Zbyt często wynika to jednak z tego, że nikt ich naprawdę nigdy nie kochał. Nie otrzymali "dawki" miłości, do której mieli prawo. Są mali, ponieważ brak miłości uniemożliwił im wzrost.

Wobec wszystkich Zacheuszów musimy zastosować linię postępowania wybitnie ewangeliczną: musimy stanąć po ich stronie, musimy ich kochać. Kochając ich, uczynimy ich lepszymi.

Miłość autentycznie chrześcijańska jest miłością twórczą.

Nie powstrzymuje jej złośliwość, brzydota, grzechy, nieprzyjemne zapachy. Miłość sięga w głąb. Stwarza dobroć, wywołuje cud.

Nie kochajmy innych dlatego, że są dobrzy. Uczynimy ich dobrymi, kochając.

Rzucić wyzwanie złu nie znaczy potępiać, wyklinać. Nie trzeba też dyskutować. "Ilekróć odniosłem zwycięstwo w dyskusji, tylekróć straciłem duszę" (bp Fulton Sheen).

Prawdziwe wyzwanie trzeba rzucić przez miłość.

Jest tyle zła na świecie, ponieważ temu złu przeciwstawiliśmy obrzydzenie, odrazę, potępienie. A należało przeciwstawić miłość.

Miłość nie pozwala Zacheuszowi być złym.

TYLKO BÓG MOŻE "OBUDZIĆ" BOGA

A więc miłość oczyszcza nasze spojrzenie, czyni je szczerym i przenikliwym.

Zwykle mówi się, że miłość jest ślepa. W rzeczywistości ona jedyna widzi naprawę, ponieważ odkrywa rzeczy, które wymykają się spojrzeniu obojętnemu, potrafi dostrzec piękno i bogactwo tam, gdzie inni widzą jedynie ciemność i błoto.

140

Co inni widzieli w Zacheuszu? Istotę godną politowania i nienawiści, zwykłego złodzieja.
A w Marii Magdalenie? Kobieta bezwstydną.

A w Samarytance? Publiczną grzesznicę.

Ci inni natychmiast pogodzili się z nieuczciwością Zacheusza. z niezbyt chwalebny
procederem Marii Magdaleny, z grzechem Samarytanki. Wydali bezapelacyjny wyrok
potępienia: nic dobrego nie da się z nich wydobyć. Są bezpowrotnie straceni.

Inaczej Jezus. On się nie poddaje.

Wzrokiem sięga w głąb, pod warstwę miernoty i oszustwa. Przedziera się przez ciemny tunel
niegodziwości, by odnaleźć "nietkniętego". Coś, co umożliwia nawiązanie kontaktu.

- Zacheuszu, zejdź prędko.

Odkrył w Zacheuszu to, czego inni nie dostrzegli.

Naszym zadaniem jest zbliżać się do wszystkich. Sięgać spojrzeniem "w głąb", pod warstwę
zła, aż do odkopania niespodziewanych bogactw. Zbliżyć się do kogoś znaczy odkryć w nim
bogactwo.

Mówi Bernanos: "Doświadczenie wykazało mi zbyt późno, iż nie można zrozumieć żywej
istoty wyliczając jej wady, ale przeciwnie, trzeba dostrzegać to, co zachowała nietkniętego,
czystego, co pozostało w niej z dzieciństwa, choćby głęboko ukryte".

A Ciaudel: "W skąpcu najbardziej skąpym, w prostytutce i pijaku jest dusza nieśmiertelna,
która oddycha świętością, a uśpiona za dnia, oddaje się nocnej adoracji".

Miłość chrześcijańska przechodzi ponad wadami, ponad "odorem" innych. Dociera do głębi i
szuka, odnajduje, budzi, ponagla to, co jest tam nietknięte, czyste, nawet w istotach
najbardziej wynaturzonych. Rozbudza najlepszą ich cząstkę, odkrywa ją.

W człowieku najbardziej odrażającym ukryty jest zakątek niewinności, dostępny wyłącznie
dla podobnej mu niewinności.

I tu dotykamy sedna naszego zadania, najważniejszego imperatywu.

Możemy ująć go tak: chodzi o przyjęcie roli lustra.

Postaramy się to wytłumaczyć. W każdym człowieku istnieje wizerunek Boga. Często ten
wizerunek zostaje zatarty, oszpecony, doznaje poważnych szkód, zostaje przysłonięty
ogromem nędzy, przywalony twardą skorupą zła.

Każdy autentyczny apostoł ma za zadanie dotarcie do tego wizerunku. Musi go ożywić,
wynieść na światło.

141

Dlatego powiedzieliśmy, że trzeba stać się lustrem. Potrzebni są ludzie, którzy posiadają
Boga. Wówczas urzeczywistni się cud spotkania. Ponieważ Bóg rozpoznaje się w Bogu. Bóg
odpowiada wyłącznie Bogu. Jedynie Bóg jest zdolny "obudzić" Boga śpiącego w
najgłębszych zakamarkach dusz.

W każdym Zacheuszu, którego spotykamy na naszej drodze, mieszka Bóg, ukryty w
najciemniejszym zakątku. Odpowie On tylko na głos Boga.

Istnieje niestety apostołstwo skostniałe, niezdolne do zmierzenia się z potrzebami bliźniego.

Polega przede wszystkim na gładzeniu w cieniu dzwonnicy, wśród "samyh swoich".

Jego typowe przejawy to niepewny krok, powściągliwy gest, krótkowzroczne oczy i serce,
które kocha jedynie "pod określonymi warunkami".

Apostołstwo skostniałe dostrzega Zacheusza na sykomorze i pozostawia go tam... by dojrzał.

Zanim zejdzie, musi osiąść określone zalety. Będzie można o nim ewentualnie pomówić,
gdy da on do zrozumienia, iż chce stać się dobroczyńcą naszych "dzieł".

W przeciwnym razie zostanie na zawsze grzesznikiem.

NIE WOLNO OKLASKIWAĆ PROROKÓW

Jeruzalem, Jeruzalem! Ty zabijasz proroków i kamienujesz tych, którzy do ciebie SĄ posłani. Ile razy chciałem zgromadzić twoje dzieci, jak ptak swe pisklęta zbiera pod skrzydła, a nie chcieliście. Oto wasz dom zostanie wam pusty. (Mt 23,37-38)

Cała droga ludzkości usłana jest kamieniami; kamieniami, którymi zabijano proroków. Historia to nieustanna rzeź proroków.

Jest jednak coś gorszego od kamienowania proroków: czczenie ich dopiero po śmierci. "Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy! Bo budujecie groby prorokom i zdobiecie grobowce sprawiedliwych..." (Mt 23,29)

"Zawsze istnieje ryzyko, że obchody ku czci są tylko nieudolnym poszukiwaniem spokoju sumienia i ciągle nowego alibi" (U. Vivarelli).

Są przejawem nieczystego sumienia wielu ludzi.

Po wczorajszym podłym milczeniu dziś słyhać zbyt wiele gadania. Po okresie obojętności i podejrzeń następują uroczyste obchody, a nawet nikczemne spory, aby przywłaszczyć sobie grób. "Na tym świecie istnieją ci, którzy dają świadectwo i ci, którzy niszczą. Gdy tylko jakiś człowiek, który dał świadectwo, umiera, jego świadectwo zostaje zniszczone słowami" (A. Camus).

Gdy był czas "wołania z dachów" i wychodzenia na miejsca odkryte, niektórzy woleli pozostać na tyłach, wśród "najemników ortodoksji", którzy strzelają do bezbronnych proroków albo - co na to samo wychodzi - pozwalają im umrzeć ze zgryzoty.

Teraz, gdy fakty wykazały, że jedynym błędem awangardy było to, iż miała rację kilkadziesiąt lat wcześniej niż siły główne, gdy można już bezpiecznie wyjść na miejsca odkryte (na podium oficjalnych uroczystości), dajemy upust wieniem krasomówczej i szafujemy epitafiami. Oklaskujemy, zbyt późno, "zasłużonych" (i mamy nawet czelność używać ich jako apolo-getycznej broni przeciwko "nieprzyjaciołom": "widzicie? my już trzydzieści lat temu mówiliśmy jasno... zrobiliśmy..."). Łudzimy się, że świat zapomni o naszym bezruchu, o naszych lękach, o naszej wczorajszej tępcie.

I znowu Camus demaskuje brutalnie te podłe machinacje:

"W czasach rewolucji giną najlepsi. Prawo ofiary powoduje, że
143

w końcu ostatnie słowo należy zawsze do podłych i ostrożnych, gdyż inni utracili je dając z siebie to co najlepsze. Mówienie zawsze sugeruje zdradę".

Prorokom nie zależy na tym, byśmy zdzierali sobie skórę z rąk klaskaniem. Nie chcą być zamknięci w muzeum. Żądają, byśmy kontynuowali ich świadectwo odważnie, jasno i ofiarnie.

PRZEWODNIK CZŁOWIEKA

"Wielu znanych mi chrześcijan wyzwala się ze spirytualizmu, który ich zdradził: chcą być teraz wyłącznie zwykłymi ludźmi, wykonywać normalny zawód, nie być wyjątkowymi istotami;

ma się rozumieć - dodają - jako chrześcijanie.

A kiedy stawiam pytanie: co to znaczy «jako chrześcijanie»? - sam widzę tylko jedną odpowiedź: jako prorocy! Jako osoby niosące światło, jasność i wizję, których inni nie posiadają. Cóż innego można robić jako chrześcijanin?" (A. Paoli)

Chrześcijanin, który trzusi się nadaremnie w codziennej rzeczywistości, który nie potrafi patrzeć rozumnie na wydarzenia historii, który nie potrafi być przewodnikiem człowieka, jest przeszkodą, kimś niepotrzebnym.

Być przewodnikiem człowieka znaczy odzyskać swą funkcję prorocką.

Paweł VI, otwierając czwartą sesję Soboru, podkreślił, że Kościół "odnajduje prorocत्व".

Konstytucja Lumen gentium mówi, że lud Boży współuczestniczy w trzech atrybutach Chrystusa: kapłańskim, królewskim i prorockim.

Aby zaś chrześcijanin mógł pełnić funkcję prorocką, musi wpieryw rozwiązać kilka zbyt powszechnych nieporozumień.

1. Prorok odczytuje terażniejszość. W potocznym rozumieniu prorok jest dziwną istotą, rodzajem czarodzieja, który przewiduje przyszłość.

Nie. Prorok doskonale odczytuje terażniejszość. Ma poczucie historii. "Zrozumiał głęboki sens Słowa Bożego w historycznych okolicznościach, w jakich Bóg powołał go na świadka. Jest posłańcem Boga, który ma odczytać wydarzenie i zrozumieć objawienie Boga w wydarzeniu" (A. Paoli).

Oko proroka jest tak przenikliwe, że potrafi zrozumieć splot dziejów Królestwa Bożego z dziejami królestwa ludzkiego.

Prorok "rozszyfrowuje" wydarzenia terażniejszości, gdyż umieszcza wieczne i niezmiennie objawienie Boga w kontekście wydarzeń.

144

Jest to człowiek, który zrozumiał przeszłość, nie przyjmuje postawy obronnej wobec terażniejszości i jest otwarty na przyszłość. Staje się w ten sposób żywą więzią pomiędzy przeszłością, terażniejszością i przyszłością, za pośrednictwem Słowa Bożego.

2. Prorok jest człowiekiem wolnym. Nie ulega oportunistom. Nie musi uciekać się do dyplomatycznych wybiegów. Nie jest ograniczony żadnymi interesami.

Tak mówi Pan prorokom,

którzy zwodzą mój lud,

którzy, gdy mają usta pełne,

głoszą pokój,

a jeśli kto nic nie włoży w ich usta,

ogłoszą wojnę przeciw niemu.

Przeto noc będzie dla was bez widzenia,

i ciemność dla was bez wieszczby. (Mi 3,5-6)

Można by powiedzieć na podstawie tych słów, że zbyt wielu chrześcijan nie potrafi rozwijać swej funkcji prorockiej: nie są w stanie krzyczeć, gdyż znajdują zawsze kogoś, kto wkłada im do ust coś do "pogryzienia".

Tymczasem autentyczny prorok nie posiada "dobrodziejów", którzy by go uzależniali.

Ja zaś zaprawdę pełen jestem mocy Ducha Pańskiego,

sprawiedliwości i męstwa,

abym ogłaszał Jakubowi jego występki,

grzech jego - Izraelowi. (Mi 3,8)

Ludzie powierzchowni, bojaźliwi, konformiści uważają go za buntownika. W rzeczywistości prorok nie wie po prostu, co to jest kalkulacja, korzyści, karierowiczostwo. Jest wolny, ale nie jest buntownikiem. W końcu jego nieposłuszeństwo jest nieposłuszeństwem w imię wyższego posłuszeństwa: sumieniu i Bogu.

Realizuje się w nim pewien paradoks, który gorszy jedynie bojaźliwych i przeciętnych:

zdolny jest do posłuszeństwa aż po nieposłuszeństwo.

Prorok jest ulepiony z gliny wolności i miłości.

3. Prorok jest człowiekiem zdolnym wywołać zgorszenie. Niebezpieczeństwo zgorszenia stanowiło przez długi czas straszak, którym posługiwano się często bez sensu w pewnej odmianie wychowania katolickiego.

Bez wątpienia istnieje "zgorszenie", które zasługuje na ostre

10

145

Niewygodne Ewangelie

słowa Chrystusa. Nerozsądnie byłoby nie brać tego pod uwagę.

Istnieje jednak również "zgorszenie", które właśnie chrześcijanin powinien wywoływać. Jest tak, gdy chodzi o zdemaskowanie hipokryzji (szczególnie osłoniętej religijnym blichtrzem), gdy chodzi o usunięcie zorganizowanego nieładu, o podniesienie głosu w imię sprawiedliwości, miłości, pokoju.

Powołanie chrześcijanina nie polega na pilnowaniu ustanowionego porządku. Nie wolno mylić sprawiedliwości z legalnością.

"My, chrześcijanie, w historii i w społeczeństwie musimy pełnić tę odwieczną funkcję, która polega na ciągłym przekazywaniu czasom Słowa Bożego i rewidowaniu każdej struktury, każdego prawa, każdego doświadczenia. Stąd rodzi się konstatacja chrześcijańska: jako chrześcijanie nie zostaliśmy powołani do strzeżenia ustanowionego porządku; zostaliśmy wezwani, by być fermentem wzrostu.

Właśnie dlatego, że wewnątrz nosimy coś, co przewyższa każde doświadczenie czysto doczesne, wywołujemy ciągle napięcie, z powodu którego sprawiedliwość staje się nieustanną rewizją legalności. Łatwo jest pomylić sprawiedliwość z legalnością. Legalność jest zespołem praw ustanowionych, ale ile jest w nich sprawiedliwości? Jeżeli nieustannie nie sprawdzamy i nie konfrontujemy tych struktur, tych praw dotyczących ludzkiej rzeczywistości, która się objawia, która się manifestuje wewnątrz nas i poza nami, to znaczy, że jesteśmy zablokowani, zamurowani w legalności. Sprawiedliwość popycha naprzód, a nie zasklepia; wywołuje ferment, a nie więzi" *.

Spotyka się czasem takich pożał się Boże proroków, którzy dopatrują się zgorszenia (i występują przeciwko niemu z całą gwałtownością swego głosu i pióra) tylko w jednej dziedzinie:

w moralności seksualnej. Za to tracą nagle głos, gdy chodzi o ujawnienie zgorszeń równie poważnych: "Co jest zgorszeniem? Kochać się? Czy nie jest może większym zgorszeniem, jeśli bronię i osłaniam niesprawiedliwość, ponieważ brak mi inteligencji duchowej i prorockiej, by dostrzec, gdzie się ona kryje? Z pewnością większe powstaje zgorszenie, kiedy pozwalam się omotać pieniądзом i nie opowiadam się odważnie za sprawiedliwymi strukturami, które mogą ułatwić ukształtowanie takiej osoby ludzkiej, którą sławię i której bronię w moich kazaniach" (A. Paoli).

* Umberto Vivarelli, // Yangelo oggi. La Locusta.

146

Bruce Marshall, powieściopisarz, tak wyraża ten sam nakaz:

"Zbyt wiele krzyczano z powodu kobiet, które w kościele pokazują kolana lub odsłonięte ramiona, a zbyt mało z powodu zbrojeń, okrucieństwa, ucisku, prawodawców odmawiających słusznej zapłaty podwładnym, z powodu chorób, nieszczęść, fałszywych ideałów narodowych".

Oddajmy głos jeszcze jednemu literatowi: "Z erotyzmu, ze zmysłowości wychodzi się z rozczarowaniem i przygnębieniem, z popiołem w ustach (sama Natura tego dopilnowuje); podczas gdy z chciwości, karierowiczostwa, ambicji, machinacji finansowych człowiek wychodzi pełen zdrowia i miliardów, wyczuwając w każdym powiewie powietrza smak truskawek i pomarańcz" (G. Marotta).

Zadaniem autentycznych proroków jest sprawić, by także ludzie tej drugiej kategorii poczuli w ustach smak popiołu.

Prorok jest więc człowiekiem zdolnym wywołać zgorszenie wśród konformistów. Potrafi ostro występować przeciwko zgorszeniu. Przeciwko wszystkim zgorszeniom.

Prorok pozwala nam zrozumieć, że siła Ewangelii leży w kontestacji, a nie w błogosławieństwie.

4. Prorok umie milczeć. Jest człowiekiem słowa - słowa twardego, chropowatego jak kamień, który pozostawia znak, ale jest również człowiekiem milczenia. Nie mówi bez zastanowienia. Redukuje swoje wystąpienia do zasadniczych spraw i dlatego mają one zawsze charakter decydujący, są "gorszące". Ponieważ wypływają z milczenia.

Milczenie proroka jest tak samo niepokojące jak jego oskarżenia.

5. Prorok jest człowiekiem kontemplacji. Proroctwo dojrzewa w kontemplacji. Jest to prawda, o której dziś zbyt wielu chrześcijan chętnie zapomina.

Prorok jest przede wszystkim człowiekiem, który nauczył się modlić. Naturalnie nie chodzi o modlitwę o charakterze przede wszystkim utylitarnym, jaką uprawia wielu wiernych. Ani o tę odmawianą z obowiązku. Na dobrą sprawę człowiek modli się nie po to, by być wysłuchanym, ale by wysłuchać Boga. Dzięki modlitwie koncentrujemy się na Bogu i odkrywamy Jego plan. Postanawiamy urzeczywistnić go i nakłaniać do tego innych. "Bądź wola Twoja".

"W prawdziwej relacji modlitewnej to nie Bóg słucha, o co Go człowiek prosi, ale ten, kto się modli i kto się modli tak długo, aż nie usłyszy, czego Bóg chce" (S. Kierkegaard).

147

Kontemplacja nie jest ucieczką od życia. Co więcej, wyraża podwójną wierność: Bogu i człowiekowi. Królestwu i historii.

"Istnieje modlitwa kontemplacyjna zwrócona bezpośrednio ku Bogu, aby wszystkie problemy móc ponownie odkryć w Bogu: nie zostają one pozbawione swego ładunku trudności i dramatu, a jedynie oświetlone światłem i mądrością Bożą, która daje człowiekowi głęboki pokój w miejsce pochopnej i powierzchownej obojętności. Często człowiek szuka w modlitwie przywileju zwalnającego go z odpowiedzialności za historię" (A. Paoli).

Prorok-kontemplatyk skupia się w Bogu i zostaje pouczony o planach Bożych. Staje się ich nosicielem wśród ludzi.

W ten sposób, pośród powszechnego bełkotu, prorok jako jedyny mówi jasno. Wśród niezdecydowanego tłumu on jeden potrafi wskazać słuszny kierunek; gdy wszyscy chodzą po omacku, w ciemnościach, tylko on przynosi światło.

Za pośrednictwem proroka Bóg kieruje historią.

Modlitwę proroka można ująć następująco: Ja liczę na Ciebie, Ty możesz liczyć na mnie.

Ten dynamizm kończy się zbawieniem człowieka.

Wszyscy jesteśmy powołani, by być prorokami.

Trzeba odkryć punkty zbieżne między budowaniem świata a nadejściem Królestwa.

Prorok wytrąca nas z odrętwienia i nie pozwala, by Kościół pozostał w tyle.

Nie jest to jednak zawód łatwy.

Prorok napotyka nieufność, wrogość, niezrozumienie, gdyż staje na drodze rozmaitym statystom, którzy lubią panoszyć się na scenie życia.

Nie należy się temu wszystkiemu dziwić, jak nie należy się dziwić nienawiści. Chrystus ostrzegł nas o tym wcześniej.

Niemniej faktem jest, że mogą nas ogarnąć wątpliwości, gdy nagle spadnie na nas grad kamieni. Nasuwa się wówczas niepokojące pytanie: czy jesteśmy na właściwej drodze?

Don Mazzolari, kapłan, który umiał aż do końca być prorokiem, pozostawił nam cenną regułę, która pozwala stwierdzić, czy znajdujemy się na słusznej drodze:

"Gdy nie osiąga się nic poza cierpieniem, gdy płaci się własną osobą, droga jest słuszna".

CHORZY NA ZATWARDZIAŁOŚĆ SERC I SPECJALIŚCI OD NIEWIEDZY

A uczniowie zapomnieli wziąć chlebów i tylko jeden chleb mieli ze sobą w łodzi. Wtedy im przykazał: "Uważajcie, strzeżcie się kwasu faryzeuszów i kwasu Heroda!" Oni zaczęli rozprawiać między sobą o tym, że nie mają chleba. Jezus zauważył to i rzekł im:

"Czemu rozprawiacie o tym, że nie macie chleba? Jeszcze nie pojmujecie i nie rozumiecie, tak otępiały macie umysł? Macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, a nie słyszycie? Nie pamiętacie, ile zebraliście koszów pełnych ułomków, kiedy połamalem pięć chlebów dla pięciu tysięcy?" Odpowiedzieli Mu: "Dwanaście". "A kiedy połamalem siedem chlebów dla czterech tysięcy, ile zebraliście koszów pełnych ułomków?" Odpowiedzieli: "Siedem". I rzekł im:

Jeszcze nie rozumiecie?". (Mk 8,14-21)

ZATWARDZIAŁOŚĆ SERCA JEST CHOROBAŃ OCZU

Wy rzuty Jezusa stają się nieoczekiwanie poważne i składają na straszną diagnozę chorób, jakimi są dotknięci uczniowie: nikła inteligencja, ślepotą, głuchota, zatwardziałość serca, podejrzenie o utratę pamięci.

Ogólny stan ich zdrowia nie jest bynajmniej zadowalający.

Odnotujmy uderzenia pięciu kolejnych zarzutów, "które dotyczą wszystkich zmysłów ludzkich, aby rozmówcy mogli zrozumieć, że nie pojęli absolutnie niczego" (C. M. Martini).

Tępotą uczniów zostaje ukazana przede wszystkim w kontekście dwóch nadzwyczajnych i niedawnych faktów: dwukrotnego rozmnożenia chleba.

Diagnoza Jezusa koncentruje się jednak głównie na jednej chorobie: na zatwardziałości serca. Pamiętajmy, że serce w języku biblijnym oznacza nie tyle siedzibę życia uczuciowego, ile źródło myśli i rozumienia.

Zostaje więc tu ujawniony nie brak współczucia, ale brak inteligencji.

Cerfaux słusznie tłumaczy "zatwardziałość serca" jako "oślepienie ducha".

W Ewangelii wyrażenie to oznacza zwykle i przede wszystkim ślepotę narodu wybranego.

Fakt, że Jezus przyrównuje postawę uczniów do postawy faryzeuszów i ludu, jest więc poważny i niepokojący. Szczególnie w odniesieniu do cudów. Nie chodzi o "inteligencję" w zwykłym sensie, ale o nieumiejęt-

149

ność zrozumienia wagi czynów dokonanych przez Jezusa, wniknięcia w ich głębokie znaczenie, uchwycenia sensu tego, co dzieje się na oczach uczniów, wyciągania wniosków.

Apostołowie są "ślepi", gdyż nie rozpoznają objawienia się mocy i posłannictwa Jezusa.

Zrozumienie tej rzeczywistości jest tożsamy z wiarą. Dlatego nie jest to problem zdobycia większej wiedzy, ale okazania większej ufności, głębszego oddania się Jezusowi.

POSIĄŚ NIEWIEDZĘ

"Jeszcze nie rozumiecie?"

Jestem więc jednym z tych, którzy nie rozumieją.

Taka definicja ucznia wynika z Ewangelii Marka.

Nie jest zbyt pochlebna.

Jednak sprawia przynajmniej tyle, że nie przybieramy wobec innych pozy nauczycieli.

Pomaga nam przede wszystkim odrzucić postawę samowystarczalności i pozornej mądrości, a uznać i zadeklarować swą niewiedzę - oto jedyny stan, który może nas otworzyć na tajemnicę Boga.

W szkole Jezusa niewiedza stanowi jedyny ważny tytuł, dopuszczający nas do rozumienia.

BEZLITOSNA DIAGNOZA

Nie wiem, ilu ludzi ma odwagę przyjąć schemat Jezusa dla oceny własnego życia.

Ten schemat, zastosowany przez Niego do własnej wspólnoty, polega na całościowym badaniu lekarskim, które nie daje raczej powodu do komplementów.

Wydaje się, że żaden ważny organ (mózg, serce, oczy, słuch) nie funkcjonuje właściwie.

Jezus nie dozuje określań, nie odmierza przymiotników. Tu nie miejsce na nie zobowiązujące pogaduszki, w których jeżeli ktoś ośmiela się wypowiedzieć słowa krytyki, natychmiast zostaje zdyskwalifikowany i uznany za defetystę.

Wydaje się właśnie, że dla Jezusa nic nie funkcjonuje poprawnie. A więc i On widzi wszystko w czarnych kolorach? Również On jest defetystą? Chcemy oskarżyć Go o brak miłości do Kościoła?

PAMIĘĆ POZOSTAŁA

Pamięć nie jest chora. Funkcjonuje jak trzeba. Uczniowie pamiętają wszystko dokładnie. Liczby są właściwe.

150

Nie mylą nawet koszów z torbami, ku radości egzegetów.

Wszystko się zgadza.

Bieda w tym, że nie wystarczy pamiętać o faktach, znać realia, trzeba też uchwycić ich znaczenie i wyciągnąć wnioski.

Znam ludzi obdarzonych cudowną pamięcią. Archiwum w porządku. Każdy szczegół zanotowany. Nie ma daty, która wymknęłaby się z pamięci. Postać świętego Założyciela przestudiowana, przeanalizowana, otoczona chwałą. Podkreślone zostały jego zdolności twórcze, ryzyko, na jakie się wystawił, przezwyciężone trudności, trafność w interpretowaniu znaków czasu, szacunek dla ludzi, duch wiary, ubóstwo, pokora.

Potem, gdy trzeba przenieść to wszystko w dzień dzisiejszy, coś się zacina, przestaje działać... Głusi, ślepi, zamknięci.

Wydawałoby się - pamięć stworzona specjalnie po to, by nie rozumieć.

Pamięć, która balsamuje wydarzenia, zamiast chronić ich aktualność.

Przeprowadza się również obliczenia, zestawia statystyki dla wspomnienia pamięci. Nie napawają entuzjazmem.

Właśnie. Rachunki się nie zgadzają.

Wydaje się jednak w tym momencie, że oczy są dane po to, by nie widzieć, uszy, by nie słyszeć, inteligencja, by popisywać się tępotą, a rachunki, które się nie zgadzają... by nadal popełniać te same błędy i zadowalać się złudzeniami. Posuwamy się nawet do oskarżania innych o zatwardziałość serca i zaślepienie ducha.

I innych posyłamy do Doktora.

PAMIĘTAĆ ZNACZY ROZWAŻAĆ W SERCU

Postawę przeciwną do "zatwardziałości serca" przyjmuje Maryja. "Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu" (Łk 2,19).

Maryja "pamięta" rzeczywiście o tych wydarzeniach i z wiarą stara się odczytać ich znaczenie.

Pamięć jest sprawą serca. Pamiętać - po włosku: ricord'are - znaczy "powracać sercem".

Nasze serce jest chore na stwardnienie, gdy odmawia opracowania materiału powierzonego mu przez pamięć.

Wówczas stajemy się "ślepi".

Nadal nic nie rozumiemy z tego, co wydarzyło się przecież przed naszymi oczyma.

CHRZEŚCIJANIN W HISTORII

Wieczorem mówicie: "Będzie piękna pogoda, bo niebo się czerwieni"; rano zaś: "Dziś burza, bo niebo się czerwieni i jest zasepione". Wygląd nieba umiecie rozpoznawać, a znaków czasu nie możecie? (Mt 16,2-3)

Dylemat ubiegłego wieku: "wiara a nauka" ustąpił miejsca nowemu zagadnieniu: "chrześcijaństwo a historia".

Zainteresowanie "znakami czasu", na które nacisk położył Sobór Watykański II, oznacza przede wszystkim włączenie do naszego chrześcijaństwa wymiaru historycznego, usytuowanie się w rzeczywistości Wcielenia, to jest Boga, który staje się Ciałem, ale który również staje się historią.

WYDARZENIA HISTORYCZNE A KRÓLESTWO BOŻE

Tak jak historia wchodzi w tkankę ludzkości, tak też wchodzi w tkankę chrześcijaństwa. Wymiar historyczny ma zasadnicze i istotne znaczenie dla doskonałości chrześcijanina. Wydarzenia historyczne należą do dziejów Królestwa. Oczywiście "nie znaczy to, że postęp historii sprowadza łaskę i buduje Królestwo na zasadzie relacji przyczynowo-skutkowej. Ani natura, ani historia nie posiadają zdolności objawienia tajemnicy Boga. Jego słowo przychodzi "z wysokości", przez miłość darmo daną, która wchodzi w miłosną komunie z człowiekiem. Łaska jest łaską, a historia świecka nie jest źródłem zbawienia. Ewangelizacja należy do innego porządku niż cywilizacja. Nakarmić ludzi to nie to samo co zbawić ich, nawet jeżeli moje zbawienie nakazuje mi ich nakarmić. Popieranie kultury nie jest w żadnym wypadku nawracaniem na wiarę.

"Jednak ta nieprzewyciężona transcendencja inicjatywy i treści objawienia nie eliminuje w naturze i w historii, ale wprost przeciwnie, domaga się - aby potwierdzić pełną miłości prawdziwość tej inicjatywy i zapewnić ożywcze przyswojenie jej treści - rzeczywistego spotkania z wnętrzem otwartym na miłość Boga, który się ofiaruje; domaga się rzeczywistej, chociaż nie aktywnej zdolności zrozumienia jej i zaspokojenia. Przedsięwzięcia ludzkie, opanowanie natury, wzrastająca świadomość narodów, kultura duchowa, walka o pokój, powszechna solidarność rodzaju ludzkiego, nie stanowią jedynie przypadkowej materii czy okoliczności całkowicie zewnętrznej wo-

152

bęc indywidualnego i społecznego życia łaski. Te wartości świeckie, bez względu na swą dwuznaczność, są także "kamieniami oczekiwania" *.

Pozostaje faktem, że wydarzenie stanowi, jak już podkreśliliśmy mówiąc o prorocztwie, punkt uderzenia łaski.

EGZAMIN ZE ŚWIĘTOŚCI

Zaobserwowano, że niektórzy katolicy mogliby przeżywać swoje chrześcijaństwo bez żadnej różnicy tak w wieku XIII, jak i w wieku XIX.

Jest w nich niepokojąca jednolitość stylu - owoc duchowości pozbawionej ciała, która czyni ich praktycznie obojętnymi na problemy dotyczące ich czasów. Ukrywają się. Historia nawet ich nie muśnie.

Nie zrozumieli przeszłości, zniekształcają terażniejszość i wykazują głęboko zakorzeniony lęk przed przyszłością. A lęk przyszłości wywołuje bezsilność w terażniejszości. Gdy przyszłość nie jest już "otwarta", życie traci siłę i miłość, oddycha z trudem.

Błądzą po omacku pośród konkretnych rzeczywistości. Pozostawiają innym trud decydujących wyborów. Sami stoją i przyglądają się ostrożnie. Wobec postępu pozostają w postawie obronnej. Wobec rozwijającej się ludzkości podnoszą instynktownie zardzewiałe tarcze przesądów.

Tymczasem chrześcijanin, który pragnie wyrazić wierność wobec strategii Wcielenia, musi posiadać "zrozumienie chwili bieżącej" i przyjąć "postawę historyczną". Nie ma to nic wspólnego z tak zwaną "aktualnością stylu", z popisywaniem się "technikami awangardy", ze "światowością" tak modną w terażniejszym chrześcijaństwie. To powierzchowne poparcie dla "dzisiaj" stanowi odmowę żywotnego włączenia się w świat. Jest to raczej "posługiwanie się światem" niż "służenie światu". I jest to oszustwo tak w stosunku do Słowa Bożego, jak i w stosunku do ludzi.

Akceptacja wymiaru historycznego nie oznacza bowiem wiary w abstrakcyjne zbawienie, ale odkrycie w aktualnym etapie historii świata aktualnego etapu historii zbawienia.

Reasumując: Dzisiaj chrześcijanin zostaje poddany szczególnie trudnemu testowi: testowi historyczności.

Jego świętość mierzy się również zdolnością podejmowania problemów swego czasu, wysiłkiem włożonym w ich rozwiązy-

* Marie-Dominique Chenu, La Chiesa popolo messianico, Gribaudo.

153

wanie, przenikliwością w odczytywaniu sensu wydarzeń. Jeżeli tego nie potrafi, nie zdaje egzaminu. Zostaje uznany za "falsyfikat, za marionetkę, za kogoś, kto udaje świętego, a nie umie być nawet człowiekiem". I jeszcze: "W przyszłości adwokat diabła będzie musiał być jeszcze bardziej dociekliwy, będzie musiał postawić pytanie, czy wiara człowieka, który oczekuje od nieba sądu nad ziemią, była rzeczywiście tak heroiczna, by dać mu łaskę zrozumienia swego czasu i swej wspólnoty i by zobligować go do dokonania określonych wyborów" (A. Paoli).

NA BURACZANYM POLU

Stendhal napisał "modelowe" opowiadanie, które wspaniale syntetyzuje postawę części chrześcijan. Fabrizio, jego bohater, przez cały dzień tkwi nieruchomo na polu buraków. Przez 24 godziny stoi z nosem zadartym do góry, uczepiony cugli konia, nie zdając sobie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje, z zamętu, który go otacza. Dopiero wieczorem dowiaduje się, że miała tu miejsce bitwa pod Waterloo...

Istnieją chrześcijanie, którzy narażają się na to samo tragiczne niebezpieczeństwo. Pozostają widzami historii, która dokonuje się na ich oczach. Łudzą się, że przejdą przez świat w ubraniu turysty.

Ciągle podpisują mandaty in blanco, aby "inni" tworzyli historię.

Ich rzadkie interwencje są interwencjami ponurego sędziego, który wydaje surowe wyroki skazujące.

Gdy nie mogą tego uczynić, wpadają w ton apokaliptyczny

- z apokalipsy pośledniego gatunku - lub poprzestają na pogrózkach.

Jak należy tłumaczyć tę nieufność, te urazy wobec historii? Przede wszystkim istnieje jeszcze zakorzenione uprzedzenie

- owoc nieuprawnionego oddzielania i kategorycznego przeciwstawiania ducha i materii - które wyraża się w poglądzie, że doczesność "brudzi".

Przez długi czas uważano, że chrześcijanin z dobrego towarzystwa nie powinien kłaść sobie rąk "podług i brudną materią";

podobnie jeszcze dzisiaj wydaje się wielu osobom, że zaangażowanie w tworzenie teraźniejszości i przyszłości jest niestosowne.

Zlekceważono ostrzeżenie Teilharda de Chardin: "Wiarę w Chrystusa będzie można w przyszłości zachować i rozszerzyć jedynie poprzez wiarę w świat".

Inny rozpowszechniony przesąd głosi, że doczesne zaangażo-

154

wanie chrześcijanina odwraca jego uwagę, która winna być zwrócona wyłącznie na Królestwo.

Jest to jedynie wygodne alibi dla lenistwa. W rzeczywistości bowiem wykazano niezbicie, że właśnie spadek napięcia eschatologicznego prowadzi do zaniedbania zobowiązań doczesnych. Tym, co zanieczyszcza i fałszuje teraźniejszość, jest trucizna zniekształconej eschatologii.

WIERNOŚĆ PRZYSZŁOŚCI

Dotykamy tu innego zasadniczego błędu. Istnieją "pobożni", którzy łudzą się, że odrzucają teraźniejszość, by zanurzyć się w oczekiwaniu przyszłego Królestwa. Sądzą, że zaniedbując historię okazują wierność wieczności. Nie zauważają, że wieczność wyraża swą aktualność w wydarzeniach historycznych i że zdrada czasu teraźniejszego równoznaczna jest dlatego ze zdradą wieczności.

Uważają, że "tamten świat" jest całkowicie odłączony od ziemi. Nie potrafią uchwycić związku pomiędzy tymi dwoma królestwami.

Co za błąd! "Zbawienie, Królestwo Boże, nie unoszą się nad światem jak chmury pomiędzy niebem i ziemią, ale tkwią rzeczywiście wewnątrz, przygotowują się wewnątrz świata" (Y. Congar).

"Wieczność nie jest rodzajem przyszłego dodatku do życia czy linearnego przedłużenia naszej egzystencji w nieskończoność: ona znajduje się już we wnętrzu człowieka, jako owoc jego działania duchowego" (K. Rahner).

Chenu wyciąga wnioski: "W ten sposób dla chrześcijanina wydarzenia, dzień po dniu, kryją w sobie głębię eschatologiczną, nie przez ucieczkę poza czas, ale poprzez konkretne i aktualne odniesienie do absolutnego Wydarzenia, jakim jest Chrystus Bóg, który wszedł do historii". Dla chrześcijanina więc terażniejszość, dzisiaj, zawiera załączek przyszłości. Dla niego przyszłość naprawdę już się zaczęła. I jego wierność wobec terażniejszości okazuje się ostatecznie wiernością wobec przyszłości.

Zasada jego egzystencji powinna brzmieć: być wiernym własnej przyszłości.

Powiedziano, że "człowiek jest przyszłością człowieka". Możemy dodać: chrześcijanin wierny historii jest przyszłością człowieka. Jest również przyszłością Chrystusa.

SPECJALIŚCI OD WZNOSZENIA MURÓW

Wtedy Jan rzekł do Niego: "Nauczycielu, widzieliśmy kogoś, kto nie chodzi z nami, jak w Twoje imię wyrzucał złe duchy i zabranialiśmy mu, bo nie chodził z nami". Lecz Jezus odrzekł: "Nie zabraniajcie mu, bo nikt, kto czyni cuda w imię moje, nie będzie mógł zaraz źle mówić o Mnie. Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami. Kto wam poda kubek wody do picia, dlatego że należycie do Chrystusa, zaprawdę powiadam wam, nie utraci swej nagrody". (Mk 9,38-41)

EGOIZM GRUPY

"Nie zabraniajcie mu..."

Biedni uczniowie. Od pewnego czasu nic im się nie udaje. Również epizod, do którego się odwołują i który, jak sądzą, przynosi im chlubę, stanowi tylko kolejny dowód niezrozumienia Nauczyciela.

Znów widzimy tu rażący kontrast pomiędzy ich ograniczonością, ich drażliwym "egoizmem grupy" a wspaniałomyślną tolerancją i otwartością Jezusa.

"W kontekście odpowiedzi Jezusa wspólnota wydaje się nieto-lerancyjna i sekciarska, bardziej zatroskana o ekspansję i sukces grupy niż o sprawę, o którą chodzi. Pewna sympatia i zaufanie do imienia Jezus, choć użytego po prostu w formule egzorcyzmu przez żydowskiego egzorcystę, jest przeblyskiem zbawczej komunii z Jezusem i pierwszym krokiem ku niej.

Tolerancja i ekumenizm Jezusa mają uwolnić pierwszą wspólnotę od ograniczonego i introwersyjnego sekciarstwa" (R. Fabris).

A oto komentarz E. Schweizera: "Jan uosabia naturalną postawę człowieka, który troszczy się o zdobycie zwolenników i o umocnienie własnej wspólnoty: dlatego nie wykazuje wielkiego szacunku dla tych, którzy pozostają na marginesie i nie chcą się przyłączyć. Odpowiedź odzwierciedla sposób myślenia Jezusa: celem wspólnoty nie może być jej własny wzrost materialny, gdyż musi ona być otwarta i wykazywać zrozumienie dla tych, którzy stoją na zewnątrz".

Jednym słowem Jezus, który niedawno tłumaczył uczniom, że nie powinni dążyć do indywidualnej wielkości (por. Mk 9, 33-37), zachęca ich tutaj, by nie przypisywali sobie zbyt wielkiego znaczenia także jako grupa, która Go naśladuje.

"Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami".

To stwierdzenie wydaje się dokładną odwrotnością stwierdzenia cytowanego przez Mateusza: "Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie i kto nie zbiera ze Mną, rozprasza" (Mt 12,30). W rzeczywistości uzupełniają się one wzajemnie i oba są prawdziwe. Należy jednak wziąć pod uwagę, że odnoszą się do różnych sytuacji.

Wydaje mi się, że wytłumaczenie, jakie daje P. R. Bernard, jest bardzo głębokie: "Te dwa aksjomaty nie odnoszą się do tej samej sytuacji ani do tych samych osób. Ten Markowy odnosi się do ludzi z zewnątrz, którzy znajdują się na dobrej drodze, prowadzącej do Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła. Ludzi tych - twierdzi Jezus - nie możecie traktować szorstko ani odpychać, istnieje bowiem domniemanie przemawiające na ich korzyść: pozwólcie, by dojrzały dobre skłonności. Kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami. Drugi aksjomat jest pewnego rodzaju wezwaniem, by nie rozdzierać jedności i by nie wywracać domu do góry nogami. Odnosi się do tych, którzy należą do Królestwa lub łudzą się, że należą. W stosunku do nich Jezus jest surowy. Mówi: kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie i kto nie zbiera ze Mną, rozprasza.

Jeżeli, stanowiąc część trzody, tworzycie oddzielną klikę, można rzeczywiście wyobrazić sobie, że nie jesteście już oddam Mi całkowicie. Z chwilą gdy już nie pracujecie wspólnie, pracujecie na próżno, rozpraszaście.

W ten sposób te dwa aksjomaty nie tylko okazują się dość spójne, ale pociągają za sobą konsekwencje dotyczące kształtowania Kościoła.

Ostatecznie wyłania się jedna postawa, przeciwko której oba zgodnie występują: neutralność. W żadnym wypadku nie jest ona do przyjęcia. Nikt nie może pozostać neutralny wobec Posłańca Bożego".

Innymi słowy, logion Mateusza, choć przez niektórych kaznodziejów używany zazwyczaj przeciwko "nieprzyjaciołom", wyraźnie dotyczy naśladowców Chrystusa i podkreśla bezkompromisowość ich zaangażowania: albo jesteście całkowicie ze Mną, albo występujecie przeciwko, nie można oszukiwać w grze. Natomiast logion Marka wyraża szacunek i cierpliwość, jakie wspólnota musi okazywać tym, którzy choć zewnętrznie do niej nie należą, jednak realizują już w rzeczywistości posłanie Chrystusa. Są nam bliżsi, niż się wydaje.

Tym, co Jezus potępia, jest próba przywłaszczenia sobie

157

Jego imienia i chępienia się swego rodzaju monopolem na Niego. Przynależność nie może wyrażać się roszczeniem do wyłączności.

UCZEŃ WINIEN SZUKAĆ NAUKI

Nie chcę być zbyt złośliwy. Mam jednak wrażenie, że szorstka wypowiedź Jana miała przede wszystkim pokryć wstyd, jakiego doznał widząc, że nieautoryzowanemu egzorcyście udaje się to, czego oni sami nie umieli dokonać. Skóra jeszcze parzyła Jana i jego towarzyszy z powodu afrontu doznanego w związku z chłopcem chorym na epilepsję (por. Mk 9,17n). Często występuje się przeciwko komuś, uważa się go za nieprzyjaciela jedynie dlatego, że robi to, czego my nie chcemy lub nie umiemy zrobić.

Zazdrość - maskowana czasami troską o zasady - ujawnia zawsze niemoc.

Oceny dyskwalifikujące innych, usprawiedliwiane podstępnie racjami ortodoksji lub przepisami wewnętrznymi, ujawniają naszą nieudolność.

I tak uznaje się kogoś za nieprzyjaciela, ponieważ stanowi niepokojący wyrzut dla naszej inercji i przypomina o sprawach nie załatwionych na czas.

Czyż nie jest prawdą, że dzisiaj w pewnych środowiskach tak zwanych chrześcijan wystarczy napomknąć o sprawiedliwości, by zostać napiętnowanym jako "przeciwnik"?

Może Jan, zamiast zwrócić się do Jezusa, czyniłby lepiej, prosząc obcego egzorcyستę o pouczenie.

Zadaniem ucznia, jak samo słowo wskazuje, jest uczyć się.

Prawdziwy uczeń musi się wszystkiego nauczyć. Od wszystkich.

EWANGELIA MA OTWIERAĆ BRAMY, A NIE WZNOSIĆ MURY

To smutne, gdy jakaś wspólnota używa swych sił przede wszystkim przeciw komuś czy czemuś, gdy znajduje pozorną spójność jedynie broniąc się lub atakując kogoś, kto jest na zewnątrz; umiejętność krytyki rozwija się zwykle na użytek zewnętrzny, ale biada temu, kto użyje jej dla ujawnienia domowych niesnasek. Taka wspólnota potrzebuje przeciwnika - prawdziwego czy domniemanego - aby móc coś czynić, mówić, by czuć się żywą.

Czy to przesada oczekiwać, że imię Jezusa będzie używane

158

przede wszystkim "dla", a nie "przeciwko"? Że Ewangelia nie będzie odgradzać nas od innych, ale poszerzać przestrzeń Królestwa?

Ucniowie narażają się często na wyrzuty, gdyż próbują "zabronić", "uniemożliwić" (na przykład owemu egzorcyście lub dzieciom, o których mówi Marek w rozdziale 10).

Chyba ani razu nie zostali zbesztani przez Nauczyciela za nadmiar wyrozumiałości, zaufania do innych, za zbyt szerokie horyzonty.

Niezrozumienie ujawnia się zawsze przez odmowę, odgródzenie się od innych.

Są specjalistami od budowy ogrodzeń, mistrzami ostracyzmu, profesjonalistami oburzenia bardziej niż ekspertami w gościnnym przyjmowaniu. A nimi właśnie powinni być.

Taka postawa i dziś jest częsta.

Jakiś czas temu S. Bonnet postawił niepokojące pytanie:

"Może dlatego, że nie potrafimy sami wejść do Kościoła, tak bardzo staramy się wyrzucić tych, którzy tam jeszcze są?"

Co gorsza, Apostołom nie przychodzi nawet na myśl wątpliwość: a może to oni, a nie egzorcysta, są "obcy" duchowi Nauczyciela?

Znam osoby, które z całkowitą nonszalancją stawiają innych

- często w związku z zagadnieniami, które nie dotyczą z pewnością ducha, ale martwej litery, które nie mają nic wspólnego z istotą Ewangelii, ale dotyczą wyłącznie zewnętrznych "form"

- przed brutalną alternatywą: zdecyduj się w tę albo w tamtą stronę. Być może mają rację.

Może się jednak również zdarzyć, że to oni powinni "wyjść", a nie inni. A wówczas dla wszystkich byłoby więcej miejsca.

Według słów Jezusa uczeń nie może ciągle "węszyć", wszędzie tropić nieprzyjaciół, jak nałogowy szpicel. Nikt go nie upoważnia do legitymowania innych.

Powinien natomiast umieć dostrzec czyjąś ukrytą bliskość, odkrywać cennych,

nieoczekiwanych sprzymierzeńców. Rozumieć, że niektórzy mówią o Jezusie nawet nie wymawiając Jego imienia, tylko włączając Go do swego działania.

Wspólnota kościelna powinna nauczyć się odkrywać, z uczuciem radosnego zachwytu, tych, którzy choć "nie należą do naszych", są "po naszej stronie".

159

KUBEK WODY, ALE NIC PONADTO

Być może odczytałem to fałszywie. Jednak Jezus przyrzeka nagrodę temu, kto poda kubek wody jednemu z Jego uczniów, misjonarzowi Ewangelii.

Nie wydaje mi się jednak, by ustalił, że uczeń ma prawo posłużyć się Ewangelią, by otrzymać wynagrodzenie od ludzi. Czyli nie przyznaje uczniowi prawa do otrzymania, poza kubkiem wody, żadnych zaszczytów, przywilejów, jednym słowem żadnej z tych rzeczy, które zadowolają ambicje indywidualne czy grupowe.

Przynależność do Chrystusa upoważnia do otrzymania kubka wody - koniecznej dla życia - ale nie do zgłaszania się przy okienku pychy, by otrzymać odszkodowania, prebendy, pochwały i odznaczenia.

Może to bezczelność, ale ośmielę się powiedzieć, że tak jak istnieje wynagrodzenie dla tego, kto ofiaruje kubek wody uczniowi, tak otrzyma je również ten, kto odmówi mu - właśnie dlatego, że należy do Chrystusa - ukłonu, nadszkiebania, fotela, poparcia, pierwszego miejsca na podium świata, aplauzu.

Kubek wody ma przecież ułatwić dalszą podróż.

Reszta natomiast stanowi przeszkodę, zawadę na drodze.

KAMIENŃ MŁYŃSKI DLA GORSZYCIELI

Kto by stał się powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą, temu byłoby lepiej uwiązać kamień młyński u szyi i wrzucić go do morza. Jeśli twoja ręka jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie ułomnym wejść do życia wiecznego, niż z dwiema rękami pójść do piekła w ogień nieugaśzony. I jeśli twoja noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie chromym wejść do życia, niż z dwiema nogami być wrzuconym do piekła. Jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem do grzechu, wytypuj je; lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do królestwa Bożego, niż z dwójgim oczu być wrzuconym do piekła, gdzie robak ich nie umiera i ogień nie gaśnie. Bo każdy ogniem będzie posolony. Dobra jest sól; lecz jeśli sól smak swój utraci, czymże ją przyprawicie? Miejcie sól w sobie i zachowujcie pokój między sobą! (Mk 9,42-50)

Upomnienie Jezusa dotyczy dwóch spraw: zgorszenia maluczkich i zgorszenia, które rodzi się w nas.

Słowa dotyczące zgorszenia maluczkich wydają się szczególnie surowe, następują bowiem bezpośrednio po obietnicy nagrody dla tych, którzy przyjmą uczniów i ofiarują im kubek wody. (Również oni są "maluczkimi" w oczach ludzi, którzy coś znaczą).

Tutaj natomiast omówiona zostaje odwrotna postawa: postawa tego, kto zastawia pułapki na drodze swych zwolenników, by spowodować ich upadek. Wystawienie na niebezpieczeństwo wiary tych "maluczkich" stanowi grzech o wiele cięższy nawet od spowodowania utraty życia. Pamiętajmy, że obraz człowieka, który topi się w morzu z kamieniem młyńskim u szyi, był dla Żydów szczególnie drastyczny, ponieważ uznawali oni śmierć przez utonięcie za najbardziej poniżającą.

Po ostrzeżeniu przed próbami zniszczenia wiary w sercach maluczkich, Jezus rozważa inny typ zgorszenia: już nie to wywołane przez drugich, ale to, które rodzi się w nas samych. Mowa jest o ręce, nodze i oczach jako "sprawach" zgorszenia. Niekoniecznie jednak trzeba kojarzyć to ze szczególnymi rodzajami pokus, choć interpretacja alegoryczna często to czyni (np. ręka symbolizuje kogoś lub coś, do czego jest się szczególnie przywiązany, kto jest bardzo przydatny; oznacza również pociąg do przesadnego działania. Noga może oznaczać błędną orientację życia. Oko wyraża złe pragnienia).

161

11 - Niewygodne Ewangelie

Przy innej okazji Jezus już podkreślił, że zło wypływa z serca człowieka (por. Mk 7,21).

Tutaj Nauczyciel pragnie po prostu powiedzieć, że możliwość upadku i pociąg do zła wynikają z cielesnej natury człowieka.

Jezus z wielką mocą mówi o konieczności zdecydowanego odrzucenia jakiegokolwiek współdziałania ze złem.

Zbawienie, pójście za Jezusem narzuca tak radykalne wymagania, że trzeba być przygotowanym na każdą ofiarę, na każdą rozłąkę.

Obraz mający ukazać, że nic nie jest cenniejsze od zbawienia, to obraz okaleczenia najważniejszych części ciała. Gdy w grę wchodzi ostateczne przeznaczenie człowieka, oznaczone słowami "życie" i "królestwo Boże", trzeba być przygotowanym na najbardziej rozdzierające decyzje.

Naturalnie nie należy sądzić, że Jezus zaleca okaleczenia w celu uniknięcia grzechu, tym bardziej że można grzeszyć również będąc kulawym lub zezowatym... Chrystus kładzie nacisk na życie, a nie na kalectwo fizyczne.

Trzeba jednym słowem uwolnić się od wszystkiego, co może stanowić przeszkodę w komunii z Bogiem. A przeszkodą może być za każdym razem coś innego.

Każdy musi mieć odwagę dokonać cięć na żywym ciele. Jeżeli dla ratowania ciała ktoś decyduje się utracić kończynę, tym bardziej powinien to uczynić dla zbawienia. Uczeń staje więc wobec konieczności wyboru celów ostatecznych, wobec niezwyklej powagi wymogów stawianych przez Chrystusa.

Trzy zdania Jezusa, wypowiedziane w określonym rytmie, choć odnoszą się do dziedziny moralności, nie ograniczają się do niej, ale dotyczą wszystkich wyborów egzystencjalnych.

NA SZCZĘŚCIE SÓL PARZY
"Bo każdy ogniem będzie posolony". Istnieje około 15 różnych interpretacji tego wersetu. Najbardziej... okrutna wydaje mi się interpretacja, która przypisuje Jezusowi następującą myśl: trzeba cierpieć, trzeba doznawać udręki. Kto nie godzi się na okaleczenie na tym świecie (zgodnie z tym, co powiedziano poprzednio), będzie znosić ogień w innym świecie. Wygląda na to, że chce się tu za wszelką cenę zrobić z Boga dręczyciela. Obraz zdecydowanie odrażający.

O wiele sensowniejszy jest pogląd, który biorąc pod uwagę niektóre własności soli (oczyszczanie, konserwacja) i fakt, że czasami używano jej jako daru ofiarnego, odnosi ów werset

162

(poprzez symboliczne powiązania ogień-sól, to jest ogień, który jest solą) do prześladowań, na jakie narażeni są naśladowcy Chrystusa. Trzeba pamiętać, że Marek pisze dla Kościoła, który zaznał najcięższych prześladowań.

Słowa Jezusa mogłyby więc znaczyć: prześladowanie w pewnych przypadkach jest jedynym sposobem, aby zachować wiarę i wykazać wierność. Z reguły doświadczenia, z którymi uczeń musi się stykać, są elementem oczyszczającym (jak ogień). One to niszcząc wszystko, co nie jest godne Boga, czynią ofiarę miłą Bogu.

Jednym słowem, prześladowanie i cierpienie gwarantują autentyczność wierności ucznia.

Napisał Tertulian: "Kto nie doświadczył pokusy, nie może otrzymać królestwa niebieskiego".

Nikt więc nie może się łudzić, że będzie mu oszczędzona próba.

Gotowość ofiary sama w sobie nie jest celem, ale oznacza, że uczeń przypisuje największą wartość naśladowaniu Pana i za to gotów jest płacić każdą cenę.

Dotąd staraliśmy się uchwycić znaczenie poszczególnych elementów omawianego fragmentu Ewangelii, teraz spróbujmy podkreślić charakterystyczne aspekty składające się na jego "niewygodność".

KIEDY GORSZĄ MALUCZCY?

Tak, istnieją gorszyście "maluczkich", posiadających wiarę.

Jednak również "maluczcy" mogą gorszyć tych, którzy cierpiąc szukają dopiero wiary, z pasją i szczerze.

Zdarza się tak, gdy uczniowie zatrzymują się w drodze zamiast iść zdecydowanie za Nauczycielem, gdy pozostają w rozsądnej odległości, gdy kłócą się o pierwszeństwo, rozstrząsają gniewnie sprawy wewnętrzne lub akademickie problemy. Gdy zajmują się błahostkami, zadowolają się półśrodkami, nie mają odwagi zaangażować się całkowicie dla

Ewangelii. Wówczas stają się zgorszeniem, zawadą, przeszkodą na drodze. Utrudniają przejście.

Tarasują drogę i nie pozwalają zbliżyć się do Chrystusa.

Do tego istnieją także maluczcy, którzy wcale nie są mali i którzy posiadają wiarę, która bynajmniej nie jest wiarą.

Bardziej niż do Nauczyciela są przywiązani do własnej mentalności, do własnych zwyczajów, bezpieczeństwa, bierności.

Gdy to oni krzyczą o zgorszeniu, nie trzeba się zbytnio przejmować.

163

Nie są to krzyki cierpienia, ale kaprysy.

Na ich ustach obrona wiary jest jedynie szantażem, aby narzucić wszystkim powolny krok, śpiew przytłumiony i niedorzeczny, naśladowcze gesty, bezruch, posępność i nudę.

Takich fałszywych maluczkich wręcz powinno się gorszyć. Nie trzeba traktować ich serio, ale kontynuować marsz pomimo ich krzyków.

Kto wie, w końcu może pozwolić się ogarnąć "tchnieniem", które popchnie ich naprzód.

Nauczyciel bowiem zawsze idzie na przedzie.

PROSZĘ O ZGORSZENIE!

Kto wie, ile osób zgorszyłem i nadal gorszę. Jestem o tym głęboko przekonany i bardzo nad tym boleję, choć nie czuję się na siłach, by poszukać sobie kamienia młyńskiego i zawiesić go na szyi. Obawiam się, że nawet gdybym go znalazł, zatrzymałbym go jako rzadki okaz w celach dekoracyjnych.

Jednak uczciwie muszę przyznać, że i ja czasem jestem zgorszony. I gorszę się tymi, którzy wcale nie chcą mnie gorszyć!

Chodzi mi o te osoby, które uważają się za wzorowe, które mają czelność wymachiwać mi przed oczyma - naturalnie z wielką pokorą - wzorowością. Są wzorami dobrego ułożenia, szacunku dla władzy, miłości do Kościoła, ducha wiary, obserwacji, ofiary, rozmaitych praktyk. Bez zarzutu, nie do zaatakowania, nieskazitelni, nierdzewni. O sumieniu ukrochmalonym na sztywno. Nigdy żadnego zaniedbania w zakresie moralności, żadnej szczeliny w błyszczącym pancerzu ortodoksji.

Oni to właśnie stanowią dla mnie zgorszenie, gdyż są zawsze "na miejscu". Nie dotykają ich kryzysy, nie palą wyrzuty sumienia. Z pewnością myślą o nawróceniu, ale innych (mam ochotę powiedzieć "przeciwko" innym). O wiele bardziej pomogliby mojej niedostatecznej wierze, gdybym ich czasem zobaczył z odrobiną błota przylepionego do butów, gdybym spotkał ich w momencie wątpliwości, zagubienia. Gdyby ich pancerz choć przez chwilę się zarysował i pozwolił domyślić jakiegoś zwątpienia, zawahania, zagubienia.

Przekonaliby mnie zupełnie, gdybym choć raz usłyszał z ich ust: "nie wiem", "nie jestem pewien".

Rozwiązalıby moje problemy, gdyby przy jakiejś okazji wyznali, że nie mają w zanadrzu gotowej odpowiedzi.

To ten ich "dobry przykład" mnie gorszy, to ich rzekoma bliskość Nauczyciela oddala mnie od nich, to ich zadziwiająca

164

pewność, że stoją zawsze i wszędzie po słusznej stronie, powoduje, że miałbym ochotę stanąć po stronie przeciwnej.

Pilnie potrzebuję jakiegoś zgorszenia z ich strony. Oczekuję go z niecierpliwością. W dniu, w którym złapałbym ich na gorącym uczynku, w którym usłyszałbym, że przyznają się publicznie do wielkiej winy, że uznają: "byłem łajdakiem, spróbujcie mi przebaczyć",

"niczego nie zrozumiałem, wybaczcie mi" - nie, nie pobiegnę szukać kamienia młyńskiego,

by zawiesić im go na szyi. Rzuciłbym się na kolana razem z nimi, biłbym się w piersi za winy.

Poczulibyśmy się wszyscy nie tak bardzo dalecy od Niego.

NIESTETY JEST TO TYLKO PRZENOŚNIA

Niektórzy uczeni natrętnie podkreślają, że gdy Chrystus mówi o konieczności ucięcia ręki, nogi lub wylupania oka, które jest powodem zgorszenia, to jest to tylko przenośnia. I wydają się uspokajać nas z życzliwą wyrozumiałością. Jakby chcieli powiedzieć: nie przejmuj się, to tylko taki sposób mówienia.

Ja, wprost przeciwnie, tego się właśnie lękam. Gdyby Chrystus nie mówił w sposób obrazowy, czułbym się spokojniejszy.

Właśnie dlatego, że jest to "sposób mówienia", jestem zaniepokojony, wstrząśnięty.

Przeczuwam niebezpieczeństwo.

Z tej przenośni dowiaduję się, że w pewnych okolicznościach Chrystus może zażądać ode mnie czegoś o wiele trudniejszego niż utrata jakiejś kończyny ciała. Może poprosić mnie na przykład o zachowanie rąk w doskonałej sprawności, ale w celu użycia ich do czegoś, co nie jest tylko wydzieraniem, zagarnianiem, gromadzeniem.

Może pozwolić mi zachować sprawność nóg, ale by dzięki nim pójść drogą, którą nie chciałbym pójść.

Może obdarzyć mnie dobrym wzrokiem po to, bym nie zamykał oczu na bolesną rzeczywistość.

Byłoby o wiele wygodniej przyjąć dosłowne znaczenie tych słów (niektórzy tak zrobili).

Bieda polega na tym, iż On daje do zrozumienia, że to Go nie zadowala. Jego słowa są "przesadne" nie w sformułowaniu, ale w konsekwencjach. Nie pozwalają stanąć w miejscu. Nie trzeba brać ich dosłownie i trzymać się ich kurczowo, ale raczej pozwolić pochwycić się przez nie. Ich niezrozumiałość musi nas porwać, ich tajemnica musi nas unieść w nieznanne. Szanowni uczeni, tym razem lepiej uczynilibyście wykazując mi, że Jezus mówił dosłownie. Twierdząc, że jest to "tylko taki sposób mówienia" dopiero

165

mnie przeraziliście. Kryje się za tym niepokojący "sposób postępowania", który mi nie odpowiada...

LEPSZY GNIEW NIŻ WZDYCHANIE

"Miejcie sól w sobie i zachowujcie pokój między sobą".

Odnoszę wrażenie, że niektórzy nauczyciele myślą innymi kategoriami niż Chrystus. Chodzi im o zachowanie pokoju wewnątrz wspólnoty kosztem soli, to jest własnej tożsamości, specyfiki.

Chrystus tymczasem twierdzi, że jedynie zachowując sól w sobie, to jest pozostając sobą (uformowanym na Jego wzór), mogę żyć w pokoju z innymi.

Innymi słowy, największy wkład, jaki mogę wnieść w dzieło braterskiego pokoju, to zachować własną niepowtarzalność i oryginalność, umiejętność krytyki i myślenia, nie pozwolić się połknąć przez masę, nie utonąć w anonimowości, w powierzchowności i w najbardziej poniżającym konformizmie.

Pokój jest przeciwieństwem zrównania.

Wymuszone pojednania są bardziej szkodliwe niż autentyczne sprzeczności.

Bardziej należy się obawiać obojętności i płaskiej rezygnacji niż skrajności.

Pobożne wzdychanie może wyrządzić więcej szkód niż szczery gniew.

Głowa myśląca samodzielnie czyni zapewne wiele szumu. Zakłóca sen reszcie owczarni. Nie jest jednak zagrożeniem dla pokoju.

Naturalnie, aby zapewnić pokój, trzeba też użyć soli-ofiary, soli-wyrzeczenia.

Choć jednak prawdą jest, że człowiek musi "odciąć swój egoizm, miłość własną, wszystko co przeciwstawia się komunii z Chrystusem i braćmi, nie można wymagać od niego wyrzeczenia się prawdziwych wartości, zrezygnowania z bycia sobą.

Ostatecznie jednak każdy musi coś poświęcić. Nikt nie jest upoważniony do oszukiwania w grze.

Nieuczciwością jest domagać się bolesnych wyrzeczeń i ducha wiary od innych, a samemu zabiegać wyłącznie o pokój (i własny święty spokój).

I W NASZYCH DŁONIACH KAMIENIE

Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli". Odpowiedzieli Mu: "jesteśmy potomstwem Abrahama i nigdy nie byliśmy poddani w niczyją niewolę. Jakżeż Ty możesz mówić: «Wolni będziecie?»" Odpowiedział im Jezus: "Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Każdy, kto popełnia grzech, jest niewolnikiem grzechu, A niewolnik nie przebywa w domu na zawsze, lecz Syn przebywa na zawsze. Jeżeli więc Syn was wyzwoli, wówczas będziecie rzeczywiście wolni. Wiem, że jesteście potomstwem Abrahama, ale wy usiłujecie Mnie zabić, bo nie przyjmujecie mojej nauki. Głoszę to, co widziałem u mego Ojca, wy czynicie to, coście słyszeli od waszego ojca". W odpowiedzi rzekli do Niego: "Ojcem naszym jest Abraham". Rzekł do nich Jezus: "Gdybyście byli dziećmi Abrahama, to byście pełnili czyny Abrahama. Teraz usiłujecie Mnie zabić, człowieka, który wam powiedział prawdę usłyszaną u Boga. Tego Abraham nie czynił. Wy pełnicie czyny ojca waszego". Rzekli do Niego: "Myśmy się nie urodzili z nierządu, jednego mamy Ojca - Boga". Rzekł do nich Jezus: "Gdyby Bóg był waszym Ojcem, to i Mnie byście miłowali. Ja bowiem od Boga wyszedłem i przychodzę. Nie wyszedłem od siebie, lecz On Mnie posłał. Dlaczego nie rozumiecie mowy mojej? Bo nie możecie słuchać mojej nauki. Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać požądania waszego ojca. Od początku był on zabójcą i w prawdzie nie wytrwał, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa. A ponieważ Ja mówię prawdę, dlatego Mi nie wierzycie. Kto z was udowodni Mi grzech? Jeżeli prawdę mówię, dlaczego Mi nie wierzycie? Kto jest z Boga, słów Bożych słucha. Wy dlatego nie słuchacie, że z Boga nie jesteście". Odpowiedzieli Mu Żydzi: "Czyż nie słusznie mówimy, że jesteś Samarytaninem i jesteś opętany przez złego ducha?" Jezus odpowiedział: Ja nie jestem opętany, ale czczę Ojca mego, a wy Mnie znieważacie. Ja nie szukam własnej chwały. Jest Ktoś, kto jej szuka i sądzi. Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: Jeśli kto zachowa moją naukę, nie zazna śmierci na wieki". Rzekli do Niego Żydzi: "Teraz wiemy, że jesteś opętany. Abraham umarł i prorocy - a Ty mówisz: Jeśli kto zachowa moją naukę, ten śmierci nie zazna na wieki. Czy Ty jesteś większy od ojca naszego Abrahama, który przecież umarł? I prorocy pomarli. Kim Ty siebie czynisz?" Odpowiedział Jezus: Jeżeli Ja sam siebie otaczam chwałą, chwała moja jest ni-

167

czym. Ale jest Ojciec mój, który Mnie chwałą otacza, o którym wy mówicie: «Jest naszym Bogiem», ale wy Go nie znacie. Ja Go jednak znam. Gdybym powiedział, że Go nie znam, byłbym podobnie jak wy - kłamcą. Ale Ja Go znam i słowo Jego zachowuję. Abraham, ojciec wasz, rozradował się z tego, że ujrzał mój dzień - ujrzał [go] i ucieszył się". Na to rzekli do Niego Żydzi: "Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś?" Rzekł do nich Jezus: "Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Zanim Abraham stał się, JA JESTEM". Porwali więc kamienie, aby je rzucić na Niego. Jezus jednak ukrył się i wyszedł ze świątyni. (J 8,31-59)

Dysputa Chrystusa z nieprzyjaciółmi coraz bardziej rozszerza się i pogłębia.

Z debaty nad Prawem przesuwa się na teren kontrowersji dotyczącej pochodzenia. Zostaje postawiony problem prawnego urodzenia.

"Faryzeusze spełnili rolę złowrogich położnych, które przekonały Dom Izraela, że ten Syn Człowieczy i ten Syn Boży nie był jego synem" *.

W dyskusji rozmówcy przechodzą coraz wyżej, od Mojżesza (to jest Prawa) do Abrahama (Obietnicy), aby dojść do Boga.

W tej dyskusji, coraz zaciętszej, każdy musi zająć stanowisko. Neutralność w stosunku do Jezusa staje się niemożliwa. To zasada obowiązująca tak wczoraj, jak i dzisiaj.

Jezus coraz bardziej się naraża, przez chwilę grozi mu nawet rytualne kamienowanie.

Podobnie ten, kto pozostaje Mu wierny, jest wystawiony na niebezpieczeństwo.

Można powiedzieć, że bardziej niż starciem idei i słów (nie brak nawet obelg!), ta dysputa jest skrzyżowaniem szpad albo lepiej - kijów.

Konkluzja jest dramatyczna. Na placu przed świątynią leży wiele kamieni. "Porwali więc kamienie, aby je rzucić na Niego".

Musimy stwierdzić, czy przypadkiem również my nie bronimy się przed prawdą. Może nieświadomie my także chwytamy za kamienie, by rzucić je na Jezusa. Są chwile w naszym życiu, gdy stajemy po stronie tych, którzy podnoszą z ziemi kamienie.

Człowiek broni się przed Jego słowem na wiele sposobów.

1. Nieznajomość Słowa. Jest to stwierdzenie banalne, zużyte

* R. L. Bruckberger, Dzieje Jezusa Chrystusa, przeł. Maria Ponińska, PAX, Warszawa 1970.

168

i bolesne. Wiem. Pewne rzeczy trzeba jednak powtarzać, choćby narażając się na zarzut braku oryginalności.

Ograniczę się do kilku bardzo prostych pytań. Czy dobrze znamy Ewangelię? Czy poświęcamy czas na czytanie jej, powracanie do niej dziesięć, sto, tysiąc razy? Na zgłębianie jej, wydobywanie z niej całego bogactwa?

Czy dla nas, uczniów Jezusa, Ewangelia jest naprawdę tekstem podstawowym, jedynym, niezastąpionym? Czy może mamy pod ręką inne teksty, jakieś nędzne namiastki? Czy potrafilibyśmy przez miesiąc, przez rok zostać sam na sam z Ewangelią, bez żadnej innej książki?

Ile egzemplarzy Ewangelii zużyliśmy już (mówię "zużyliśmy" w sensie dosłownym, materialnym tego słowa) w czasie naszego życia?

Czy istnieją strony Ewangelii, które sobie rzeczywiście "przyswoiliśmy", strony, do których powracamy bardzo często, które jesteśmy w stanie skomentować kompetentnie i z zaangażowaniem, które napełniają nas każdorazowo wzruszeniem i radością?

Ile książek o wątpliwej duchowości, o ckliwej pobożności bierzemy do rąk? Stronic, które przepuszczają słowa Chrystusa przez filtry zdrowego rozsądku i roztropności. Książek rodzących zamieszanie, grających wyłącznie na uczuciach, zwalnających od myślenia i tłoczących w nas byle jaką duchowość.

Ileż tomów ociekających "naukowym" bełkotem. Uganiamy się za wyszukany i egzotycznymi potrawami, opychamy pożywieniem o niskiej wartości odżywczej, a odrzucamy chleb. Przyzwyczailiśmy się do ciasteczek i nie przyswajamy już chleba.

A przecież każde aggiomamento zaczyna się od odrzucenia lęku przed Ewangelią.

2. Nieznajomość problemów naszych czasów. Ewangelia nie jest czymś abstrakcyjnym, co można pojąć samym intelektem, co można w pełni zrozumieć siedząc przy stoliku.

Ewangelia jest pełna mocy. Ta moc przejawia się w czynie, w czasie, różnie w różnych epokach. Ewangelia wciela się, wyraża się w czasie.

Istnieją gwiazdy, których światło dochodzi do nas po tysiącach lat. Coś podobnego zdarza się ze słowem Jezusa. Pewne prawdy nagle wyzwalają swe światło; ogarnia nas ono jedynie w

kontakcie z określonymi wydarzeniami historycznymi. Można by powiedzieć, że czas wydobywa światło z Ewangelii.

Ktoś, kto żyje wyłączony z własnego czasu, komu błędnie

169

pojęta duchowość nie pozwala poznać jego lęków, trosk, problemów, cech charakterystycznych, wymogów, wydarzeń, ryzykuje, że znajdzie się poza Ewangelią, że nie zrozumie jej w całej rozciągłości i bogactwie.

Istnieje cudowna wzajemność. Ewangelia jest w stanie rozświetlić problemy każdego czasu. Możemy jednak powiedzieć, że również problemy określonej epoki historycznej rozświetlają Ewangelię, wyjaśniają ją, pogłębiają jej wszystkie aspekty, pobudzają do tworzenia ciągle nowego światła.

Kto odcina się od życia, odcina się od zrozumienia Ewangelii.

3. Oderwanie Ewangelii od życia. Najgorszą zdradą prawdy jest zepchnięcie jej w świat abstrakcyjny, oderwany od życia. Jakbyśmy przykleili jej etykietkę: "niemożliwe". Wszystko to bardzo piękne, niezrównana poezja, ale życie praktyczne to coś zupełnie innego.

Już lepiej zwalczać prawdę otwarcie, niż uwięzić ją w otchłani spraw nie związanych z życiem.

Czy w naszym życiu nie ma czasem takich obszarów, które może nieświadomie, na skutek jakiegoś instynktu obronnego wyjęliśmy spod wpływu Słowa Chrystusa? Obszarów, które wyłączyliśmy z Ewangelii?

Czy nie ma przypadkiem takich prawd, które odsunęliśmy na bok, ponieważ są zbyt trudne?

"Jeżeli prawdę mówię, dlaczego Mi nie wierzycie?" Ten wyrzut jest dla nas zawsze aktualny.

Wystarcza sobie uświadomić, że słowo "wierzyć" ma oznaczać także życie, nie tylko myśl.

Zbyt często nie wierzymy.

Jeszcze raz musimy z goryczą uznać: zbyt wiele religii, a mało wiary.

Nie łudźmy się. Prawda, którą ukazuje nam Chrystus, jest prawdą ukrzyżowaną, a nie oklaskiwaną.

Jest prawdą, którą wielu bardzo chciałoby obrzucić kamieniami. Nie jest prawdą zwycięską.

Jest prawdą, która nosi ślady gwoździ, nie jest prawdą błyskotliwą, salonową.

Kto chce oderwać tę prawdę od krzyża, staje się komediantem prawdy, a nie jej świadkiem.

Gwarancją autentyczności, prawomocności naszych słów jest "znak gwoździ".

Wobec słów Chrystusa można przyjąć tylko dwie postawy.

Albo wziąć w ramiona prawdę ukrzyżowaną.

Albo schylić się po kamienie.

BOSKA CHIRURGIA

Potem przywalał znowu tłum do siebie i rzekł do niego: "Słuchajcie Mnie wszyscy i zrozumieście! Nic nie wchodzi z zewnątrz w człowieka, co mogłoby uczynić go nieczystym; lecz co wychodzi z człowieka, to czyni człowieka nieczystym. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!" Gdy się oddalił od tłumu i wszedł do domu, uczniowie pytali Go o to przysłowie. Odpowiedział im:

"I wy tak niepojętni jesteście? Nie rozumiecie, że nic z tego, co z zewnątrz wchodzi w człowieka, nie może uczynić go nieczystym;

bo nie wchodzi do jego serca, lecz do żołądka i na zewnątrz się wydalą". Tak uznał wszystkie potrawy za czyste. I mówił dalej:

"Co wychodzi z człowieka, to czyni go nieczystym. Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli, nierząd, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota. Całe to zło z wnętrza pochodzi i czyni człowieka nieczystym". (Mk 7,14-23)

Gdy Chrystus chce zburzyć formalistyczną postawę religijną, która cechuje się sztywnością i której wyłączną i obsesyjną troską jest zgodność z prawem, nie waha się posłużyć ciętą ironią, ostrym sarkazmem, wręcz językiem naturalistycznym.

Wszystko wydaje się Mu tak małe, tak banalne, tak irytujące w porównaniu z tym, czego zakosztował w górze. Trudno się teraz przyzwyczaić, pogodzić ze zwykłym życiem.

Faryzeusze są tym zgorznięci. "Wtedy przystąpili do Niego uczniowie i rzekli: «Wiesz, że faryzeusze zgorznięli się, gdy usłyszeli to powiedzenie?»" (Mt 15,12)

Zgodnie z ich mentalnością wystarczało włożyć pokarm do ust nieczystymi rękami, by cały człowiek stał się nieczysty.

FABRYKA WYTWARZA 13 ZŁYCH PRODUKTÓW

Oświadczenie Jezusa, sprowadzone do prostych określeń, mogłoby brzmieć następująco: "to co wchodzi, nie brudzi. Brudzi to, co wychodzi. Wchodzi pożywienie, wychodzą ekskrementy" (R. Bernard).

Oznaczałoby to jednak zredukowanie głębokiej refleksji Chrystusa do kwestii zwykłej higieny. W rzeczywistości Jezus nie zamierza znieść Prawa. Pragnie uwolnić je od balastu przesadnych tradycji, od ciężaru "literary", która tłumi ducha. Jego posłanie jest posłaniem wyzwoleniczym.

171

Zdecydowanym posunięciem Jezus znów przenosi dyskusję z płaszczyzny przepisów prawnych na płaszczyznę ludzką. W centrum nie znajdują się już potrawy czyste lub nieczyste,

lecz człowiek. A raczej serce człowieka.

Dłoń Jezusa nie zatrzymuje się na powierzchni, ale sięga w głąb. Zdiera zasłonę, która zakrywa pełną złą głębię. Z niej to wypływają czyny, które rzeczywiście "brudzą". Grzech zostaje uchwycony nie w czynach, w zewnętrznych przejawach, ale u korzeni, w sercu człowieka.

Nie jest to już kwestia rąk bardziej lub mniej umytych, zachowań mniej lub bardziej nieskazitelnych, ale czystości serca,

"Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli..." Zostaje wymienionych aż 13 złych produktów tej fabryki, umieszczonej w centrum człowieka.

..AMO ERGO SUM"

Osądzamy naszych bliźnich na podstawie ich zewnętrznego oblicza, ich słów, ich czynów. Chrystus zbliża się do człowieka dotykając od razu jego wnętrza. To znaczy serca.

W języku biblijnym serce jest pojęciem bardzo szerokim, nie oznacza jedynie centrum emocjonalnego, związanego z życiem uczuciowym, o którym mówią podręczniki psychologii. Zgodnie z mentalnością żydowską to sercem się myśli, pamięta, podejmuje decyzje. Serce jest jednocześnie miłością, inteligencją, duchem, pamięcią, poznaniem, wolnością. Serce określa osobę, jej wnętrze, jej całokształt. Serce wymyka się wejrzeniu innych ludzi. Ale Bóg "zbadał przepaści i serca ludzkie" (Syr 42,18). "Bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce" (1 Sm 16,7).

Pan nie zadowolą się słowami naszych ust: "(...) lud ten zbliża się do Mnie tylko w słowach i służy Mnie tylko wargami, podczas gdy serce jego jest z dala ode Mnie" (Iz 29,13).

Najgorszym nieszczęściem dla człowieka jest posiadanie "serca zatwardziałego". W Starym Testamencie często Bóg skarży się na lud wybrany właśnie z powodu jego serca. I używa najsurowszych określeń. "Naród ten ma serce odporne i buntownicze" (Jr 5,23). "Nieobrzezane serce" (Kpł 26,41),

"serce obłudne" (Oz 10,2).

Żydzi są winni, gdyż postępują "według zatwardziałości

swego przewrotnego serca" (Jr 7,24).

Ludzie mogą odnaleźć nadzieję "rozdzierając serca" (Jl 2,13)

172

i stając przed Bogiem "z sercem pokornym i skruszonym" (Ps 51,19).

Jezus w Ewangelii podejmuje ten sam temat: "o nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia..." (Łk 24,25)

Słowa Bożego należy słuchać "sercem szlachetnym i dobrym" (Łk 8,15).

Największe przykazanie polega na miłowaniu "całym swoim sercem" (Mt 22,37). Bratu należy przebaczać "z serca" (Mt 18,35). A oglądanie Boga przyrzeczone jest ludziom "czystego serca" (Mt 5,8).

Jakby to nie wystarczyło, Chrystus formułuje definicję człowieka opartą na zawartości jego serca. "Gdzie jest wasz skarb, tam jest i serce wasze". Pokaż mi przedmiot twojej miłości, a powiem ci, kim jesteś.

Cogito ergo sum Kartezjusza staje się w ten sposób amo ergo sum (Barakynsky). A oto przepiękna myśl Św. Grzegorza z Nyssy: "Nasz Stworzyciel dał nam miłość jako wyraz naszego ludzkiego oblicza".

W strukturze władz istoty ludzkiej prymat należy bezsprzecznie do serca.

Paradoksalnie można powiedzieć, że Chrystus przyszedł na świat, aby mieć ludzkie serce, pozazdrościł bowiem człowiekowi serca *.

OŁTARZ BOGA

Miłość własna wypędza Boga z serca człowieka. W ten sposób serce "opróżnione" z Boga staje się mikrochaosem, sercem podzielonym, agregatem "małych serc", "małych wieczności rozkoszy" (S. Kierkegaard).

Gdy natomiast człowiek mówi "tak" Bogu, wówczas nawiedza go Duch, bierze go w posiadanie u źródła samego istnienia. "Przyjdziemy do niego i będziemy w nim przebywać". Człowiek staje się istotą "nawiedzoną". Jego serce, według cudownego określenia Św. Serafina, przemienia się w "ołtarz Boga".

Bóg bierze w posiadanie ludzkie serce. Jego obecność jednak nie jest nigdy obecnością spokojną, gwarantującą wygodę. Wprost przeciwnie, zasiewa niepokój, rozdziera tęsknotą, popycha ku celom "niemożliwym", ustala szalone programy,

* Szczególnie pięknie i poetycko wyraził tę myśl Hans Urs von Balthasar, // cuore del mondo, Morcelliana.

173

rzuca w niepojęte przygody. "Człowiek jest stworzeniem, które otrzymało rozkaz stania się Bogiem" (św. Bazyli).

Egzystencja człowieka staje się nieustannym przekraczaniem siebie. "Jego dewizą nie jest sum, ale sursum" (G. Marcel).

Autentyczna antropologia chrześcijańska staje się w konsekwencji ontologią przebóstwienia (P. Evdokimov).

Człowiek zostaje "uchrystusowiony". "Błoto otrzymuje godność królewską, staje się królewską materią".

"...oczyszczę was od wszelkiej zmayı... i dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała" (Ez 36,25-26). Mowa tu o wyższej chirurgii, możliwej jedynie dla Boga. Zastąpienie serca kamiennego sercem z ciała.

"Złe myśli, nierząd, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota" - oto wytwory serca kamiennego.

Bóg wyrывa mi to serce. Odrzuca daleko, gdyż nie służy ani Jemu, ani mnie.

Zastępuje je sercem z ciała.

Jest to operacja bardzo bolesna. Serce z kamienia jest bowiem silnie rozgałęzione w całej osobie.

Jednak warto to zrobić.

Stwarza to możliwość zaistnienia jako człowiek całkowicie "uzdrowiony".

Posiadający "nowe" serce.

Może się wówczas wydarzyć coś wielkiego pomiędzy mną a Bogiem.

Coś wspaniałego, co można wyrazić w dwóch słowach:

Kochać i być kochanym.

ZEJŚCIE Z GÓRY TABOR

Po sześciu dniach Jezus wziął z sobą Piotra, Jakuba i brata jego Jana i zaprowadził ich na górę wysoką, osobno. Tam przemienił się wobec nich: twarz Jego zajaśniała jak słońce, odzienie zaś stało się białe jak światło. A oto im się ukazali Mojżesz i Eliasz, którzy rozmawiali z Nim. Wtedy Piotr rzekł do Jezusa: "Panie dobrze, że tu jesteśmy; jeśli chcesz, postawię tu trzy namioty; jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza". Gdy on jeszcze mówił, oto obłok świetlany osłonił ich, a z obłoku odezwał się głos: "To jest Syn mój umiłowany, w którym mam upodobanie, Jego słuchajcie!" Uczniowie słysząc to, upadli na twarz i bardzo się zlekli. A Jezus zbliżył się do nich, dotknął ich i rzekł: "Wstańcie, nie lękajcie się!" Gdy podnieśli oczy, nikogo nie widzieli, tylko samego Jezusa. A gdy schodzili z góry, Jezus przykazał im mówiąc: "Nie opowiadajcie nikomu o tym widzeniu, aż Syn Człowieczy zmartwychwstanie". (Mt 17,1-9)

Nawet te fragmenty Ewangelii, które czyta się z przyjemnością i entuzjazmem, kryją w sobie aspekty "niewygodne". Typowym tego przykładem jest tekst dotyczący Przemienienia. Znajdujemy w nim przynajmniej dwie prawdy niewygodne.

ZNAM TEGO CZŁOWIEKA

Przed wszystkim trudno nie myśleć o tym, że są to ci sami apostołowie, którzy krótko potem wejdą z Jezusem do ogrodu Getsemani.

Na górze Tabor, wobec Chrystusa jaśniejącego światłem, zostają oślepieni i odurzeni radością.

W Getsemani, wobec Chrystusa ociekającego krwią, modlącego się w udręce, zostają zamroczeni strachem, zgorzeniem i... snem.

Trudno nie pamiętać, że ten sam Piotr, który teraz woła:

"Dobrze, że tu jesteśmy... postawię tu trzy namioty", krótko potem będzie się wypierał: "lecz on począł się zaklinać i przysięgać: nie znam tego człowieka" (Mk 14,71).

Oblicze Chrystusa przemienionego oszałamia ich, zaspokaja ich pragnienia, ponieważ pasuje do ich wizji, snów i aspiracji.

Oblicze Chrystusa upokorzonego, cierpiącego, w koronie cierniowej, przeraża, napawa strachem, gorszy. Nie rozpoznają Go. Nie odpowiada ich oczekiwaniom.

175

Gdy człowiek spotyka Chrystusa i decyduje się pójść za Nim, musi zmierzyć się z przygodą pełną niebezpieczeństw, nieprzewidywanych i niepokojących faktów.

Jezus nie gwarantuje długiego pobytu na górze Tabor. Może nas zaprowadzić bardzo wysoko, tam gdzie nie odczuwa się ciężaru życia codziennego. Może podarować nam chwile ogromnej szczęśliwości, olśniewającego światła. Potem jednak może wezwać nas do czuwania z Nim w czasie nie kończących się nocy udręki, zwątpienia, ciemności. Gdy wszystko się wali i wszystkiego brakuje. Opada nas zniechęcenie, poczucie daremności naszego życia i działania. Wydaje się nam, że usuwamy szczątki kolosalnego bankructwa, że grzebiemy cudowne nadzieje rozbite lodem twardej rzeczywistości.

W życiu chrześcijanina jest to właśnie punkt krytyczny. Chodzi o to, by nie zdezerterować. By nie zdradzić. Trwać na krzyżu obok Chrystusa nawet wówczas, gdy Jego oblicze jest mało pociągające, gdy mamy wrażenie, że Jego nie ma. Umieć powiedzieć: "Tak, znam tego Człowieka" - na górze Tabor, w Getsemani i na Kalwarii. Rozpoznać Jego obecność nawet wówczas, gdy jest dla nas niewygodna, gdy zmusza nas do działania lub gdy przekreśla nasze najsłuszniejsze oczekiwania.

"Nigdy nie zdradził". To chyba najpiękniejsza pochwała, na jaką możemy zasłużyć po śmierci.

"Tak, znam tego Człowieka". I On wtedy przyzna się do nas.

DRAMAT ASFALTU

Drugi element "niewygodny". Przeczytajmy kilka linijek następujących po opowieści o Przemienieniu. Jezus i apostołowie po zejściu z góry zanurzają się natychmiast w gąszcz życia codziennego, w jego nędze, cierpienia, podłości. "Gdy przyszli do tłumu, podszedł do Niego pewien człowiek i padając przed Nim na kolana, prosił: «Panie, zlituj się nad moim synem! Jest epileptykiem i bardzo cierpi; bo często wpada w ogień, a często w wodę»" (Mt 17,14-15).

Możemy to nazwać dramatem niziny. Dramatem asfaltu.

Kto był w górach, wspinał się po samotnych ścieżkach, podziwiał cudowne i bezkresne widoki, gdy powraca na niziny, na asfalt, w sam środek bieganiny i zgiełku codziennego życia, czuje ból serca, ściskanie w gardle.

Jest to również nasz dramat. Z kontemplacji trzeba zejść do życia codziennego. Do zwykłych zajęć, zwykłej rutyny, zwy

176

kłego rozkładu dnia, do zwykłych działań, pozbawionych zewnętrznego blasku.

Gdy przebywało się z Panem na górze Tabor, "trudno jest potem znosić ludzi" (Żarn).

Ciężar środowiska, jego podłości, miernoty, niezrozumienia, tępoty.

Ciężar innych. Ich zachowanie w stosunku do nas...

Mawiał pewien biskup angielski do młodego kapłana: "Teraz, gdy księży już się nie wiesza, nie ćwiartuje ani torturuje, jednym z nielicznych sposobów uświęcenia się jest znoszenie innych księży. Ból nie jest tak samo dotkliwy, ale trwa dłużej" (Bruce Marshall, Czerwony kapelusz). To samo można powiedzieć ogólnie o wszystkich chrześcijanach.

Ideał, który jawił się nam jako coś wielkiego, fascynującego, widzimy teraz wcielony w małą rzeczywistość i doznajemy całkowitego rozczarowania.

Również Kościół w swej ludzkiej rzeczywistości często nie odpowiada naszym marzeniom...

Jest to dramat niziny. Dramat asfaltu.

Niepostrzeżenie pojawia się pokusa, by ulec, by się przystosować, porzucić broń, upodobnić do tła.

Kto jest wielki, trwa. Kto kocha ideał, służy mu również wtedy, gdy jego wcielenie jest odrażające. Kto chce iść naprzód, czyni to nawet wtedy, gdy większość ociąga się i opóźnia marsz, tak że on sam wystawia się na ciosy.

Trzeba zachować nienaruszoną ostrość tego światła, które objawiło się na górze Tabor, trzeba strzec go pośród ciemności niziny.

Właśnie - trzeba najpierw być na górze Tabor. Jedynie ten, kto pełną pierśią oddychał górskim powietrzem, potrafi wytrzymać pośród wyziewów niziny.

Trzeba być twardym. To znaczy z uporem przeciwstawiać światło ciemności, wielkość - miernocie, wspaniałomyślność

- małostkowości, przebaczenie - ciosom poniżej pasa, wierność - dezercjom, szczerłość - hipokryzji, czystość intencji

- ciemnym machinacjom, miłość - nienawiści, zainteresowanie - obojętności.

Jest to walka, która czasem wydaje się przegrana, tak potężne są siły, którym próbujemy się przeciwstawić. Mamy wrażenie, że nas miażdżą, że właściwie nic nie da się zrobić, że ich przewaga jest przytłaczająca.

Tymczasem cierpliwość, wierność, upór prowadzą do sukcesu. Nagle spostrzegamy, że odrobina światła rozjaśnia już

177

- Niewygodne Ewangelie

strefę cienia. Że ideał zdobywa nowe tereny na bagnach miernoty. Że Tabor zapuszcza korzenie na nizinie.

Jezus zapewnił nas, że "wiara jak ziarno gorczycy" (Mt 17,20) ma moc przenoszenia gór. Dzięki nam Tabor może zająć kilka milimetrów niziny, asfaltu.

A wtedy nasze istnienie okaże się przydatne.

KOŚCIÓŁ GRZESZNIKÓW

Powiedział też do niektórych, co ufali sobie, że są sprawiedliwi, a innymi gardzili, tę przypowieść: "Dwóch ludzi przyszło do świątyni, żeby się modlić, jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stanął i tak w duszy się modlił: «Boże dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, zdieircy, oszuści, cudzołożnicy, albo jak i ten celnik. Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam». Natomiast celnik stał z daleka i nie śmiał nawet oczu wznieść ku niebu, lecz bił się w piersi i mówił: «Boże, miej litość dla mnie grzesznika!» Powiadam wam: Ten odszedł do domu usprawiedliwiony, nie tamten. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się uniża, będzie wywyższony". (Łk 18,9-14)

Bardzo chętnie ominęlibyśmy tę przypowieść z daleka. Widzimy, jak wylania się na horyzoncie naszego spokojnego żeglowania niczym podwodna skała, o którą może się roztrzaskać łódka naszej pewności. Lepiej nie szukać biedy. Wolelibyśmy trzymać się z dala od tej przypowieści, gdyby Łukasz nie wręczył jej nam niczym listu poleconego z potwierdzeniem odbioru i naszym dokładnym adresem na kopercie: "Do osób, które uważają się za sprawiedliwe i dlatego pogardzają bliźnim".

Czy zwrócimy się do uczonych biblistów, aby się upewnić, że to posłanie nie dotyczy nas, ale faryzeuszów i dlatego to oni sami muszą na nie odpowiedzieć?

Trzeba mieć tupet, by głosić podobną bzdurę. A poza tym, któż może być pewien, że w jego żyłach nie płynie trochę krwi faryzejskiej? Skierujmy się więc zdecydowanie ku owej podwodnej skale. I nie zaszkodzi, jeśli rozbije się o nią nasza fałszywa pewność.

Odwagi, otwórzmy kopertę i zapoznajmy się z tym osobistym posianiem.

NA SCENIE DWÓCH LUDZI, A GŁÓWNY BOHATER POZOSTAJE W UKRYCIU

"Dwóch ludzi przyszło do świątyni, żeby się modlić..." Pozornie to oni są bohaterami przypowieści. W rzeczywistości istnieje trzecia Osoba, która obserwuje scenę, może ukryta za kolumną świątyni. A więc dwóch ludzi uchwyconych zostaje w momencie modlitwy. A Pan ich obserwuje. Oto ich "dowody osobiste". Faryzeusz: należy do stronni-

179

ctwa "sprawiedliwych". Gorliwie czyta i skrupulatnie zachowuje Prawo. Oddaje się pobożnym praktykom, modlitwom, postom, jałmużnie. Jest wiernym wykonawcą najdrobniejszych przepisów prawa. Mamy ochotę określić go brutalnym słowem "bigot". W rzeczywistości większą uwagę zwraca na stronę zewnętrzną niż na wnętrze, bardziej na powierzchowność niż na istotę rzeczy. Jest do szpiku kości przeżarty bakcylem hipokryzji. Celnik: wykonuje mało sympatyczny zawód poborcy podatków w służbie Rzymian lub Heroda. Nie prowadzi przykładowego życia religijnego. Nie przejmuje się zbyt regułami

pobożności faryzeuszów. Jest zawsze "nieczysty". Rzeczywiście, nie myje rąk sto razy na dzień. Nie myje też jarzyn nabytych na targu. Jednak nie jest niedowiarkiem.

A teraz zobaczmy ich w akcji, a raczej w czasie modlitwy.

Faryzeusz zdecydowanym krokiem idzie naprzód, staje wyprostowany i nadęty i rozpoczyna modlitwę, która w całości jest wezwaniem do Boga, by wziął pod uwagę jego dobre uczynki. Nie tyle się modli, ile prosi czy może opowiada o sobie.

"Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam". Jakby dla ukazania Panu wagi wszystkich tych spraw i podkreślenia wyjątkowości poprzedza listę własnych zasług dokładnym wyliczeniem złych czynów innych ludzi: "Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, zdieiery, oszuści, cudzołożnicy".

Gdy tak modli się niczym święty paw, którego słowa brzmią jak nieprzyzwoite bluźnierstwo, ani na chwilę nie przestaje rozglądać się na boki. Rzeczywiście bowiem widzi celnika "stojącego z daleka" (prawdopodobnie nie ośmielił się on nawet przekroczyć progu zewnętrznego dziedzińca) i przyrównuje się do niego: "...nie jestem jak inni ludzie... albo jak ten celnik".

Gdzie jest jednak miejsce dla Boga w tym worku próżności i zarozumiałstwa? Faryzeuszowi zależy na tym, żeby Bóg istniał, w przeciwnym bowiem razie komu mógłby zachwalać swój towar? "Uznanie istnienia Boga rośnie ze względu na potrzeby rynku. Potajemnie faryzeusz mówi: Ty, Boże, istniejesz, w przeciwnym bowiem razie na co zdałyby się moje cnoty i kto miałby karać tych, którzy na to zasługują?" (Balducci)

Zresztą modlitwa faryzeusza nie jest niczym oryginalnym. Jest skopiowana z wzoru talmudycznego, który brzmi następująco: "Dziękuję Ci Panie, mój Boże, że pozwoliłeś mi przeby

180

wać pośród tych, którzy siedzą w domu nauki, a nie tych, którzy siedzą na rogu ulicy; rzeczywiście, tak jak oni wybieram się w drogę, ale idę szybko ku Słowu Prawa, gdy oni udają się z pośpiechem ku rzeczom błahym. Pracuję w pocie czoła i oni również. Trudzę się i otrzymuję wynagrodzenie, oni też się trudzą, ale nie otrzymują żadnej nagrody. Biegnę i oni też biegną; biegnę ku życiu przyszłego świata, a oni biegną ku przepaści zatracenia".

Faryzeusz nie przyjął właściwej postawy w czasie modlitwy. Jest pełen samego siebie, jak jajko. W tej zwartej masie zarozumiałstwa nawet Bóg nie umiałby znaleźć szczeliny, którą mogłaby przeniknąć łaska. Natomiast celnik, grzesznik, znajduje natychmiast właściwą postawę, "...stał z daleka i nie śmiał nawet oczu wnieść ku niebu, lecz bił się w piersi i mówił: «Boże, miej litość dla mnie grzesznika»".

Celnik pograża się w swej niegodności tak głęboko, jak wysoko faryzeusz wdrapuje się na piedestał własnych cnót. Nie potrzebuje nawet szczegółowo wyliczać swych win. W jego imieniu wypowiedział się już faryzeusz! Faryzeusz postanowił oszczędzić mu odmówienia przed Bogiem różańca grzechów. Celnik musi tylko dokonać syntezy i wysnuć wnioski: "Boże, miej litość dla mnie grzesznika". Faryzeusz wyliczył winy. On dorzucił skrucę. W tym momencie wchodzi na scenę główna Osoba.

Prześledziła każde poruszenie, zrozumiała każde słowo. Teraz uroczyście ogłasza wyrok: "Powiadam wam: celnik odszedł do domu swego usprawiedliwiony, nie tamten". Podaje również uzasadnienie wyroku: "Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się unią, będzie wywyższony".

Dla celnika oznacza to zbawienie. W stosunku do faryzeusza Pan nie wypowiada wyraźnego potępienia. Prawdopodobnie wzrokiem pełnym ironii przypatrywał się bufonadzie tego śmiesznego pawia. Gdyby jego modlitwa zasługiwała na odpowiedź, to tylko utrzymaną w tonie sarkastycznym: "Zachowuję post dwa razy w tygodniu..." Są jednak na świecie ludzie którzy poszczą nawet częściej, aby schudnąć... "Daję dziesięcinę ze wszystkiego, co

nabywam..." Jednak są tacy, którzy jej nie płacą z tej prostej przyczyny, że nie są w stanie niczego kupić, nie posiadają pieniędzy, które ty masz (i lepiej nie dociągajmy, skąd je masz). Na dobrą sprawę faryzeusz nie zasługuje nawet na ironiczną odpowiedź. "Dwóch ludzi przyszło do świątyni, żeby się modlić". Ale tylko jeden się modlił. Zaczekajmy na nich przy
181

wyjściu. Obserwujmy ich. Faryzeusz wychodzi umniejszony, celnik wywyższony. Oto niespodzianki modlitwy.

ZABAWA W BOGACZA

Chociaż faryzeusz jest dla nas zdecydowanie antypatyczny, prawie bezwiednie pozwalamy mu się zaciągnąć do wnętrza świątyni i naśladowujemy jego postawę pełną pychy i zarozumiałstwa. Bawimy się z Panem w bogacza. Wyliczamy Mu nasze "dobre uczynki" i zachęcamy Go, by nas podziwił. Idziemy do kościoła nie po to, by słuchać Boga i Jego wymagań wobec nas. Uniemożliwiamy Mu wręcz mówienie, zagłuszamy Go naszym gadulstwem. Idziemy do kościoła nie po to, by coś otrzymać, ale by dać.

Faryzeusz udaje, że nie wie, iż dwoma biegunami modlitwy są wielkość Boga i nasza nicość. Zastępuje je dwoma innymi biegunami: własnymi cnotami i pogardą dla innych.

My czynimy podobnie.

Faryzeusz buduje sobie piedestał z "dobrych uczynków" oraz z potępienia innych.

"Wyliczanie grzechów innych ludzi jest jednym z najtragiczniejszych i najgłupszych wybryków ludzkiej pychy" (Fabbretti).

Uważa się za wielkiego, gdyż umniejsza Boga. Uważa się za cnotliwego, ponieważ pogardza innymi.

Typowym grzechem faryzeusza jest uznawanie siebie za "wyjątek".

"Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie..."

Otóż to. My i inni. My tak różni od innych. Jeżeli świat jest zły, jeżeli jest tyle niesprawiedliwości, tyle egoizmu, jeżeli jest tyle brudu, winę ponoszą zawsze i wyłącznie inni. Nigdy my sami. Nawet nam przez myśl nie przejdzie, że nie jesteśmy wystarczająco sprawiedliwi, dość wspaniałomyślni, dość czyści. Że my również jesteśmy odpowiedzialni za zło świata.

Wszyscy czujemy się porządni. Dlatego na świecie jest tylu łajdaków.

Inny grzech, inna kolosalna pomyłka nas, faryzeuszów, polega na tym, że chcemy sprowadzić naszą relację z Bogiem do aspektu ilościowego. Stąd Boga uznajemy za Pana, któremu należą się określone daniny. Praktyki pobożne, msze święte, komunie, pierwsze piątki miesiąca, procesje. I w ten sposób wyrównujemy rachunek. Płacimy podatek.

Co najwyżej spodziewamy się, że Bóg może podwyższyć stawki (w dzisiejszych czasach, przy tej drożyznie i inflacji...)-

182

Ciągle jednak pozostajemy na płaszczyźnie ilościowej. Nie potrafimy sobie wyobrazić, że Bóg któregoś dnia odrzuci te kalkulacje, obali nasze pojęcia i przemów! do nas stosując logikę dokładnie odwrotną.

Trzeba koniecznie porzucić faryzeusza i stanąć obok celnika przygwożdżonego własną nędzą. Celnik wie, że ma prawo stanąć przed Bogiem, nie dzięki swej nienaganności, uczciwości, dobremu wychowaniu, świadectwie moralności, ale dzięki uznaniu swej nędzy i grzeszności. Celnik czuje się mały. Dlatego wychodzi ze świątyni wywyższony.

Uznaje się za biedaka. Dlatego wychodzi ubogacony.

Czy jesteśmy dość pokorni, by przyjąć pouczenie celnika?

Czy przestaniemy bawić się z Bogiem w bogaczy?

Czy odczuwamy kruchość i chwiejność piedestału dobrych uczynków, na który się wspięliśmy?

Czy zdajemy sobie sprawę, że możemy stanąć przed Bogiem jedynie wówczas, gdy jesteśmy szczerze przekonani o własnej nicości?

Czy przestaniemy nadymać się modlitwami pełnymi pychy i zaczniemy bić się w piersi?

Czy potrafimy przekonać samych siebie, że świat będzie lepiej prosperował, gdy my przestaniemy uważać się za "wyjątkowych", gdy nie będziemy czuli się "tacy jak inni", ale "gorsi od innych"?

Przypowieść wymaga odpowiedzi. Powiedzieliśmy na początku, że jest jakby listem poleconym z potwierdzeniem odbioru.

Dlatego musimy podpisać się własnym nazwiskiem. Dokonać wyboru. Albo po stronie "sprawiedliwych". Albo po stronie grzesznika.

"Niezliczeni są potomkowie faryzeusza, ale na szczęście jest też bardzo wielu potomków celnika. I dzięki tym ostatnim Kościół grzeszników staje się każdego dnia Kościołem świętych" (Fabbretti).

CZY POTRAFIMY ZROZUMIEĆ STRATEGIĘ MIŁOSIERDZIA?

Pewien człowiek miał dwóch synów. Młodszy z nich rzekł do ojca:

"Ojcze, daj mi część majątku, która na mnie przypada". Podzielił więc majątek między nich. Niedługo potem młodszy syn, zabrawszy wszystko, odjechał w dalekie strony i tam roztrwonił swój majątek, żyjąc rozrzutnie. A gdy wszystko wydał, nastał ciężki głód w owej krainie i on sam zaczął cierpieć niedostatek. Poszedł i przystał do jednego z obywateli owej krainy, a ten posłał go na swoje pola, żeby past świnie. Pragnął on napełnić swój żołądek strąkami, którymi żywiły się świnie, ale nikt mu ich nie dawał. Wtedy zastanowił się i rzekł: Iluż to najemników mojego ojca ma pod dostatkiem chleba, a ja tu z głodu ginę. Zabiorę się i pójdę do mego ojca, i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem: uczyni mnie choćby jednym z najemników.

Wybrał się więc i poszedł do swojego ojca. A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wrzucił się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił się mu na szyję i ucałował go. A syn rzekł do niego: "Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem". Lecz ojciec rzekł do swoich sług: "Przynieście szybko najlepszą szatę i ubierzcie go; dajcie mu też pierścień na rękę i sandały na nogi. Przyprawdźcie utuczone cielę i zabijcie: będziemy ucztować i bawić się, ponieważ ten syn mój był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się". I zaczęli się bawić. Tymczasem starszy jego syn przebywał na polu. Gdy wracał i był blisko domu, usłyszał muzykę i tańce. Przywołał jednego ze sług i pytał go, co to ma znaczyć. Ten mu rzekł:

"Twój brat powrócił, a ojciec twój kazał zabić utuczone cielę, ponieważ odzyskał go zdrowego". Na to rozgniewał się i nie chciał wejść;

wtedy ojciec jego wyszedł i tłumaczył mu. Lecz on odpowiedział ojcu: "Oto tyle lat ci służy i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu; ale mnie nie dałeś nigdy koźlęcia, żebym się zabawił z przyjaciółmi. Skoro jednak wrócił ten syn twój, który roztrwonił twój majątek z nierządnicami, kazałeś zabić dla niego utuczone cielę". Lecz on mu odpowiedział: "Moje dziecko, ty zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy. A trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się". (Łk 15,11-32)

Jest to jeden z najbardziej niepokojących testów, być może nawet podstawowy test naszego chrześcijaństwa.

Tu właśnie następuje decydująca próba naszej wiary. Nie chodzi o jakiś nieporęczny artykuł w Credo, przed którym inteligencja musi się ugiąć. Ani też o trudne przykazanie, do którego nasze postępowanie musi się dostosować. Stajemy w obliczu co najmniej szczególnego zachowania się Ojca wobec syna, powracającego po "roztrwonieniu majątku z nierządnicami", które wymaga naszego osądu, naszej aprobaty albo potępienia.

"A gdy jeszcze był daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko, wybiegł naprzeciw niego, rzucił się mu na szyję i ucałował go". Co o tym wszystkim myślimy? Czy jesteśmy w stanie zaakceptować gesty Ojca, jego wzruszenie, jego wyjście naprzeciw temu lekkoduchowi, to obejmowanie za szyję i całowanie go? A może widzimy w tym przesadę lub co gorsza starczą słabość? Czy akceptujemy to "świętowanie"? I to bez zastrzeżeń, ze świadomością, że trzeba się weselić z powodu powrotu?

Nasze chrześcijaństwo mierzy się tymi otwartymi ramionami. Jest to próba przede wszystkim dla serca. Czy zdolne jest znieść ten ogromny i szalony gest?

Najbardziej wymagający egzamin wiary chrześcijańskiej polega na zmierzeniu wielkości serca. Musimy stanąć wobec miłości Boga i sprawdzić, czy się nią nie gorszymy.

Św. Ambroży wypowiedział pogląd, który nieustannie mnie zdumiewa. Podejmując problem *cur homo?* (dlaczego został stworzony człowiek?) znajduje takie rozwiązanie: "Dziękujemy Bogu za doprowadzenie do końca dzieła, po którym mógł odpocząć. Stworzył niebo i nie jest napisane, że po tym odpoczywał. Stworzył słońce, księżyc i gwiazdy i znów nie czytamy, że odpoczywał. Ale czytamy, że stworzył człowieka i wówczas odpoczął mając wreszcie kogoś, komu mógł przebaczyć grzechy" *.

Te słowa mogą być właściwym kluczem dla interpretacji przypowieści.

Najodpowiedniejszym schematem egzaminu, o którym wspominaliśmy na początku.

Kto uważa się za sprawiedliwego, kto należy do klubu "przyzwoitych ludzi", łatwo akceptuje Boga, sprawiedliwego. Ale wiara chrześcijańska polega na przyjęciu Boga, który jest Miłością. "Myśmy poznali i uwierzyli miłości, jaką Bóg ma ku nam" (1 J 4,16).

Czy potrafimy "przebaczyć" Bogu Jego miłość? Nie gorszyć

• In Hexaemeron VI,10 (PL 14.272).

185

się Jego szaleństwem, Jego słabościami? Jednym słowem, czy jesteśmy skłonni zrozumieć, przyjąć i włączyć się w "strategię miłosierdzia"?

Postawmy sprawę jasno: jest to strategia, która nie respektuje tradycyjnych reguł. Posługuje się nieoczekiwanymi manewrami, szalonymi gestami, zwycięża słabością.

WYPRACOWANIE PRYMUSA

Temat: Opowiedz przypowieść o synu marnotrawnym.

Często zastanawiam się, co napisalibyśmy na taki temat, gdyby nie było opowieści Łukasza.

Byłoby z mojej strony niewybaczalnym zarozumiałstwem, gdybym chciał "przewidzieć", jak rozwiną ten temat inni. Jak Ty go rozwiniesz. Dlatego ograniczam się do wyznania, co ja bym napisał.

Nakreśliłbym przygodę młodszego syna w sposób dość podobny do przypowieści ewangelicznej. Rozszerzyłbym tylko motyw "rozrzutnego życia", nie ograniczając się z pewnością do jednej linijki Łukasza: "Tam roztrwonił swój majątek, żyjąc rozrzutnie".

Bez wątpienia w korzystniejszym świetle przedstawiłbym starszego syna. Do licha! Wierność tego, który pozostał, całkowicie oddany domowi i pracy, uwypukliłaby ogrom winy tego rozpustnika, który zwał z ojcowskiego domu i poszedł sobie "roztrwonić majątek z nierządnicami".

Przede wszystkim jednak moja opowieść mocno odbiegałaby od wersji Chrystusa w części opisującej zachowanie Ojca. Włożyłbym w jego usta kwieciste kazanko, miażdżącą tyradę:

"Jesteś zakałą naszej rodziny! Co za hańba dla naszego domu! Zatrueś lata mojej starości...

Pomyśl, co powiedzą teraz ludzie. Spójrz na twego brata, jaki jest pracowity, wierny,

posłuszny. Ty jesteś jego karykaturą. A teraz, gdy nie masz grosza przy duszy, gdy twoi przyjaciele dali ci kopniaka, nie krępujesz się powrócić do talerza, na który niedawno naplułeś. W każdym razie musisz udowodnić, że zasługujesz na miejsce w naszym domu. Musisz odzyskać moje zaufanie. Wystawiam cię na próbę. Będę ciebie obserwował, by zgnieł jabłko nie zepsuło również zdrowych".

I na zakończenie zbawienna nauka - zasłużona kara.

W sumie: wypracowanie niezłe, powiedziałbym nawet godne prymusa. Opowieść skonstruowana racjonalnie. Żadnych przegięć. Bóg jest dobry, ale sprawiedliwy. Trzeba przecież

186

unikać rozwiązań, które mogłyby wydawać się zachętą do grzechów.

Oto moje wypracowanie prymusa. Oto moja "rozsądna" wersja. Oto moja "zbawienna i budująca" przypowieść.

DWÓJA OD PANA BOGA

Pan Bóg spogląda na moją kartkę, tak czystą i porządną. Chwyta czerwony ołówek i przekreśla ją dwoma ruchami. A na końcu dopisuje: "A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko, wybiegł naprzeciw niego, rzucił się mu na szyję i ucałował go... Lecz ojciec rzekł do swoich sług. «Przynieście szybko najlepszą szatę i ubierzcie go: dajcie też mu pierścień na rękę i sandały na nogi. Przyprowadźcie utuczone ciele i zabijcie; będziemy ucztować i bawić się, ponieważ ten syn mój był umarły, a znów ożył; zginął, a odnalazł się». I zaczęli się bawić".

Dochodzę do wniosku, że takie wypracowanie prymusa w szkole Chrystusowej zasługuje najwyżej na dwóję. Jest zupełnie chybione. Właściwe rozwiązanie jest zupełnie inne. Nic nie rozumiałem.

Moje serce nie dorównuje sercu Ojca.

Nie potrafię znieść tych ramion otwartych w geście bezgranicznego miłosierdzia. Staram się ograniczyć ten gest, sprowadzić go do wymiarów mniej "gorszących", bardziej do przyjęcia.

I nie zdaję egzaminu z chrześcijaństwa.

Nie wierzę w Miłość.

Nie umiem przyjąć serca, którego wielkość jest bez miary. Którego rozsądek jest nierozsądny.

Nie potrafię "przebaczyć" Ojcu Jego serca.

Napisałem doskonale opowiadanie.

Nie rozumiałem jednak głównej Postaci.

Źle rozwiązałem część końcową.

Przegrałem. Wszystko bowiem postawiłem na starszego brata. Tymczasem wszystko powinienem był postawić na szaleństwo Ojca.

MOJA FOTOGRAFIA

Jest taki obraz Rembrandta, który głęboko wnika w ducha tej przypowieści.

Ojciec: czcigodny starzec, w płaszczu szeroko rozpostartym, o obliczu promieniującym radością, mimo że jego oczy są wyblakłe od wielkiego płaczu. Ręce silnie opierają się na ramionach syna, by uniemożliwić mu powtórne odejście.

187

Młodszy syn jest w cieniu, klęczy, widzimy jego plecy. Głowę kryje na piersi ojca.

Starszy syn z profilu: wściekły, z grymasem niesmaku na twarzy, ręce zaciśnięte w porywie gniewu, cała postawa wyraża naganę i zgorszenie słabością i postępowaniem ojca.

Gdy stoję przed tym obrazem, ogarnia mnie straszne podejrzenie: a może jest to moja fotografia? Mam na myśli postać starszego syna...

Przejdźmy od malarstwa do literatury.

Anouilh w jednym z utworów przedstawia swoją wizję sądu ostatecznego: sprawiedliwi stoją u bramy Raju; zbita masa ludzka, która pragnie szybko wejść, przekonana, że ma tam miejsca zarezerwowane, niespokojna, zniecierpliwiona. W pewnym momencie rozchodzi się między nimi szmer: "Wygląda na to, że On przebacza także innym!"

Przez chwilę zdumienie paraliżuje ich i odbiera im mowę. Potem widać osłupiałe wejrzenia, słycać westchnienia, krzyki, protesty. Są oburzeni. "Czy było warto?" "Gdybym wiedział..." Żółć się gotuje. Zaczynają złorzeczyć Bogu... Zostają natychmiast potępieni. Koniec sądu. Wydali na siebie wyrok. Wyklęli się. Objawiła się Miłość, a oni nie chcieli jej poznać*.

"A pośród Jego uczniów, którzy to słyszeli, wielu mówiło:

«Trudna jest ta mowa. Któż jej może słuchać?»" (J 6,60)

Możemy dodać: takie zachowanie Ojca jest trudne do przyjęcia. Jego miłość wykracza zbyt daleko poza granice rozsądku.

"Jezus jednak świadom tego, że uczniowie Jego na to szemrali, rzekł do nich: «To was gorszy?» (...) Odtąd wielu uczniów Jego odeszło i już z Nim nie chodziło. Rzekł więc Jezus do Dwunastu: «Czyż i wy chcecie odejść?»" (J 6,61.66-67)

Jezus pozwoli nam odejść, jeżeli nie jesteśmy w stanie zaakceptować Jego strategii miłosierdzia, przebaczyć Mu Jego miłości.

Powiedzieliśmy, że przypowieść o synu marnotrawnym jest decydującym sprawdzianem naszego chrześcijaństwa.

Egzamin niesłuchanie prosty i niesłuchanie trudny: czy potrafimy zaakceptować te ramiona otwarte w geście bezgranicznego przebaczenia, opierając się pokusie umniejszenia go?

W domu Ojca jest miejsce dla wszystkich. Jest też uprzywilejowane miejsce nawet dla syna, który powraca obdarty.

Nie ma jedynie miejsca dla tego, kto nie toleruje serca Ojca.

* Cyt. za: Louis Evély, Sei, tu, quest'uomo, Marietti.

188

Jeżeli chcemy uzupełnić sprawdzian, możemy dorzucić przypowieść o robotnikach jedenastej godziny (por. Mt 20,1-16). Ale decydujące pytanie pozostaje zawsze takie samo: czy godzimy się na tego Boga, którego miłość jest tak szalona? A przede wszystkim, czy pochwalamy sposób, w jaki ta Miłość kocha?

Wiarę mierzy się wielkością naszych serc.

SPOWIEDŹ STARSZEGO SYNA

Starszy syn spowiada się na opak: "Oto tyle lat Ci służy i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu".

Widocznie należy do tej samej kategorii co faryzeusz: "Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, zdziery, oszuści, cudzołźnicy (...). Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam" (Łk 18,11-12).

Ponieważ nie zrobił tego sam, ja odmówię Confiteor zamiast niego. Otwarcie wyliczę jego winy. Nie dla przyjemności oskarżenia, ale dlatego, że w osobie starszego brata bez trudu rozpoznaję siebie. A więc mógłby to być mój Confiteor.

MARNOTRAWCA MARZEN

"...syn twój, który roztrwonił twój majątek..." Nie zdaje sobie sprawy, że pierwszym marnotrawcą był on sam.

Roztrwonił marzenia, śmiałe ideały, smak przygody. Pospiesznie wyzbył się entuzjazmu. Starannie pomniejszył wszystkie zbyt rozległe horyzonty. Jego sztandar stał się chusteczką. Stworzył sobie świat na miarę własnej przeciętności i małoduszności. Włożył pantofle i przekształcił się w "porządnego człowieka", przedwcześnie postarzałego.

Gorzej jeszcze: nigdy nie był naprawdę młody, roztrwoniał nadzieje, świeżość młodości z jej porywami i niepokojami. Pozwolił zwiędnąć najśmielszym marzeniom.

"Roztrwoniał najświętsze bogactwo, bogactwo tajemnicy. Już w pierwszych latach osiągnął mądrość starców: niedowierzanie. Ze swych obliczeń wyeliminował od razu niewiadomą, element niepewności, zatrzymał sobie liczby dokładnie określone, rzeczywistość pewną: woły, domy i zaufanie swego ojca" (A. Romanó).

ZBYTEK uczciwości

Nie zna najwyższej wolności, która polega na przyznaniu: zblądziłem.

Jego winą jest uczciwość. Zbytnia uczciwość. I być może ta jego uczciwość zimna i formalna spowodowała, że młodszy brat zdecydował się przeskoczyć ogrodzenie. "Istnieją szczęśliwe winy, tak jak istnieje uczciwość niedorzeczna i niepotrzebna. Starszy syn daje nam przykład takiej uczciwości, która się odcina i przeciwstawia.

190

Świat pełen jest barier: rasowych, narodowych, majątkowych, klasowych, zawodowych. Dlaczego nie dołączyć do nich również bariery dobra? Dobrym zależy, by świat należał do nich. Klub ludzi uczciwych!

To nie dobro wznosi bariery i staje się przeszkodą, ale ciasnota ducha tego, kto to dobro czyni.

Pasją dobra jest powszechnym braterstwem, odczuwanym przez wszystkie stworzenia, nawet najbardziej niegodne. Dlatego jest ono antytezą wszelkiego podziału. Dobra jest jedynym mostem, który można przetrzymać w każdej chwili przez fosy naszego egoizmu.

Tymczasem dobro starszego syna jest strojem odróżniającym, świadectwem przeciw, legitymacją rozdziału" *.

Syn marnotrawny odszedł z ojcowskiego domu, gdyż jego brat pierwszy odciął się od niego. Cnoty starszego, a raczej jego sposób praktykowania cnót, wzniosły barierę. Są takie zachowania - cnotliwe, zimne, zgryźliwe, legalistyczne, ciasne, które prawie nieuchronnie pchają do grzechu.

Końska dawka moraliny.

Można spokojnie przyjąć, że starszy syn nie szczędził kazań i rad niespokojnemu i lekkomyślnemu braciszkiowi. Malował przed nim w czarnych kolorach brzydotę grzechu, jego fatalne konsekwencje.

A syn marnotrawny zaczął podejrzewać, że może grzech nie jest aż tak brzydki... Między innymi jego przypuszczenie wspomagała wręcz opowieść biblijna o pierwszym grzechu:

"Wtedy niewiasta spostrzegła, że drzewo to ma owoce dobre do jedzenia, że jest ono rozkoszą dla oczu i że owoce tego drzewa nadają się do zdobycia wiedzy" (Rdz 3,6).

Nie możemy zadowolić się mówieniem o brzydocie grzechu. Nikt nie popełnia grzechu jedynie po to, by czynić zło, ale ponieważ odkrywa w grzechu dobro i piękno, choćby maleńkie i cząstkowe.

Nie tyle chodzi o uporczywe wskazywanie na brzydotę grzechu (w którą wierzą nieliczni), ile o zmanifestowanie życia, jak piękna jest łaska. O wykazanie czynami, całą postawą, że więcej radości daje czynienie dobra niż grzeszenie, że więcej szczęścia daje pójście za wskazaniem Chrystusa niż za szczęściem, jakie daje świat. Że więcej radości jest w dawaniu się-

• P. Mazzolari, La piu bella awentura, Gatti.

191

bie niż w życiu dla siebie. Że istnieją wartości większe i godniejsze nas niż pieniądze, przyjemności, żądza kariery.

"Łaska to odczuwanie większej przyjemności z niegrzeszenia niż z grzeszenia" (L. Santucci). Błąd starszego brata polegał na tym, że nie potrafił konkretnie ukazać tego wszystkiego. Przyjął postawę grabarza radości. Udało mu się więc stworzyć pustkę wokół siebie. Drugi brat odszedł, by szukać radości ..w dalekich stronach".

Prawdopodobnie zaaplikował młodszemu bratu, jak wyraził się Mounier, serię bolesnych zastrzyków moraliny.

Sprowadził zamieszkiwanie w domu ojca do kwestii regulaminu, prawa, obowiązków i zakazów.

Faszerował mu mózg gadaniem o obowiązkach, a nigdy mu nie powiedział, kim jest.

Marnotrawny syn osaczony był tablicami zakazów i ślepymi uliczkami. Dlatego postanowił iść własną drogą w poszukiwaniu siebie samego.

"Prawdę mówiąc, w świecie zbyt często opatruje się chrześcijańską etykietką pewien kodeks moralny, ułożony jakby po to tylko, by gasić ducha, zasypywać przepaści, unikać szaleństw, pozbawiać sensu cierpienie, z wezwań Nieskończoności uczynić temat towarzyskiej konwersacji, oswajając udręki ludzkiej kondycji" (E. Mounier).

Być może główny grzech pewnej odmiany wychowania chrześcijańskiego polega na tym, że nauczyliśmy ludzi, co mają robić, a zapomnieliśmy im powiedzieć, kim są.

Baliśmy się obsesyjnie o drogę (wypracowaliśmy bardzo dokładne przepisy ruchu), a straciliśmy z oczu człowieka, który miał nią iść.

Wybraliśmy najwygodniejsze rozwiązania. Łatwo jest bowiem powiedzieć człowiekowi: zrób to, nie rób tego, biada ci, jeżeli zachowasz się tak, a nie inaczej. Trudno natomiast ukazać mu jego tożsamość, pomóc mu w odkrywaniu własnej godności, wolności, odpowiedzialności.

"Powiedz mi, kim jestem. Jakie miejsce zajmuję w Domu. Opowiedz mi o Miłości Ojca" - tak wołał może marnotrawny syn do starszego brata.

Nie otrzymał odpowiedzi. Ciągłe ta sama śpiewka, nie do zniesienia. I wówczas zdecydował się zrobić coś sam. Wyjechał, nie oglądając się za siebie. Bo i po co? Znow natknąłby się tylko na tę gniewną twarz, na tę odrażającą karykaturę oblicza ojca.

Najgorszymi nieprzyjaciółmi religii nie są ci, którzy zwalczają ją otwarcie. Są nimi zwarte zastępy starszych synów, któ-

192

rzy obrzydzą religię, znikczemniają, sprowadzają do zgryźliwej i ciasnej moralistyki.

OJCIEC W ROLI KSIĘGOWEGO

Starszy syn sądził, że aby być w porządku w domu Ojca, wystarczy skrupulatnie respektować regulamin. "Nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu".

Traktował swoje stosunki z Ojcem jak listę należności, które należy rejestrować z buchalteryjną drobiazgowością. W jego pedantycznej arytmetyce wszystko dokładnie się zgadzało.

Prawdę mówiąc, w rubryce "ma" była mała nadwyżka: "koźlę, aby zabawić się z przyjaciółmi". Ojciec był mu winien koźlę. Dopiero wówczas bilans "wyjdzie na zero". Niech lepiej stary o tym pamięta. W przeciwnym razie on sam postara się przypomnieć mu o tym i wytknie przy najbliższej okazji.

Starszy syn, ten niestrudzony pracownik, ten wzór porządku, ten dobry chrześcijanin nie ma racji, sprowadzając Ojca do roli księgowego i narzucając mu obowiązek sumiennego księgowania swych dobrych uczynków i zasług.

Nie ma racji, domagając się, by rachunki zawsze się zgadzały. Jest zgorszony, gdy w momencie powrotu syna marnotrawnego stwierdza, że jego arytmetyka zawiodła. Że ojciec wszystko pomieszał w księgach rachunkowych.

Dotąd, pominąwszy koźlę, rachunki dokładnie się zgadzały. Teraz już nie. I starszy syn przeżywa kryzys.

Nigdy nie miał odwagi zadać sobie pytania: czy bardziej oddalony od Domu jest ten rozpustnik, który wzgardził nim i porzucił go, czy też on sam, mimo że w nim pozostał, ale bez miłości?

Jego drażliwa zarozumiałość nie pozwala mu się nawet zastanowić, kto właściwie znajduje się w "dalekich stronach", on czy syn marnotrawny.

Na horyzoncie pojawia się brat-łotr. "Przynieście szybko najlepszą szatę i ubierzcie go; dajcie mu też pierścień na rękę i sandały na nogi. Przyprawdźcie utuczone ciele i zabijcie, będziemy ucztować i bawić się". Oszałały Ojciec nagle rzuca na księgę rachunkową ciężar własnego serca. Następuje katastrofa. Liczby płaczą się. Pozycje "ma" i "winien" ulegają przestawieniu. Działania się nie zgadzają. Nie można dojść do ładu. Serce wywołuje takie powikłania. Nie ma zgodności między sercem a arytmetyką.

Starszy syn pyta, złości się, skamle, protestuje. To niesprawiedliwe.

193

13 - Niewygodne Ewangelie

"Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmy znosili ciężar dnia i spiekoty" (Mt 20,12).

To niesprawiedliwe.

"Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę zatrzymać się w twoim domu" (Łk 19,5).

Ma do dyspozycji tyle przyzwoitych domów, a popatrz tylko z kim się zadaje!

"Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia" (Łk 15,7).

To niesprawiedliwe.

"I Ja ciebie nie potępiam. Idź, a od tej chwili już nie grzesz" (J 8,11).

Tego już za wiele. To dopiero gratka dla grzeszników wykpić się tak tanim kosztem.

"Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała" (Łk 7,47).

Do czego to doprowadzi?

"Wprowadź tu ubogich, ułomnych, niewidomych i chromych" (Łk 14,21).

Przecież to niegodne.

"Zaprawdę, powiadam ci: Dziś ze Mną będziesz w raju" (Łk 23,43).

Rzeczywiście, ładne towarzystwo.

Starszy syn gorszy się Ewangelią, która przekreśla jego rachunkowość. Jęczy: to niesłuszne, tego już za wiele, do czego to nas doprowadzi? Odkrywa ze zdziwieniem i pogardą, że istoty Domu nie stanowi regulamin, ale serce Ojca.

Nie zgadza się z nie przewidzianymi zachowaniami tego serca, z kaprysmi tej miłości.

Formacja religijna oparta na prawie i regulaminie tworzy "ludzi praktykujących". Ale nie tworzy synów. Ani zakochanych. Nie kształtuje chrześcijan.

Kto pozostaje w Domu bez miłości, jest dezterem.

WINNY POZOSTANIA W DOMU

Co uczynił starszy syn, aby uniemożliwić odejście marnotrawnego? Nic. Co więcej, w głębi duszy może odetchnął z ulgą. Z wyjazdem tego rozpustnika wreszcie do domu powracał porządek. Wszystko na miejscu. Żadnych niepokojów, kryzysów, zmartwień. A poza tym uschnięte pędy trzeba wycinać bez litości.

To jego wina, że pozostał w Domu, podczas gdy brat był

194

daleko. Gdy serce Ojca podążało za nim w "dalekie strony". Dom był pusty, ponieważ serce Ojca także go opuściło (i może radowało się z syna, który pozwolił mu ogarnąć tak odległe miejsca...).

Również on powinien był wyjechać na poszukiwanie brata. Nadarzała się okazja, by to właśnie on przyprowadził go do ojcowskiego Domu. "Człowiek zbawia się we wspólnocie". Zaprzepaścił tę okazję.

"Czyż jestem stróżem brata mego?" (Rdz 4,9)

Ostatnio jakaś Francuzka zwierzała się na łamach gazety:

"Rozumiem księży, którzy zostawiają wierną owieczkę, aby wyjechać na poszukiwanie dziewięćdziesięciu dziewięciu zaginionych. Ale czy po powrocie pasterz nie mógłby obdarować uśmiechem tej pozostałej w owczarni, uśmiechem, który powiedziałby: «Ty jesteś tutaj, kocham cię bardzo i nie zapominam o tobie»; uśmiechem, który by ją umocnił i pomógł znieść własne zmartwienia? Bo przecież wbrew pozorom również ta owieczka potrzebuje pasterza, choć może wydaje się zadowolona; cierpi, ponieważ czuje się opuszczona. Byłaby to drobnostka. Ale byłoby to wszystko".

Chciałbym odpowiedzieć tej udręczonej istocie: Czy na tym polega wierność? Czy można nazwać wiernością pozostanie na miejscu w sytuacji, gdy dziewięćdziesiąt dziewięć owieczek znajduje się poza owczarnią (również z naszej winy)? Gdy pasterz przetrząsa opłotki i ścieżki, szukając ich?

Pasterz, proszę w to nie wątpić, obdaruje ją uśmiechem, ale nie wtedy, gdy zobaczy ją po powrocie w bezpiecznym ciepłe owczarni, ale gdy odnajdzie ją u swego boku, zaangażowaną w to samo poszukiwanie, narażoną na to samo ryzyko odzyskania.

Nie mówmy o tym filozofom, teologom, którzy zaraz zażądaliby od nas wyjaśnień.

Powiedzmy to między sobą. Gdy grzesznik się nawraca, nasz Bóg świętuje w niebie.

Zostawmy starszego syna, by rozpamiętywał swoje żale. Nie mówmy tego faryzeuszom, gdyż nie jest to zawarte w ich suchych kodeksach. Być chrześcijanami znaczy zabiegać o pomnożenie nieopisanej radości Boga.

A pozostawanie w bezpiecznym miejscu czasem może być grzechem.

KOMPLEKS NIŻSZOŚCI WOBEC GRZECHU

"Skoro jednak wrócił ten syn twój, który roztrwonił twój majątek z nierządnicami..."

Szemranie starszego syna zdradza Jego kompleks niższości wobec grzechu.

195

W głębi serca jest przekonany, że brat nieźle się zabawił. Że rozkoszował się szczęściem.

Podczas gdy on, z powodu wymogów regulaminu...

Nie zrozumiał tragicznej prawdy wyznania, jakie wyszło z ust syna marnotrawnego: "a ja tu z głodu ginę".

Nie doświadczył niemożności wyciśnięcia szczęścia ze stworzeń. Nie zrozumiał, że serce ludzkie przekracza granice rzeczy. Że potrzebuje czegoś więcej, że ziemskie pożywienie mu nie wystarcza, lecz wywołuje śmierć głodową. Nie jest do końca przekonany, że czynienie dobra sprawia większą radość niż czynienie zła.

Gdyby nie istniał Raj... Gdyby nie było tej okropnej perspektywy ognia piekielnego... Wielu chrześcijan cierpi z powodu tego samego kompleksu niższości w stosunku do grzechu. Nie są przekonani, że - nawet przyjmując absurdalną hipotezę nieistnienia Raju - i tak nie byłoby czego żałować.

Starszy syn też chętnie by sobie pofolgował, gdyby nie bał się utraty swoich dóbr, gdyby nie był uzależniony od sądów innych ludzi.

Unika grzechu nie dlatego, że boi się obrazić śmiertelnie inne istnienie czy zabrudzić w sobie obraz Ojca, a jedynie dlatego, że boi się popsuć sobie duchową reputację.

Nie tyle chodzi mu o osobową więź z Bogiem, ile o spokój sumienia.

Teraz, gdy starszy syn wypowiedział przez moje usta (kopię zgodną z oryginałem) Confiteor, przychodzi czas pokuty.

A pokutą jest zabawa, która szaleje w całym domu. Pokutą jest świadomość, że został "wyprzedzony" przez syna marnotrawnego.

I nie tylko przez niego. "Celnicy i nierządnicze wchodzą przed wami do królestwa niebieskiego" (Mt 21,31).

To szczyt wszystkiego. Został wyprzedzony nie tylko przez tego rozpustnika, ale nawet przez "nierządnicze", z którymi syn marnotrawny roztrwonił majątek.

Nie ma już religii! - ma ochotę krzyczeć, podobnie jak niektórzy moi znajomi. Słusznie. Nie ma już religii. Bez miłości.

SYN MARNOTRAWNY UNIKNAŁ NIEBEZPIECZEŃSTWA

Zabiorą się i pójde do mego ojca.... (Łk 15,18)

Chrystus był zbyt dobry, zbyt delikatny, opowiadając tę przypowieść. Pomiął pewien przykry (dla nas) szczegół.

Pozostawił go, by wydobyła go pracownicy z kontekstu opowieści nasza pokora.

Czy syn marnotrawny miał szczęście? Bez wątplenia. Jednak jego największe szczęście nie polegało na tym, że zakończył swe przygody w objęciach Ojca, że został ponownie, z wszystkimi honorami przyjęty do domu.

Jego ogromne szczęście polega na tym, że nie spotkał w drodze powrotnej starszego brata. Gdyby się natknął na niego, prawdopodobnie jego droga przez mękę zakończyłaby się inaczej.

Na szczęście, starszy brat wkracza na scenę dopiero wówczas, gdy sprawa jest już przesądzona, gdy rozpoczyna się uczta, gdy utuczone ciele jest już zabite. Strategia miłosierdzia przyjęta przez Ojca zakończyła się całkowitym sukcesem. Nie mogą jej już zakwestionować żalosne utyskiwania starszego brata.

Rozpusta, towarzysze hulanki, nędza, świnię. Droga syna marnotrawnego najeżona jest tymi wszystkimi niebezpieczeństwami.

Są to jednak niebezpieczeństwa, które stanowią również jego wybawienie. Są jak ciernie, które z biegiem czasu głęboko wbijają się w ciało i budzą dotkliwą nostalgię za Domem ojcowskim. Ukazują mu swą radykalną niemożność zaspokojenia jego dążeń i doprowadzają do wyzwającego wyznania:

"Ja tu z głodu ginę".

Największe niebezpieczeństwo na jego drodze stanowiła możliwość spotkania starszego brata, niezmordowanego pracownika, dobrego chrześcijanina. I Ojciec drżał na pewno przed taką ewentualnością.

Kto dotknął dna przepaści poniżenia, może odbić się ku górze, ku świeżemu powietrzu, ku świętości. Jedyne miernota nie ma tej możliwości. Grzesznik - jak pisze Bernanos w Rozmowach karmelitanek - może się ponownie narodzić, gdyż nie narodził się jeszcze do życia w łasce. Człowiek mier-

197

ny nie może, już się bowiem raz narodził. I narodził się źle. Urodził się "chybiony".

Poroniony.

Dla grzesznika otwiera się droga świętości. Człowiek mierny pozostaje uwikłany (z pełną satysfakcją) w pęta własnej nędzy i wystarczalności.

Grzesznik może zostać świętym. Ma po temu zadatki.

Człowiek mierny zawsze pozostanie kreaturą, która trwoni życie na podziwianiu siebie i twierdzi, że mimo wszystko (mimo co mianowicie?) nie jest tak źle...

Syn marnotrawny w drodze powrotnej musi wystrzegać się wyłącznie "złego towarzystwa". Nie, nie tego, o którym myślimy.

"Złym towarzystwem" jest wyłącznie towarzystwo starszego brata, człowieka miernego. Bo tylko on potrafi zdławić tęsknotę za ojcowskim Domem.

Syn marnotrawny, aby dobić do portu, "nie powinien wpadać w złe towarzystwo, w stęchłą ciasnotę chrześcijańskiego getta. Istnieje «dobre towarzystwo» chrześcijańskie i każdy może się do niego przyłączyć jako prawdziwy i szczerzy przyjaciel Boga i człowieka: jest to towarzystwo świętych" (F. Heer).

DLACZEGO POWRÓCIŁ?

Syn marnotrawny doświadczył zła. Jednak czym jest zło?

Filozofowie zawzięli się, by nam to wytłumaczyć.

Nie chcę tu bezczelnie twierdzić, że zamiast dać nam przekonujące rozwiązanie problemu zła, strasznie wszystko skomplikowali i zagmatwali.

Mówią o złu jako o pewnym nieistnieniu, jako o zwykłym braku dobra i doskonałości.

Biblia na szczęście nie filozofuje. Przedstawia nam sprawy w sposób prosty. Objawia Boga i ukazuje Jego przeciwnika:

Szatana.

"Wśród różnorodnych przejawów Zła można rozpoznać trzy symptomatyczne cechy: pasożytnictwo, oszustwo i parodię" (P. Evdokimov).

Wszystko zaczyna się oszustwem ("będziecie jak Bóg"), a kończy się straszliwą parodią Stworzyciela. Wydaje mi się jednak, że aspektem najważniejszym jest aspekt pasożytnictwa. Szatan atakuje człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga i żyje na nim jak pasożyt, tworząc "monstrualną narośl, szatański obrzęk".

Zły jest najgorszym ze znanych wampirów. Przyczepia się,

198

przykleja do stworzenia jak pasożyt i pożera je. Czyni je pustym.

"Bóg swoim «fiat-tak», stwarza podobieństwo i napędza wszystko we wszystkich. Zły duch swoim «me-antyfiat» opróżnia wszystko we wszystkich i tworzy miejsca niepodobieństwa" (P. Evdokimov).

Święci, przeciwnie, stanowią miejsca podobieństwa.

Naturalnie, zły duch dla swego dzieła "opróżnienia" posługuje się współnikami mniej lub bardziej świadomymi, skłonnymi służyć kłamstwu i odgrywać parodię.

Faktem jest, że Kłamca puchnie i rośnie bez miary kosztem człowieka, który maleje aż do utraty prawdziwej tożsamości.

Zanika obraz Boga. I znika równocześnie obraz człowieka.

Mamy teraz człowieka odczłowieczonego, świat odczłowieczony. Mnożą się "opętani".

Nieobecność Boga zostaje zastąpiona uciążliwą obecnością "opętanego samym sobą", obecnością autobóstwa (Andrzej z Krety).

A syn marnotrawny zostaje nagle pochłonięty przez nieubłaganego pasożyta, który wysał zeń coś więcej niż dziedzictwo. Czuje się opróżniony z siebie samego. Odkrywa, że jest ubogi, w najbardziej radykalnym znaczeniu tego słowa.

"...tu z głodu ginę".

Jednak to właśnie od tego dramatycznego stwierdzenia okrutnego głodu, całkowitego ubóstwa (ubóstwa istnienia), zaczyna się droga powrotu.

Światłe słowa ks. Mazzolańskiego mogą pomóc nam zrozumieć istotę doświadczenia syna marnotrawnego: "Wystarczy być człowiekiem, by być ubogim".

Prawdopodobnie przyszła antropologia chrześcijańska (której potrzebę odczuwamy dziś wszyscy) będzie musiała wyjść od tej prostej i podstawowej definicji.

Syn marnotrawny namacalnie stwierdza, że jest człowiekiem ubogim. Ma odwagę wyznać swe radykalne ubóstwo. Odkrywa i wyznaje rozbieżność, jaką nosi w sobie. Rozbieżność pomiędzy tym, kim jest, a tym, kim powinien być, pomiędzy swym głodem a strąkami, pomiędzy statusem świno-pasa a statusem syna, pomiędzy swym pragnieniem szczęścia a ziemskimi pokarmami. Kiedy odkrywa, "że został stworzony dla czegoś innego" i oskarża przedmioty o zdradę, właśnie wtedy odkurza swą godność i boską pieczęć wyciśniętą na swoim ciele.

Syn marnotrawny odkrywa, że jest biedakiem pozbawionym

199

Ojca, wolności, prawdy, godności, miłości. Stara się wypełnić bezdenną pustkę, jaką nosi w sobie.

Staje przed nim obraz ojcowskiego Domu.

W "dalekich stronach", w "miejscu niepodobieństwa" brakuje mu Domu. Brakuje mu serca Ojca.

I znów Mazzolari spieszy z wyjaśnieniem: o wartości człowieka decyduje to, czego mu brakuje.

Wracając do domu syn marnotrawny może zaintonować hymn wolności. Na właściwą nutę. Przygotował nawet małe przemówienie. Jednak Ojciec mu przerywa. Już zrozumiał. Nie potrzeba słów.

"Najlepsza szata", "pierścień na rękę" i "sandały na nogach" to symbole "nowego człowieka". Zły duch. Pasożyt pożarł go i uczynił pustym. Teraz Ojciec zarzuca mu ręce na szyję (ten gest jest odwrotnością gestu pasożyta, wpijającego się w skórę, by wysać krew) odtwarza go, naprawia, okrywa splendorem.

Nie zapomnijmy jednak, że punktem wyjścia zawsze pozostaje ubóstwo.

"Jedynie akceptując siebie jako ubogich, stajemy się ludźmi" (U. Vivarelli).

GDYBYM TO JA GO SPOTKAŁ

A zatem co by się stało, gdyby na drodze starszego brata pojawił się cień marnotrawnego? Co ja bym uczynił, gdybym go spotkał?

1. Prawdopodobnie trzymałbym się z dala od niego. Znalazłbym gotową etykietkę dla tego włóczęgi: rozpustnika. I wystrzegalbym się kontaktu z nim.

Człowiek staje się abstrakcją, gdy przyklejam mu etykietkę, gdy go klasyfikuję. A ileż tych etykietek mamy do dyspozycji! Materialista, ateista, liberał, komunista, postępowiec, rewolucjonista, rozpustnik, reakcjonista. Etykietka uniemożliwia zbliżenie się do bliźniego, widzenie go w jego najbardziej autentycznej rzeczywistości: człowieka, brata.

Ludzie dalecy? Jest to temat, który chętnie poruszam, nie pomijając bolesnych akcentów. Jednak gdy napotykam "dalekiego" w życiu, wolę zwać.

Dialog? Tak, ładnie się mówi o dialogu. Jednak prowadzić go naprawdę to zupełnie inna sprawa. "Prowadzić dialog znaczy trwać w postawie pytania wobec drugiego człowieka" (F. Heer). A jest to postawa raczej niewygodna.

W rzeczywistości boję się dialogu. Obawiam się bowiem, że

200

"resztki mojej dziecięcej wiary i bastiony mojej wiary katechizmowej rozsypią się w jasnym świetle sumienia odartego ze złudzeń".

2. Może zmierzyłbym się z nim. Przybrałbym ton napastliwej krytyki: "Wstyd! Byłeś łajdakiem, okryłeś hańbą całą rodzinę! Czy zdajesz sobie sprawę, że twym nikczemnym postępkiem zламаłeś serce «staremu»"?

Rzeczywiście, serce Ojca nieomal pęka z radości...

A może wybrałbym ton dziecinnej pogroźki: "Poczekaj tylko, gdy wrócisz do domu, tatuś da ci nauczkę! Zobaczysz, co cię spotka!"

Rzeczywiście: "Przyniesicie szybko najlepszą suknię i ubierzcie go; dajcie mu też pierścień na rękę i sandały na nogi. Przeprowadźcie utuczone cielę i zabijcie; będziemy ucztować i bawić się".

3. Może próbowałbym go nawrócić. Kiedy uwolnimy się od "kompleksu nawracania" (innych)? Od prozelityzmu za wszelką cenę? Kiedy przestaniemy narzucać innym nasze jedynie słuszne drogi? Kiedy przestaniemy bawić się w Lekarza, Nauczyciela, Zbawiciela, uznając, że jeden jest Lekarz, Nauczyciel i Zbawiciel, a my jesteśmy jedynie "sługami nieużytecznymi" i często zawadzającymi?

Kiedy zgodzimy się pokornie na wspólne poszukiwania, wspólne wędrowanie?

Kiedy przestaniemy wprowadzać Boga siłą do dusz bliźnich? A może On już wszedł do nich cicho, z szacunkiem, może przez drzwi służbowe, nie powiadamiając nas, nie pytając o pozwolenie, nie zostawiając żadnego widocznego śladu "na zewnątrz"?

Również "czyniąc dobro" można narobić wiele zła. Jest taki sposób czynienia dobra, z pominięciem dyskrecji, wstydu, zbyt dumnie, z wyjątkowym poczuciem wyższości. Z pominięciem tego szczególnego stylu, sposobu, jakiego nauczył nas Chrystus.

Niektórzy ludzie łudzą się, że czynią dobro drugiemu, stale go oblegając, zatruwając go bez miary radami, przestrogami, wyrzutami, groźbami. Składa się to na swoiste prześladowanie, co najczęściej doprowadza do rezultatów wprost odwrotnych do zamierzonych.

Każdy jest stróżem swego brata. Zgadzam się, naturalnie. Nie można jednak być policjantem swego brata, szpiegującym każdy jego gest, studiującym wszystkie jego ruchy, interpretującym (prawie zawsze źle) wszystkie jego intencje.

Sądźmy poza tym, że aby sprowadzić kogoś na właściwą

201

drogę, wystarczy usunąć mu dokładnie wszystkie okazje do zła, z uporem ograniczać wszystkie jego przestrzenie wolności, trzymać go nieustannie pod kontrolą.

Musimy być świadkami, a nie policjantami. Towarzyszami podróży, a nie sędziami.

Przyjaciółmi, a nie szpiegami.

Marnotrawny wędruje w kierunku Domu. Każda próba nawrócenia może okazać się barierą. Dla Ojca jest on już "wewnątrz".

4. Może kazałbym mu zdać wstępny egzamin. Przygotowałbym go do niego. Upewniłbym się, czy podpisał zgodę na określone warunki. "Czy jesteś gotów przyjąć regulamin Domu? Okazało się już raz, że go nie tolerujesz. Nie chciałbym, by to się znów powtórzyło... Poza tym pamiętaj, że trzeba sobie zasłużyć na przebaczenie. Trzeba umieć zarobić sobie na miejsce. W przeciwnym razie byłoby to zbyt wygodne. Czy jesteś gotów wynagrodzić krzywdę? Nie będziesz chyba miał odwagi stanąć tak przed Ojcem. Nie masz lustra? Jesteś brudny, zarośnięty, ubranie w strzępach. Przede wszystkim musisz doprowadzić się do porządku. Umyj się, poceruj to poszarpane ubranie, załataj te zdeptane buty".

A oznacza to opóźnienie spotkania z Ojcem.

Dlaczego martwić się ubraniem w strzępach, zdeptanymi butami, gdy w Domu jest przygotowana "najlepsza suknia" i nowe sandały?

Trzeba przyjąć odwrotną kolejność: "Najpierw rzucić się w objęcia Ojca, uwierzyć w Jego miłość i bezwarunkowe przebaczenie. Porządki moralne zrobi się później, spontanicznie, w Domu Ojca.

To, co uwalnia i co jedynie może uwolnić człowieka od jego grzechu, to świadomość, że Bóg uważa go zawsze za własnego syna, nawet pośród największej nędzy. Gdy człowiek posiada tę synowską wiarę, zło zostaje rzeczywiście zduszone u źródła" (J. Tiger).

Gdy marnotrawny syn znajdzie Ojca na progu, przyjmującego go z rozpostartymi ramionami, już będzie uzdrowiony. Ja, starszy syn, uważam się za bogatego. Ale syn marnotrawny jest

bogatszy ode mnie. Jest bogatszy o serce poszerzone przez cierpienie i dramatyczne doświadczenia. Jest bogaty, gdyż odkrył w przebaczeniu Ojca wymiar prawdziwej Miłości. Pasterz, który odnalazł zagubioną owcę, "wraca do domu, sprasza przyjaciół i sąsiadów i mówi im: «cieszcie się ze mną...»" (Łk 15,6)

202

Kobieta, która odnalazła zagubioną drachmę, "sprasza przyjaciółki i sąsiadki i mówi: «Cieszcie się ze mną...»" (Łk 15,9)

Ojciec mówi jeszcze więcej: "...trzeba się weselić i cieszyć z tego".

Trzeba. To znaczy: jest to słuszne. A ja z początku nie rozumiem. Usuwam się w kąt i marudzę. Jednak potem pojmuję, że smutno jest należeć do zastępu "dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty". Sprawiedliwi, którzy nie potrzebują pokuty, podobni są do skamielin.

To straszne nie odczuwać potrzeby pokuty. Znaczy to nie chcieć być stworzeniem. Nie poznać nigdy ogromu miłosierdzia Bożego.

Teraz wreszcie czuję, jak ogarnia mnie tęsknota za tym uściskiem. Biegnę do Ojca, zarzucam Mu ręce na szyję.

Przebac mi, że byłem Ci wierny bez miłości.

DOM I STARA CIOTKA

Teraz, gdy powrócił, mogę otwarcie zadać sobie pytanie, które zawsze mnie intrygowało: dlaczego odszedł?

Dochodzę do wniosku, że łatwiej jest wytłumaczyć, dlaczego powrócił.

A jednak trzeba odpowiedzieć na to pierwsze pytanie: dlaczego odszedł?

Gdybym go zapytał o przyczyny niezadowolenia: "Co właściwie wyгнаło cię z domu?" - zapewne odpowiedziałby podobnie jak żołnierz z powieści Bruce'a Marshalla, który spowiada się u ojca Campbella: "A co miało mnie tu trzymać?"

Właśnie. Czego brak w Domu Ojca? Czego nie ma tu z mojej winy?

Mazzolari, jeden z najbardziej namiętnych komentatorów tej przypowieści, wkłada w usta syna marnotrawnego słowa, które wyrażają cały jego bunt:

- Ja się tu duszę!

Odchodzi. Ktoś bowiem zatrul atmosferę Domu. Ma wrażenie, że się dusi. Nie wystarczają mu pola ani woły, a tym bardziej mury Domu. Czuje się zmiażdżony ograniczonością, ciasnotą tych, którzy go zamieszkują, także swoją miernotą.

Ogląda się wokoło. "Te zgarbione istoty, które snują się po świecie ze spuszczoneym wzrokiem, te rozbite dusze, ci rachmistrze cnót, te niedzielne ofiary, ci nieśmiali dewoci, ci wąтли bohaterowie, te delikatne bobaski, te wyblakłe dziewice, te naczynia nudy, te worki sylogizmów, te cienie cieni..." (E. Mounier)

Może to być (niepełna) lista "żywych kamieni" tworzących Dom.

Gdy ideał wciela się w tak prozaiczną rzeczywistość, nie można się dziwić, że ktoś przeskakuje nagle mur graniczny i wyrusza w drogę.

Jednak decydujący bodziec pochodził ode mnie.

Może bardziej niż duszpasterskie pogadanki na temat: "Jak zbliżyć się do ludzi oddalonych", potrzebne jest pouczenie na temat: "Jak nie tworzyć oddalonych".

STARA CIOTKA

Jak sobie wyobrażamy Dom Ojca? Często modelem są stare domy arystokratyczne.

204

Wewnątrz wszystko wysokiej klasy. Artystyczne meble. Perskie dywany. Chińska porcelana. Obrazy mistrzów. Portrety (liczne, zbyt liczne), cenne pamiątki, medale przodków. Muzeum. Archiwum. Zazdrośnie strzeżona chwała przeszłości.

Do niektórych pokoi wstęp surowo wzbroniony. Do innych też nie można wejść, gdyż wywoskowano tam podłogi. Okna zamknięte. Okiennice zamknięte. Słońce mogłoby zniszczyć delikatne zasłony.

Powietrze zatechłe, nieruchome, cuchnące starością. Nie można oddychać. Człowiek się dusi.

Wszędzie wywieszki: nie dotykać, nie wchodzić, zabrania się, proszę wytrzeć buty...

Nie wolno podnosić głosu, śpiewać. Mieszka tu stara ciotka, cierpka, kłótniwa, chora na nerwy... Nienawidzi nowoczesnej muzyki. Uwielbia Bacha.

Rozmowy są strasznie nudne. Zawsze o tych samych sprawach, zawsze ta sama śpiewka.

Pochwały przeszłości i biadanie nad teraźniejszością.

- Do czego to dochodzi? Za moich czasów...

Przede wszystkim: postawa wyższości i pogarda dla tych, którzy nie należą do nas, którzy nie mają tych samych przywi-lejów, w których żyłach nie płynie nasza krew, którzy nie mogą poszczycić się naszym herbem, słowem - dla rasy niższej.

Biada, jeżeli dzieci sąsiadów wejdą do tego domu. Mogłyby nabrudzić, zakłócić rygorystycznie przestrzegany porządek.

Czy nie odczuwamy pokusy, by doprowadzić Dom Ojca do podobnego stanu?

Dom uprzywilejowanych, rodzaj muzeum, archiwum. Wszystko uporządkowane. Wszystko przygotowane. Przede wszystkim żadnej nowości. Tak było zawsze. Tysiące zakazów.

Sztywny ceremoniał. Niezłomne zasady. Brak atmosfery, radości życia.

A powinien to być Dom o oknach i drzwiach szeroko otwartych. Bez stróżów o odpychających twarzach. Dom, w którym wszyscy czuliby się dobrze. Nikt nie powinien czuć się skrępowany.

Móc śmiać się, żartować... i fikać koziołki.

Dom, w którym nie wolno oczywiście dorysowywać wąsów na portrecie przodka, uczestnika bitwy pod Lepanto, ale w którym przynajmniej można zawiesić nowe obrazy, portrety osób współczesnych.

W którym ma się odwagę wynieść na strych sprzęty nikomu już niepotrzebne.

205

W którym również my piszemy historię. W którym stara ciotka, cierpka i kłótniwa, chora na nerwy, nie utrudnia życia innym swymi obsesjami, kryzysami, przywidzeniami.

Wszyscy kochamy tę starą ciotkę. Troszczymy się o nią, gdy potrzeba. Ale niech nam pozwoli żyć. Pracować. Oddychać. Niech nie odbiera nam radości życia. A poza tym niech sobie zrzędzi.

Na pewno nie podrzucimy pinezek na jej ulubiony fotel ani nie włożymy zdjęcia popularnego piosenkarza do książeczki do nabożeństwa, ale nie będziemy już przejmować się jej marudzeniem.

A jeżeli zawoła: Dokąd idziecie?

Jeszcze głośniej odpowiemy: Naprzód!

Nie wolno nam wyobrażać sobie Domu jako arcydzieła doskonałego architekta.

To musi być arcydzieło synów. To musi być dom rodzinny, gdzie "zawsze jest trochę nieporządku, gdzie krzesłom czasami brak jednej nogi, gdzie stoły poplamione są atramentem, a puszki marmolady same się opróżniają w spiżarni" (G. Berna-nos).

Centrum tego domu jest serce Ojca. A cegłami, żywymi kamieniami, jesteśmy my sami.

My jesteśmy odpowiedzialni za atmosferę, za powietrze, którym się tu oddycha.

Możemy uczynić z tego domu arcydzieło. Albo piekło.

Wobec przemienionego Chrystusa Piotr zawołał: "Dobrze jest tu być".

W Domu każdy brat powinien móc powtórzyć ten sam okrzyk: "Dobrze, pięknie jest tu być!"
W Domu, na ziemi, człowiek przysposabia się do Raju. Nie do Czyśćca, a tym mniej do Piekła.

Dom musi być "próbą generalną" Raju.

ISĆ WŁAŚCIWĄ STRONĄ DROGI

4 oto powstał jakiś uczony w Prawie i wystawiając Go na próbę, zapytał: "Nauczyciela, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?" Jezus mu odpowiedział: "Co jest napisane w Prawie? Jak czytasz?" On rzekł: "Będziesz miłował Pana Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całą swoją mocą i całym swoim umysłem; a swego bliźniego jak siebie samego". Jezus rzekł do niego: "Dobrześ odpowiedział. To czyń, a będziesz żył". Lecz on, chcąc się usprawiedliwić, zapytał Jezusa: "A kto jest moim bliźnim?" Jezus nawiązując do tego rzekł: "Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycho i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko, że go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził tą drogą pewien kapłan;

zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął.

Pewien zaś Samarytanin, będąc w podróży, przechodził również obok niego. Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał gospodarzowi i rzekł: «Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał». Któryż z tych trzech okazał się, według twego zdania, bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców?" On odpowiedział: "Ten który mu okazał miłosierdzie". Jezus mu rzekł: "Idź i ty czyń podobnie!" (Łk 10,25-37)

Ta przypowieść jest z pewnością jednym z najczęściej komentowanych urywków Ewangelii. Miała szczęście do znakomitych komentatorów, do słynnych piór. Dobrze się stało, że interpretacje nie pozostały na stronicach książek, ale przeszły, najczęściej milcząco, na scenę życia powszedniego. Co więcej, powiedziałbym, że dobry Samarytanin wprowadzony do dziejów i kronik, naśladowany przez miliony ludzi, zrehabilitował dobrego Samarytanina przyjętego z wszelkimi honorami do literatury.

Tutaj ograniczymy się zatem do krótkich uwag, wskazujących na to, co w tej przypowieści jest dla nas niewygodne. Zbyt wielu bowiem kaznodziejów sprowadziło ten epizod do roli "budującego przykładu" (w najbardziej banalnym sensie tego określenia), obrazującego nie tyle prawdziwą miłość, ile Jałmużnę i dobroczynność. W rzeczywistości czyn Samarytanina zasługuje na większe uznanie.

207

EKSPERT

"A oto powstał jakiś uczony w Prawie i wystawiając Go na próbę, zapytał..."

To stara religia przemawia przez usta tego supereksperta.

To stara religia rozpoczyna kolejną dyskusję na tematy doktrynalne.

Jezus nie pozwala się wciągnąć w akademicką debatę. Unika pajęczyny uściśleń, uczonych rozróżnień. Nie uczestniczy w grze słów.

Wprowadza problem na tory życia.

Nie przedstawia abstrakcyjnej tezy, ale konkretny fakt. I zmusza rozmówcę do dokonania rachunku czynów. Zmusza go do wyboru nie teorii, ale praktycznej postawy.

Na koniec nie pyta go: "Czy dobrze zrozumiałeś?" Nawet nie poleca mu: "Zapamiętaj tę lekcję!" Nakazuje mu ostro:

- Idź i ty czyń podobnie.

Faryzeusz przyszedł, by dyskutować.

Odchodzi z konkretnym zadaniem do wykonania.

Stara religia pragnęła mówić. Chrystus zamyka jej usta. W zamian zmusza ją do poruszenia nogami, a nie językiem. I do działania sercem.

Ekspertem nowej religii nie jest już "ten, który wie", ale "ten, który czyni".

SŁUSZNY GEST

"A kto jest moim bliźnim?"

Faryzeusz żąda recepty. Szczegółowego wykazu osób, które należy uważać za "bliźnich".

Takiej listy ubogich, rejestru rodzin potrzebujących. "Sprawdzonych" adresów ludzi, przed którymi można bez ryzyka otworzyć serce.

Jezus odwraca pytanie: "Któryż z tych trzech okazał się, według twego zdania, bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców?"

Nie chce odpowiedzieć, kto jest bliźnim biernym. Ukazuje natomiast, kto jest bliźnim aktywnym.

Chrystus przesuwa punkt ciężkości pytania. Uczony w prawie stawia siebie na piedestale.

Innych umieszcza dookoła. "A kto jest moim bliźnim?"

Tym centrum nie jestem "ja", ale każdy, kto znajduje się na mojej drodze, kto potrzebuje pomocy, zrozumienia, miłości.

Podstawowy problem chrześcijanina nie polega na tym, by wiedzieć, kto jest jego bliźnim, czyli której kategorii ludzi powinien okazywać miłość. Zasadniczy problem polega na "sta-208

waniu się bliźnim", na przesunięciu centrum zainteresowania z "ja" na innych.

Samarytanin potrafił umieścić siebie we właściwej perspektywie, to jest ujrzeć się oczyma drugiego człowieka.

A więc nie chodzi o to, by wiedzieć, kogo muszę kochać, ale by zdać sobie sprawę, że wszyscy mają prawo do mojej miłości. Muszę się zbliżyć, muszę stać się bliskim, "bliźnim" dla wszystkich, szczególnie dla ludzi najbardziej dalekich. Jedyne w ten sposób, zbliżając się, zmniejszając odległości, będę mógł usłyszeć ich jęk, odkryć ich cierpienie, odebrać ich wołanie o miłość.

Przechodzimy obok, ledwie ich zauważając, przekonani, że ich problemy i udręki nas nie obchodzą.

Szczegółowy "wykaz bliźnich" przyczyniłby się jedynie do zwiększenia odległości, pomnożyłby liczbę "wyjętych spod miłości".

Już lepiej przypomnieć sobie gest sprawiedliwego Samarytanina. Wtedy problem "kto jest moim bliźnim" straci sens. Sam go rozwiązałem pokonując odległość, czyniąc się bliźnim.

WYSTARCZY DWADZIEŚCIA SIEDEM KILOMETRÓW, BY PODZIELIĆ LUDZI

"Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha..."

Dwadzieścia siedem kilometrów drogi, która schodzi z wysokości ponad tysiąca metrów i zygzakami dociera do kamiennej pustyni. Ponury, widmowy pejzaż. Okolica sprzyjająca nie zawsze przyjemnym spotkaniom.

Jest to "droga krwi".

Dwadzieścia siedem kilometrów wystarcza, by podzielić ludzi na dwie kategorie.

Na tych, którzy idą prosto i tych, którzy się zatrzymują.

Na tych, którzy "idą własną drogą" i tych, którzy zajmują się innymi.

Na tych, którzy pokazują zaświadczenie: "Mnie to nie dotyczy" i tych, którzy czują się odpowiedzialni za wszystko i za wszystkich.

Na tych, którzy nie chcą mieć kłopotów i tych, którzy odpowiadają na wołanie cierpiącego świata.

Na tych, którzy nikomu nie robią krzywdy i tych, którzy potrafią się pochylić nad każdą potrzebą.

Na tych, którzy muszą się zajmować ważnymi sprawami i tych, którzy zajmują się cierpieniem innych.

Dwadzieścia siedem kilometrów, na które patrzy Bóg. Rzeczywiście bowiem, tę przypowieść należy rozpatrywać w tej samej perspektywie, co przypowieść o faryzeuszu i celniku.

209

14 - Niewygodne Ewangelie

Tam, w świątyni dwóch ludzi modli się, a Bóg ich obserwuje.

Tutaj, na zakręcie drogi leży człowiek na wpół umarły. Kilku innych zbliża się do tego miejsca. Bóg obserwuje, fotografuje wszystko.

Mogę sobie wmawiać, że jeśli obejdę to miejsce z daleka, nikt mnie nie zauważy. Biedak, z którego ucieka życie, nie jest w stanie otworzyć oczu. Moja podłość nie ma więc żadnego świadka.

A jednak ktoś mnie śledzi.

Bóg obserwuje mnie, gdy jestem w kościele.

Obserwuje mnie, gdy idę drogą.

Dla Niego droga jest równie ważna jak kościół.

Droga i kościół są miejscem spotkania.

Dwadzieścia siedem kilometrów może stać się moim zbawieniem lub moim potępieniem.

Albo jeszcze mniej. Wystarczy korytarz, kilka metrów, biuro. Wystarczy, by tam był człowiek, który mnie potrzebuje: ta droga, która schodzi z Jerozolimy do Jerycha, jest moją drogą.

Na niej, gdy tracę czas, zyskuję wieczność.

Moje zbawienie związane jest ze zbawieniem drugiego człowieka.

PODZIAŁ RÓL

"Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko, że go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli..."

I tyle. Nie ma się czym przejmować. Mówimy: to tylko przypowieść, rzecz zmyślona. Tym razem jednak Jezus nie musiał wysilać wyobraźni. Ograniczył się do przejrzenia kroniki dawnej i przyszłej. Znalazł wystarczająco dużo materiału, by stworzyć przypowieść, kawałek po kawałku, z prawdziwymi sytuacjami, z konkretnymi osobami.

Uczestniczy w niej nie tylko jeden na wpół umarły człowiek. I nie tylko szajka zbójców. Nie tylko jeden kapłan i nie tylko jeden lewita, i na szczęście nie tylko jeden dobry Samarytanin. Przypowieść "odgrywają" miliony bandytów, kapłanów i - pragniemy wierzyć - również miliony dobrych Samarytanów.

Wszyscy odgrywają swoją rolę. W rzeczywistości. Na scenie życia.

Ktoś popełnia podłość, ktoś cierpi z tego powodu, ktoś idzie prosto, a ktoś "płaci" za wszystkich.

Chrystus zna imię i nazwisko poszczególnych aktorów. Zna postępowanie milionów ludzi.

Jaka jest moja rola?

210

Żaden reżyser mi jej nie powierza.

To ja sam ją sobie wybieram.

Jezus opowiedział tylko to, co widział. Ale to ja "tworzę" przypowieść. I gdy Jezus mówi "zbójcy", "kapłani", "lewita", "Samarytanin", słyszę, że nazywa mnie po imieniu.

Moje imię zapisane jest w Ewangelii.

Moje działanie jest zarejestrowane w Ewangelii.

KTO MA RACJĘ

"Przechodził tą drogą pewien kapłan; zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął".

Na szczęście wszystkie drogi mają dwie strony. I zawsze zostaje "druga strona" do dyspozycji, gdy człowiek nie chce sobie porazić oczu niewygodną rzeczywistością i gdy chce zachować spokój sumienia.

Dla chrześcijanina jednak problem polega na stwierdzeniu, czy "druga strona" jest stroną właściwą.

Strona wygodniejsza może okazać się niewłaściwą.

W każdym razie kapłan i lewita wybrali właśnie tę "drugą stronę" i poszli dalej.

Mamy ochotę pobiec za nimi, chwycić ich za odzienie i zapytać:

- Dlaczego się nie zatrzymaliście? Czy nie widzieliście tego biedaka?

Owszem, widzieli go, ale mieli ważne powody, by się nie zatrzymać.

Nienaruszalny rozkład dnia, "czystość" nieodzowna w służbie w Świątyni. Wymogi regulaminu. Ważne sprawy do załatwienia. Spieszą się, nie mają czasu do stracenia. Postój nie jest przewidziany w ich liturgicznym rozkładzie dnia. Może zdecydują się tylko pójść do kompetentnych władz, by wnieść "ostrzy protest" w związku z brakiem bezpieczeństwa na tej drodze.

A tymczasem tamten nieszczęśnik umiera.

Możemy powołać się na ważne powody, by uchylić się przed nakazem miłości.

Krew brudzi.

Nie chcę pakować się w kłopoty.

Ta ciemna sprawa mnie nie dotyczy!

Muszę zająć się moimi sprawami.

Nie wiem nawet, kim jest ten osobnik.

To jest sprawa dla władz.

211

Jednak mimo tysiąca "ważnych racji", w oczach Boga nie mam racji.

W oczach Boga rację ma jedynie ten, kto się zatrzymuje.

Kto idzie dalej, błądzi.

I droga pozostaje przeklęta. I to nie z powodu obecności zbójców. Ale z powodu braku miłości. Z powodu tego, że kapłan i lewita "minęli" biedaka. Są winni, gdyż kazali zamilknąć sercu. Dla ważnych racji.

To nie bandyci uczynili tę drogę straszną.

To obojętność dobrych.

EWANGELIA W LUKSUSOWYM WYDANIU

"Pewien zaś Samarytanin, będąc w podróży, przechodził również obok niego. Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko:

podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go".

Samarytanin, odstępcza, wyklęty, umiał natychmiast właściwie zareagować.

Zobaczył rannego i przeszedł na właściwą stronę drogi.

Nieznajomy? Nie obchodziła go jego tożsamość. Wystarczyło wiedzieć, że był to człowiek.

Wystarczyło aż nadto, by się zatrzymać, zbliżyć, stracić czas i opróżnić własną sakiewkę.

Pozwolił przemówić sercu. A ono odpowiedziało mu właściwe zachowanie.

Kapłan i lewita w świątyni wypełniali wszystkie ceremonie w sposób właściwy, zgodnie z przepisami. Należy jednak wątpić, czy spotkali Boga.

Samarytanin, ignorant i człowiek pogardzany, spotkał Boga na zakręcie drogi. Stawił się na decydujące spotkanie.

Myślę, że Bóg ma w niebie Ewangelię w luksusowym wydaniu, wspaniale ilustrowaną, której zazdrośnie strzeże. Uzupełnia ją nieustannie, co godzinę.

Z jednej strony jest tekst, Jego słowa, Jego nauki. Z drugiej ilustracje. Ma się rozumieć, nie są to ilustracje wykonane przez wielkich artystów. Te Go nie interesują. Powodują bowiem, że Ewangelia staje się księgą "rzadką", "białym krukiem" poszukiwanym przez snobów.

Nie. Ilustracje są Mu codziennie dostarczane z ziemi przez ludzi, którzy nie potrafią trzymać w ręku pędzla, ale którzy traktują serio Jego naukę. Ewangelia ilustrowana przez Świę-

tych, przede wszystkim przez miliony nie znanych, rozrasta się niezmiernie.

Z jednej strony słowa Chrystusa. Z drugiej "fakty" ludzkie. Z jednej strony Jego nauka. Z drugiej praktyczna interpretacja.

Jest to tom ogromny, nieogarniony (choć brakuje w nim przepisów egzegetów). Bóg spogląda na niego nieustannie z nie ukrywanym zadowoleniem. Ta Ewangelia komentowana i ilustrowana czynami wykazuje, że Jego wizyta na ziemi nie była bezużyteczna.

W tym miejscu muszę odważnie zadać sobie pytanie: jaki jest mój wkład do tego ilustrowanego (i prawdziwie ekumenicznego) wydania Ewangelii? Jakie "fakty" udało mi się dotąd wysłać do nieba?

Na przykład przy przypowieści o dobrym Samarytaninie rzucają się w oczy tysiące cudownych ilustracji. Wszystkie to bardzo oryginalne, autentyczne arcydzieła. Czy jednak Chrystus przypadkiem nie czeka na coś mojego? Wydanie luksusowe, doskonale aktualne, pozostanie jednak wydaniem niekompletnym, dopóki brakować w nim będzie moich ilustracji.

Zawsze jakiś człowiek czeka na zakręcie mojej drogi. Bóg czeka ciągle z Ewangelią szeroko otwartą.

MÓJ CZYŚCIEC

"Jezus mu rzekł: «Idź i ty czyń podobnie»".

Często zastanawiam się, jaki będzie mój czyściciel.

Obraz, który najbardziej mnie przeraża, jest taki: porównanie dwóch dróg. Moja droga, która schodzi z Jerozolimy do Jerycha. Zaledwie dwadzieścia siedem kilometrów.

Z jednej strony droga taka, jaka jest w rzeczywistości. Opuszczona, wypalona egoizmem, wybrukowana obojętnością. Setki ludzi umierających w oczekiwaniu na gest autentycznej przyjaźni. I ja, który nie umiem nigdy dostrzec właściwej strony drogi.

Ja, który idę prosto.

Zawsze roztargniony.

Zawsze zajęty "ważnymi sprawami".

Zawsze z przekłętym zaświadczeniem: "to mnie nie dotyczy".

Z drugiej strony droga taka, jaka mogłaby być, gdybym był mniej roztargniony. Gdybym umiał się zatrzymać. Gdybym nie zaprzepaścił okazji.

213

Właśnie. Jaki byłby świat, czym stałaby się moja droga, gdybym był twórcą miłości jak Samarytanin, gdybym posłuchał polecenia Chrystusa: "Idź i ty czyń podobnie".

A tymczasem ile już uśmiechów zgasiłem, ile zmarszczek wyżyłbiłem na twarzach moich braci? Ile oczekiwań zawiodłem, ile nadziei przekreśliłem, ile rozpaczy rodzi moja obojętność i oziębłość?

Porównanie dwóch obrazów drogi: tej, która jest i tej, która mogłaby być, to bez wątpienia widok mogący przysporzyć mi kilku milionów lat udręki.

Mój czyściciel.

Panie, zawsze ktoś czai się na drodze człowieka.

Bandyci, którzy okradają go z godności, nadziei, wolności, pragnienia sprawiedliwości; dążenia do pokoju.

Spraw, o Panie, by ten człowiek, ogołocony ze wszystkiego, mógł stwierdzić, że na tej samej drodze czai się również miłość.

Miłość, która umie się zatrzymać. Która umie tracić czas. Która umie dać wszystko.

Panie, naucz mnie chodzić właściwą stroną drogi.

ZATRUTA KREW

Wówczas przemówił Jezus do tłumów i do swych uczniów tymi słowami: "Na katedrze Mojżesza zasiedli uczeni w Piśmie i faryzeusze. Czyńcie więc i zachowujcie wszystko, co wam polecą, lecz uczynków ich nie naśladowcie. Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Wiążą ciężary wielkie i nie do uniesienia i kładą je ludziom na ramiona, lecz sami palcem ruszyć ich nie chcą. Wszystkie swe uczynki spełniają w tym celu, żeby się ludziom pokazać.

Rozszerzają swoje filakterie i wydłużają frędzle u płaszczów. Lubią zaszczytne miejsca na ucztach i pierwsze krzesła w synagogach. Chcą, by ich pozdrawiano na rynkach i żeby ludzie nazywali ich Rabbi. Otóż wy nie pozwalajcie nazywać się Rabbi, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie. Nie chcecie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus. Największy z was niech będzie waszym sługą. Kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony.

Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi. Wy sami nie wchodzić i nie pozwalacie wejść tym, którzy do niego idą. Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo obchodzicie morze i ziemię, żeby pozyskać jednego współwyznawcę. A gdy się nim stanie, czynicie go dwakroć bardziej winnym piekła niż wy sami.

Biada wam, przewodnicy ślepi, którzy mówicie: Kto by przysiągł na przybytek, to nic nie znaczy; lecz kto by przysiągł na złoto przybytku, ten jest związany przysięgą. Głupi i ślepi! Cóż bowiem jest ważniejsze, złoto czy przybytek, który uświęca złoto? Dalej: Kto by przysiągł na oharz, to nic nie znaczy; lecz kto by przysiągł na ofiarę, która jest na nim, ten jest związany przysięgą. Ślepi! Cóż bowiem jest ważniejsze, ofiara czy ołtarz, który uświęca ofiarę? Kto więc przysięga na ołtarz, przysięga na niego i na wszystko, co na nim leży. A kto przysięga na przybytek, przysięga na niego i na Tego, który w nim mieszka. A kto przysięga na niebo, przysięga na tron Boży i na Tego, który na nim zasiada.

Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy! Bo dajecie dziesięcinę z mięty, kopru i kminku, lecz pomijacie to, co ważniejsze jest w Prawie: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. To zaś należało czynić, a tamtego nie opuszczać. Przewodnicy ślepi, którzy przecedzacie komara, a połykacie wielbłąda!

215

Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy! Bo dbacie o czystość zewnętrznej strony kubka i misy, a wewnątrz pełne są zdzierstwa i niepowściągliwości. Faryzeuszu ślepy! Oczyszczyć wpięć wewnątrz kubka, żeby i zewnętrzna jego strona stała się czysta.

Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy! Bo podobni jesteście do grobów pobielanych, które z zewnątrz wyglądają pięknie, lecz wewnątrz pełne są kości trupich i wszelakiego plugastwa. Tak i wy z zewnątrz wydajecie się ludziom sprawiedliwi, lecz wewnątrz pełni jesteście obłudy i nieprawości.

Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy! Bo budujecie groby prorokom i zdobiecie grobowce sprawiedliwych i mówicie: "Gdybyśmy żyli za czasów naszych przodków, nie bylibyśmy ich współnikami w zabójstwie proroków". Przez to sami przyznajecie, że jesteście

potomkami tych, którzy mordowali proroków. Dopełnijcie i wy miary waszych przodków! Wężę, plemię żmijowe, jak wy możecie ujść potępienia w piekle?" (Mt 23,1-33)

Historycy podają (por. Isidore Epstein, Judaïsme), że w chwili zagłady miasta, w roku siedemdziesiątym, w Jerozolimie można było doliczyć się około 24 sekt politycznych i religijnych. W czasie narodowego kataklizmu wszyscy ich zwolennicy zniknęli. Esseńczycy, sykaryjczycy, saduceusze, zeloci pospiesznie schronili się przed niebezpieczeństwem. W tragicznej godzinie wszyscy zniknęli ze sceny. Na pierwsze oznaki wojny również Żydzi nawróceni na chrześcijaństwo schronili się do Pełli na drugim brzegu Jordanu. Jedynymi, którzy nie porzucili swego miejsca, byli właśnie faryzeusze. To oni podjęli się odbudowy życia duchowego Izraela.

24 partie idą w rozsypkę. Jedna zostaje i jest to właśnie ta, która najostrzej sprzeciwiała się Jezusowi Chrystusowi.

Tyle historycy.

Otóż można przyjąć, że ta sekta przetrwała aż do naszych dni i że swoje korzenie zapuściła również wewnątrz współczesnego chrześcijaństwa.

Bernanos zadał brutalne pytanie: któż może się chlubić, że w jego żyłach nie ma ani jednej kropli krwi tych żmij?

To śmieszne złudzenie, że imię chrześcijanina stanowi szczepionka, która uodparnia nas na zawsze na tę plagę. Wprost przeciwnie.

AKT OSKARŻENIA

Dziwne. Chrystus powiedział przecież, że przyszedł nie po to, by sądzić, ale by zbawiać (por. J 3,17; Łk 19,10).

216

A jednak, zanim został osądzony i skazany, sam wszczął głośny proces przeciwko faryzeuszom.

Widocznie uważał, że Jego religia ma tylko jednego groźnego nieprzyjaciela: faryzeizm. I postanowił obłóżyć go całkowitą ekskomuniką.

Konflikt, który powstał między "płodnym poszanowaniem prawa a jałowym legalizmem", skłonił Chrystusa do sformułowania szczegółowego aktu oskarżenia.

Oto jego główne punkty*:

- mówią, a nie czynią,
- wiążą ciężary wielkie i kładą je ludziom na ramiona, lecz sami palcem ruszyć nie chcą,
- uczynki spełniają, żeby się ludziom pokazać,
- lubią zaszczytne miejsca... i pozdrowienia na rynkach,
- lubią, gdy nazywa się ich "nauczycielem",
- nie wchodzą do królestwa i nie pozwalają innym wejść do niego,
- precedzają komara, a połykają wielbłąda.

Przyjaciele, któż może być pewien, że to płomienne oskarżenie nie dotyczy również jego?

Nie mówię wyłącznie o tych, którzy posiadają jakąś władzę;

im te słowa powinny zapalić ziemię pod stopami.

Te słowa dotyczą jednak nas wszystkich. Byłoby nawet gestem faryzejskim kierować je wyłącznie przeciw sprawującym władzę.

Przyjaciele, to przemówienie składające się nie tyle ze słów, co z oskarżeń, zwraca się do każdego z nas.

Faryzeusze nie stanowią jakiejś kategorii osób. Chodzi tu raczej o kategorię ducha. O postawę wewnętrzną. Jest to bakcyl, który może zawsze zakazić nasze życie religijne.

Dla wykrycia go nie ma pewniejszego środka diagnostycznego niż ten niepokojący, straszny rozdział z Ewangelii Mateusza.

Wszyscy jesteście faryzeuszami, gdy:

- przesłaniamy Słowo Boże własnymi tradycjami (por. Mt 15,6),
- ograniczamy się do legalizmu,
- sprowadzamy religię do "praktyk",
- uważamy, że można dojść do Boga, "przeskakując" bliźniego,
- nasz "prozelityzm" tworzy "sekcjarzy",
- Przyjmujemy schemat zaproponowany przez R. L. Bruckbergera, Dzieje Jezusa Chrystusa. 217

- zabiegamy bardziej o pozory niż o istotę spraw,
- mamy ambicje rządzenia,
- uważamy się za lepszych od innych,
- umieszczamy prawo ("literę" prawa), a nie człowieka na czele naszych trosk.

Cała ta zgnilizna ma jedno imię: hipokryzja.

Słusznie też w powszechnym odczuciu faryzeizm stał się synonimem hipokryzji.

"Hipokryzja to uniwersalny rozpad nie tylko cnót, ale również wad, które stają się z jej powodu wadami wad" (R. L. Bruck-berger).

Czytając epitety rzucane przez Chrystusa zaraz po Jego bezlitosnej mowie oskarżycielskiej, epitety tak gwałtowne i brutalne, że gdyby nie były zawarte w Ewangelii, nigdy nie śmielibyśmy włożyć ich w usta Chrystusa), pojmujemy, że jedynym grzechem, który rzeczywiście przeraża Pana, jest hipokryzja.

Hipokryci mają "podwójną twarz". Ta zwrócona do Boga jest straszna, odrażająca.

OKO JEST STWORZONE DLA ŚWIATŁA

Jezus podziwia i pochwała gorliwość faryzeuszów wobec Prawa. Ale gani ich, że nie idą dalej.

"Największe błędy ludzkości, te które mają perfidną moc uwodzenia i które powodują wielkie katastrofy, rozpoczynają wędrówkę do prawdy właściwym krokiem, ale zatrzymują się w połowie drogi. To pewne, że Jezus i faryzeusze razem odbywali połowę wędrówki: razem wielbili Prawo Mojżeszowe i jego boskie początki. Ale faryzeusze tu się zatrzymali. Jezus natomiast poszedł dalej" (R. L. Bruckberger).

Dla Chrystusa Prawo nie było bóstwem. Było środkiem. Prawo nie miało porywać człowieka i zamykać go we własnym kręgu. Miało obowiązek popchnąć go dalej.

Prawo powinno było doprowadzić do światła. Do miłości.

Komentuje to Bruckberger, posługując się dość trafnym porównaniem: "Skomplikowany mechanizm anatomiczny oka jest oczywiście zachwycający, podobnie jak zawilosci Prawa Mojżeszowego. Jednak oko z całą swą organiczną doskonałością nie wystarcza. Może się otwierać i ćwiczyć w patrzeniu, ile chce. Nie widzi nic, dopóki nie napotka światła, dla którego jest stworzone, które jest jego owocem, jego radością i wyzwoleniem. Jezus jest światłem dla tego wielkiego, otwartego oka, jakim było Prawo Mojżesza. Faryzeusze mogą z uporem tłumaczyć nam i wykazywać cudowną anatomię tego oka. Nie

218

przeżyjemy. Stwierdzamy po prostu, że oko stworzone jest dla światła".

Człowiek nie ma stać się trybem mechanizmu prawnego. Jest przeznaczony dla światła.

Serce człowiecze nie jest stworzone dla prawa. Jest stworzone dla miłości.

Prawo, które staje się bóstwem, które odrzuca rolę "narzędzia", jaka mu się należy, nosi haniebne znamię faryzeizmu.

SEPARATYZM

Religia, która nie przejawia się w miłości, zasługuje na jedno imię: hipokryzja.

Przestrzeganie prawa, będące celem samo w sobie, bożyszczem, staje się formalizmem.

Ale poza hipokryzją i formalizmem jest jeszcze inna cecha faryzeusza: duch separatyizmu.

Faryzeusze uważają się za odrębny świat.

Chodzi o postawę, która widoczna jest również dzisiaj u wielu chrześcijan. Można ją syntetycznie ująć tak: odrzucenie solidarności z wszystkimi ludźmi w dobru i złu, w podejmowaniu ryzyka i obowiązków, w zasługach i winach, w wyborach i odpowiedzialności.

Ten separatyzm rodzi się, mniej lub bardziej świadomie, z poczucia wyższości. A także ze swobodnego przekonania, że sam fakt przynależności do instytucji daje pewność zbawienia. Niektórzy wydają się akceptować obcowanie świętych jednokierunkowo, jakby chodziło o jeszcze jeden "przywilej" wśród wielu innych. "Świętych obcowanie" nie oznacza jednak wyłącznie "odwracalności zasług". Oznacza również solidarność w złu. Oznacza smutną możliwość zatrucia powietrza, którym oddychają inni.

Wobec zła, które jest w świecie, wobec niesprawiedliwości, nędzy, nienawiści, walk rasowych, przemocy, masakry, zepsucia, wojny, nieporządku, chrześcijanin nie może powiedzieć:

"Mnie to wszystko nie dotyczy. Odpowiedzialność spada na innych". Kto odrzuca taką solidarność, również w złu, z całym rodzajem ludzkim, jest faryzeuszem.

Istnieje drugi aspekt tego separatyzmu, który może być przyczyną lub skutkiem poprzedniego: orzekanie o dobru i złu na podstawie kryteriów, które określiłbym jako "geograficzne": z tamtej strony zło, grzech, potępienie; z tej strony dobro, cnota, zbawienie. A my, ma się rozumieć, umieszczamy siebie po stronie słusznej.

219

Faryzeusz nie ma odwagi dokonać niewiarygodnego odkrycia, że linia graniczna pomiędzy dobrem i złem, pomiędzy dobrocią i nikczemnością, przechodzi przez ten mikrochaos, jakim jest serce każdego z nas.

Ostatni przejaw ducha separatyzmu polega na dziwnym, a tak dla nas wygodnym podziale ról.

Na scenie świata rezerwujemy sobie rolę suflerów. Inni są aktorami. Są rzućeni w wir sztuki. Muszą umieć z niej wybrnąć. Ryzykują ośmieszenie się. Jeżeli potkną się, tym gorzej dla nich. Nas to nie dotyczy. My "podpowiadaliśmy" dobrze.

W historii ludzkości powstają ogromne problemy, sytuacje krytyczne, które wymagają zajęcia stanowiska, dokonania wyboru. Pojawiają się na horyzoncie życia śmiałe zadania. A my pozostawiamy innym obowiązek "działania". Uważamy, że wypełniliśmy nasze zadanie przedstawiając "oficjalne deklaracje".

Zachowujemy się tak, jakbyśmy z wysokości naszego piedestału dyrygowali rzeczami i wydarzeniami. I jakby nasza "rola" polegała wyłącznie na mówieniu innym, co mają czynić. Na szczęście "większość ludzi przestała się interesować naszymi oficjalnymi deklaracjami. Nie jest to jednak właściwie żadnym nieszczęściem. W rzeczywistości oznacza to wyzwolenie. Nie musimy traktować siebie z taką obrzydliwą powagą, jako «Chrześcijan» pisanych z dużej litery. Możemy myśleć trochę więcej o realiach naszego powołania, a mniej martwić się wrażeniem, jakie wywołujemy w świecie.

Jeżeli istnieje kairós, a jeszcze istnieje, nie jest on «czasem», w którym jeszcze raz przekonamy świat, że mamy słuszność, ale raczej czasem, w którym kryzys człowieka nauczy nas dostrzegać kilka ważnych prawd o naszym powołaniu i o naszej roli w świecie, roli wcale nie tak wzniosłej i potężnej, a może nawet nie wpływowej.

Rzeczywistość uczy nas, że jesteśmy podobni do innych ludzi, że nie jesteśmy szczególnym gatunkiem istot uprzywilejowanych, że nasza wiara nie zwalnia nas z konieczności

przeciwstawiania się tajemniczym rzeczywistościom świata z tymi samymi ograniczeniami, jakie są udziałem innych i z tą samą możliwością popełniania ludzkich błędów. Nasze powołanie chrześcijańskie nie stawia nas wyżej od innych ludzi, nie daje nam prawa osądzania wszystkich i decydowania o wszystkim za wszystkich. Nie mamy odpowiedzi na każdy problem społeczny i nie wszystkie dotychczasowe konflikty zostały rozstrzygnięte na naszą korzyść.

220

UCZĄ SIĘ TYLKO TEGO, CO JUŻ WIEDZĄ

Gdy po pewnym czasie wrócił do Kafarnaum, posłyszeli, że jest w domu. Zebrało się tylu ludzi, że nawet przed drzwiami nie było miejsca, a On głosił im naukę. Wtem przyszli do Niego z paralitykiem, którego niosło czterech. Nie mogąc z powodu tłumu przynieść go do Niego, odkryli dach nad miejscem, gdzie Jezus się znajdował i przez otwór spuścili łożo, na którym leżał paralytyk. Jezus widząc ich wiarę, rzekł do paralytyka: "Synu, odpuszczają ci się twoje grzechy". A siedziało tam kilku uczonych w Piśmie, którzy myśleli w sercach swoich: "Czemu On tak mówi? On bluźni. Któż może odpuszczać grzechy, prócz jednego Boga?" Jezus poznał zaraz w swym duchu, że tak myślą i rzekł do nich: "Czemu nurtują te myśli w waszych sercach? Cóż jest łatwiej: powiedzieć do paralytyka: Odpuszczają ci się twoje grzechy, czy też powiedzieć: Wstań, weź swoje łożo i chodź? Otóż żebyście wiedzieli, iż Syn Człowieczy ma na ziemi władzę odpuszczania grzechów - rzekł do paralytyka: Mówię ci: Wstań, weź swoje łożo i idź do domu!" On wstał, wziął zaraz swoje łożo i wyszedł na oczach wszystkich. Zdumieni się wszyscy i wielbili Boga mówiąc: jeszcze nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego". (Mk 2,1-12)

WYSTARCZA, BYM SPOJRZAŁ W LUSTRO, A ZOBACZĘ UCZONEGO W PIŚMIE

Chciałbym nie tyle komentować "całkowite" uzdrowienie paralytyka, ile nakreślić charakterystyczne cechy uczonych w Piśmie, obecnych przy tym.

Marek w swojej Ewangelii ujawnia silną antypatię do uczonych w Piśmie. Nie czyni nic, by ją ukryć. (Pewien sławny uczyony poświęcił cały rozdział swego dzieła "antypatiom okazywanym przez ewangelistę").

To oni, bardziej niż faryzeusze, są prawdziwymi przeciwnikami Jezusa.

Aby dowiedzieć się, kim byli uczeni w Piśmie, nie muszę czytać szczegółowych wyjaśnień znawców ówczesnej Palestyny.

Wystarczy, bym spojrział na siebie w lustrze.

Wiem już o nich wszystko, ponieważ należę do ich kategorii.

Znam ich dobrze, ponieważ należę do ich rasy.

Mogę zatem wymienić znaki szczególne, pozwalające ich rozpoznać.

222

Przede wszystkim jeden bardzo prosty. Istnieje niezawodna metoda rozpoznania uczonego w Piśmie: jest to człowiek, który nie pozwala zdjąć dachu ze swego domu.

Jego dom jest zatłoczony. Przepelniony. Jest w nim jednak porządek. Każda rzecz na swoim miejscu. Nie brak niczego. Nie ma miejsca na nic więcej.

Nic więcej się nie mieści.

Nie mieści się żadne nie przewidziane wydarzenie.

Zabroniony jest wstęp nie oczekiwany wydarzeniom. Między innymi dlatego, że uczyony w Piśmie niczego nie oczekuje.

Uczyony w Piśmie jest przeciwieństwem człowieka pragnień. Zaplanował nadzieję, obciął skrzydła fantazji, skasował ryzyko, wyklął wątpliwość, wsadził za kratki ducha, uwięził prawdę.

Jego dom strzeżony jest przez kordon sił porządkowych, rządzonych strachem, zastępujących z krzykiem drogę tym, którzy nie mogą wylegitymować się dawną znajomością z gospodarzem, którzy nigdy dotąd go nie widzieli.

Uczony w Piśmie gotów jest się uczyć jedynie tego, co już wie.

Kazał się zaszczepić przeciwko nowościom.

Nie potrafi wyobrazić sobie odmienności, chyba że jest ona wierną kopią istniejących już wzorów.

Jego rozumowanie przebiega bez przeszkód dzięki mechanizmom doskonałej logiki, stworzonej specjalnie w celu otrzymania upragnionego rezultatu, ustalonej konkluzji.

Jest człowiekiem kilku niezłomnych zasad. Jednej przede wszystkim: prawda jest po mojej stronie.

Walczy z pokusą. Nauczył się dławić w zarodku jedną, bardzo niebezpieczną: podejrzenie, że może nie mieć racji. Zrozumiał, że jej wzrost oznaczałby jego koniec. Bez trudu wynalazł antidotum na tę pokusę: wystarczy sądzić, że to inni nie mają racji. Po prostu.

Przed wszystkim bezkompromisowo obchodzi się z faktami. Wie, jak do nich podejść.

Wtłacza je we własne schematy, w staranny, poprzednio zaplanowany porządek.

Nie wolno dyskutować o faktach. Trzeba natomiast zmusić je, by zajęły miejsca w odpowiednich przegródkach myślowych.

Uczony w Piśmie nie umie słuchać głosu faktów: za pomocą mądrych przeszczepów doświadczenia neutralizuje ich prowokacyjny ładunek i każe im powiedzieć to, co sam chce, prowadzi je, potulne, do przygotowanych klatek.

Uczony w Piśmie nie należy do ludzi, którzy wychodzą na zewnątrz, na powietrze.

223

Dąży raczej do sprowadzenia wszystkiego do swej wiedzy, do swego poziomu intelektualnego, do swego systemu życia.

Jest przyzwyczajony do stawiania pytań innym. Jednak odpowiedzi są również jego specjalnością. Posiada ich kompletny, definitywny zestaw. Nie ulega niepokojom, odpędza je. Nie pozwala otworzyć dachu swego domu.

Do tego domu wchodzi się normalną drogą. Trzeba się najpierw zaanonsować, poddać dokładnej kontroli dokumentów, by uniknąć niespodzianek, nadprogramowych wydarzeń.

Problem polega na tym, że to właśnie uczony w Piśmie powinien uczyć innych, jak przyjmować wydarzenia.

Gdy nadchodzi wydarzenie, on sobie "siedzi" (w. 6), rozważając, jaką taktykę zastosować, by je zwalczyć. I tak pozbawia ludzi właśnie tego, co powinien im dawać i co na pozór im daje.

Nie przychodzi mu na myśl, że zbawienie nadchodzi zawsze z innej strony.

Że jest to nieszczęściem dla domu, jeśli wewnątrz znajduje się już wszystko i niczego więcej nie potrzeba.

Że otwarty dach nie jest przejawem bałaganu, ale gościnności, radosnym powitaniem nie oczekiwanego.

Że w tym domu przejawem nieporządku jest właśnie on sam...

Że Chrystus jest zawsze Gościem nadprogramowym.

LEK PRZED ZARAŻĄ

Aby uzupełnić portret uczonego w Piśmie, wystarczy przeczytać epizod, który w Ewangelii Marka następuje zaraz potem. Jezus powołuje Lewiego, wyciągając go z komory celnej i świętuje to nowe powołanie ucztą, w której uczestniczą osoby niezbyt "godne polecenia".

"Niektórzy uczeni w Piśmie, spośród faryzeuszów, widząc, że je z grzesznikami i celnikami, mówili do Jego uczniów:

«Czemu On je i pije z celnikami i grzesznikami?»" (Mk 2,16)

Możemy więc uzupełnić portret uczonego w Piśmie.

Powiedzieliśmy: to ten, który nie pozwala otworzyć dachu swego domu.

Możemy teraz dodać kolejny szczegół: to ten, który stoi na zewnątrz.

Uczeni w Piśmie nie wchodzą do środka, obserwują z zewnątrz, nie uczestniczą w atmosferze tej uczty.

Widzą sprawy z pewnej odległości. Są na swoim miejscu. Zamknięci w swoim świecie.

Uwięzieni w swych perspektywach. Zablokowani w swych punktach widzenia. Ukryci za zasiekami własnych schematów.

224

Aby zrozumieć, musieliby wyjść poza siebie. To jest wejść w świat innych. Zmienić perspektywę. Spojrzeć na sprawy od wewnątrz. Obserwować, narażając się na ryzyko. Osądzać uczestnicząc. Zdjąć filtr, przez który patrzą na ludzi.

Uczony w Piśmie drży przed zarazą. Dlatego odcina się od życia. Jest "wyłączony" z rzeczywistości. Jest kimś, kto wyłącza się z ludzkości.

Chrystus tymczasem spotkał człowieka, nie zachował dystansu, ale podzielił całkowicie ludzką dolę. Wcielenie stanowi najbardziej radykalną formę uczestnictwa.

Nie warto się łączyć. Aby zasiąść przy stole z Chrystusem, trzeba zostawić własne miejsce, własną rolę, porzucić własny, uprzywilejowany punkt obserwacji.

Jedynie w zamieszaniu, czyli wmieszani w ludzkość, pośród innych współbiedniaków, zaczniemy coś rozumieć.

Uczony w Piśmie przestaje być uczniem w momencie, gdy porzuca swoje księgi i kodeksy, swoje teoretyczne konstrukcje, i decyduje się osobiście odkryć to, co dzieje się "w środku".

Jeżeli wyjdzie znów na zewnątrz, to tylko po to, by poprawić swoje teksty.

Nawet uczony w Piśmie może się nawrócić.

Z "tego, który wie" może zawsze awansować na "tego, który się uczy".

Wszystko zależy od niego. Trzeba tylko wystąpić z "sekt oddzielonych", by zasiąść u stołu z innymi.

JEZUS NIE DOSTRZEGA "WAŻNYCH LUDZI"

Powróćmy do zakończenia epizodu, mówiącego o uzdrowieniu paralytyka.

"Zdumieli się wszyscy i wielbili Boga..." (w. 12)

Wszyscy?

Uczeni w Piśmie na pewno nie.

A jednak Marek mówi o wszystkich.

Brakuje uczonych w Piśmie, oni nie uczestniczą w zdumieniu, ale... całość nie ulega zmianie.

Pozostają i tak "wszyscy".

Bez względu na to, czy "ważni ludzie" są obecni, czy nie, nic się nie zmienia. Uroczystość odbywa się i tak bez zakłóceń. I są na niej wszyscy!

(Kto wie, może Marek napisał tak właśnie po to, by pokazać, że "ważni ludzie" są tu nieważni?)

15 - Niewygodne Ewangelie

KTO CHCE SIĘ BAWIĆ"

Lecz z kim mam porównać to pokolenie? Podobne jest do przebywających na rynku dzieci, które przymawiają swym rówieśnikom. "Przygrywaliśmy wam, a nie tańczyliście; biadaliśmy, a wyście nie zawodzili". Przyszedł bowiem Jan: nie jadł ani nie pił, a oni mówią: "Zły duch go opętał". Przyszedł Syn Człowieczy:

je i pije, a oni mówią: "Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników". A jednak mądrość usprawiedliwiona jest przez swe czyny. (Mt 11,16-19)

. Tym razem Chrystus jako motyw przypowieści obrał zabawę dzieci. Nietrudno wyobrazić sobie tę scenę. Chłopcy proponują zabawę w zaślubiny, dziewczęta - w pogrzeb. Pierwsze dźwięki fletu spotykają się jednak z ogólną obojętnością i nikt nie zabiera się do tańca.

Wówczas próbują zawodzić, ale i te głosy zapadają w ciszę.

Dzieci są nadąsane, grymaśne, rozżalone.

Aluzja do faryzeuszów i doktorów Prawa jest aż nadto widoczna. To oni odmówili uczestnictwa w "zabawie Boga". Stoją nadąsani gdzieś w kącie. Nie przyjęli posłania Boga i odcięli się od planu zbawienia.

Wiele smutku jest w słowach Chrystusa, które ujawniają to "zerwanie".

Nie sądźmy jednak, że skoro udało nam się określić "adresatów" przypowieści, sami możemy się nią już nie przejmować.

Może się zdarzyć, że my również odmawiamy uczestnictwa w "zabawie Boga". Jesteśmy przekorni i krytyczni wobec posłania Chrystusa. Przede wszystkim nie akceptujemy złożoności "zabawy" i wybieramy z niej tylko niektóre aspekty.

SPLEŚNIAŁE ZIEMNIAKI

"Przeszedł bowiem Jan: nie jadł ani nie pił, a oni mówią:

«Zły duch go opętał»".

Żydzi odrzucili szorstkie zaproszenie do pokuty, gdyż uważali Jana za opętanego przez złego ducha, a to w ich wschodniej mentalności było synonimem szaleństwa.

Jednym z najbardziej niepokojących znaków naszego czasu jest fakt, że wstydzimy się spleśniałych ziemniaków Proboszcza z Ars.

Nie, to nie paradoks. Spleśniałe ziemniaki, jedyne pożywie-

226

nie tego kapłana, przeszkadzają wielu ludziom, chorym na duchowe drobnomieszczaństwo. Niektórzy próbują go pobłażliwie rozgrzeszać:

- No cóż, to są dziwactwa... Nie trzeba ich brać zbyt serio. Wszyscy zresztą mamy własne dziwactwa!

Inni, mniej wyrozumiali, chcieliby usunąć te fakty z dziejów duchowości (czy Kościoła?), jakby były schyłkowym przejawem "mrocznych czasów". A poza tym trudno uznać je za słuszne z ludzkiego punktu widzenia. Zgoda! Jednak czy to Proboszcz z Ars musi się bronić, musi znaleźć sobie alibi, ponieważ w jego domu znaleziono corpus delicti, właśnie garnek ze spleśniałymi ziemniakami, czy to może my musimy usprawiedliwiać nasze chrześcijaństwo, z którego słownika wykreślono słowo "umartwienie"?

"Wyblakły intelektualista w koloratce" (określenie brata Arturo Paoli) marszczy nos na widok zawartości tego garnka. Nie wie, jak wkomponować spleśniałe ziemniaki w swoje księgi ociekające erudycją. (Nie przychodzi mu na myśl, że świetnie zmieściłyby się na kartach Ewangelii!) Jednym kopniakiem wyrzuca je więc na śmietnik.

Odkąd spotkał w jakimś naukowym dziele (może z zakresu medycyny sądowej) słowo "masochizm", patrzy podejrzliwie na umartwienia cielesne świętych wszystkich czasów.

Uważa, że w świetle nauki są to podejrzane praktyki. Wszędzie węszy masochizm.

Wyblakły intelektualista w koloratce wszystko poddaje dyskusji. Wszystko z wyjątkiem gadaniny ulubionych mędrków, której nauczył się na pamięć.

Chrystus powiedział, byśmy nie mieli "ponurego wyglądu", gdy pościmy. Jednak nie odrzucił postu. Wprost przeciwnie. "Kiedy pościcie, nie bądźcie posepni jak obłudnicy. Przybierają oni wygląd ponury, aby pokazać ludziom, że poszczą. Zaprawdę powiadam wam: już odebrali swoją nagrodę. Ty zaś gdy pościsz, namaść sobie głowę i umyj twarz, aby nie ludziom pokazać, że pościsz, ale Ojcu twemu, który jest w ukryciu. A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie" (Mt 6,16-18).

Trudno wysnuć z tego fragmentu wnioski - jakby chcieli niektórzy - że umartwienia są "dziwactwem". Podobnie jak trudno jest dowieść, że "wąska brama" jest szeroka na dwadzieścia metrów.

Zrozumiałe, że należy wystrzegać się swego rodzaju fakiryzmu chrześcijańskiego.

Zrozumiałe, że nie należy przyjmować bez zastrzeżeń ze-

stawu "umartwień", o jakich czytamy w pewnych hagiografiach, które ośmieliłbym się nazwać "szarłatańskimi".

Zrozumiałe, że umartwienia ciała nie zawsze są najważniejsze. Znamienny jest epizod opisany w Vitae Patrum (Żywotach Ojców): "Epifaniusz, biskup Cypru, wysłał pewnego razu do opata Hilariona takie posłanie: «Przyjdź do mnie, abyśmy mogli się poznać, nim opuścimy ciało». Gdy razem siedzieli przy stole, przyniesiono im potrawę z pewnych ptaków i biskup postawił ją przed Hilarionem. Starzec powiedział na to: «Wybacz ojcze, odkąd przybrałem strój zakonny, nie ośmieliłem się jeść mięsa zabitych zwierząt». A biskup odparł: «Ja natomiast, odkąd noszę insygnia biskupie, nie pozwoliłem nigdy, by ktoś położył się do snu, żywiąc do mnie urazę; ani też nigdy nie udało mi się zasnąć, zanim nie pojednałem się z osobą, która była mi nieprzyjazna». Wówczas starzec rzekł: «Wybacz mi ojcze, ale ty dużo dalej postąpiłeś na drodze życia niż ja»"

Zgoda. Przecież nawet diabeł - według starego przysłowia - nie je, nie pije, nie żeni się, a jednak ten na pozór wielki asceta nie przestaje być z tego powodu diabłem.

Zgoda na to wszystko.

Pozostaje jednak fakt, że umartwienie nie może bezkarnie zniknąć z życia chrześcijańskiego, nie powodując nieuniknionego zeświecczenia.

Dobrze będzie odkryć na nowo znaczenie i dynamizm ascezy, praktykowanej przez pierwotne zakony.

Pozwolę sobie zacytować fragmenty głębokiej analizy z dzieła znawcy tej duchowości:

"Byłoby błędem nie do wybaczenia dopatrywać się na pustyni jedynie wyrzutków monastycyzmu, ludzi niekulturalnych, żyjących w atmosferze degradacji. Jeżeli nie dotrzemy do głębokich motywacji, ryzykujemy pominięciem jedyne w swoim rodzaju faktu, o ogromnych konsekwencjach dla losów chrześcijaństwa. Asceza pustyni jest nieuniknionym, dialektycznym momentem w dziejach duchowości chrześcijańskiej.

Odrzuciwszy narzędzia kultury, asceci gołymi rękoma utrzymali ideał chrześcijański na poziomie transcendencji. I na tym polega cud.

Asceza łagodzi skutki grzechu pierworodnego i ujawnia moc ducha. «Bestiarium» pustyni opowiada o zadziwiającej przyjaźni:

oto dzikie zwierzęta, wyczuwając wokół świętych «zapach raj», upodobniają się do ludzi, a ich oczy stają się przyjazne i rozumne. Anachoreci ożywiają starodawny przywilej człowieka, ustanowionego przez Boga, jako kosmiczne słowo i króla wszechświata.

Właśnie w maksymalizmie ascetów świat znajduje własną miarę i punkt odniesienia, pojmuje niebezpieczną głupotę i pospolitość ducha samowystarczalności. Od zdrowego rozsądku «Bóg tyle nie wymaga», asceza natomiast ujawnia straszliwą zazdrość Boga, który dawszy z siebie wszystko, żąda teraz wszystkiego od człowieka. Ojcowie pustyni stworzyli ikonę tego całkowitego daru. Przesadne linie mają przykuwać uwagę i stawiać każdemu człowiekowi pytanie o jego własne «możliwości».

Technika ascetyczna «oczyszcza ziemię ciała». Sportowiec ćwiczy swój organizm, asceta swoje ciało. Ikony ukazują nam ludzi, których ciało nic nie waży, nie podlega przyciąganiu ziemskiemu, istoty żyjące w nowym wymiarze. Są odmaterializowane, pozbawione kości, ale nie są pozbawione realizmu. Są bardziej realne od wszystkich innych, przeszły same siebie. Operacja terapeutyczna «na pustyni», dokonująca się w najgłębszych pokładach ducha ludzkiego, jest uniwersalna. Prowokuje zbiorowe wymioty, jest obiektywizacją i projekcją na zewnątrz pierwotnych nieczystości, które stopniowo narastały. Asceza oczyściła duszę i nadal zachowuje rolę czujnego strażnika.

Lokując się w warunkach antyspołecznych, asceza przygotowała powrót nowego człowieka do Historii. Monastycyzm, który rozpoczął się poza Historią, stanie się siłą religijną kształtującą Historię" *.

Oczywiście, nie chodzi nam tu o powrót do form ascezy zakonnej, ale do jej ducha.

W warunkach współczesnych - zauważa P. Evdokimov - w rytmie życia, który staje się coraz bardziej zawrotny, miazdzący i który powoduje straszliwe wyniszczenie nerwowe, umartwienie chrześcijańskie musi oprzeć się na nowej wrażliwości i przyjąć nowe formy. Asceza jest jedynie metodą w służbie życia i musi harmonizować z nowymi potrzebami. Heroiczna pustynia narzucała wyniszczające posty. Dziś walka toczy się na innym froncie. Człowiek nie potrzebuje dodatkowego bólu: włosiennica, biczowanie mogłoby go niepotrzebnie załamać. Umartwienie polegać będzie raczej na wyzwoleniu się od wszelkiej potrzeby pośpiechu, hałasu, środków podniecających, alkoholu.

Asceza polegać będzie na umiejętności korzystania z kome-

• P. Evdokimov, Les ages de la vie spirituelle, Desciee de Brouwer, s. 108.

229

Nasze zadanie polega na dokonywaniu wyborów razem z wszystkimi innymi i na współpracy z nimi w trudnościach - mimo ryzyka niepowodzenia - na szukaniu rozwiązań wspólnych problemów, które są zupełnie nowe i obce dla wszystkich" *.

Faryzeusz uważa siebie za uprzywilejowanego, odrębnego. Innych traktuje jako "wykluczonych".

W rzeczywistości to on jest "odrzucony".

Może mieć nadzieję, że zostanie ponownie włączony do świata, jeśli pokornie zgodzi się podjąć służbę na rzecz tego świata.

Rzeczywiście integracja dokonuje się wyłącznie poprzez "służbę".

Czy jestem rzeczywiście pewien, że moja krew nie jest zarażona bakcylem faryzeizmu?

Chodzi o zarazę, która czyni mnie naprawdę "straconym".

Straconym również dla miłosierdzia Bożego, gdyż Bóg ma dla faryzeuszów tylko słowa ostrej nagany.

Jest to jednak zaraza, która ustępuje w momencie, gdy zdajemy sobie sprawę, że nas dotknęła.

Gdy uznaję, że moja religijność jest zarażona hipokryzją, gdy wyznaję, że jestem faryzeuszem, gdy nieubłagana mowa oskarży cielska Chrystusa dotyka mnie do żywego i powoduje, że czuję się źle, już wkraczam na drogę zbawienia.

Gdy uwalniam się od "drugiego oblicza", Chrystus mnie rozpoznaje.

Może jako grzesznika. Ale przynajmniej jestem rzeczywiście sobą.

Pan wie wówczas, co zrobić, by mnie zbawić.

* Thomas Merton, Fede e violenza, Morcelliana.

cznego odpoczynku, na umiejętności zatrzymania się i odnalezienia w spokoju i ciszy, również pośród zgiełku świata, w regularnych odstępach czasu modlitwy i kontemplacji; przede wszystkim polegać będzie na odczuwaniu obecności innych.

Post, w miejsce dawnych umartwień, polegać będzie na rezygnacji ze zbytecznych rzeczy, na umiejętności dzielenia się chlebem z biednymi, na radosnej równowadze. Takie mogą być nowe formy ascezy, charakterystyczne dla tego, co zostało określone jako "monastycyzm uwewnętrzniony".

Zmiana frontu walki nie oznacza jednak unikania jej. Opychanie się kawiozem z trudem zrównoważy spleśniałe ziemniaki Proboszcza z Ars...

Musimy nasze życie kształtować analogicznie do życia dawnych mnichów.

Świat pogański zwalczał chrześcijan, starając się zniszczyć ich prześladowaniami. Teraz Ojcowie pustyni przechodzą do kontrataku, mszczą się i starają się pozbawić świat własnego istnienia. Odwracają się jedynie role, zmienia się scena (pustynia zamiast areny). Anachoreci, po uregulowaniu rachunków ze światem, pozwalają chrześcijanom powrócić do świata. Podobnie i my. Również w naszej egzystencji chrześcijańskiej nie może zabraknąć tego okresu zerwania i walki ze światem.

Dopiero wówczas, gdy "porachujemy się" (niczym z kolegą z podwórka) z naszym ciałem, będziemy mogli je rzucić "ku gwiazdom", posłuszne, złączone z duszą, bez obawy o zawroty głowy.

Dopiero gdy "porachujemy się" ze światem, będziemy mogli powrócić, pogodzeni, do świata. A ascetyczne "wyczyny" ustąpią miejsca miłości.

ŚMIECH JEST SPRAWĄ POWAŻNĄ

"Przyszła Syn Człowieczy: je i pije, a oni mówią: «Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników»".

Jedzenie i picie nie jest tu rozpatrywane wyłącznie z chemicznego i fizjologicznego punktu widzenia. Te codzienne czynności nie są jedynie dostarczaniem fizycznej energii, która pozwala maszynie naszego ciała nadal funkcjonować. W istocie jest to czynność całej osoby *

"Nie ma rzeczy bardziej tajemniczej niż pożywienie: prze-

• Wstępny zarys teologii jedzenia można znaleźć w "teologii codzienności" K. Rahnera, Im Henbe Glauben et Alltdgliche Dinge, Benziger (Einsiedeln).

230

miana martwego w żyjące; metamorfoza ciała obcego w naszą własną substancję; włączenie materii, która zachowuje swój specyficzny charakter, w rzeczywistość wyższą i pełniejszą. Ilekroć jemy, w codziennym posiłku powinno być coś świątecznego. Codziennie jest święto. Jest ono zapowiedzią jedności, w której każda rzecz i każdy człowiek pragną się schronić, w której wszyscy czują się bezpieczni i wydarci samotności. Wśród pospolitości codziennego dnia, dyskretnie, a jednak dość jasno, mówi się o uczcie życia wiecznego" (K. Rahner).

Słowa Chrystusa, które zacytowaliśmy na początku, wykraczają jednak poza jedzenie i picie: dotyczą innego aspektu "zabawy Boga", śmiechu. Nie jest on sprzeczny z aspektem, który przedstawiliśmy w pierwszej części.

Przynajmy: niektórzy chrześcijanie lepiej się czują na pogrzebie niż na weselu. Dlaczego? Są tacy "pobożni ludzie", którzy noszą w swym zachowaniu zewnętrznym, w sposobie chodzenia, przekrzywania szyi, w uśmiechu bardzo podobnym do grymasu znamię swoistego wychowania katolickiego (właściwie byłoby powiedzieć: nie-wychowania katolickiego), które jest zniewagą dla Chrystusa. On to bowiem powiedział: "...znowu jednak was zobaczę i rozraduje się serce wasze, a radości waszej nikt wam nie zdoła odebrać" (J 16,22).

Istnieje poza tym pewien styl kościelny i zakonny - styl również wielu "wojujących" świeckich, który przywodzi na myśl robota, automatycznego dystrybutora uśmiechów. Robot spotyka osobę i ofiaruje jej (wymuszony) uśmiech. Jest on częścią "techniki apostołstwa". A nie ma nic bardziej obrzydliwego i obłudnego od tych pobożnych uśmiechów "na rozkaz".

Nie. Nie ma śmiechu "na żądanie". To nie podarek, który dajemy w określonych okolicznościach.

Musimy nauczyć się śmiać naprawdę. Śmiech jest bowiem sprawą poważną. Szczególnie dla chrześcijanina.

Naturalnie nie chodzi o śmiech głupców i grzeszników, napiętnowany ostrymi słowami Pisma:

"Głupi przy śmiechu podnosi swój głos" (Syr 21,20).

"Opowiadanie głupich budzi odrazę, a śmiech ich płynie z grzesznej przyjemności" (Syr 27,13).

Ani też o śmiechu, na który Chrystus rzuca przekleństwo:

"Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, albowiem smucić się i płakać będziecie" (Łk 6,25).

Nie. Nie chodzi o ten śmiech, stanowczo odrzucony przez słowo Boga.

231

Śmiech autentyczny to śmiech, który wypływa spontanicznie z prostego, dziecięcego serca (a takie właśnie musi być serce chrześcijanina).

Śmiać się potrafi jedynie ten, kto jest w stanie właściwie ocenić ludzi i wydarzenia, kto umie oszacować rzeczy we właściwych proporcjach, kto nie stawia siebie w centrum wszechświata.

Śmiech spełnia w naszym życiu niezastąpioną funkcję wyzwalającą. Uwalnia nas przede wszystkim od pokusy traktowania zbyt serio siebie i rzeczy, które są po prostu śmieszne.

Śmiech poza tym to dobry nawyk higieniczny.

"Straszliwa codzienność" odkłada stopniowo tyle kurzu i pajęczyn na horyzoncie naszego życia, że zaciemnia nam słońce. Ludzka tępota przylepia nam do skóry skorupę obrzydzenia.

I oto szczerzy, dźwięczny śmiech usuwa pajęczyny i kurz, powoduje pęknięcie skorupy.

Zwraca nam słońce i radość życia.

Pewien "pobożny" człowiek przerwał mi kiedyś: Ale z Ewangelii nie wynika, by Chrystus kiedykolwiek się śmiał.

Czyżby? Czy po to zaprosili Go do stołu, by uweselał atmosferę kwaśnym humorem?

A dzieci! Czy widzieliście kiedykolwiek gromadę dzieci biegnących z wielkim zapałem ku człowiekowi ponuremu jak noc?

A poza tym uśmiechał się z pewnością obserwując faryzeusza, tego świętego pawia, gdy modlił się stojąc wyprostowany przed ołtarzem. Tak jak z pewnością uśmiechać się będzie patrząc na zgięte karki dewotów, którzy podają się za Jego przedstawicielei...

A poza tym - niech się gorszą małoduszni - Pismo twierdzi, że Bóg śmieje się w niebie.

"Śmieje się śmiechem pokoju, pewności i pogody. Śmiechem, który unosi się ponad mrocznymi zawilościami historii okrutnej i krwawej, szalonej i wulgarnej" (K. Rahner).

Otóż śmiech chrześcijanina powinien być podobny do śmiechu Boga. Śmiech, który wypływa z prawego serca na widok każdego idiotyzmu tego świata, jest odbiciem śmiechu Boga. "Jest zwierciadłem Boga Zwycięzcy, Pana historii i wieczności, tego Boga, którego śmiech potwierdza, że w gruncie rzeczy wszystko jest dobre".

Ktoś zauważył, że na Soborze Watykańskim II zabrakło "schematu XIV" na temat "poczucia humoru".

Łukę tę jednak możemy wypełnić (w oczekiwaniu na nowy Sobór) naszym praktycznym zachowaniem. Jest to jeden

232

z motywów przewodnich udanej powieści Umberto Eco Imię róży.

Poczucie humoru jest znakiem inteligencji. A inteligencja, z braku dowodów przeciwnych, jest szczególnym obowiązkiem każdego chrześcijanina.

Poczucie humoru potwierdza naszą zdolność nietraktowania siebie zbyt serio, zdolność śmiania się z nas samych, żartowania z siebie zanim uczynią to inni.

Poczucie humoru jest najlepszym potwierdzeniem faktu, że wyzwoliliśmy się już z "kompleksu pana życia i śmierci" (cierpi nań wielu chrześcijan wszelkiego pokroju).

W obecnym okresie posoborowym w wielu katolickich refektarzach odczuwa się zasmucający brak humoru. Spotyka się ludzi uprzejmych, poważnych, szorstkich, ponurych, którzy nieustannie wycierają sobie usta "problematyką egzystencjalną", którzy wyrzucają z

siebie - jakby to była manna - wielkie słowa takie jak "pneumatologia", "instancja", "dialektyka", "kerygma". A wszystko z marsową miną.
Zbyt wielu ludzi traktuje siebie straszliwie serio. Zbyt wielu ludzi utraciło poczucie humoru. Zbyt wielu ludzi zapomniało, że właśnie Bóg jest niedoścignionym humorystą. Wystarczy pomyśleć, że wybrał sobie nas na współpracowników swego dzieła...
Bóg nie wie, co zrobić z grymaśnikami, którzy stoją nabur-muszeni w rogu podwórka. Jednak mimo naszych kaprysów pozostaje niewzruszony, nie przerywa zabawy.
Czy jesteśmy gotowi bez dalszych ceregieli włączyć się w zabawę Boga? Zgodzić się na jej złożoność?
Zabawa Boga składa się z postów i zastawionych stołów, z łez i śmiechu, z wesołych motywów i smutnych tonów, z krzyża i doskonałej wesołości, z umartwień i radości życia, z zerwania ze światem i miłości do świata.
Kto akceptuje tylko część zabawy, dyskwalifikuje się automatycznie.
Jeżeli szukamy jakiegoś konkretnego i przekonującego przykładu całkowitego udziału w "zabawie Boga", obserwujmy życie Franciszka z Asyżu.
Nie bądźmy mędrkami, zamkniętymi w kokonie swej kultury i przesądów.
Nie bądźmy grymaśnymi dziećmi.
I tak nie zdołamy przerwać zabawy naszymi fochami.
Zabawa trwa dalej, gdyż Bóg zawsze znajdzie sobie dzieci

233

uległe, otwarte, prawdziwych synów Mądrości, którzy chętnie włączą się do zabawy, gdyż zrozumieli plan Boga. I tak Mądrość zostaje usprawiedliwiona przez swoich synów.

PIĄTKA ZE SPRAWOWANIA

Co myślicie? Pewien człowiek miał dwóch synów. Zwrócił się do pierwszego i rzekł: "Dziecko, idź dzisiaj i pracuj w winnicy!" Ten odpowiedział: "Idę, panie!", lecz nie poszedł. Zwrócił się do drugiego i to samo powiedział. Ten odparł: "Nie chcę". Później jednak opamiętał się i poszedł. Któryż z tych dwóch spełnił wolę ojca? Mówią Mu: "Ten drugi". Wtedy Jezus rzekł do nich: "Zaprawdę powiadam wam: Celnicy i nierządnicę wchodzą przed wami do królestwa niebieskiego. Przyszedł bowiem do was Jan drogą sprawiedliwości, a wyście mu nie uwierzyli. Celnicy zaś i nierządnicę uwierzyli mu. Wy patrzyliście na to, ale nawet później nie opamiętaliście się, żeby mu uwierzyć". (Mt 21,28-32)

Dwaj chłopcy.

Jeden nienaganny, stateczny, ugrzeczniony.

Drugi postrzelony, hardy, kapryśny.

Pierwszy mówi "tak", a jest przeciw.

Drugi pozornie mówi "nie", ale jest za.

Pierwszy zawsze pcha się do przodu, w gruncie rzeczy jest jednak próżniakiem.

Drugi ma "pstro w głowie", ale serce złote.

Konkluzja jest bolesna: Ojciec - czyli Bóg - ma tysiące powodów, by nie ufać pierwszemu synowi.

GRZECH DOBREGO WYCHOWANIA

"Współczesne chrześcijaństwo grzeszy dobrym wychowaniem. Martwi się jedynie o to, by się nie zabrudzić, by nie być niedelikatnym, boi się błota, prostactwa, szczerości, przedkładając pedantyczną mierność nad wszystko inne. Jak daleko doszliśmy tak postępując! Święty olej zmienił się w słodkawą melasę. Pobożnie zaciskają się usta i człowiek oczekuje, że Pan da mu piątkę ze sprawowania.

Jak dewotki ludzie czerwienią się przy każdej aluzji do zakazanych przyjemności. «Ach, co też pan mówi! Nie mam z tym nic wspólnego. Pan zwariował».

Wzięli Kościół Chrystusa za pensję dla panienek z dobrych domów. Krótko mówiąc, wszystko, co żywe i genialne wpadło w ręce ułomności, cnotcie nie pozostaje nic innego, jak wzdychać i wyciskać łzy. Zapomniała ona o żarliwych obelgach Biblii. Tymczasem chrześcijaństwo musi być odważne w na-

235

zywaniu rzeczy po imieniu. Nadszedł czas, by zrezygnować z aniołków otoczonych girlandami, aby mogły stać się aniołami silniejszymi i sprawniejszymi niż samoloty. Ale nie po to, by małpować świat współczesny, ale by go przewyższyć.

Idąc w tym kierunku można popaść w herezję. Ale dziś herezja jest mniejszym zagrożeniem niż usychanie korzeni".

To nie są słowa Ojca Kościoła, ale współczesnego pisarza rosyjskiego (A. Sinjavskij). Nie odbiera to wartości jego wypowiedzi.

Wnioski z przypowieści powinny rzucić wyzwanie "grzechowi dobrego wychowania".

Ojcu zależy na tym, by winnica była uprawiana. Grzeczne "tak" pierwszego syna wyraża "szacunek", jest zgodne z dobrym wychowaniem, ale doprowadza do ruiny winnicę.

Dziś w Kościele wyróżnić można dwie przeciwstawne tendencje. Zderzają się dwie koncepcje apostołstwa.

- Pierwsza bazuje na instytucji.

- Druga na działaniu.

1. Pierwsza kładzie większy nacisk na porządek niż na sprawiedliwość. Raczej na autorytet niż na współodpowiedzialność. Jej obowiązkiem jest obrona honoru Boga i praw prawdy. Jej ideałem jest Kościół cieszący się szacunkiem. Środki do tego celu: protekcja, poparcie (prawo, państwo, władza itd.). Konsekwencje: świat zamknięty, mentalność getta. Tworzyć wspólnoty złożone wyłącznie z chrześcijan (ileż mamy takich zamkniętych kółek z katolicką etykietką), odgradzać ich od kontaktów z "przewrotnym światem", w ten sposób nikt się nie zagubi i wszyscy razem wejdą zwartym szeregiem do Domu Ojca, z transparentem "Sami swoi" na czele.

Do tego dzieła budowy i obrony masywnych bastionów nietrudno zwerbować ochotników mniej lub bardziej bezinteresownych, o pulchnych i spoconych dłoniach. Tacy uważają Boga za "gwaranta" przywilejów i bronią własnych "praw" dając do zrozumienia, że bronią praw Kościoła.

2. Według drugiego sposobu myślenia porządek, przywileje i tytuły implikują coś ważniejszego. Trzeba wyjaśnić sytuację, zdemaskować wątpliwe poglądy, porzucić działania pozorne.

Trzeba mieć odwagę usunąć święty kurz, który przykrył nasz religijny strój, a który pod wpływem bierności i lenistwa uznaje się za nietykalny.

Obiektem krytyki nie jest autorytet, ale autorytarność.

Nie odrzuca się posłuszeństwa, ale odrzuca się posłuszeństwo ślepe, które uniemożliwia inteligentną współpracę.

236

Bardziej niż chrześcijańskie prawa konieczne jest kształtowanie autentycznych chrześcijan.

W obliczu zła chodzi nie tyle o zapobieganie, ile o zabezpieczanie (istnieje zasadnicza różnica pomiędzy tymi dwoma działaniami).

Nie wystarcza, by chrześcijanie wiedzieli, dokąd nie wolno im chodzić. Trzeba ich nauczyć odkrywać, dokąd mają iść.

Trzeba, by Kościół wyszedł na zewnątrz i by jego apostołowie nie bali pobrudzić sobie rąk, zanurzając je w rzeczywistość świata, w którym żyją. Drożdże muszą znaleźć się wewnątrz, a nie obok ciasta.

Taktyka wyczekiwania bywa antyewangeliczna. Apostołowie nie napisali na drzwiach Wieczernika: "Tu naucza się o Jezusie Chrystusie. Osoby, które pragną poinformować się o religii chrześcijańskiej, mogą zgłosić się między godziną taką a taką..." Wyszli na zewnątrz. Na ulice. Na place. Zmieszali się z ludźmi.

Prawda nie przeżyje ukryta zazdrośnie pod szkłem, strzeżona ustawicznie przez bezlitosnych snajperów ortodoksji. Trzeba wyprowadzić ją na zewnątrz, na światło słoneczne, na spotkanie z codzienną rzeczywistością.

Prawda nie musi być poważana. Pragnie być kochana.

Jedynego prawa, jakiego się domaga, to by ją przekazywano, by stała się własnością wszystkich.

Kto ma rację?

Prawdopodobnie pewnego dnia znajdzie się rozwiązanie i człowiek wzniesie się ponad przeciwieństwa (wrogość odmiennych pozycji nie zawsze wyostrza wzrok) i stanie na wyższym poziomie.

W każdym razie przypowieść ewangeliczna, uzupełniona kilkoma bardzo jednoznacznymi stwierdzeniami Pana, może stać się cennym kluczem dla rozwiązania problemu.

Zobaczmy.

NAWIAS

W tym miejscu pozwolę sobie otworzyć nawias. Dręczy mnie podejrzenie, że nie wszyscy przełożeni rozważyli tę przypowieść i wyciągnęli konkretne wnioski. Może dlatego niektórzy myślą się w ocenie, którzy synowie są rzeczywiście posłuszni.

Zausznik niekoniecznie jest współpracownikiem.

Schlebiać nie znaczy kochać.

Mówić "tak" nie znaczy czynić.

237

Kto pierwszy zgłasza się na ochotnika, gdy tylko zniknie z oczu przełożonego, wymyka się cichaczem.

Kto łatwo przytakuje, często wykonuje z trudem.

Konwencjonalny uśmiech jest nieomylnym znakiem skrytego buntu.

Specjaliści od ukłonów - kręgosłup zgięty pod kątem prostym - mają straszliwe trudności w zginaniu pleców, gdy trzeba złapać za łopatę i poważnie popracować.

Ci, których zawsze znaleźć można w pierwszym szeregu na oficjalnych defiladach, chętnie chowają się na tyłach (w pantoflach i na fotelu), gdy kalendarz wyznacza szare, powszednie dni.

Niektórzy "buntownicy" są natomiast najbardziej kochającymi synami Domu. Ich miłość często jest miłością zawiedzioną. Są "zbuntowani", bo być może ktoś ich zranił. "Jeśli się buntują, to może dlatego, że stoją wiernie przy zapomnianych wartościach" (Sullivan).

Jedynym błędem "gorących głów" jest nieumiejętność używania słów jako kadzielnicy. W rzeczywistości inteligentny przełożony wie, że może liczyć na nich z zamkniętymi oczyma. Mogą mieć "niewyparzony język". Jednak ich czyny są słuszne.

Przełożony musi umieć wyodrębnić i zdemaskować "cnoty widoczne, a nieprawdziwe, które nie pozwalają zwalczyć grzechów niewidocznych, ale prawdziwych" (Filaret z Moskwy).

Zamknąć nawias.

CZYNIĆ PRAWDE

"Jak myślicie? Któryż z tych dwóch spełnił wolę ojca?"

Jest zatem ważne, by pełnić wolę Ojca. A wolą Ojca jest, by winnica była uprawiana. (Chodzi o uprawianie winnicy, a nie o jej obronę).

Mamy więc jasne kryterium, według którego można osądzić, kto jest w porządku, a kto nie.

Dziś dyskutuje się wiele na temat granic Kościoła. Kto jest wewnątrz, a kto na zewnątrz.

Trudno to dokładnie określić. Wszelka dyskryminacja okazuje się ogromnie niebezpieczna. W każdym razie wskazówki dane nam przez przypowieść są bardzo cenne. Podkopują wygodne klasyfikacje, ukazują, jak bezpodstawne są pewne przy-wileje, uważane za niezbywalne, i odsłaniają niesprawiedliwość licznych krzywdzących ostracyzmów. W Ewangelii często pojawia się słowo "czynić", nawet wtedy, gdy zupełnie się tego nie spodziewamy.

238

"Kto czyni prawdę, przychodzi do światła".

Przyznajemy: wygodniejsze byłoby "kto kontempluje prawdę" albo "kto strzeże prawdy", albo "kto broni prawdy". Tymczasem powiedziano: "Kto czyni prawdę..." Jedynie robotnicy prawdy, a nie specjaliści od mówienia "tak" przychodzą do światła.

Prawda nie jest nasza. Nie należy do nas. Przychodzi od Ojca. My jednak mamy możliwość uczynienia jej naszą, wprowadzając ją w konkretne zachowania w rzeczywistość świata, w którym żyjemy. "Czyn" ustanawia ściśle powiązanie, rodzaj więzi krwi pomiędzy nami a prawdą.

Jeżeli stawimy się w Domu Ojca jedynie "uzbrojeni" w prawdę, nie łudźmy się: drzwi pozostaną zamknięte.

"Panie, strzegłem prawdy". Gdyby nasze chrześcijaństwo miało sprowadzać się do tego zadania, Bóg mógłby postąpić inaczej. Kasa pancerna byłaby pewniejsza.

Musimy stawić się w Domu Ojca nie z prawdą pod pachą, ale z prawdą wprowadzoną w czyn. Wówczas Bóg uzna nas za swe dzieci.

"Nie każdy, który Mi mówi: Panie, Panie, wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten kto spełnia wolę mojego Ojca, który jest w niebie. Wielu powie Mi w owym dniu: «Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twego imienia i nie wyrzucaliśmy złych duchów mocą Twego imienia, i nie czyniliśmy wielu cudów mocą Twego imienia?» Wtedy oświadczę im: «Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode Mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości» (Mt 7,21-23).

Nie ma wątpliwości. Synem "uznanym" przez Ojca jest tylko ten, kto czyni wolę Ojca. Nie ten, który mówi, że ją czyni.

Gdy słyszę, jak w naszych kościołach "wierni" odmawiają Ojczy nasz, ogarniają mnie wątpliwości.

Co myśli o tym Pan? Czy rzeczywiście uznaje ich wszystkich za swych synów? Czy czasem nie ufa bardziej milionom innych, którzy nie umieją odmawiać Ojczy nasz, ale w zamian czynią Jego wolę, pracując dla sprawiedliwości, wolności, pokoju i równości pomiędzy wszystkimi ludźmi?

"Bądź wola Twoja".

A Pan wie, że w naszych ustach to zdanie brzmi: "Bądź wola nasza".

Czy jednak zabiegamy naprawdę, by odkryć wolę Ojca teraz, tutaj, w tych historycznych okolicznościach?

Ileż niedoszłych spotkań z historią...

239

Ileż razy nasze lenistwo knebłowało usta Ewangelii, ileż więzów nakładało...

Na szczęście Ojciec ma do dyspozycji innych synów. Nie mówią oni "tak", jednak w końcu czynią to, co powinni czynić, w odróżnieniu od nas, zawsze gotowych powiedzieć "tak", a potem realizujących własną wolę.

Bemanos zauważył, że chrześcijanie otrzymali misję wyzwolenia. Jednak w historii często inni przynosili ludziom wyzwolenie.

To samo można powiedzieć o sprawiedliwości, wolności, pokoju.

Nasi "przeciwnicy" często są żywą dokumentacją naszych zdrad na szkodę prawdy, naszej odmowy "czynu".

Gdy człowiek nie akceptuje ustalonego nieporządku, ale działa na rzecz sprawiedliwości, gdy domaga się wolności nawet dla poszkodowanego przeciwnika, gdy zastępuje siłę miłością, kłamstwo prawdą, egoizm darem, gdy zgadza się wejść na krzyż, a nie nakłada go na ramiona innych - jest synem. I Bóg jest z nim i czyni nowe stworzenie.

Zbyt pospiesznie - zanim jeszcze okazujemy się przydatni - próbujemy wyłudzić od Boga aureolę.

Zbyt łatwo - zanim rzeczywiście na to zasługujemy - żądamy od Boga piątki z zachowania. Jednak Ojciec nie daje się oszukać naszym "tak".

Idzie obejrzeć winnicę. Chce zobaczyć, co dobrego zrobiliśmy.

TRZECI SYN

Przypowieść informuje nas, że istnieją dwa rodzaje synów. Ci od "tak", które znaczy "nie", i ci od "nie", które znaczy "tak".

Dziś przypowieść tę należałoby uwspółcześnić, gdyż ci dwaj synowie, których charakteryzują odpowiednio "tak-nie" i "nie-tak", nie wyczerpują całej rzeczywistości.

Właścicielowi winnicy urodził się trzeci syn.

Do rodziny Boga weszła nowa postać.

Co charakteryzuje trzeciego syna?

Trudno to jednoznacznie określić. W każdym razie z pewnością ani "tak", ani "nie". Raczej... cały wywód. A brutalnie mówiąc: eksplozja gadulstwa.

Gdy Ojciec postanawia wysłać go do winnicy na harówkę, trzeci syn każe mu usiąść przy stole.

- Posłuchaj mnie.

I otwiera dossier oskarżeń. Wymienia wszystkie błędy po-
240

pełnione dotąd przy uprawie winnicy. Wylicza dokładnie poszczególne pomyłki, określa i dokumentuje odpowiedzialność. Tonem twardym, ostrym.

Bezlitosna mowa oskarżycielska.

Mijają godziny, dni. A ci dwaj, przykuci do stołu, dyskutują.

A winnica czeka...

Teraz trzeci syn przystępuje do etapu programowania. Ustala, co trzeba zrobić, aby uprawiać winnicę zgodnie z wymogami nowoczesności i skuteczności. Poszczególne zadania zostają przedstawione szczegółowo. Metody opisane przy użyciu wysoce specjalistycznej terminologii.

Po nieskończeniu długim czasie ci dwaj ciągle tkwią przy stole i dyskutują. (Właściwie to tylko jeden z nich ciągle mówi).

A winnica naturalnie nadal czeka na kogoś, kto by ją uprawiał.

- Teraz, synu mój, powiedz, czy zgadzasz się pomóc mi - ośmiela się zapytać ojciec.

- Widzisz, znów próbujesz ominąć prawdziwe problemy! Tak zawsze kończy się dyskusja z tobą... Nie można porozmawiać...

- Ależ od lat cię wysłuchuję. Teraz zdecyduj się...

- Nie daj się ponieść pragmatycznym instynktom. Wiesz, faza przedwstępna wyjaśnienia... A więc posłuchaj. W obecnej sytuacji...

Nie ma rady. Trzeci syn przechodzi od problemów do ich teoretycznego rozwiązania. Od analizy przeszłości do perspektyw na przyszłość, ale nigdy nie przechodzi od słów do czynów, od stolika do winnicy, od dossier do łopaty.

Często spotykam trzeciego syna i muszę przyznać, że jego towarzystwo staje się dla mnie coraz bardziej nie do zniesienia.

Jest on wędrownym trybunałem, który w ciągu godziny, najchętniej przy stole, potrafi osądzić i skazać cały świat.

Jest jednostką, która gwałtownie występuje przeciwko szemrzącemu się zepsuciu: później zauważasz, że zna nie tylko ze słyszenia wiadome filmy, niekoniecznie purytańskie, i czasopisma, które z pewnością nie prezentują postaci świętych.

Jest moralistą-hipokrytą, zawsze gotowym bezlitośnie demaskować (cudze) skandale. A gdy tylko poznasz go trochę bliżej, zdajesz sobie sprawę, że on sam z największą swobodą deprecjuje elementarne wartości.

Jest pseudospołecznikiem, mającym zawsze na ustach "żądania najbiedniejszych" i problemy marginesu społecznego. Potem jednak, gdy stanie twarzą w twarz z prawdziwym "bied-

241
16 - Niewygodne Ewangelie

nym" i "człowiekiem z marginesu" (np. z niezamężną matką), nie kiwnie palcem, by postarać się o pracę dla niej i nie powie jednego słowa, by znaleźć dla niej mieszkanie. Za to kazaniem zasypuje ją szczodrze i bezwstydnie.

Jest pseudowierzącym, który regularnie lekceważy wszelkie obowiązki nie przynoszące zysku, ale skłonny jest gorszyć się strojem księży lub jakimkolwiek odstępstwem na polu religijnym. I wykrzykuje teatralnie: "Jak tu jeszcze wierzyć?" On, który wierzy jedynie w pieniądze i w intrygi...

Jest pseudoprofesorem, uzbrojonym w myślącą brodę i w cztery formułki psychoanalityczne, który sprowadza wyniszczającą pracę siostry w leprozorium do "nieświadomej kompensacji". On, który nigdy nie widział wschodu słońca i który z powodu własnego zaziębienia potrafi zaalarmować 50 osób.

Mógłbym długo jeszcze opowiadać o trzecim synu, którego często spotykam na mojej drodze i który ma tysiące różnych twarzy.

Jednak na dobrą sprawę tego trzeciego syna znajduję również w sobie. Ja także mogę gościć w sobie tego człowieka chorego na gadulstwo. Człowieka, który ma czelność kwestionować wszystko i wszystkich (z niewygodnymi Ewangeliami włącznie) z wyjątkiem samego siebie, tego niezawodnego snajpera, który bezbłędnie trafia do cudzych błędów, ale absolutnie nie potrafi wycelować broni we własne winy, choć cel jest wielki jak bizon.

A więc i ja mogę dostarczyć Ojcu trzeciego syna, mogę wzbogacić (albo zubożyć) rodzinę tą gadatliwą obecnością.

A może i ty...

Spróbujmy chwilę pomyśleć.

Jak go odkryć?

Na początku powiedziałem, że nie charakteryzuje go żadne specyficzne słowo. Wysiłając uwagę można jednak uchwycić pewne typowe wyrażenia. Przed wszystkim jednak istnieje słowo, którego brakuje w jego języku.

"Trzeba by", "konieczne jest", "należałoby", "jest sprawą niecierpiącą zwłoki, by odpowiedzialni..." Nigdy nie pada słowo "muszę".

Otóż to. Gdy z naszych ust wychodzą takie zdania, nie ma wątpliwości: narodził się trzeci syn.

A winnica niestety pozostaje taka, jaka była.

Ojciec odchodzi sam, rozczarowany. Jego rozczarowanie jest o wiele gorsze od rozczarowania wywołanego suchym "nie".

W przypadku trzeciego syna mamy do czynienia z podłym

242

dążeniem, by dymem gadaniny zakryć niedopełnione zobowiązanie.

Ale słowa, bezlitosne mowy oskarżycielskie, wyroki, ujawniają tylko uważnym oczom Ojca bezkresny obszar naszej hipokryzji.

CZWARTY SYN

A więc pierwszy syn to ten od "tak-nie". Drugi - od "nie--tak". Trzeci jest wielbicielem stolików ("trzeba by"). Teraz w rodzinie mogłoby znaleźć się miejsce dla ewentualnego czwartego syna. Co więcej, jego przyjście oznaczałoby prawdziwe błogosławieństwo. Czwarty syn jest synem milczenia. Nie umie mówić. Za to ma uszy do słuchania i przenikliwe oczy, które dostrzegają, co należy zrobić. Lepiej jeszcze: co on sam musi zrobić.

Wystarczy, by Ojciec wskazał mu winnicę, gdzie nie wszystko jest w porządku. Gdzie pełno jest chwastów, cierni, pokrzyw i kamieni. Gdzie jednak jest również nadzieja na wielki plon, pod warunkiem, że ktoś zdecyduje się pochylić grzbiet. A poza tym ta winnica potwierdza, objawia miłość Ojca. Jest związana z jego sercem. Zapłacił za nią najwyższą cenę.

Czwarty syn zabiera się więc do pracy bez słowa.

Syn milczenia, przyzwyczajony odmieniać czasownik "musieć" w pierwszej osobie liczby pojedynczej.

Ojciec obserwuje go zadowolony. Wie, że może liczyć na tego czwartego syna, choć nie był on nawet w stanie powiedzieć "tak".

W winnicy panują ciemności? Zalegają głębokie cienie? On zapala swoje światło.

Wokół wszystko tonie w błocie? On potrafi sam stworzyć czysty teren.

Kraży tyle kłamstw? On umie zaprowadzić szczerłość.

Rosną góry nielojalności, sprzeczności, podejrzliwości, egoizmu, miernoty? On potrafi wystawić na rynku zupełnie inne produkty.

Spadają na niego kamienie oszczerstwa i złości? On pochyla się i zbiera je. Mogą się zawsze przydać do uderzania w piersi.

Tyle spraw zagmatwanych? On martwi się wyłącznie o to, by iść prosto we właściwym kierunku.

Szaleje inflacja gadaniny? On zamyka usta i w ruch wprowadza rękę.

Taki jest styl czwartego syna.

243

Z pewnością jego dłonie nie są miękkie. Stykają się z cierniami, perzem, pokrzywami i kamieniami, i wieczorem są podrapane i niezbyt czyste.

Natomiast winnica będzie trochę czystsza. I z oblicza Ojca zniknie cień rozczarowania.

Chcesz być czwartym synem?

Czy czujesz się na siłach, by zagrać tę wymagającą rolę?

Pamiętaj, że syn milczenia nie jest zupełnie niemy.

Jest chwila, w której dane mu będzie mówić.

Jedno słowo, ale i tak zbyt dużo.

Gdy powala cię zmęczenie,

gdy dałeś już wszystko,

gdy wyczerpałeś wszystkie możliwości,

gdy walczyłeś odważnie,

gdy ramiona i dłonie palą cię od pieszczot cierni i pokrzyw,

gdy barki są należycie poobijane -

wówczas możesz stanąć spokojnie przed Ojcem.

I wolno ci powiedzieć Mu jedno słowo:

- Dziękuję.

POPSUTE ŚWIĘTO

Gdy się przybliżyli do Jerozolimy i przyszli do Betfage na Górze Oliwnej, wtedy Jezus posłał dwóch uczniów i rzekł im: "Idźcie do wsi, która jest przed wami, a zaraz znajdziecie oślicę uwiązaną i źrebię z nią. Odwiążcie je i przyprowadźcie do Mnie! A gdyby wam kto co mówił, powiecie: «Pan ich potrzebuje, a zaraz je puść-Uczniowie poszli i uczynili, jak im Jezus polecił. Przyprowa-

ci»
dzili oślicę i źrebię i położyli na nie swe płaszcze, a On usiadł na nich. A ogromny tłum słał swe płaszcze na drodze, inni obcinali gałązki z drzew i ścielili na drodze. (Mt 21,1-3.6-8)
Zbliżał się już do zbocza Góry Oliwnej, kiedy całe mnóstwo uczniów poczęło wielbić radośnie Boga za wszystkie cuda, które widzieli. I wołali głośno: "Błogosławiony Król, który przychodzi w imię Pańskie. Pokój w niebie i chwała na wysokościach". Lecz niektórzy faryzeusze spośród tłumu rzekli do Niego: "Nauczyciela, zabroń tego swoim uczniom!" Odrzekł: "Powiadam wam: Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą". Gdy był już blisko, na widok miasta zapłakał nad nim i rzekł: "O gdybyś i ty poznało w ten dzień to, co służy pokojowi! Ale teraz zostało to zakryte przed twoimi oczami. Bo przyjdą na ciebie dni, gdy twoi nieprzyjaciele otoczą cię wałem, obiegną cię i ścisną zewsząd. Powalą na ziemię ciebie i twoje dzieci z tobą i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu za to, żeś nie rozpoznało czasu mojego nawiedzenia". (Łk 19,37-44)

Wydaje się, że Jezus wszedł wreszcie na drogę tryumfu. Jego przyjaciółom, przy współdziałaniu tłumu, udało się chyba sprowadzić Go z drogi, która zaczęła się w stajni i zmierzała do krzyża, drogi wypełnionej żebrakami, trędowatymi i grzesznikami, i skierować Go na drogę tryumfu, wśród głośnych oklasków i wymachiwania gałązkami.

Tym razem udało się im zaaranżować święto, z prawdziwego zdarzenia.

Jezus jedzie na oślątku, "którego nikt jeszcze nie dosiadł". (Co surowi krytycy próbowali zakwestionować relację Mateusza, zarzucając mu, że wprowadził samowolnie na scenę również oślicę, aby dopasować wydarzenie do prorocstwa; ale nietrudno to wyjaśnić i Mateusz nie kłóci się ze zdrowym rozsądkiem: ponieważ chodziło o młode ośle, łatwiej było je przyprowadzić do Jezusa w towarzystwie matki. Oto wszystko).

245

Scena, choć pełna ludowej prostoty, ma charakter uroczysty, nie pozbawiony wielkości. Procesja wspina się na Górę Oliwną. Droga jest zasłana dywanem liści i płaszczy. Znikają ostatnie obawy o reakcję Nauczyciela na tę ludową manifestację. Zgadza się! Rzeczywiście, zgrają faryzeuszów znudzonych tym żywiołowym okazywaniem radości, odpowiadają suchą odpowiedzią: "Powiadam wam, jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą".

Wszystko przebiega więc zgodnie z przewidywaniami. Procesja schodzi już z Góry Oliwnej i zbliża się do Jerozolimy. Na zboczu scenariusz uroczystości przewiduje ważny moment. Z pięknej polany ukazuje się Jezusowi cudowna panorama, widok na święte miasto. Na pierwszym planie świątynia, świeżo odrestaurowana, z obszernym dziedzińcem, kolumnadą, krużgankami, wspaniałymi murami i złocistym dachem. A dalej miasto ze swymi placami i ruderami, zamknięte i osłonięte solidnymi wałami ochronnymi.

Jednak właśnie na widok miasta Jezus nagle przekreśla ceremoniał i lekceważąc scenariusz psuje całą uroczystość, choć entuzjazm tłumu - według relacji Łukasza - narasta. "Na widok miasta zapłakał nad nim".

Widok człowieka płaczącego jest zawsze przykry. A tu płacze Bóg. Powstaje okropna sytuacja.

Ceremoniał uroczystości przewidywał, że Jezus wyrazi podziw na widok miasta.

A Jezus tymczasem wylewa nad nim łzy. A potem wypowiada przerażającą przepowiednię: "Bo przyjdą na ciebie dni, gdy twoi nieprzyjaciele otoczą cię wałem, obiegną cię i ścisną

zewsząd. Powalą na ziemię ciebie i twoje dzieci z tobą i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu".

"Sądzę, że tego dnia kamienie Jerozolimy oblały się zimnym potem. Może odtąd wapno już nie wiązało, łuki odczuwały swą kruchość, fundamenty popękały. Tego dnia, gdy Jezus zapłakał, miasto przeczuło bliską śmierć. Tego dnia miasto umarło" (Turolido).

Historia ukazuje nam, jak wydarzenia potwierdziły tę przepowiednię. My jednak wiemy, że miasto, zanim zburzyło je wojsko rzymskie, zostało zburzone przez płacz Jezusa. Fundamenty zostały nieodwracalnie nadwerżone przez łzy Nauczyciela.

Dlaczego jednak Bóg z uporem psuje nam nasze najładniejsze uroczystości? Dlaczego nie respektuje naszych ceremoniałów? Dlaczego zakłóca porządek naszych procesji?

246

Kamienie miasta zrozumiały. Oblały się zimnym potem. Ludzie nie. Ich te łzy po prostu denerwowały.

Czego żąda ten Bóg? Nie wystarczają Mu płaszcze rozesłane na ziemi, okrzyki tłumu i powiewanie gałązkami? To niesmaczne mówić o tragediach grożących miastu, które właśnie zgotowało Mu tak tryumfalne przyjęcie...

Co Mu przyszło do głowy, że zapłakał?

Cóż to za dziwny Król. Z Nim wszystkie uroczystości kończą się dramatem.

DLACZEGO PŁACZE?

Dlaczego Jezus płacze? Niektórzy komentatorzy znaleźli sposób na wyjaśnienie tych dość "niewygodnych" łez: Jezus płakał "jako Żyd" nad bliską doczesną zagładą swej ojczyzny. Niech będzie wybaczone tym zarozumiałcom, że tak elegancko potrafią wytłumaczyć łzy Chrystusa. Nie zdają sobie sprawy, że przypisując temu płaczowi motywację patriotyczną, poniżają Go.

Dlaczego więc Jezus płacze? Powód jest bardzo prosty: płacze, gdyż my nie płaczemy. Płacze zamiast nas.

Nigdy przekleństwo "biada zadowolonym" nie nabiera tak surowego wydźwięku, jak w obliczu tego epizodu. Otóż zadowoleni to my. Dlatego rzeczywistość pozostaje zakryta przed naszymi oczyma, tak jak wtedy w Jerozolimie.

Tyle spraw chcielibyśmy pokazać Jezusowi. Nasze uroczystości, iluminacje, okrzyki, spisy ochrzczonych, procesje, listy dobrodziejów, dzieła, organizacje, nawet "chrześcijańskie prawodawstwo".

Wzrok Pana przenika jednak skorupę pozorów. Zagląda w głąb rzeczywistości. Sprawdza czy nasze serce zgodne jest z Jego sercem, a nasza wola z Jego wolą. I płacze. Płacze nad naszym chrześcijaństwem - zadowolonym z siebie, tryumfalnym, złożonym bardziej z rzeczy niż z osób, bardziej z gadaniny niż z życia, bardziej z przyzwyczajenia niż wiary, bardziej z "rozsądku" niż z ewangelicznego szaleństwa, bardziej z jałmużny niż z miłosierdzia; płacze nad chrześcijaństwem często bardziej podobnym do duchowego mieszczaństwa niż do "utrąty własnej duszy".

Spróbujmy wyobrazić sobie "wizytację kanoniczną" Jezusa po dwóch tysiącach lat. Jak z niej wybrniemy? Co mamy do zaprezentowania? Jak Go przyjmiemy?

Iluminacje, zapalone świece? Ale On pragnie widzieć "zapa-

247

lonych chrześcijan, to znaczy chrześcijan przezroczystych, będących światłem.

Księgi parafialne? A On przegląda księgi sumień.

Ceremonie oficjalne, z władzami siedzącymi w pierwszym rzędzie, łokieć w łokieć z kardynałami w purpurze? Ale On szuka biednych.

Legitymacje? On żąda serc.

Wspaniałe nabożeństwa, "ogromne manifestacje wiary"? (Ileż sprawozdań znaleźć można w oficjalnych biuletynach katolickich). Ale On nie bardzo wierzy oficjalnym zapisom i ma okropny zwyczaj przeprowadzania osobiście kontroli: pragnie znaleźć wiarę, która przenosi góry.

Kościół biednych? On się tym nie zadowala. Pragnie, by również Kościół był biedny.

Tak zwane katolickie państwa? Ale On zdiera etykietę i sprawdza, ile jest w nich wolności i sprawiedliwości.

Spisy dobrodziejów? On szuka informacji o grzesznikach.

Wspaniałe kościoły? On wprawdzie obchodzi "favele", "bidon-villes", slumsy, obozy uchodźców.

Imponujące wieżowce "dzieł katolickich", funkcjonalne, supernowoczesne: trzeba przecież iść z postępem, jest w nich wszystko od kina po bar, boisko sportowe, aule katechetyczne, nawet zadłużyliśmy się...

A On pyta nas po prostu, czy poza domami z kamienia udało się nam "zbudować" chrześcijan.

Komunie święte wielkanocne, uczestnictwa w mszach niedzielnych, pielgrzymki, "przykładne chrześcijańskie śmierci"? Ale Jego interesują chyba bardziej ci, którzy zobowiązują się żyć po chrześcijańsku.

Sobór, aggiornamento w Kościele, dzieła awangardowych teologów? Ale On pragnie się dowiedzieć, ile "zapłaciliśmy" za te idee. Osobiście.

Dość już. Możliwe, że ta "wizytacja kanoniczna" Chrystusa zakończy się tak, jak ta sprzed 2000 lat, gdy wkraczał do Jerozolimy, jadąc z wolna na osiołku po drodze usłanej gałązkami i płaszczami, wśród głośniego aplauzu.

Być może i dziś ma powody do płaczu. Płacze, gdyż w "mieście świętym" wciąż nie ma dla Niego miejsca.

Tak. W tryumfalistycznym chrześcijaństwie nie ma miejsca dla Jezusa.

W tryumfalistycznym chrześcijaństwie jest miejsce dla wszystkich i dla wszystkiego: dla naszej próżności i dla dyplomatów, dla naszego pragnienia władzy i dla karierowiczów, dla

naszej pychy i dla zawodowych pochlebców. Nie ma już miejsca dla Jezusa.

Taki jest Jego los. Nie znajduje miejsca. Już w czasie Jego pierwszej "procesji" w łonie Matki "nie było dla nich miejsca w gospodzie" (Łk 2,7). Z takim przyjęciem spotykał się zawsze.

"Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli" (J 1,11).

Również dzisiaj, we własnym domu, wśród ogromnych pałaców, które noszą Jego imię, pośród ludzi, którzy Go oklaskują, musi z goryczą stwierdzić, że nie ma dla Niego miejsca.

CZEGO ON CHCE?

Nie żartujmy. Jezus płacze. A adresatem tych łez jestem ja sam. Może i ty również.

Człowiek płaczący zawsze nas peszy. A tu płacze Bóg.

Chodzi o to, byśmy nie zmarnowali tych łez. Byśmy poczuli się oskarżeni.

Co robić?

Na razie skończmy z iluminacjami. Wynieśmy na strych łuki tryumfalne, chorągiewki i inne ozdóbki.

Płaszcz, zamiast okrywać ulice, mogą okryć jakiegoś biedaka, stojącego obok nas.

Przede wszystkim skończmy ze świętowaniem. Trzeba wziąć się na serio do pracy. Nadszedł czas, byśmy zaczęli wykonywać nasz trudny zawód chrześcijanina.

Pozwólmy, by te łzy podważyły nasze zadowolenie, by skorodowały naszą pewność siebie, by zakwestionowały naszą uczciwość, odkryły plamy na naszym "dobrym sumieniu".

Czego ostatecznie chce płaczący Chrystus?

Po prostu chce nam popsuć nasze święto.

AKCJA PORZĄDKOWA W ŚWIĄTYNI

A Jezus wszedł do świątyni i wyrzucił wszystkich sprzedających i kupujących w świątyni; powywracał stoły zmieniających pieniądze oraz ławki tych, którzy sprzedawali gołębie. I rzekł do nich: popisane jest: Mój dom ma być domem modlitwy, a wy czynicie z niego jaskinię zbójców". W świątyni podeszli do Niego niewidomi i chromi i uzdrowił ich. (Mt 21,12-14)

W świątyni napotkał siedzących za stołami bankierów oraz tych, którzy sprzedawali woły, baranki i gołębie. Wówczas sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, powypędzał wszystkich ze świątyni, także baranki i woły, porzrzucał monety bankierów, a stoły powywracał. Do tych zaś, którzy sprzedawali gołębie, rzekł: "Weźcie to stąd, a z domu mego Ojca nie róbcie targowiska!" Uczniowie Jego przypomnieli sobie, że napisano: Gorliwość o dom Twój pochłonę Mnie. (J 2,14-17)

Egzegeci zastanawiają się, czy Jan i synoptycy opisują ten sam epizod, czy też chodzi o dwa różne fakty, z których jeden należy umieścić w czasie pierwszej Paschy spędzonej w Jerozolimie, a drugi w czasie ostatniej w Jego życiu publicznym. Pomińmy to. Wywody egzegetów tracą aktualność. Pozostaje fakt uniesionego bicza. Pozostaje gest wywracania stołów handlarzy. Pozostają słowa, które bolą bardziej niż uderzenia bicza.

BICZ UCINA BEZBOŻNĄ LITURGIE

Jezus postanowił "oczyścić" Świątynię. Wywołał wrzawę, w której świsty bicza mieszały się ze zgiełkiem słów.

Jego spojrzenie było nieomyślne. Bezbłędnie rozpoznawał wrogów Świątyni. Marek, jak zawsze dokładny, informuje nas, że poprzedniego wieczoru "...przybył do Jerozolimy i wszedł do świątyni. Obejrzał wszystko, a że pora była już późna, wyszedł razem z Dwunastoma do Betanii. Nazajutrz (...) wszedłszy do świątyni, zaczął wyrzucać tych, którzy sprzedawali i kupowali w świątyni, powywracał stoły zmieniających pieniądze i ławki tych, którzy sprzedawali gołębie" (Mk 11,11-12.15). A więc wieczorem miało miejsce coś w rodzaju lustracji pola bitwy. A następnego dnia - starcie.

Chrystus rozproszył tych, którzy handlowali w cieniu Świątyni, powywracał ich stoły.

"Oczyścił" dom Ojca z pieniędzy,

250

z kapłanów i ich wspólników. Nie bawił się w zawiłe rozważania, nie zważał na wyjaśnienia, że na dobrą sprawę ten handel był związany z ofiarami w świątyni i wobec tego w gruncie rzeczy "służył" chwale Ojca. Jego gniew, Jego gorliwość o dom Boży nie pozwalały Mu przyjąć takich wykrętów. Miał jeden cel: położyć kres tej liturgii, która była bluźnierstwem. Po zakończeniu tej operacji Jego oblicze musiało wyrażać tę samą satysfakcję, jaka maluje się na twarzy gospodyni, która kończąc generalne porządki ustawia miotłę obok wielkiego stosu śmieci.

PRAWDZIWI NIEPRZYJACIELE

A zatem Chrystus rozpoznał właśnie w przyjaciółach Świątyni jej najgroźniejszych nieprzyjaciół.

Wnioski stąd płynące są dla nas nieprzyjemne. Powiedzmy prosto z mostu: najgorszych nieprzyjaciół chrześcijaństwa nie należy szukać na zewnątrz, ale w obrębie jego świętej przestrzeni. I wśród nich - niech nas to nie dziwi - możemy znaleźć się również my. Tak sprawnie umiemy wyszukiwać zewnętrznych nieprzyjaciół naszej religii. Wykazujemy doskonały węż niezrównanych "psów pańskich". Wykryliśmy nieprzyjaciół, skatalogowaliśmy, oznaczyliśmy etykietami. Obarczyliśmy ich wszystkimi winami (od masowej dechrystianizacji po "niepokojący kryzys powołań"). Wypowiedzieliśmy im wojnę. Jesteśmy "przeciw". Przeciw temu czy przeciw tamtemu. Pomyliliśmy się straszliwie. "Bycie

chrześcijaninem" sprowadziliśmy do "bycia przeciw", przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu. I nie zauważyliśmy, że powinniśmy raczej być przeciw sobie. Niebezpieczeństwo dla Kościoła nie przychodzi z zewnątrz. Pochodzi z wewnątrz, od nas. Nie warto się łudzić.

Nieprzyjaciele zewnątrzni, na dobrą sprawę, oddają Kościołowi wielką przysługę: czynią go czujnym, zwiększają jego spójność, wzmacniają go, zmuszają go do zejścia do katakumb, które są zawsze "naturalnym" środowiskiem dla eksplozji jego światła, pomnażają go ("krew męczenników..."). A poza tym przeciwko nim zagwarantowana jest pomoc z góry ("bramy piekielne nie zwyciężą go...").

Wobec nieprzyjaciół wewnętrznych Kościół czuje się jednak skrępowany, prawie bezsilny. Również dlatego, że wiele jest w tej dziedzinie nieporozumień. Często właśnie ci, którzy

uwa-

251

za j a się za jego "niezmordowanych obrońców", w rzeczywistości okazują się nieubłaganymi nieprzyjaciółmi.

Do walki z nieprzyjaciółmi wewnętrznymi potrzebni są jedynie święci. I bicz Chrystusa. Tę sytuację surowo osądził pewien przybysz z dalekich krajów: "Jaką wspaniałą rzeczą byłoby chrześcijaństwo, gdyby nie istnieli chrześcijanie".

A katolik Bruce Marshall zauważa z goryczą: "Nasza religia jest tak prawdziwa, ale nasz sposób praktykowania jej sprawia, że wydaje się tak fałszywa..."

Otóż to. Ja, który zaszyłem się w cieniu Świątyni, który żyję w świętym miejscu, mogę być nieprzyjacielem Świątyni, profa-natorem Świątyni. Moja miernota, moje sprowadzanie chrześcijaństwa do "rozsądnych" wymiarów, czyli do wymiarów mojego strachu i tchórzostwa, moje nieustanne umniejszanie bezkresnych horyzontów Chrystusa, moje działania, które sprzeniewierzają się artykułom Credo, mój ospały i niepewny krok, mój brak świadomości eschatologicznej, moja odmowa brudzenia sobie rąk rzeczywistością ziemską, moja religia traktowana jako polisa ubezpieczeniowa na życie przyszłe, moje pochopne potępienia, moja alergia na Krzyż, moja nieumiejętność życia Ewangelią - to wszystko broń, którą mogę zniszczyć świątynię.

ŚLADY UDERZENIA BICZEM

W powietrzu śwista bicz Chrystusa. Jak błyskawica, jak cięcie szablą światła. Oświeca mnie i sprawia ból. Rozumiem, "widzę" w tym nagłym błysku, że to ja jestem winny, a nie inni. Ja jestem nieprzyjacielem. Pochylam plecy, czekając na uderzenia. Zresztą o wiele lepiej mieć skórę pooraną biczem Chrystusa, niż pod nienagannym mundurkiem ukrywać chorą duszę i serce zdrajcy.

I tak "akcja porządkowa" kończy się raczej pozytywnie. Straszliwa miotła Pana wyrzuciła ze świątyni przyjaciół-nie-pryjaciół. Śmieci zostały usunięte. Wewnątrz oddycha się teraz lepiej.

I ja także, otrzymawszy surowe pouczenie przy akompaniamencie uderzeń bicia, lepiej oddycham.

Rozumiem już, że moja odnowa rozpoczyna się dokładnie w chwili, w której deklaruję się jako przeciwnik siebie samego, jako anty-ja. a.

WEJDŹCIE, TARG ZAKOŃCZONY

Napisane jest: "Mój dom będzie domem modlitwy, a wy uczyniliście z niego jaskinie zbójców". (Łk 19,46)

Straszny jest bicz Chrystusa. Straszne są jednak również te słowa. Wolelibyśmy ich nie słyszeć. I chociaż obracamy je w rękach, nie przestają parzyć jak płonące węgle.

Działanie Chrystusa (bicz uniesiony nad handlarzami i powywracane stoły bankierów) jest aż nadto wymowne i stanowcze. Są również słowa, które rozwiewają ewentualne wątpliwości. Akcja porządkowa w świątyni ma usunąć z jej terenu wszelki handel, kupczenie, również handel związany ze świętymi ofiarami. Mamona nie może zajmować miejsca w "domu modlitwy". Każda liturgia, która mniej lub bardziej świadomie pobudza kontakty ze światem pieniądza, staje się bluźnierstwem.

KRÓLEWSKI PŁASZCZ WYCHODZI Z MODY

Dziś na szczęście Kościół zaczyna sobie jasno uświadamiać sens tego gestu i słów Chrystusa. Odważni pionierzy, wśród ogólnej nieufności i oskarżeń o demagogię, z trudem stawiają pierwsze kroki, by usunąć z okolic ołtarza dźwięk pieniędzy.

Wielu kapłanów doświadczyło udręki młodego księdza, który niedawno napisał do redaktora pewnego czasopisma:

"Chcę Kościoła biednego, bez złota, srebra, konta, bez wystawnego sprzętu, bez kosztownych ozdób. Pragnę Kościoła, który rozdaje wszystko, co otrzymuje. Nie jestem ekscentrykiem, nie jestem księdzem lewicowym. Jestem młodym sługą Pana, który chciałby odczuwać Jego bliskość i który pragnąłby, by tę bliskość odczuwało tylu nieszczęśliwych żyjących na świecie. Chorych nie tylko na nędzę, ale na zwątpienie, niedowiarstwo, na samotność i smutek. Ileż serc powróciłoby do Boga, gdyby widziało przykład Kościoła biednego, rzeczywiście biednego, bez półśrodków! Można odprawiać mszę Św. bez złota i srebra. Czy złoto i srebro wielbią Pana? Nasze ubóstwo, całkowite i absolutne wielbiłoby Go o wiele bardziej.

Żyję w parafii od 4 lat i nie czuję się pasterzem dusz. Czuję się urzędnikiem, kółkiem mechanizmu, zawiaduję księgami, kartotekami, «organizuję» uroczystości ślubne, dyskutuję z na-

253

rzeczonymi o wystroju kościoła i o kosztach z tym związanych. O taryfach.

Nie jestem buntownikiem. Jestem biednym, nieśmiałym księdzem, który często wieczorami płacze jak dziecko, gdyż wydaje się mu, że wszystko wokół niego jest fałszywe i przekręcone. Gdy rozmawiam o tych sprawach z innymi kapłanami, odpowiadają mi niektórzy ze smutkiem, inni z ironią, że to nie ja zmienię ludzi i świat".

Tymczasem powoli, ale nieuchronnie, świat i ludzie zmieniają się. Przynajmniej w tym zakresie.

Dziś trudno byłoby podtrzymać oskarżenie, jakoby w cieniu świątyni nadal trwały "orgie niesprawiedliwości, owiane dymem kadzidła i ozłoczone świętymi ornamentami" (Turolido).

W wielu kościołach cenniki, klasy, przywileje są bezlitośnie przekreślane. I już nie tylko przez śmiałych pionierów. Akcja oczyszczenia świątyni jest prowadzona zdecydowanie z poparciem Soboru.

Sama reforma liturgiczna wprowadza ton ubóstwa, prostoty i umiarkowania. Odrzuca się zbyteczną nadbudowę.

Nagromadziło się wiele ozdobników, które muszą zniknąć. "W ciągu 20 wieków nagromadziliśmy wokół Chrystusa, w Jego domu, na Jego ołtarzach, wokół Jego czynów, a nawet Jego słów niezliczone przedmioty, sądząc, że okazujemy Mu szacunek" (P. Mazzolari).

Rodzi się świadomość, że święty przepych utrudnia prawdziwy dialog z ludem Bożym.

"Pewne przejawy prestiżu, tytuły, insygnia, przepych, sposób bycia czy ubierania się, abstrakcyjny i napszony słownik, wszystko to składa się na struktury alienacji" (Y. Congar).

"Królewski płaszcz", od stuleci narzucony na ramiona Kościoła (Paweł VI), staje się anachronizmem. Ludzie już zauważają jego tymczasowość, niedorzeczność i podejrzaną pochodzenie. "Wszystkie te świecidełka są przedmiotem kpin ze strony robotników i mas niechrześcijańskich, które oglądają w telewizji ceremonie w kościele. Poważne badania

historyczne wykazują, że wszystkie te ozdoby nie mają żadnej wartości religijnej. To świeckie wtręty, które dostały sakralizacji w ciągu wieków" (Gauthier).
Odważny biskup Franje nie waha się głosić: "Na wzór Św. Piotra musimy żyć z ofiar naszego ludu, na wzór Św. Pawła musimy żyć z pracy naszych rąk". A wtóruje mu cztery tysiące księży hiszpańskich, w liście zaadresowanym do hierarchii: "Jesteśmy przekonani, że nasze utrzymanie może pochodzić je-

254
dynie ze źródeł zgodnych z wolą wiernych i z naszej osobistej pracy".
Poważnie traktuje się zalecenia Pana: "Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie!" (Mt 10,8)
Panuje obecnie przeświadczenie, że jedynie Kościół ubogi potrafi rozdawać bogactwa, które zostały mu powierzone. Ręce, które dotykają "rzeczy świętych", nie mogą być zabrudzone pieniędzmi.
Naturalnie nie wszystko wygląda tak różowo. Istnieją jeszcze liczne ogniska oporu. W niektórych kościołach, często w sposób wyrafinowany i z zastosowaniem najnowocześniejszych technik, utrzymuje się jeszcze delikatne (ale bez przesady) powiązania z tym światem, na który Chrystus podniósł bicz. I święci, o zgrozo, wbrew swej woli zostają sprowadzeni do rangi współwinnych.
W każdym razie można mieć nadzieję, że akcja porządkowa w świątyni zmiecie ostatnie święte bastiony królestwa pieniądza.
Świątynia jest albo domem modlitwy (i wyłącznie domem modlitwy), albo staje się "jaskinią zbójców".

PRECZ Z HANDLARZAMI WIECZNOŚCIĄ

Jeden z mych przyjaciół, gdy nadchodzi dziewiąta niedziela po Zielonych Świątkach, pyta ironicznie o przypadające na ten dzień czytanie z Ewangelii i potem ze źle ukrywaną satysfakcją mówi: "Zobaczymy, jak księża, czytając dziś ten urywek Ewangelii, który chyba ich bezpośrednio dotyczy, potrafią wybrnąć z sytuacji..."

Tymczasem epizod wypędzenia handlarzy ze świątyni nie dotyczy wyłącznie księży, ale całego ludu Bożego.

Handlarze w świątyni są liczniejsi, niż się zazwyczaj sądzi. Akcja porządkowa odniesie sukces wówczas, gdy nie tylko pieniądź przestanie brzęczeć w okolicach ołtarza, ale gdy zostanie rozpoznany i wyrwany z korzeniami duch kupczenia.

Należy wyraźnie stwierdzić: w kościele nie ma miejsca na handel. Nawet handel "towarem wieczności" i podobnym.

Oto wyjaśnienie. Istnieją ludzie, którzy chodzą do kościoła jedynie po to, by załatwić sprawę dotyczące życia przyszłego. Regularną umowę kupna-sprzedaży. Człowiek zwraca się do Boga z propozycją: Ty mi dasz kawałek Raju (zakładając, że istnieje), a ja Ci zapłacę mszą niedzielą i kilkoma modlitwami. Zgodzi się? Interes ubity.

Inne formy handlu: Zwracanie się do Boga w modlitwie je-

255

dynie wówczas, gdy ma się nóż na gardle i potrzebna jest Jego interwencja, by wydobyć nas z tarapatów. Gdy wszystko układa się dobrze, depczemy bezkarnie i przez długi czas wymogi Boga w stosunku do nas. Potem, na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa włączamy syrenę alarmową. I biada jeżeli Bóg nie pospieszy na ratunek.

Jednym słowem. Bóg ma być do naszej dyspozycji, a nie my do dyspozycji Boga. Co oznacza nie tylko wypaczoną modlitwę, ale i wypaczone chrześcijaństwo.

Jeszcze lepiej widać to w naszym stosunku do świętych. Aby uprościć sprawę, podzieliliśmy nawet pracę pomiędzy nich, przypisując im określone specjalizacje. Ułożyliśmy długie spisy świętych z pogotowia ratunkowego, każdemu przydzielając określony sektor i w razie

wypadku wiemy, kogo możemy zmobilizować. Naturalnie "płacimy" za fatygę, wcale nie chcemy gratisowych grzeczności: zapalona świeca, triduum, nowenna (w wypadku widocznej głuchoty adresata), wota z tombaku, obrazek w portfelu. Oto handel in sacris. Świętych, którzy powinni stanowić dla nas nieustanny wyrzut sumienia, obłaskawiliśmy (tak nam się przynajmniej wydaje) i żądamy, by nam służyli. Oni też mają być do naszej dyspozycji.

Akcja porządkowa w Świątyni będzie skończona dopiero wtedy, gdy uda się nam wykorzystać tę handlarską mentalność, tę utylitarną koncepcję religii, koncepcję, która nas ogranicza i upodla, zmienia nas w handlarzy kupczących w cieniu świątyni.

A w języku Pana handlarze w świątyni - nie zapominajmy o tym - to "zbójcy".

KTO MA PRAWO POZOSTAĆ W ŚWIĄTYNI

Gdy Jezus, chłuszcząc biczem, wypędził handlujących, oto "w świątyni podeszli do Niego niewidomi i chromi i uzdrowił ich" (Mt 21,14).

Szczegół, który Ewangelista podaje jakby mimochodem, jakby na marginesie, w kontekście poprzedniego epizodu nabiera wyjątkowego znaczenia.

Wychodzą intruzi, wchodzą "mający prawo".

Za drzwiami zostają wypędzeni handlarze, a przyjęci zostają z wszelkimi honorami gospodarze. Świątynia sprofanowana przez handlarzy zostaje "ponownie konsekrowana" obecnością biedaków. Ubodzy, ci uprzywilejowani Ewangelii i królestwa, mają prawo do pierwszych miejsc w Kościele.

256

Najpewniejszym znakiem, że Świątynia przestała być "jaskinią zbójców", jest to, że biedni czują się w niej dobrze i mają wrażenie, że są we własnym domu.

Obecność ubogich obwieszcza zamknięcie targowiska.

A my? No cóż, nie miejmy złudzeń, w kościele jesteśmy zaledwie tolerowani. Ale żarty na bok. Kto ma prawo wejść do Świątyni razem z ubogimi?

Możemy powiedzieć paradoksalnie (ale nie bardzo): prawo pozostania w kościele mają jedynie ci, którzy umieją przebywać na zewnątrz. To znaczy potrafią właściwie zachowywać się "na zewnątrz", w sposób rygorystycznie chrześcijański, zgodnie z wymogami żywej i świadomej wiary. Jedynie ten, kto potrafił zanieść Boga "na zewnątrz", może przekroczyć próg kościoła.

Dietrich Bonhoeffer wypowiedział dość ostry sąd, który ilustruje tę prawdę: "Jedynie ten, kto wstawia się za Żydami, ma prawo do śpiewu gregoriańskiego".

Możemy uzupełnić: ma prawo modlić się jedynie ten, kto "na zewnątrz" miał odwagę wystąpić w obronie sprawiedliwości, wolności, w obronie człowieka (każdego człowieka), którego godność i najelementarniejsze prawa zostały podeptane. I jeszcze: ma prawo rozmawiać z Bogiem tylko ten, kto potrafił mówić (i działać) w obronie człowieka.

To "poza" Świątynią musimy udowodnić, że umiemy przebywać w Świątyni. To "na zewnątrz" zdobywa się prawo wejścia do Świątyni.

Wbrew pozorom wcale nie jest łatwo wejść i pozostać w Świątyni. Czyny i słowa Chrystusa surowo nas napominają i stawiają warunki, których nie można bezkarnie pominąć.

Łatwo jest zostać intruzem.

Łatwo jest zostać profanatorem.

Łatwo jest wnieść do Świątyni mentalność handlarzy, czyli "zbójców".

Gdybyśmy o tym zapomnieli, prosimy Pana, by posadzka Świątyni zaczęła parzyć nam stopy.

17 - Niewygodne Ewangelie

CZAS RODZENIA OWOCÓW

Nazajutrz, gdy wyszli oni z Betanii, odczuł głód. A widząc z daleka drzewo figowe, okryte liśćmi, podszedł ku niemu zobaczyć, czy nie znajdzie czegoś na nim. Lecz przyszedłszy bliżej, nie znalazł nic prócz liści, gdyż nie był to czas na figi. Wtedy rzekł do drzewa: "Niech nikt nigdy nie je owocu z ciebie!" Słyszeli to Jego uczniowie. I przyszli do Jerozolimy. Wszedłszy do świątyni, zaczął wyrzucać tych, którzy sprzedawali i kupowali w świątyni, powywracał stoły zmieniających pieniądze i ławki tych, którzy sprzedawali gołębie, i nie pozwolił, żeby kto przeniósł sprzęt jaki przez świątynię. Potem uczył ich mówiąc: "Czyż nie jest napisane: Mój dom ma być domem modlitwy dla wszystkich narodów, lecz wy uczyniliście z niego jaskinię zbójców". Doszło to do arcykapłanów i uczonych w Piśmie i szukali sposobu, jak by Go zgładzić. Czuli bowiem lęk przed Nim, gdyż cały tłum był zachwycony Jego nauką. Gdy zaś wieczór zapadał, Jezus i uczniowie wychodzili poza miasto. Przechodząc rano, ujrzeli drzewo figowe uschłe od korzeni. Wtedy Piotr przypomniał sobie i rzekł do Niego: "Rabbi, patrz, drzewo figowe, któreś przeklął, uschło". (Mk 11,12-21)

BOTANIKA OKAZUJE SIĘ NIEPRZYDATNA

Pragnę omówić również tekst Marka dotyczący "oczyszczenia Świątyni". Włącza on kilka elementów, które poszerzają perspektywę przedstawioną w poprzednich rozdziałach na podstawie tekstów Mateusza, Łukasza i Jana. Marek przekazuje nam typowe dla siebie "powiązanie faktów", czyli epizod zawarty w innym epizodzie, tworzącym rodzaj obramowania (i w pewnym sensie, jak zobaczymy, tłumaczącym go). Czyn Jezusa w Świątyni umieszczony jest w dość dziwnym kontekście: przekleństwa rzuconego na drzewo figowe nie mające owoców.

Otóż to. Sprawa drzewa figowego jest dość kłopotliwa. A Marek nie robi nic, by ją uczynić bardziej zrozumiałą. Okoliczność, że nie była to pora na figi, nie łagodzi absurdalności sprawy.

Wyznaję, że osobiście wiele razy próbowałem ominąć ten epizod z nieurodzajnym drzewem figowym. Sprawiał mi wiele kłopotu.

Pragnienie Jezusa, by móc zerwać owoc poza czasem owocowania, wydawało mi się absurdalne i naiwne. Trudno znaleźć "rozsądne" usprawiedliwienie.

258

Lepiej pominąć. Lepiej wyłączyć tę stronę z niewygodnych Ewangelii. Niewygodą to jedna sprawa, śmieszność - druga.

Wolter wyśmiał ten epizod. Teologowie próbowali na różne sposoby pokonać trudności, ze skromnym rezultatem. Niektórzy komentatorzy nawet wysunęli wątpliwość, czy relacja ta wywodzi się z autentycznej tradycji.

Ostatnio wielu poważnych badaczy starało się usprawiedliwić Jezusa. Ich zamierzenie godne jest pochwały. Ale kryje się za nim przeświadczenie, że Nauczyciel pozwolił się ponieść nerwom, że uległ wybuchowi gniewu, postąpił nierozważnie. A oni grają teraz rolę ludzi trzeźwych, którzy starają się naprawić gafę, skłonni są nawet zapłacić za szkody wywołane tym kaprysem.

W tym celu Lagrange wykorzystuje całą swą znajomość botaniki palestyńskiej. Utrzymuje, że na wschodnim stoku Góry Oliwnej cykl wegetacyjny wyprzedza o co najmniej 15 dni inne regiony, a to dzięki obecności ciepłego wiatru i osłonięciu przed zimnymi wiatrami. Ale przecież mowa tu o przełomie marca i kwietnia, a figi z zasady dojrzewają latem.

Inni uczeni uważają, że chodzi tu o wczesne figi, tak zwane figi-kwiaty, które czasami pojawiają się na drzewie jeszcze przed liśćmi. Jednak i te zazwyczaj dojrzewają dopiero w czerwcu (jeżeli im się to udaje, gdyż często opadają łatwo na ziemię i drzewo pozostaje jedynie z liśćmi).

Jeszcze inni utrzymują, że chodzi o figi pozostałe na drzewie z poprzedniego roku; nie biorą pod uwagę faktu, że mało prawdopodobne jest, by przetrwały bez szkody miesiące zimowe (w okolicy pełno jest też łakomych dzieci...).

Nie brak też takich, którzy po przeprowadzeniu tajemniczych badań potrafią udokumentować, że ludzie wschodu często jedzą również owoce zielone. Na to od razu replikują ci, którzy twierdzą, że w pewnych wypadkach jest tak rzeczywiście - np. winogrona i migdały jada się czasem niedojrzałe ze względu na charakterystyczny kwaskowy smak, ale nie dotyczy to fig, które gdy są zielone, mają obrzydliwy smak. Jedynie jakiś wygłodniały łobuz mógłby się na nie skusić. Ale jest rzeczą raczej nieprawdopodobną, by Jezus był aż tak głodny. (Tym bardziej, że było to rankiem i że szedł z domu przyjaciół).

Pewien duchowny, znany biblista, konkluduje zwięźle, że nie trzeba bez przerwy mówić o Jezusie, szukającym fig w okresie Wielkanocy, gdyż oznacza to przypisywanie Mu ekstrawaganckich zachcianek.

259

WYROK ŚMIERCI NIE TYLKO DLA DRZEWA

Gdy nie powiodły się próby odwołania do botaniki, komentatorzy ponownie uciekli się do zwykłych metod swego fachu i wepchnęli ten epizod do szufladek różnych szkół. Niektórzy zaliczają go do legend, inni uważają go za przypowieść z rodzaju "przypowieści inscenizowanej", "przypowieści uhisto-rycznionej".

Nie warto zagłębiać się w podobne dyskusje. Tym bardziej, że Marek najwyraźniej proponuje nam tę niepokojącą, paradoksalną zagadkę w określonym celu, by pobudzić nas do refleksji.

Wydaje się, pragnie zasiać w nas głęboki niepokój. Mówi: "Szukajcie w głębi".

Można przyjąć, że to nie głód wywołał ten gest Jezusa. I nie z tego powodu, rozczarowany, zareagował gniewem. Byłoby to banalne i wręcz wulgarne.

Mamy tu niewątpliwie do czynienia z wyrokiem śmierci wydanym na drzewo. To zadziwiające, że jedynym cudem dokonany przez Jezusa w Jerozolimie jest przekleństwo. Również wymowny jest fakt, że kara nie dotyczy tu ludzi (ale ma ich upomnieć, a więc zachęcić do opamiętania). Jan Chryzostom nie omieszkiał podkreślić tego aspektu: w jedynym przypadku, gdy Jezus manifestuje swą moc karzącą, nie kieruje jej przeciwko ludziom. Inny oczywisty fakt: "słyszeli to Jego uczniowie". Jezus więc pragnie pouczyć, umożliwić zrozumienie czegoś. Nauczy ciel posługuje się symbolicznym gestem, działaniem, które posiada określone znaczenie.

Często prorocy uciekali się do tego typu znaków. Izajasz nago i boso przez okres trzech lat wędrował po kraju (por. Iz 20,2-5). Ozeasz otrzymał nakaz poślubienia prostytutki (por. Oz 1-3). Widywano Jeremiasza, przechodzącego ulicami Jerozolimy z jarzmem na ramionach, szydzono z niego i obrzucano obelgami (por. Jr 27-28).

Cała misja Ezechiela utkana była z działań symbolicznych. Wystarczy pomyśleć o zwoju, który musiał zjeść (por. Ez 3), o tabliczce glinianej, o zgoleniu brody... mieczem, o ważeniu i podziale włosów i rozrzuceniu ich (por. Ez 5).

Są to właśnie "przypowieści faktów". Nic więc dziwnego, że Jezus posługuje się tym stylem proroków.

Otóż najważniejszy problem nie leży w samym fakcie (czy jest to fakt historyczny, czy nie, czy należy odczytać go dosłownie, czy też jako bajkę z morałem).

Chodzi raczej o odkrycie jego znaczenia. Musimy zapytać

260

nie o to, co się wydarzyło, ale jakie posłanie pragnął nam przekazać Jezus.

Wydaje mi się, że kluczem do wszystkiego jest słowo "owoc". Nie chodzi o to, czy Jezus był głodny, czy nie. Musimy raczej zapamiętać to, że podszedł do drzewa z nadzieją znalezienia na nim owoców.

Figi należą do charakterystycznych owoców Ziemi Obiecanej. A drzewo figowe wraz z winną latoroślą w tradycji biblijnej zawsze symbolizowało naród Przymierza, który przynosi owoce. Scena nabiera zatem szczególnego wymiaru.

Jezus zbliża się do drzewa figowego, tak jak zbliżał się do Jerozolimy, aby zobaczyć, "czy nie znajdzie czegoś na nim" (w. 13).

Jego rozczarowanie poprzedziło kiedyś rozczarowanie Jeremiasza: "Chciałem zebrać u nich żniwo - wyrocznia Pana; nie ma winogron w winnicy ani fig na drzewie figowym i liście zwiędły" (Jr 8,13).

A Micheasz powiada: "Biada mi, zem się stał jak pokłosie w lecie, jak resztki po winobranii: nie ma grona do zjedzenia ani wczesnej figi, której łaknę" (Mi 7,1).

Jezus celowo ignoruje pory roku, pragnie swym przekleństwem poruszyć uczniów i nas.

- Drzewo figowe nie rodzące owoców obrazuje judaizm, który nie był w stanie dać owoców, jakich od niego oczekiwał.

- Do tego musimy dodać również następny epizod. Drzewo nieurodzajne obrazuje również Świątynię. Liczne liście (ceremonie, ofiary, modlitwy) nie mogą ukryć przykrego braku owoców sprawiedliwości, zainteresowania bliźnim, postępowania zgodnego z wolą Boga.

Mimo zapadającego zmroku Nauczyciel dostrzegł, że w środku nie ma tego, co być powinno. Było natomiast wiele rzeczy, których nie szukał (i tu nie ma problemu pór roku). Byli jedynie handlarze i ci, którzy ich popierali.

- Drzewem nieurodzajnym może być również tłum, który zbiega się zaciekawiony, oklaskuje, wybucha entuzjazmem, ale którego uczucia są bez wartości, gdyż nie zmuszają do pójścia za Nim, do narażania się dla Niego.

KIM SĄ ZBÓJCZY?

Nie zatrzymuję się przy centralnym epizodzie, przy wypędzeniu handlarzy czyli oczyszczeniu Świątyni, gdyż omówiłem go już przy tekstach innych Ewangelistów.

261

Ograniczę się jedynie do umieszczenia tego epizodu w przestronnym przedsionku zewnętrznym Świątyni, nazywanym również "dziedzińcem pogan", w którym w dniach wielkich świąt panowało zamieszanie, hałas i nieporządek.

Warto też może zauważyć, że prawdopodobnie czyn Jezusa był mniej widowiskowy, niż się zazwyczaj sądzi. Chodziło bardziej o gest demonstracyjny, ograniczony w zewnętrznych proporcjach. O akcję w gruncie rzeczy symboliczną.

Chciałbym się raczej zatrzymać przy zdaniu: "...wy uczyniliście z niego jaskinię zbójców" (w. 17).

Określenie "jaskinia zbójców" (lepiej niż "złodziei") nie jest koniecznie (czy wyłącznie) związane z targowiskiem i z handlem, jaki kwitnie w Świątyni. Dotyczy raczej pewnego typu religijności.

Bez wątplenia nie można pomniejszać faktu, że Jezus rzucił się z biczem na handlarzy (na kilku z nich), że potępił targowisko.

Oczyszczanie Świątyni rozpoczął od opróżnienia terenu z handlu i interesów, tak jawnych, jak i ukrytych.

Świątynia staje się ponownie domem Pana jedynie wówczas, gdy zostają wypędzeni handlarze. Handel, również ten związany z kultem i z chwałą Bożą, zaciemnia wielkość daru i jego darmowość.

Jezus ponownie konsekruje Świątynię, przekazując ją dla bezinteresownego kultu: "O wszyscy spragnieni, przyjdźcie do wody, przyjdźcie, choć nie macie pieniędzy! Kupujcie i spożywajcie, dalejże kupujcie bez pieniędzy i bez płacenia za wino i mleko!" (Iz 55, 1) Jezus demaskuje dwulicowość, która polega na wykorzystywaniu imienia Boga dla celów finansowych, bezpośrednio lub przez "koncesję" dla osób trzecich.

Jednak to nie wszystko.

Postawę, potępioną przez Jezusa, można znaleźć w Księdze Jeremiasza, skąd pochodzi cytat: "Stań w bramie świątyni i głoś następujące słowa: Słuchajcie słowa Pańskiego, wszyscy z Judy, którzy wchodzicie tymi bramami, aby oddać pokłon Panu. To mówi Pan Zastępów, Bóg Izraela: Poprawcie postępowanie i wasze uczynki, a pozwolę wam mieszkać na tym miejscu. Nie ufajcie słowom kłamliwym, głoszącym: «Świątynia Pańska, świątynia Pańska, świątynia Pańska!» Albowiem jeżeli naprawdę poprawicie wasze postępowanie i jeżeli będziecie się kierować wyłącznie sprawiedliwością jeden wobec drugiego, jeśli nie będziecie uciskać cudzoziemca, sieroty i wdowy

262

i jeśli krwi niewinnej nie będziecie rozlewać na tym miejscu, i jeżeli nie pójdziecie za obcymi bogami na waszą zgubę, wtedy pozwolę wam mieszkać na tym miejscu. (...) Oto wy na próżno pokładacie ufność w zwodniczych słowach. Nieprawda? Kraść, zabijać, cudzołożyć, przysięgać fałszywie, palić kadzidło Baalowi, chodzić za obcymi bogami, których nie znacie... A potem przychodzicie i stajecie przede Mną w tym domu, nad którym wzywano mojego imienia, i mówicie: «Oto jesteśmy bezpiecznie by móc nadal popełniać te wszystkie występki. Może jaskinią zbójców stał się w waszych oczach ten dom, nad którym wzywano mojego imienia? Ja to dobrze widzę - wyrocznia Pana" (Jr 7,2-11).

Lud składa ofiary, uczestniczy w wielkich uroczystościach i czuje się spokojny: "Oto jesteśmy bezpieczni". To znaczy:

"Pan jest z nami".

Jeremiasz powtarza nieustępliwie: "Nie. Pan jest z wami jedynie wówczas, gdy jesteście z Nim, to jest gdy wasze postępowanie jest zgodne z Jego wolą".

Nie idzie się do Świątyni, by otrzymać zapewnienie bezkarności, by tanio kupić sobie dobre samopoczucie.

Z Bogiem się nie handluje, tak jak się to czyni ze sprzedawcami zwierząt ofiarnych.

KILKA PSALMÓW NIE NAPRAWIA WSZYSTKICH WYPACZEŃ

Nie można naprawić wszystkich wypaczeń jednym psalmem. Wypaczenia można jedynie... wyprostować.

Nie można iść z pielgrzymką do Świątyni, a potem dalej kraść, kłamać, wyzyskiwać, szkalować bliźniego.

Nie można postępować szczerze z Bogiem, gdy oszukuje się bliźnich.

Bóg nie pozwala, by klękał przed Nim ten, kto deprecjuje sprawiedliwość. Nie pozwala zastępować "kultem religijnym" tego, co należy się bliźniemu.

"Poprawcie postępowanie i wasze uczynki..."

Nie chodzi się do kościoła, aby uciec przed elementarnymi wymogami etyki, ale by uświadomić sobie własną odpowiedzialność.

Innymi słowy, tym, co zostaje tu potępione, jest Świątynia, którą uważa się za schronienie, jaskinię, melinę chroniącą przestępców przed sprawiedliwą karą.

Zostaje potępione asekurantwo praktyk religijnych.

Zdemaskowana zostaje pobożność, traktowana jako alibi, które pozwala się łudzić, że można chodzić do domu Pana,

263

aby wymazać jakąś modlitwą i ofiarą postępowanie jawnie złe i sprzeczne z wymogami sprawiedliwości i miłości bliźniego.

Kult tego rodzaju jest kultem kłamliwym, a pewność, która z niego wypływa, jest fałszywą pewnością.

Oczyszczenie Świątyni polega zatem na demaskacji hipokryzji ludzi "religijnych", którzy uważają, że mogą "uporządkować" swoje ciemne sprawy bezpośrednio z Panem, w zamian za opłatę w postaci jakiejś "praktyki", i otrzymać zaświadczenie o czystości sumienia.

Jezus daje do zrozumienia, odwołując się do Jeremiasza, że trzeba zmienić postępowanie, a nie mnożyć inwokacje i zwiększać ofiary.

Alternatywą Świątyni jako "jaskini zbójców" jest Świątynia otwarta, oczywiście nie tylko dla doskonałych, ale dla tych, którzy pragną żyć w wierności, jawności i szczerości i którzy nie szukają w Bogu "wspólnika" skłonnego przymknąć oko na pewne sprawy, ale Kogoś, kto powiedzie ich drogą prawości.

ŚWIĄTYNIA PRZYWRÓCONA ŻYCIU

Symbolicznej akcji oczyszczenia Świątyni, przeprowadzonej przez Jezusa, nie można rozumieć tylko jako ataku przeciwko administracyjnemu kierowaniu Świątynią. Akcja ta dotyczy wszystkich "bywalców" ze wszystkich epok.

Nie można też interpretować jej jako zwykłej reformy liturgicznej, ujawniającej pewne nadużycia.

Należy unikać dwóch krańcowo różnych postaw w interpretacji oczyszczenia Świątyni.

Jezus - by użyć modnego dziś języka - nie zamierzał "de-sakralizować" Świątyni czy "wyłączać z kultu", ale też nie zamierzał jej "sakralizować".

Nie skasował Świątyni i jej liturgii na rzecz kultu czysto duchowego, który uznałby za niepotrzebną każdą manifestację zewnętrzną i który mógłby zostać zastąpiony przez dzieła miłosierdzia czy działalność społeczną.

Świątynia ma rację bytu i trzeba nadal do niej uczęszczać, choć w inny sposób, w innym duchu.

Jednak Jezus nie zamierzał też "sakralizować Świątyni", to znaczy ograniczać jej do terenu ściśle zastrzeżonego, chronionego, otoczonego murem niczym duchowym kordonem sanitarnym. Jezus nie zamierzał wnieść ogrodzenia, które oddzielałoby Świątynię od życia codziennego, aby nie skalał jej bezbożny świat.

R. Schnackenburg wyjaśnia: "Chodzi tu o nowy i inny spo-

264

sób czczenia Boga, o nawrócenie moralne, o realizowanie woli Bożej w życiu osobistym i społecznym".

Od tego momentu nie można już wyobrazić sobie kultu Bożego oddzielonego od życia w świecie i od służby ludziom. Trzeba rozwijać nowy sposób modlitwy, która jest wyrazem bezpośredniej i ufnej relacji z Ojcem, adoracji Boga w "duchu i prawdzie".

Prawdziwy kult Boga, do którego mają prowadzić modlitwa i śpiew, liturgia słowa i sprawowanie Eucharystii, polega na życiu chrześcijańskim, na dawaniu świadectwa miłości, na rezygnacji z egoizmu.

Traktowanie własnej egzystencji materialnej jako "ofiary żywej, świętej i miłej Bogu" jest kultem duchowym, którego wymaga się od chrześcijan, jest liturgią życia codziennego pośród świata.

Jezus uwolnił Świątynię od roszczeń tych, którzy używali jej dla własnych egoistycznych interesów, a także wyzwolił ją z pęt zbyt ciasnej i formalistycznej religijności, kryjącej pojęcia z pewnością niezgodne z wolą Bożą. Wyzwolił ją nie po to, by odciągnąć ją od życia i zamknąć w neutralnej przestrzeni, ale wprost przeciwnie, by przywrócić ją życiu.

Oczyszczenie dotyczyło elementów niezgodnych ze świętością Boga, a nie tego, co wiąże się z konkretnym życiem ludzi.

Kult, by był szczery i autentyczny, musi być związany z życiem traktowanym na serio.

Adoracja Boga musi rodzić pragnienie kochania bliźniego.

OSTATECZNE ZERWANIE

Po zakończeniu akcji oczyszczania Świątyni Jezus wraz z towarzyszami wychodzi z miasta.

Nie tylko ze względu na bezpieczeństwo. Można w tym dostrzec znak ostatecznego zerwania.

Chrystus definitywnie zrywa z tym pseudoreligijnym światem.

W pewnym jednak sensie ten dzień kończy się dopiero następnego ranka. Kończy się odkryciem skutków klątwy, rzuconej na drzewo figowe. Jakby oficjalnym stwierdzeniem tożsamości i zgonu drzewa.

"...przechodząc rano ujrzeli drzewo figowe uschłe od korzeni".

Świat, który nie przyjmuje Jezusa, który zamyka się na Jego posłanie, jest skazany na całkowitą bezużyteczność, okazuje się zupełnie niezdolny do przynoszenia owoców, których Bóg oczekuje.

265

Piotr nie omieszkał zauważyć: "Rabbi, patrz, drzewo figowe, któreś przeklął, uschło".

Odpowiedź Jezusa jest pozornie nie na temat. Nie tłumaczy samego epizodu (może to, co widzieli poprzedniego dnia w Świątyni, było wystarczająco jasne), ale odwołuje się do dziedziny wiary, modlitwy, przebaczenia.

Odtąd każde drzewo skazane jest na jałowość i zostaje przeklęte z powodu braku owoców, jeżeli nie krążą w nim soki wiary. Wiary, która wyraża się w modlitwie i skłania do miłosierdzia wobec bliźniego.

Oto najgłębszy sens tego epizodu: spróbujmy teraz prześledzić jego najbardziej dziś "niewygodne" dla nas aspekty.

ŚWIĄTYNIA NIEDOSTĘPNA DLA CZYSTYCH

Najgorsza perspektywa, z jakiej można obserwować scenę oczyszczania Świątyni, to niewątpliwie perspektywa "postronnego obserwatora".

Instynktownie chciałoby się stanąć w kącie, na stopniu, z boku. I obserwować ze źle skrywanym zadowoleniem, jak Jezus robi porządek.

Właśnie. Sprawa zawsze dotyczy innych. Może księży z ich cennikami za śluby i pogrzeby lub tych, którzy sprzedają medaliki na straganach w pobliżu sanktuarium...

My tylko przechodzimy. I komentujemy: "dobrze mu tak", "zawsze mówiłem, że to wstyd, rzecz niedopuszczalna".

Przyjmując taką postawę, nie zrozumiemy znaczenia tego epizodu.

Nikt nie może uznać się za "zwolnionego" z tych porządków.

Któż z nas może być pewien, że nie jest "nielegalnym bywalcem" Świątyni?

Któż może twierdzić, że nigdy nie targował się z Bogiem?

Kto nigdy nie udawał się do kościoła jedynie po to, by poczuć się w porządku, by uspokoić sumienie?

Gest Jezusa możemy zrozumieć dopiero wówczas, gdy staniemy pośród ludzi, do których skierowany był Jego gniew.

Gdy wyrzuceni zostaną handlarze, Świątynia będzie oczyszczona, chyba że wejdą do niej ci, którzy uważają się za "czystych".

GOSPODARZ DOMU MOŻE BYĆ NIEOBECNY

W słowach Jezusa zawarta jest bezlitosna alternatywa: albo "dom modlitwy", albo "jaskinia zbójców". Nie ma możliwości pośredniej.

266

Świątynia, która nie jest "domem modlitwy", staje się nieuchronnie "jaskinią zbójców". Jeśli nie sprawuje się w niej liturgii bezinteresownego daru Boga, celebrowane jest handel.

Albo rytuał Boży, albo rytuał pieniądza.

To właśnie brak stref neutralnych, ziemi niczyjej, terytoriów, na których interesy ludzi współistnieją z chwałą Bożą, ukazuje absolut Boga i Jego bezwarunkowe żądania.

Jezus nie mówi: "Jeżeli nie potraficie modlić się jak trzeba, starajcie się przynajmniej zachować prawidłową postawę"; "jeśli już ustawiliście wasze stoły, starajcie się przynajmniej nie przeszkadzać w świętym obrzędzie" (albo złożcie przynajmniej hojniejszą ofiarę na dzieła parafialne); "jeżeli już jesteście nieuczciwi i niesprawiedliwi, dajcie przynajmniej jakąś jałmużnę".

W języku Jezusa nie ma słowa "przynajmniej".

W Jego bezgranicznej dobroci nie ma miejsca na tego typu ustępstwa.

Jezus nie wiesz na drzwiach Świątyni ogłoszeń, jakie do niedawna można było spotkać przy wejściu do kościoła: "Rękawy przynajmniej do łokcia, suknie przynajmniej do kolan". Jeżeli mówi - to mówi o ucięciu ręki lub nogi, gdyby stanowiły okazję do grzechu.

"Przez wzgląd na miejsce święte" Jezus nie prosi, nie zaleca. Wyrzuca na zewnątrz. A czasem robi coś jeszcze gorszego: sam wychodzi.

Nie jest powiedziane, że uroczyste nabożeństwa, śpiewy, piękna liturgia zawsze przyciągają uwagę Adresata.

Nie jest powiedziane, że gdy dom Boży zapełnia się ludźmi, jest tam również obecny Gospodarz.

"Nie możemy twierdzić, że gdy my idziemy do kościoła, również Bóg tam przychodzi" (Noordmann).

GRZECH PRZEBYWANIA W ŚWIĄTYNI

Handel w Świątyni polega w gruncie rzeczy na wykorzystywaniu imienia Boga w machinacjach, w których występuje pieniądz. Rodzaj świętej etykiety ma ukryć przejawy ludzkiej chciwości. Podejrzane interesy i procedury szukają sobie pobożnej przykrywkę. Jednak handlarzem jest nie tylko ten, kto ciągnie zyski ze Świątyni, ale również ten, kto korzysta z honorów, kariery, tytułów, przywilejów.

Wyrzucił ich nie dlatego, że byli nieuczciwymi handlarzami, ale dlatego, że byli handlarzami w Świątyni.

267

Potępienie nie dotyczyło ich moralności, ale ich interesów. Ich wina nie polegała na sposobie, ale na fackie handlowania. Wyrzuca ich nie dlatego, że się źle zachowują, ale dlatego, że tam w ogóle są.

Sęk w tym, że wszystko było w porządku. Wszystko legalne, uprawnione, usprawiedliwione. Wszystko dozwolone.

Komisja ekspertów prawa kanonicznego (również zreformowanego) nie znalazłaby (prawie) nic niewłaściwego w tej sprawie. Tym bardziej, że wszystko miało miejsce na zewnątrz Świątyni. A poza tym rachunki są rachunkami, a administracja ma pewne palące potrzeby. Ekipa teologów potrafiłaby znaleźć ważne usprawiedliwienia dla wszystkiego.

Bieda właśnie w tym, że my umiemy wykazać, wytłumaczyć, przedstawić, wyliczyć, rozróżnić, określić, udokumentować, dostarczyć dowodów.

Jednym słowem nasze rozumowanie jest bez zarzutu.

A Bóg się nie zgadza.

Wszystko dla Niego, dla Jego chwały.

A On nie chce zapłacić rachunku. Co więcej, stwierdza, że wcale nie ma udziału w naszych interesach.

Można by przeprowadzić ciekawy eksperyment. Widok, który zobaczył w Świątyni Jezus, ukazać niektórym "obserwatorom religijnym" naszych czasów. Mogę się założyć, że któryś opisałby to w gazecie diecezjalnej jako "ogromną manifestację wiary", "wzruszający i imponujący udział społeczeństwa".

Bardziej wymagający może stwierdziliby jakieś nadużycia, trochę nieporządku. Zasadniczo jednak wszystko zostałoby przyjęte jako "pocieszający znak" odnowy religijnej.

Wszyscy oni widocznie, gdy mówi się o drzewach figowych, myślą od razu o pięknych liściach.

SIEW W KOŚCIELE, ALE ŻNIWA NA ZEWNĄTRZ

Co za pech! Że też musiał najpierw przejść obok drzewa figowego. Tam właśnie wszystko się popsuło. Nie przestrzegał programu podróży: wpierw do Świątyni na święto, potem posiłek. On tymczasem poczuł głód od razu.

Zbyt trudno byłoby zliczyć wszystkie nasze modlitwy, akty strzeliste, różańce, ceremonie, praktyki, pobożne lektury.

268

Jezus wszystko to upraszcza. Zbliża się do drzewa figowego. To tam można policzyć i zważyć owoce tego, co zostało zasiane w kościele.

Nie znaczy to oczywiście, że kult jest Mu niemiły. Wprost przeciwnie: tak bardzo go ceni, że żąda, by trwał również w życiu codziennym.

Nie gardzi modlitwami. Co więcej, bardzo się nimi interesuje i nawet pragnie sprawdzić, dokąd prowadzą, co dają nasze modlitwy.

To my uważamy, że wszystko ogranicza się do Świątyni. Jezus tymczasem może zatrzymać się nawet w szczerym polu, pod drzewem, by nas skontrolować. I jeśli doznaje rozczarowania z powodu braku owoców, to nie dlatego, że pokręciły Mu się pory roku, ale dlatego, że ktoś znów modlił się z naiwnym przekonaniem, że to wystarczy i że wszystko się na tym kończy... Muszę mieć dość odwagi, by stać spokojnie, gdy On się zbliża i gdy szuka czegoś pośród mego listowia.

Muszę zdać sobie sprawę, że gdy On jest "głodny", nie wystarcza Mu cień. Szuka owocu, choćby jednego owocu pośród liści. Przeprowadza inwentaryzację mojego towaru, aby odkryć "coś", co Go interesuje.

"Lecz przyszedłszy bliżej, nie znalazł nic prócz liści".

Moje imię zapisane jest w księdze chrztów. Noszę obrazek w portfelu. Medalik ze Św. Krzysztofem przyczepiony jest do tablicy rozdzielczej auta. Mam wuja prałata. Byłem z pielgrzymką w Asyżu. Widziałem z bliska Papieża, uśmiechnął się do mnie. Abonuję gazetę katolicką, czytam biuletyn diecezjalny. Nie chodzę na filmy pornograficzne. Nie robię nikomu nic złego.

...Same liście.

JEZUS NIE DBA O KALENDARZ

Nie wiem, skąd tyle krzyku wokół tego szczegółu: "nie był to czas na figi".

Gdyby był to czas na figi, epizod można by skwitować komentarzem, że Jezus "miał pecha". Tymczasem Jezus nie miał pecha. Był rozczarowany. Bóg nie przychodzi szukać tego, co jest naturalne". Nie oczekuje tego, czego można "logicznie" oczekiwać. Dla chrześcijan czas owocowania nie jest związany z porami roku, ale z wymogami Boga. Co więcej, to pory roku muszą spełniać Jego oczekiwania, dostosowywać się do Jego nadziei, uszanować Jego pragnienia.

269

W moim domu kwiaty i owoce nie mają pojawiać się wiosną czy latem, ale wtedy, gdy On pragnie je znaleźć.

Chrystus nie żąda od nas wiele. Nie żąda bardzo wiele. Żąda po prostu niemożliwości. Oczekuje cudu. Jakby mówił do nas: miłość musi czynić cuda.

Gdy On jest wśród nas, rzeczy niemożliwe stają się częścią świata realnego.

Panie, zrozum, to nie ta pora roku. Nie miałem czasu. Po co ten pośpiech? Bądź wyrozumiały.

W końcu nie jestem świętym. Nawet ten uczony i rozsądny kapłan, którego się radziłem, powiedział mi, że mogę być spokojny, że nie jestem zobowiązany...

...To nie ta pora roku. Panie, spójrz proszę do kalendarza. Musi w nim być jakiś błąd. Spróbuj go porównać z moim i zostaw mnie w spokoju.

Nie warto protestować.

On z uporem żąda rzeczy niemożliwych.

Z uporem daje mi do zrozumienia, że nie po to umarł na krzyżu (oto drzewo, które rodzi owoce niemożliwe), abym ja "nie czynił nikomu nic złego". Ale bym potrafił czynić cuda.

ONI ZDRADZILI JUDASZA

Z nastaniem wieczoru zajął miejsce u stołu razem z dwunastu uczniami. A gdy jedli, rzekł: "Zaprawdę, powiadam wam: jeden z was Mnie zdradzi". Bardzo tym zasmuceni zaczęli pytać jeden przez drugiego: "Chyba nie ja, Panie?" On zaś odpowiedział: "Ten, który ze Mną rękę zanurza w misie, on Mnie zdradzi. Wprawdzie Syn Człowieczy odchodzi, jak o Nim jest napisane, lecz biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził". Wtedy Judasz, który Go miał zdradzić, rzekł: "Czy nie ja, Rabbi?" Odpowiedział mu: "Tak jest, ty". (Mt 26,20-25)

To powiedziawszy Jezus doznał głębokiego wzruszenia i tak oświadczył: "Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeden z was Mnie zdradzi". Spoglądali uczniowie jeden na drugiego niepewni, o kim mówi. Jeden z uczniów Jego - ten, którego Jezus miłował - spoczywał na Jego piersi. Jemu to dał znak Szymon Piotr i rzekł do niego: "Kto to jest? O kim mówi?" Ten oparł się zaraz na piersi Jezusa i rzekł do Niego: "Panie, kto to jest?" Jezus odparł: "To ten, dla którego umaczam kawałek [chleba] i podam mu'. Umoczywszy więc kawałek [chleba], wziął i podał Judaszowi, synowi Szymona Iskarioty. A po spożyciu kawałka [chleba] wszedł w niego szatan. Jezus zaś rzekł do niego: "Co chcesz czynić, czyń prędkiej!" Nikt jednak z biesiadników nie rozumiał, dlaczego mu to powiedział. Ponieważ Judasz miał pieczę nad trzosem, niektórzy sądzili, że Jezus powiedział do niego: "Zakup, czego nam potrzeba na święto", albo żeby dał coś ubogim. A on po spożyciu kawałka chleba zaraz wyszedł. A była noc. (J 13,21-30)

Gdy pojawia się imię Judasza, wszyscy czują usilną potrzebę chwycenia za pióro. Gdyby zebrać w formie antologii stronice, które pisarze wszelkiego kalibru i na każdej szerokości geograficznej poświęcili zdrajcy Chrystusa, okazałoby się, że żaden człowiek na ziemi nie posiadał nigdy tak bezlitosnego dossier. Imię Judasza przyciągnęło wszelkie, najbardziej haniebne epitety, zawarte w słownikach całego świata.

Mauriac wykazuje okrutną niefrasobliwość: "Kochany był dostatecznie, aby jego zdradę uznać za niewybaczalną". A Ro-manó określa go w sposób bardzo dyskusyjny: "Należy do innego rodzaju. Jest jedynym człowiekiem, którego płacz nie

271

może wzbudzać współczucia, jest jedyną osobą rzeczywiście zrodzoną do wyeliminowania". Dziwne, ale największy "szacunek" okazuje Papini, któremu dobry smak każe zatrzymać się przed "tajemnicą" tego człowieka.

W każdym razie mało mnie obchodzi, jak traktują Judasza sławne pióra. Zawsze mogę zamknąć książki, które zawierają najbardziej bezlitosne mowy oskarżycielskie, i otworzyć Ewangelię. W niej to, gdy Judasz dopuszcza się zdrady za pośrednictwem jednego z

najświętszych znaków miłości, pocałunku, Jezus wybiera ze słownika swego serca jedyne imię: "Przyjacielu!"

To mi wystarczy. Haniebne epitety, którymi wielcy pisarze go obdarzyli, już mnie nie obchodzą.

Dla kogoś, kto potrafi czytać Ewangelię, istnieje tylko jedna definicja Judasza: przyjaciel Chrystusa.

Nie, nie gorszę się tym, że Jezus nazwał zdrajcę "przyjacielem". Raczej napawa mnie to radością, gdyż nazwa ta prawnie należy się również mnie. Również ja bowiem nauczyłem się zdradzać. Również ja zdradzałem tysiące razy.

Każdy z Apostołów przez chwilę miał świadomość, że sam mógł być zdrajcą, gdy Jezus w czasie wieczerzy wypowiedział niepokojące słowa: "Zaprawdę powiadam wam: jeden z was Mnie zdradzi" (Mt 26,21).

W tym momencie straszliwego napięcia "wiara opada jak martwy liść i każdy jest samotny jak wyspa na gładkim morzu, przeszukiwana przez wiatr i światło, które obnażają jej najbardziej odludne kryjówki. Ich pamięć rozpełzła się jak kłębowisko węży, które słońce budzi z letargu. W tej chwili oczekiwania ujawniają się myśli nigdy nie wyrażone, grzechy nie wyznane, instynkty zduszone zbyt późno, idee sformułowane i odrzucone, mroczne wybory, ohydne intuicje, niezbadane mateczniki nieczystych zwierząt i bezwstydných obrzędów, jaskinie, gdzie dusza gromadzi swoje ponure obrazy, a krew odkłada relikty swych tajemnych nawałnic. Niech każdy z dwunastu pomyśli, że jest w nim dość brudu nie na jedną, ale na setkę zdrad. Niczego nie brakuje: jest pycha, nieczystość, niedowiarstwo, smutek, zwątpienie, przemoc..." (A. Romanó) "Czy to może ja, Panie?" Tak, to ja. Moje serce jest pełne zdrad. Wśród 30 srebrników, które brzęczą w kieszeni Judasza, znajduje się i moja część. Również ja, nie tylko najwyżsi kapłani, jestem zleceniodawcą. Również ja zapłaciłem. A Judasz jest tylko nieszczęsnym dowodem wszystkich moich zdrad.

272

To, co mnie ratuje z rozpacz - to echo słowa, które zagłusza i neutralizuje złowrogi odgłos pocałunku zdrajcy: "Przyjacielu!"...

ZDRAJCA - GDYŻ ZDRADZONY

I znów Mauriac pisze, że po wyjściu Judasza Apostołowie "poczuli, że atmosfera się oczyściła".

Nie jestem o tym przekonany. Raczej sędzę, że w sercu każdego z nich musiał pozostać dokuczliwy, nieusuwalny wyrzut:

oto Judasz teraz zdradza, gdyż oni jego zdradzili. Ich towarzysz był jednocześnie zdrajcą i człowiekiem zdradzonym.

Jan zapisuje fakt przerażający: "Wszedł w niego szatan". Podstępne wkroczenie szatana stało się możliwe, gdyż Judasz jest teraz "nie zamieszkały". Jednak słuszne jest podejrzenie, że to brak miłości towarzyszy spowodował tę pustkę. Gdyby stale czuwano nad sercem Judasza, gdyby nieustannie było ono napastowane przez miłość innych Apostołów, czy szatan byłby w stanie objąć władzę nad nim?

Szatan ma wolną drogę jedynie wówczas, gdy miłość mu ustępuje.

PIERWSZA ZDRADA RODZĄCEGO SIĘ KOŚCIOŁA!'

Więcej jeszcze. Apostołowie, pomimo nadprzyrodzonego pokarmu, który został właśnie w tym momencie "wytworzony" przez Jezusa, pozostali spokojnie na swoich miejscach. Nie przyszło im do głowy, by pobiec za Judaszem.

A jednak Chrystus prawdopodobnie oczekiwał od nich czegoś takiego. Miał może nadzieję, że Jego Ciało pomoże im uczynić ten szalony gest.

Tymczasem musiał patrzeć, rozczarowany, "na drugą zdradę". Zdradę przyjaciół w stosunku do zdrajcy.

Istnieje stronica, bardzo osobista, napisana przez Fabrizio Fabbriniego *, która zwraca uwagę, chyba po raz pierwszy, na tę niewygodną rzeczywistość.

"Judasz miał przyjaciół. Jego przyjaciele zostali tam, w ciepłe, mieli dużo pożywienia i dużo wina. Odpoczywali wygodnie na triclinium rozgrzani winem, wsłuchani w słowa Jezusa. Jak dobrze było położyć głowę na Jego piersi.

Ten, kto ma pod dostatkiem pożywienia i pociechy, rzadko pamięta o kimś, kto nie ma nic. Pożywienie Apostołów nie było jednak pożywieniem zwyczajnym i powinno uczynić wyją-

* Fabrizio Fabbrini, Giuda U predietto, La Locusta.

273

18 - Niewygodne Ewangelie

tek w tej regule. Wieczera szczególna. Nie tylko baranek i gorzkie zioła oraz chleb praśny i najczystsze wino, ale również Chleb i Wino specjalne, pokarm Życia.

Ten pokarm i ten napój, które winny napełnić ich miłością, napełniły ich egoizmem. Czyż nie przemówił wcale do ich serc ten Jezus, który wstąpił w nich i powiedział im o swym Judaszu? Nie mogę uwierzyć, by Go nie zrozumieli. Miłość musi przecież coś sugerować. Rozumieli Go, ale nie chcieli pójść za głosem serca. Z powodu sytości i lenistwa?

Ta pierwsza komunie rodzącego się Kościoła była pierwszym sprzeniewierzeniem się *.

Została nam ofiarowana miłość, która każe nam wyrzec się samych siebie. Pierwszy Kościół zdradził Jezusa, zanim Judasz przyszedł Go pojmać. Był to pierwszy fakt z długiej historii miłości i zdrady tego Kościoła, który posiada w sobie Chrystusa i zdradza Go nieustannie.

Była to zdrada miłości. Apostołowie byli może bardziej winni od Judasza, gdyż nie zrozumieli Pokarmu Jezusa, tak jak nie rozumieją Go wkrótce, gdy zasną w Ogrodzie, zamiast czuwać i modlić się. Zmarnowany dar, odrzucona tajemnica miłości.

Jak bardzo może spodobałoby się to Jezusowi, gdyby właśnie Jan pobiegł za Judaszem! Jego, najmłodszego ze wszystkich, wysłuchałby najpewniej. Mógł bez trudu dogonić Judasza i zdyszany pociągnąć go za suknię, mówiąc: «Przyjacielu, wróć, Nauczyciel czeka na ciebie. On mnie posyła, bym prosił cię o przebaczenie za cierpienia, które są twoim udziałem. I bym powiedział ci, że On ciebie kocha i że tobie powierza znów swój rodzący się Kościół, razem z godnością przewyższa-jącą godność anielską».

Jeżeli Jan nie był zdolny do tego aktu miłości, co czynił na piersi Jezusa? Pocieszał się duchowo, gdy tymczasem brat zdradzał swego Nauczyciela? Wystarczyłoby na chwilę zrezygnować z ciepła Wieczernika. Pozwolić unieść się sercu... I w jednej chwili na ulicy odnaleźć ślady Judasza. Gdyby tylko jeden z Apostołów podniósł się, Jezus sam dałby znak całej gromadzie. I wielu znalazłoby się na ulicy w pogoni za Judaszem. Dwunastu przeciwko jednemu. Zwycięstwo byłoby łatwe. Miłość dwunastu przeciwko nienawiści jednego. Cóż może zdziałać nienawiść jednego wobec miłości dwunastu? Judasz

* Sformułowania te mogą szokować swoją ostrością i odejściem od przekazu ewangelicznego. Autor chce uwrażliwić dzisiejszych uczniów Chrystusa na konieczność konsekwentnego przyjęcia orędzia miłości, którym On nas obdarował (przyp. red.).

274

wpadłby w sieć uścisków przyjaciół. Uśmiech ufności przyjaciół rozerwałby chłód nienawiści, zwyciężyłby strach i wstyd. W tym uścisku 30 srebrników rozsypałoby się jeden po drugim, głośno brzęcząc i tocząc się po bruku. I byłby to świąteczny hałas.

A gdyby wszystko to nie zdołało skruszyć serca Judasza, cała gromada powinna była ruszyć dalej. Wiedzieli, dokąd pójść: do domu najwyższego kapłana. Zapukać w nocy. Wewnątrz widać było blask pochodni żołdaków, którzy czekali na przybycie Judasza. I tak, uprzedzając Judasza, Apostołowie wydaliby Jezusa: «Oto jest Jezus, którego szukacie, by skazać Go na śmierć. Wydajemy Go my, przyjaciele. Jutro każemy się ukrzyżować razem z Nim.

Dwanaście krzyży na Kalwarii. Nasza miłość jest zbyt wielka, by zadowolić się jednym tylko krzyżem»".

Jeżeli Eucharystia nie wyrzuca nas z wieczerników naszej spokojnej i zadufanej pobożności, jeżeli nas nie skłania do nieoczekiwanych czynów, do podjęcia jakiejś inicjatywy, która może wydać się szalona, marnujemy ten Pokarm.

Zdrada wobec braci jest równoznaczna ze zdradą Chleba Życia. Martwimy się i słusznie przerażamy, również pod wpływem surowego napomnienia Pawła, niegodnym przyjmowaniem komunii. To zuchwałość, jeżeli stajemy "brudni" u Stołu eucharystycznego. Istnieje jednak również "niegodność", która przychodzi potem, gdy stajemy się niegodni Pokarmu, którym już się posililiśmy. I ta niegodność jest tak samo zuchwałą, jak niegodność poprzedzająca.

Pozostawianie tych ludzi w bezpiecznym ciepłe, podczas gdy Judasz wyszedł na dwór, w noc, by dobić swego handlu pieniędzmi, które nagle palą go w ręce, równoznaczne jest ze współdziałaniem z jego zdradą.

Nikczemności, zdrady, podłości kumulują się i rozsadzają ludzką skorupę, dopóki nie znajdują słabego punktu, poprzez który eksplodują. Judasz był takim właśnie słabym punktem.

Któż może jednak zapewnić, że to imię, które stało się złowrogie, nie zawiera w sobie również naszego imienia?

Tak, agonia Chrystusa trwa aż do końca wieków. Chrystus nieustannie jest zdradzany. Trzydzieści srebrników nieustannie powiększało się, aż stało się wielkim kapitałem. Stąd też "Pole krwi" osiągnęło olbrzymie wymiary. A On ciągle czeka, by któryś z "Jego uczniów" powstał i wyszedł na zewnątrz, w ciemną noc.

PANIE, NAUCZ MNIE SPAĆ

A kiedy przyszli do ogrodu zwanego Getsemani, rzekł Jezus do swoich uczniów: "Usiądźcie tutaj, Ja tymczasem będę się modlił". Wziął ze sobą Piotra, Jakuba i Jana i począł drzeć, i odczuwać trwogę. I rzekł do nich: "Smutna jest moja dusza aż do śmierci; zostańcie tu i czuwajcie!" I odszedłszy nieco dalej, upadł na ziemię i modlił się, żeby - jeśli to możliwe - ominęła Go ta godzina. I mówił: „Abba, Ojczy, dla Ciebie wszystko jest możliwe, zabierz ten kielich ode Mnie. Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty [niech się stanie]!" Potem wrócił i zastał ich śpiących. Rzekł do Piotra:

"Szymonie, śpisz? Jednej godziny nie mogłeś czuwać? Czuwajcie i módlcie się, abyście nie ulegli pokusie; duch wprawdzie ochoczy, ale ciało słabe". Odszedł znowu i modlił się, powtarzając te same słowa. Gdy wrócił, zastał ich śpiących, gdyż oczy ich były snem zmorzone i nie wiedzieli, co Mu odpowiedzieć. Gdy przyszedł po raz trzeci, rzeki do nich: "Śpicie dalej i odpoczywacie? Dostyc! Przyszła godzina..." (Mk 14,32-41)

Dziwne. Nigdy nie słyszałem kazania na temat snu. To poważna luka w mojej formacji.

Panie, pozwól mi spać. Muszę spać. Nie budź mnie. To dobrze, że śpię.

Moje zbawienie związane jest teraz ze snem.

"Nauczyciele duchowi" zaaprobowaliby to z trudem. Ty jednak, który nie jesteś zobowiązany do czytania ich traktatów, rozumiesz. I wierzę, że wysłuchasz mojej prośby.

Mówi się, że Twoje drogi są nieskończone. Dlaczego więc jedna z tych dróg, ta która dochodzi aż do mnie, nie mogłaby być właśnie drogą snu?

Panie, naucz mnie spać.

Nie żądaj modlitwy. Wiesz dobrze, że nic już więcej nie wydobędziesz ze mnie. Mnożę słowa, gadulstwem zamykam Ci usta, nie pozwalam Ci mówić. I Ty musisz zaniechać Twych projektów, gdyż ja nie chcę ich słuchać. Boję się.

Pozostaje Ci jedna możliwość dotarcia do mnie. Sen.

Dowiadujemy się z historii o miastach, zmuszonych do kapitulacji po nie kończących się oblężeniach, gdy ich mieszkańcy zostali wzięci "głodem" albo "bezsennością".
Za dnia mam się na baczości. Nauczyłem się bronić przed Tobą. Wiem, jak należy bronić się przed Twoją Ewangelią,
276

przede wszystkim przed jej stronicami najbardziej niewygodnymi. Bronią zdrowego rozsądku i kultury udaje mi się neutralizować Twoje paradoksy. Jeżeli czasem Twoja strzała dociera aż do mnie, znajduję sposób, by ją unieszkodliwić, zamykając w specjalnie przygotowanej szafce z przegródkami, gdzie wszystko zostaje uporządkowane, wszystko znajduje się na swoim miejscu, każda myśl jest bez zarzutu; nic nie może mi przeszkadzać.

W nocy natomiast jestem zmuszony zaniechać obrony, zburzyć bastiony "rozsądku".
I to jest Twój czas, Panie!

Wykorzystaj go.

Weź w ręce cugle, które za dnia tak głupio upieram się trzymać we własnych rękach.

Podpowiedz mi rzeczy słuszne.

Powiedz mi, co mam robić.

W czasie snu odnów mnie.

Jestem jak maszyna, która potrzebuje "generalnego remontu". Pomyśl, by wszystko doprowadzić do sprawności: uszy, język, rozum, oczy, a przede wszystkim serce.

Popraw mnie, Panie, w ciągu nocy. Ja sam potrafię jedynie mnożyć błędy. Rano, budząc się, znajdę wspaniały prezent:

siebie samego odnowionego, w wydaniu zmienionym i naturalnie ulepszonym.

Ktoś napisał: "Sen jest podstępem Boga, który pragnie okazać człowiekowi pomoc, jakiej nie może mu udzielić, gdy ten nie śpi". Mam nadzieję, że właśnie ta Twoja "nocna" przebiegłość przeważa nad moją "dzienną" głupotą.

Gdy nie śpię, bronię zawzięcie notesika, w którym zapisana jest cała moja "mądrość".

Zawiera on moją skalę wartości, moją pogmatwaną "problematykę", moje programy...

świętości. W nocy jestem zmuszony wypuścić go z rąk. Ty go, Panie, podnieś. Nie śmieję się.

Współczuj mi, popraw wielkie błędy, wymaż głupstwa, wykreśl niedorzeczności. Ty napisz to, co jest dobre.

Jedną trzecią życia spędzam śpiąc. Osiem godzin snu na dwadzieścia cztery godziny doby.

Panie, to jest czas odpowiedni, aby nauczyć mnie żyć w pozostałych dwóch trzecich.

Nie powiem, jak ta Angielka, która w czasie ostatniej wojny, podczas straszliwych nocnych bombardowań spała spokojnie w łóżku: "sądziłam, że Bóg nie śpi, nie było więc żadnego powodu, byśmy czuwali oboje". W moim wypadku powinienem powiedzieć: biada, gdybyśmy obaj nie spali. Uniemożliwił-

277

bym Ci Twoją pracę. Znów napytałbym biedy, jak to czynię za dnia.

Idiotyczne powiedzenie, które znienawidziłem w latach seminarium, gdy budzik dzwonił o pół do szóstej rano, mówi:

"Kto śpi, nie łowi ryb". Dla jasności dodam, że nie mam najmniejszej ochoty łowić ryb. Za to Ty, gdy śpię, możesz mnie złowić.

Powtarzam, to ostatnia okazja, jaka Ci została.

Błagam, nie utrac jej!

Czytam w Piśmie: "Daremnym jest dla was wstawać przed świtem, wysiadywać do późna, dla was, którzy jecie chleb zapracowany ciężko; tyle daje On i we śnie tym, których miłuje" (Ps 127,2).

Panie, jeżeli mnie kochasz, ześlij mi sen.

Pozwól mi spać.
Naucz mnie spać.
A wtedy Ty pracuj wreszcie spokojnie.

MIEJSCE W KALENDARZU DLA PIERWSZEGO ŚWIĘTEGO CHRZEŚCIJANINA

Gdy przyszedli na miejsce zwane "Czaszka", ukrzyżowali tam Jego i złoczyńców, jednego po prawej, drugiego po lewej Jego stronie. Lecz Jezus mówił: "Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią". Potem rozdzielili między siebie Jego szaty, rzucając losy. A lud stał i patrzył. Lecz członkowie Wielkiej Rady drwiąco mówili: "Innych wybawiał, niechże teraz siebie wybawi, jeśli On jest Mesjaszem, Wybrańcem Bożym". Szydzili z Niego i żołnierze; podchodzili do Niego i podawali Mu ocet, mówiąc: , Jeśli Ty jesteś królem żydowskim, wybaw sam siebie". Był także nad Nim napis w języku greckim, łacińskim i hebrajskim: "To jest Król Żydowski". Jeden ze złoczyńców, których [tam] powieszono, urągał Mu: "Czy Ty nie jesteś Mesjaszem? Wybaw więc siebie i nas". Lecz drugi, karcąc go, rzekł: "Ty nawet Boga się nie boisz, chociaż tę samą karę ponosisz? My przecież - sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki, ale On nic złego nie uczynił". I dodał: ".Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa". Jezus mu odpowiedział: "Zaprawdę, powiadam ci: Dziś ze Mną będziesz w raju". (Łk 23,33-43)

Przewertowałem kalendarz. W cyklu liturgicznym, pełnym świętych, nie zarezerwowano nawet małego miejsca dla niego. Jest miejsce i są święta dla wszystkich, którzy byli obecni na Kalwarii tego dnia. Dla Maryi, to jasne. Dla Jana. Dla Marii Magdaleny, chociaż egzegeci nadal mają pewne wątpliwości. Jest nawet miejsce dla nieobecnych na Kalwarii. Dla pierwszego papieża, który uciekł nie wiadomo dokąd, by opłakiwać własną zdradę, dla Apostołów, ukrytych niczym krety w norze strachu.

Dla niego, dobrego łotra, pierwszego świętego chrześcijańskiego nie ma miejsca w kalendarzu*.

Ewangelisci wręcz zapomnieli go przedstawić i stąd nie znamy jego imienia. Nie można go nadać żadnemu dziecku na chrzcie. Jego święto powinno być w Wielki Piątek. Rozumiem wszakże, że ten dzień jest dniem "zakazanym". Jednak przy odrobinie dobrej woli można by temu zaradzić i znaleźć inne

* Niezupełnie ściśle. Dobry łotr czczony jest jako Św. Dyzma, patron nawracających się grzeszników i umierających (26 marca) - przyp. red.

279

rozwiązanie. Prawdopodobnie chciano uniknąć niezręcznej sytuacji, w jakiej znaleźliby się hagiografowie. Jakby sobie poradzili z tym świętym, tak mało "przykładnym"? A "dobrzy parafianie", czy przyjęliby za wzór osobnika tak mało godnego polecenia, który wszedł w poczet "naszych" dopiero na pięć minut przed końcem swej burzliwej egzystencji? Nie zapominajmy też o tym, że wszedł przez drzwi otwarte przez Chrystusa w momencie zrozumiałej - zważywszy sytuację - słabości.

Jednym słowem jest to osobnik niewygodny, nie budzący zaufania nawet po śmierci. A więc nie ma dlań żadnego święta.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: On nie cierpi z powodu tych nieuprzejmości liturgistów. Pozostanie przecież na zawsze jedynym świętym kanonizowanym bezpośrednio przez Chrystusa: "Zaprawdę powiadam ci: dziś ze mną będziesz w raju"*.

To mu wystarcza, aż nadto.

Dziwny przypadek. Za swego ziemskiego życia, przynajmniej w świetle Ewangelii, Jezus nigdy nie miał okazji zetknąć się ze złoczyńcami. Teraz w przeciągu kilku godzin ma do czynienia z trzema. Wpierw z Barabaszem, złoczyńcą, który zamiast Niego został wypuszczony na wolność. A na krzyżu styka się z dwoma łotrami.

Tego po prawej zawsze nazywano z odrobiną pobłażliwej czułości "dobrym łotrem" albo "włamywaczem do Raju". Ale on niczego nie ukradł. Jeżeli Jezus zapewnił mu miejsce w Raju, znaczy to, że był przeznaczony dla Raju.

Jego narodziny, jego rozboje, całe jego życie zdążyło do tej jednej chwili, gdy mógł towarzyszyć Bogu w godzinie męki.

Jego nieszczęśliwa egzystencja dopełnia się w ciągu kilku minut na Kalwarii. Całe życie zostaje wygrane w przeciągu paru sekund. Zbyt wygodnie? A jednak "dobry łotr" umiał wypełnić ten króciutki czas wielkimi sprawami. A Bóg liczy wierność w kalendarzu, który nie pokrywa się z naszym. Zresztą, ile dni naszego życia "przeżywamy" naprawdę?

To nie pierwszy papież, to nie pierwszy biskup wspaniale adorował Chrystusa na krzyżu, ale zatwardziały złoczyńca.

"Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa".

Nigdy nie pojmiemy do końca godności i wielkości tego aktu wiary. Łotr wyznaje ją w momencie wyszydzenia Jezusa, klęski

* Punktem wyjściowym dla tych rozważań była lektura kilku wspaniałych stron napisanych przez R. L. Bruckbergera: Dzieje Jezusa Chrystusa.

280

upadku ziemskiej chwały, pośród śmiechów stojących wokół prominentów.

"Dobry łotr" proklamuje królewskość Jezusa w momencie najmniej tryumfalnym. Jego wyznanie wiary w tych okolicznościach nabiera wymiaru prorocstwa. Tak. Ten złoczyńca wchodzi w poczet proroków.

Uczył i powiedział to, co najważniejsze. Wyznał własne winy uznając, że męka w jego przypadku jest zasłużona. Proklamował niewinność Jezusa, kazał zamilknąć butnemu towarzyszowi. Uznał Jezusa za Króla nie wtedy, gdy lud entuzjasmował się cudami, ale w momencie upokorzenia i opuszczenia. Wyznał, że wierzy w Królestwo, które nie jest z tego świata i uznał praktycznie, że śmierć jest bramą do tego Królestwa.

Współuczestnictwo w męce Chrystusa czyni jego umysł tak jasnym, że wyczuwa on intuicyjnie i proklamuje zasadnicze prawdy. Otrzymuje więc podwójny chrzest: chrzest krwi i pragnienia. Zasługuje, by towarzyszyć Chrystusowi przy Jego wejściu do Raju. Właśnie on. Wyjęty spod prawa. Wykluczony ze społeczności (i kalendarza liturgicznego).

Któregoś dnia pewna matka zwróciła się do Jezusa z naiwną prośbą: "Powiedz, żeby ci dwaj moi synowie zasiedli w Twoim królestwie jeden po prawej, a drugi po lewej Twojej stronie" (Mt 20,21).

Biedna kobieta nie wiedziała, że była to rzecz niemożliwa. Miejsce po prawej stronie było już zarezerwowane. Dla złoczyńcy.

GÓRA POZOSTAŁA NA MIEJSCU

Bo zaprawdę powiadam wam: Jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarnko gorczycy, powiecie tej górze: "Przesuń się stąd tam!" a przesunie się. I nic niemożliwego nie będzie dla was. (Mt 17,20)

Panie, dziwna jest Twoja Ewangelia. Księga zupełnie inna niż pozostałe. Zawiera przykre niespodzianki. Im więcej się ją czyta, tym mniej człowiek czuje się spokojny. Student, gdy dobrze przestudiował zadaną lekturę, nie boi się egzaminu (chyba że profesor ma jakieś kaprysy). Tymczasem ktoś, kto zna Ewangelię, traci pewność. Jedynie

ten, kto ją ignoruje, może popisywać się pewnością. Studiowanie ksiązek napisanych przez ludzi umożliwia awans. Studiując Ewangelię, można nie zdać egzaminu. Każda jej strona rozbija na kawałki najsolidniejsze pewniki.

Dziś na przykład zdałem sobie sprawę, że wierzyłem, że wierzę. I tak jeden z "pewników" mojej chrześcijańskiej egzystencji wyleciał w powietrze.

"Zaprawdę powiadam wam: Jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarno gorczycy, powiecie tej górze: «Przesuń się stąd tam!» a przesunie się. I nic niemożliwego nie będzie dla was".

Panie, ja nigdy nie przesunąłem góry. Nawet pagórka. I jestem pewien, że nigdy tego nie zrobię.

W szkole nauczyłem się rozumować. Nadszedł moment, by wykorzystać tę umiejętność. Spróbujmy.

Ty powiedziałeś: jeśli będziecie mieć wiarę, przesuniecie góry.

Mnie nigdy nie udało się przesunąć góry.

A więc nie mam wiary.

Doskonale. (Choć niezbyt to dla mnie pocieszające).

Nie mam wiary. Tysiące razy odmawiałem akt wiary, Credo (potrafię nawet szczegółowo omówić problem Filioque), ale nie mam wiary.

Studiowałem Św. Tomasza, daję sobie radę z nowoczesnymi teologami, najbardziej nawet "postępowymi", ale nie mam wiary.

Potrafię bez trudu odpowiedzieć na główne zarzuty "przeciwko wierze". Ale nie mam wiary.

Nigdy nie przesunąłem góry. Gdyż nigdy nie próbowałem.

282

A nigdy nie próbowałem, gdyż bałem się zawodu. Byłem "wątpiący" (por. Mk 11,23). A więc nie miałem wiary.

Oczekuję cudów od Ciebie, Panie. Jestem ich spragniony. A zapominam, że Ty czyniłeś cuda, gdy widziałeś wiarę otaczających Cię ludzi. Wiara stanowiła sprężynę, która uruchamiała Twą wszechmoc, a nie odwrotnie.

Wiara jest pewną drogą prowadzącą do cudu. Ja, przeciwnie, oczekuję cudu, aby wejść na drogę wiary.

Nasze drogi nigdy się nie spotykają. Wędrujemy, odwróceny do siebie plecami, w odwrotnych kierunkach.

Moja niewiara ma siłę przerażającą: potrafi sparaliżować Twoją wszechmoc. "I niewiele zdziałał tam cudów, z powodu ich niedowiarstwa" (Mt 13,58).

"Gdy Jezus to usłyszał, zadziwił się i zwracając się do tłumu, który szedł za Nim, rzekł: «Powiadam wam: Tak wielkiej wiary nie znalazłem nawet w Izraelu»" (Łk 7,9).

"Przejrzyj, twoja wiara cię uzdrowiła" (Łk 18,42).

"...Jezus widząc ich wiarę, rzekł do paralityka..." (Mt 9,2)

"Córko, twoja wiara cię ocaliła" (Mk 5,34).

"«Lecz jeśli możesz co, zlituj się nad nami i pomóż nam!» Jezus mu odrzekł: «Jeśli możesz? Wszystko jest możliwe dla tego, kto wierzy». Natychmiast ojciec chłopca zawołał: «Wie-rzę, zaradz memu niedowiarstwu!»" (Mk 9,22-24)

"Idź, twoja wiara cię uzdrowiła" (Mk 10,52).

"On zaś rzekł do kobiety: «Twoja wiara cię ocaliła, idź w pokoju»" (Łk 7,50).

Cała Ewangelia dowodzi Twojej "słabości" wobec wiary. Istnieją epizody, jak ten z setnikiem, w których nie potrafisz ukryć Twego podziwu. Twojej radości wobec wiary rozmówcy.

Ja, Panie, odmówiłem Ci tej radości, gdyż nie mam wiary. Powiniennem dołączyć do listy grzechów, które co tydzień przedstawiam spowiednikowi: "Zgrzeszyłem brakiem wiary i z tego powodu odmówiłem Panu odrobiny radości".

Nie, nigdy nie potrafiłem Ci ofiarować wiary, zdolnej zwrócić Twą uwagę. Dlatego to do mnie skierowane są Twoje wyrzuty. Ja jestem powodem Twego rozczarowania: "Gdzie jest wasza wiara?" (Łk 8,25)

"Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary?" (Mt 8,26)

"W końcu ukazał się samym Jedenastu, gdy siedzieli za stołem i wyrzucał im brak wiary i upór" (Mk 16,14).

"O nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia..." (Łk 24,25)

283

Dziś uczonym udało się wyprodukować metale "czyste", szczególnie wytrzymałe na zmęczenie i na zużycie, dzięki wyeliminowaniu wszelkich zanieczyszczeń.

Ty, Panie, oczekujesz ode mnie wiary na wzór tych metali. Niestety, moja wiara pełna jest zanieczyszczeń: miłości własnej, konformizmu, zarozumiałstwa, przyzwyczajęń, intelektualizmu, rozmaitych powikłań, fałszywej pewności. A to znaczy, że nie mam wiary.

Wydawało mi się, że wierzę, gdyż myliłem "prawdy wiary" z Wiarą. Łudziłem się sądząc, że wierzę. Tymczasem będę osądzony przez Ciebie i przez ludzi z tego, czym jestem z punktu widzenia wiary.

Moja wiara (powinienem powiedzieć, ale boję się tego określenia - "mój brak wiary") może złożyć świadectwo w formie artykułów Credo, stronic najlepszych traktatów teologicznych, słów. Nie jest jednak w stanie przedłożyć jedynej ważnej dokumentacji: faktów.

Dlatego udaję chrześcijanina. Ale nie jestem chrześcijaninem. Pomiedzy tymi dwoma pojęciami istnieje przepaść.

"...powiecie tej górze: «Przesuń się stąd tam»"...

To wiara tryumfuje nad koniecznością.

Wiara nigdy nie pozostawia rzeczy takimi, jakie są. Albo przesuwą góry, albo zmienia osoby. A to jest tak samo wielkim cudem.

Ja nie potrzebuję zmuszać góry do wędrówki (nie wszystkim zresztą by się to spodobało, szczególnie w okresie wakacji, a poza tym mogłoby wywołać poważne komplikacje również na polu międzynarodowym). Muszę jednak poruszyć góry mojej miernoty. Muszę zmienić siebie.

"Jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarnko gorczycy..." Powinienem zapytać uczonych botaników, czy istnieje coś o wiele mniejszego od ziarnka gorczycy. Wówczas miałbym obraz mojej wiary.

Panie, istnieje wiara, która przesuwą góry. Istnieje inna, która nic nie przesuwą. Moja wiara właśnie.

Odkryłem to dzisiaj. Mówię Ci o tym z bólem, rumieniąc się cały.

Twoje słowa sprawiły, że dokonałem "straszliwego odkrycia". Tak jakbym gwizdząc wszedł do pokoju, w którym leży nieboszczyk. Mój okrzyk bólu pragnie jednak być również wołaniem o pomoc. Czy ono wystarczy, byś obdarzył mnie zbawieniem?

284

Powiedziałeś: "Nic niemożliwego nie będzie dla was". Dotyczy to oczywiście również Ciebie. A więc, czy potrafisz "dostrzec" wiarę mniejszą niż ziarenko gorczycy?

SPIS TREŚCI

Dziękuję za kłopot	5
Uczmy się smutku Bożego Narodzenia	9
Popsuty złódek	13
Niespodzianki podróży	18
Dziecko potrzebuje świeżego powietrza	22

Czy człowiek to goryl z karabinem?	25	
Wybacz nam siwe włosy	32	
Znali Go i dlatego nie rozpoznali	37	
Jezus jest zawsze poza domem	42	
Nie ma ulgowych biletów wejściowych	50	
Urlop Boga i praca chrześcijanina	58	
Chleb	62	
Dwa tysiące świń na szali	69	
Złe oko	78	
Twórcze słowo i kwitnąca skała	84	
Bogactwo jako głupota	88	
Bogactwo jako nieszczęście	93	
Zawód, który nie boi się kryzysu	99	
Konsekracja przy studni	105	
Kobieta "lekkich obyczajów"	116	
Złodziej na katedrze	122	
Co odłożyliśmy do lamusa?	126	
Sykomora - drzewo oskarżenia	131	
"To, co zginęło", czyli to, co zgubiliśmy	138	
Nie wolno okłaskiwać proroków	143	
Chorzy na zatwardziałość serc i specjaliści od niewiedzy	149	
Chrześcijanin w historii	152	
Specjaliści od wznoszenia murów	156	
Kamień młyński dla gorszycieli	161	
I w naszych dłoniach kamienie	167	
Boska chirurgia	171	
Zejście z góry Tabor	175	
Kościół grzeszników	179	
Czy potrafimy zrozumieć strategię miłosierdzia?	184	
Spowiedź starszego syna	190	
Syn marnotrawny umknął niebezpieczeństwa	197	
Dom i stara ciotka	204	
Iść właściwą stroną drogi	207	
Zatruta krew	215	
286		

Uczą się tylko tego, co już wiedzą	
Kto chce się bawić?	
Piątka ze sprawowania	
Popsute święto	
Akcja porządkowa w Świątyni	
Wejście, targ zakończony	
Czas rodzenia owoców	
Oni zdradzili Judasza	
Panie, naucz mnie spać	
Miejsce w kalendarzu dla pierwszego świętego chrześcijanina Góra pozostała na miejscu	

Wydanie II

Skład: Wydawnictwo "W drodze"

Druk i oprawa: Drukarnia Księży Werbistów, Laskowice Pomorskie
Żarn. 258/94